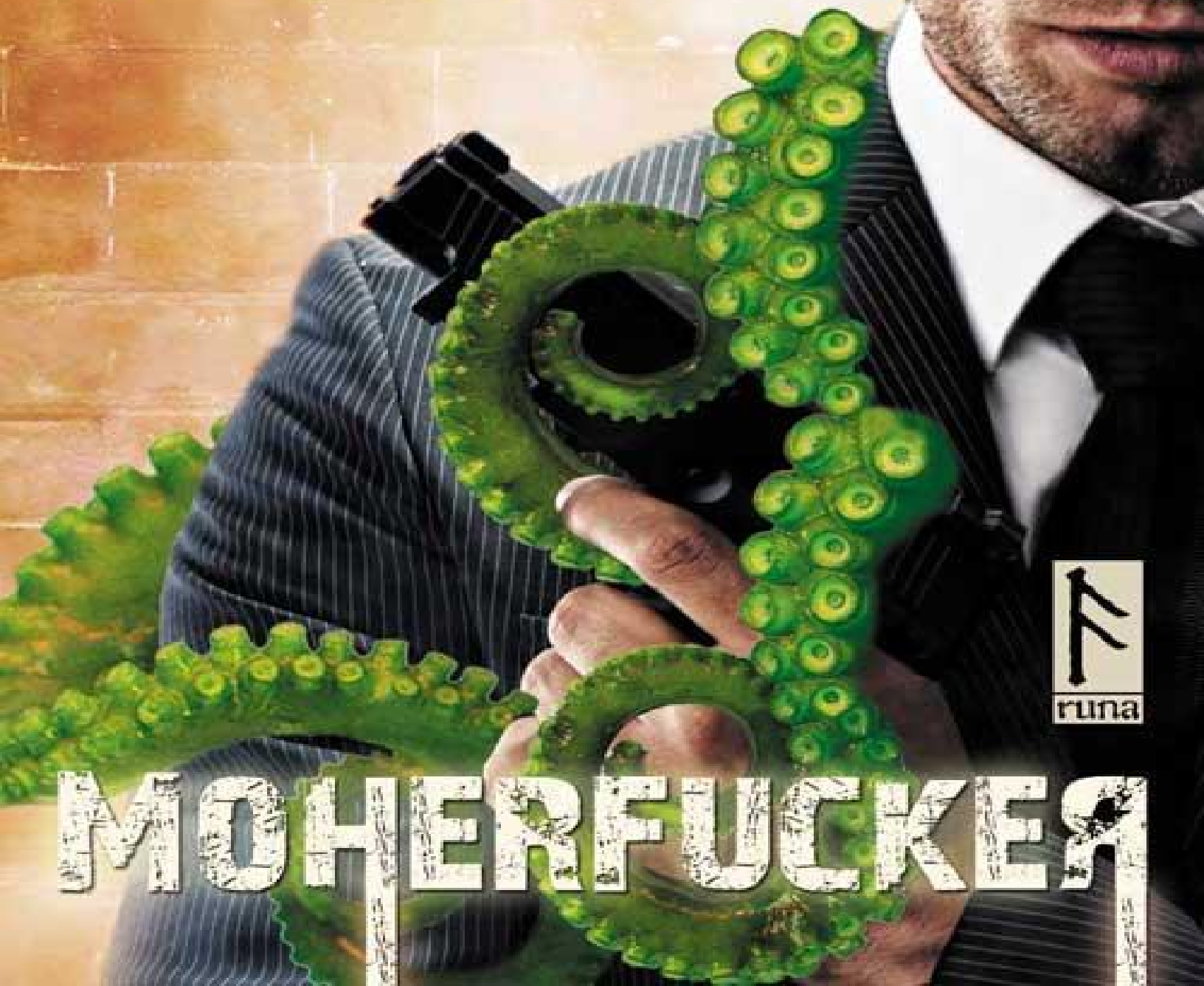


EUGENIUSZ DEBSKI

★ RUSSIAN ★

★ IMPOSSIBLE ★



MOHERFUCKER

Eugeniusz Dębski  
**Russian Impossible**

## Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

EPILOG

*Mojej żonie, Beacie, wspierającej mnie na każdym etapie tworzenia tej powieści, od tytułu począwszy, na rytualnej ostatniej kropce kończąc.*

*Mojej mamie, Łucji, która niezmiennie uważa, że ludziom stałaby się krzywda, gdybym zaniechał pisania. Dziękuję.*

*Mojej wnuczce, Ninie – mam nadzieję, że szybko nauczy się czytać i będziemy sobie miło gaworzyli o literaturze i o tej książce też.*

## ROZDZIAŁ 1

Siergiej Paraskiewoj wysiadł z łady i z cyrkową zręcznością posłał niedopałek w kierunku kratki ściekowej, na której zbrązowiały filtr zatańczył, podskoczył kilka razy i wpadł w czelusć petersburskiej kanalizacji. Zerknął na zegarek, westchnął, bo znowu był w niedoczasie, co bladskaja Kira na pewno wykorzysta i pokaże mu figę, zamiast dać córeczkę na spacer po parku. Ale trudno, milicja to nie praca, nawet nie służba, to Filozofia i Obowiązek, tak to rozumiał Paraskiewoj. Trzasnął drzwiami, oparł się tyłkiem o karoserię i docisnął swoim ciężarem wypaczone, skorodowane drzwi.

Nawet nie wyjął kluczyka ze stacyjki. To było Szuwałowo, jego dzielnica i jego квартаł ulic: Poeticzeskij Bulwar, Rudniewa, Suzdalskij Prospekt i Jesienina. Tu wszyscy wiedzieli, kim jest starszyj praporszczik Paraskiewoj, a on wiedział niemal wszystko o niemal wszystkich.

Przyjechał tu z rodzicami dwa lata po wojnie, Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, z Piatigorska, okupowanego przez faszystów tylko przez siedem miesięcy, ale to wystarczyło, by z sytego i zadowolonego malca stał się sierotą po mizernym sekretarzu komitetu dzielnicowego. Szuwałowo nie chciało go przygarnąć. Rówieśnicy nie dopuszczali go do swoich zabaw, chyba że byli w desperacji. Gdy brakowało innych chętnych, stawiali go na bramce, by po puszczonej golach, z jego czy nie jego winy, besztać, wrzeszczeć albo poczęstować kilkoma kuksańcami.

Tak stracił dwójkę i trójkę, dolne, stałe.

Inna sprawa, że chłopacy z Szuwałowa bawili się tak, jak Sierioża bawić się nie chciał wykradali kotlety ze stojącego na parapecie stołówkowej kuchni kotła, wyciągali haczykami z drutu

tandetne – ale jednak! – pierścionki z nieszczelnej witryny sklepu z pamiątkami, wcześniej nawiązywali kontakty z organami ścigania i płcią przeciwną. Sierioża nie pił, nie palił, cnotę stracił późno i raczej przypadkowo.

Przez cały okres dorastania znajdował się jakby na zewnętrznej orbicie życia dzielnicy, wykpiwany przez kolegów z podwórka, kwaterału i klasy, choć nie było ku temu żadnych powodów: zwyczajny chłopak o przeciętnym wyglądzie, przeciętnie rozwinięty. Mógłby grać i na obronie, i w ataku, biegał dobrze, w dysku miał nawet rekord szkoły, ale nie był akceptowany, bo nie urodził się tu, lecz w jakimś kurorcie, Niemcy nie spalili mu domu, nie głodował przez tysiąc dni, a teraz mieszkał w dwóch pokojach z kuchnią, samodzielnych! Cała reszta zaś tłoczyła się w komunałkach, gdzie w ośmiopokojowym mieszkaniu gnieździło się osiem rodzin, w kuchni i łazience na ścianie umocowanych było osiem włączników i każdy korzystał z własnego i własnej żarówki, a włączenie innej owocowało dziką awanturą, czasem z mordobojem i interwencją milicji.

Dlatego Sierioża, gdy skończył, z przeciętną średnią, ale przeciętną w górnej części tabeli, szkołę średnią, poszedł do Wyższej Szkoły MSW – miał ojca z zasługami, zamordowanego przez faszystów, czyli słuszny życiorys, a także niezłe stopnie. I ogromną chęć odegrania się na kolegach i innych typach za swoje dzieciństwo i młodość. Za to, że gdy nie mogli go przeskoczyć, gdy jego wyższość w jakiejś sprawie nie podlegała dyskusji (szkoła!), gdy już nie mieli żadnych argumentów, używali tego ostatecznego, ich zdaniem powalającego: Paraskiewoj, chuj ty balszoj!

I odegrał się. Po sześciu latach wrócił do dzielnicy, matka już nie żyła, nie bał się więc zemsty na rodzinie. Już jej nie miał. Zaczął z zapałem i energią, rzadką w jego pracy, zaprowadzać porządku w Szuwałow. W ciągu pierwszego roku wsadził za kratki siedmiu dawnych kolegów – a właściwie tak zwanych kolegów – potem jeszcze czterech, przeżył podpalenie mieszkania, odebrał mizerne odszkodowanie za spalonego zaporożca, posłał do pudła kolejnych ośmiu. Kilka bójek, trzy napady, niegroźny postrzał. Zasadził się na pozostałych trzech, dopadł ich, dwóch nie przeżyło pościgu i próby zatrzymania.

W Szuwałowie na długie lata zapanował spokój.

Siergiej Michajłowicz mógł awansować i ruszyć w górę po szczeblach służbowej drabiny, ale nie skorzystał. Posunął się nawet dalej. Gdy nowy komendant, zachwycony jego wynikami przeniósł go o piętro wyżej, i lokalizacyjnie, i służbowo, upił się, narozrabiał, postrzelił dwie prostytutki i migiem wylądował na starych śmieciach. Od trzech lat nikt już nie przejawiał chęci awansowania go. Przełożeni poprzestawali na nagrodach pieniężnych, dyplomach, pucharach. Siergiej Michajłowicz spokojnie maszerował przez lata wieku średniego, frustrując się co najwyżej zbliżającą się nieśpiesznie emeryturą i czekając na powrót z pierdla Josifa Joba – przed aresztowaniem i później nie udało mu się spuścić Jobowi łomotu, obiecywał więc sobie dać mu potężny wpierdol pod byle pretekstem i przy pierwszej okazji.

Czekał.

Od roku w dzielnicy działo się coś niedobrego. Przemknęła smuga jakiegoś syfu, nieokreślonego, niesprecyzowanego, taki bezwonny cuch. Na oko wszystko było OK, w azurie, jak mawiali

sąsiedzi, ale Siergiej Michajłowicz czuł i wiedział, że pod grubą warstwą pozorów rwie zaskakująca swoją intensywnością rzeka... czegoś. On, Siergiej Michajłowicz Paraskiewoj, wyczuwał napięcie, słyszał skrzypienie cięciwy, naciąganej gdzieś poza zasięgiem jego wzroku, słuchu, węchu. Móz... nie, mózgu nie. Właśnie tylko mózg, intuicja, i ta wypracowana, i ta wrodzona, informowała go, że albo już się coś dzieje, a on nie wie co, albo zaczną się dziać, ale kiedy się zaczną – nie wiadomo.

To go martwiło. Wkurwiało. Piekło i kłuło...

Uruchomił wszystkie kontakty, kapusie dorobili się worków pod oczami i drżenia palców, starli obcasy i podeszwy na szmonie, kilku nadgorliwych i niezdarnych nabawiło się kontuzji kończyn, jeden skończył z butelką po śmietanie w odbycie, najaktywniejszy na cmentarzu.

Nic.

Siergiej Michajłowicz sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął papierosa, zapalił, zaciągnął się głęboko i gospodarskim okiem obrzucił perspektywę ulicy Jesienina.

Była czwarta z minutami, większość mieszkańców dzielnicy jeszcze siedziała w pracy albo robiła pośpieszne zakupy – jutro piątek, urwanie głowy w marketach, na parkingach, na ulicach. Dzielnica i ulica na razie jeszcze puste jak o świcie. Z tym że ci, których Paraskiewoj potrzebował, nie robili zakupów ani w Lidlu, ani w Atabie, ani w Eko, tylko w starym dobrym poradzieckim uniwiermagie, z drzwiami zamykanymi przez skrzypiącą sprężynę, z odbojnikiem w postaci burej szmaty. Robili zakupy i od razu je konsumowali.



Zerknął na citizenę, splunął, jak przed wejściem do chlewu, i ruszył przez ogromną arkę, pamiętając czasy dziarskich, przepelnionych entuzjazmem budowniczych Leningradu. Podwórko było, jak na leningradzkie standardy, niewielkie: pięciobok z dziesięcioma klatkami schodowymi, zaniedbane, ale jeszcze wyraźne trawniki, jako tako zamiecione alejki, tworzące, gdy się patrzyło z najwyższych pięter, gwiazdę co prawda z kilkoma falsalejkami na trasie do śmietnika i trzepaka, gdzie wygodniej było dojść na przełaj niż po wytyczonej przez komucha architekta alejce. W centrum gwiazdy znajdowała się piaskownica ze świeżo wymienionym piaskiem, otoczona pięcioma ławkami. Kilka kostek betonu ustawionych na szpicy ramienia najbliższego bramy, zakłócało komunikacyjną funkcję alejki. Dodatkowo dostępu do piaskownicy broniło czterech typów w kreszowych dresach Adiaids, Pumea i Schlasingger, wszyscy z bujnym owłosieniem, niekoniecznie uporządkowanym. Obok kostek stały grzecznie zaparkowane wózki i toboły. Mężczyźni raczyli się mocnym winem, zwanym nalewką, inaczej – barmatuchą. Paraskiewoj zatrzymał się na granicy światła i cienia i głośno pocmokał z dezaprobatą. Echo wzmocniło dźwięk, mężczyźni obejrżeli się, potem popatrzyli po sobie. Jeden z nich, przypominający Karola Marksa, z ogromną brodą i szopą falujących, najwyraźniej co jakiś czas czesanych włosów, wstał i zaczął zbliżać się do Siergieja Michajłowicza. Ten wyjął papierosa, zapalił jednego, ale nie schował paczki. Wyciągnął dwa papierosa do połowy, żeby brudne palce „Marksa” (takie, zresztą, nosił przyzwyczajenie, nie miał szans na inne) nie dotknęły pozostałych.

– Zawsze gdy na ciebie patrzę, Karolu, przywódco mas proletariackich, zadaje sobie pytanie, jak udało ci się wyhodować takie kudły? – zagaił Paraskiewoj, gdy Marks podszedł i wyciągnął rękę po daninę.

– A pośpij sobie parę tygodni na śmietniku, to może i tobie coś odrośnie – burknął nagabnięty. – Mudak!\*

Siergiej Michajłowicz podał mu ogień i zaciągnął się swoim papierosem.

– A wiesz, że chyba masz rację? – powiedział zdziwiony, nie zwróciwszy uwagi na obraźliwe zakończenie przepisu na bujną czuprynę. – Nie przypominam sobie łysego bomia. Może to rzeczywiście skutkuje?

\* Mudak (ros.) – cymbał, głupek, tępak.

Miazmaty, fetory, odory i smród dają popalić korzonkom włosów, tak? – Marks milczał, drapiąc się po plecach. – Można by założyć firmę „Wczasy dla włosów”, wywozić dyplomatów, dealerów, biznesmenów na oddalone od miasta śmietniki, żeby nikt ich nie widział i nie musieli się wstydzic, i kazać spać w syfie. Potem do bani na kilka godzin i wracają odnowieni, owłosieni, z kudłami, że pozazdrościć. A?

– Chuj na! – syknął „Marks”.

Zza paska spodni wyszarpnął zardzewiały, znaleziony wczoraj w małym gaju sierp, wziął zamach i błyskawicznie uderzył. Ostrze wbiło się w szyję Siergieja Michajłowicza i wyszło z drugiej strony, pod prawym uchem. Paraskiewoj nawet nie wypuścił papierosa z ust. Marks odsłonił żółte pniaki po zębach i z całej siły szarpnął sierp do siebie. Rozplatawszy szyję milicjantowi, odsunął się dwa kroki i splunął.

– Bieri, suka! – wysyczał.

Z tyłu, z barykady, na której chwilę temu raczył się barmatuchą, buchnęły wrzaski.

Siergiej Michajłowicz leżał na zakurzonej asfalcie, prawa stopa wykonała kilka chrobotliwych ruchów, papierosa zalała krew, syknął żar...

– Job twaju mat', Marks, ty czewo, achujet. – zachrypiał jeden z sobutylników\*

– Da nam tiepier' chana\*\*, pizdiec! Musora\*\*\* nas zajebut, niedajob ty praklatyj! – dołączył drugi przerywanym, przechodzącym w pisk głosem.

\*Sobutylnik (ros.) – kumpel od flachy.

\*\* Chana (ros.) – koniec, jesteście załatwieni.

\*\*\* Musora – od: Musor (ros.) – śmieci: gliny.

Zachłysnął się szlochem, pełnym obrzydzenia z powodu drgającego ciała, krwi, sierpa, i przerażenia z powodu krwi, ciała i sierpa.

Obaj stali jak wmurowani w stalinowskiej rzetelności beton alejki.

– Da w rot ja ich jebał! – mruknął pod nosem Marks, zbliżając się z połyskującym czerwienią sierpem do kumpli. Cała trójka jak zahipnotyzowana wpatrywała się w mordercę. – I was toże! – ryknął niespodziewanie i rzucił się na kumpli.

Wbił jednemu sierp w plecy i natychmiast zrozumiał, że popełnił anatomiczny błąd – ostrze utknęło między żebrami i nie dało się wyjąć. Ugodzony szarpnął się, śli-ska od krwi rączka wymusnęła się Marksowi z palców. Był bezbronny. W

przeciwieństwie do sobutylników. Ci mieli sporo po kieszeniach i dużo złomu w wózkach.

Podczas gdy na jednym z balkonów szóstego piętra zanosila się wrzaskiem mloda matka, ktora wyszła zdjac ze sznura pieluszkę, trójka bomżów zmienila żywego jeszcze chwile temu Marksa w krwawe ścierwo, w mięсны strżęp, w zmiążdżony białkowy łachman.

– Ujobywajem – rzucił jeden, ciskając kawał stalowej rury na swój wózek.

Na swój, nie na pierwszy lepszy, w końcu to ze dwa kilo metalu, po sześć rubelków kilo.

– Ni chiera – zaprotestował drugi. – Najdut i zajebut. A tak – my gieroi. Porieszyli ubijcu mienta, miedali dałżny dat’\*.

\* Najdut i zajebut. A tak – my gieroi. Porieszyli ubijcu mienta, miedali dałżny dat’

(ros.) – Znajdą i zajebią. A tak – jesteśmy bohaterami. Załatwiliśmy zabójcę psa, medale powinni nam dać.

– Aga! Tak tiebie i dadut! Chuj dadut. Dagoniat i jeszcze raz dadut. Akanczatielno!

\*

Trzeci, który jeszcze się nie odezwał, tylko chrypiał i spazmatycznie przelykał ślinę, chlipnął nagle, a potem chwycił się za kudły nad uszami i szarpnął je z całej siły. Nie czuł tkwiącego w plecach sierpa. Adrenalina, uwolniona potężną dawką strachu, znieczuliła go skutecznie.

– Szto diełat’?! – wrzasnął. Potem ucichł i milczał chwile. – Co robic... – powtórzył cicho.

– Przymknij japę, Czernyszewski! Belfer pierdolony! – warknął ten, który jeszcze długo tłukł rurą głowę Marksa, choć ostatnie podrygi ciała dawno ustały. – Czekamy na gliny. Daj, wyciągnę ci ten jebany sierp.

Były nauczyciel jakby zapomniał, że w jego plecach tkwi narzędzie zbrodni.

Zachwiał się, zbladł i zaczął się odsuwać od butelkompana. Ten, zdawał się nie dostrzegać jego paniki albo chciał mu zrobić na złość i podchodził z wyciągniętą ręką. Z ust rannego wydobył się cichy modulowany skowyt, w który po chwili wplótł się siostrzany, niemal bliźniaczy jęk milicyjnej suki.

Mienty wpadły na podwórko.

Pojazd ze schodkami pędził w stronę znieruchomiałego samolotu. Na stopniu kabiny stał Kostia Sukonin,

\*Aga! Tak тебе i dadut! Chuj dadut. Dagoniat i jeszcze raz dadut. Akanczatielno!

(ros.) – Aha! Akurat dadzą. Chuja dadzą. Dogonią i jeszcze raz dadzą. Do końca! ale patrzył nie na samolot, nie na nas, stojących za plecami kapitana w otwartych, zabezpieczonych kratą pasów drzwiach. Kasztanowe włosy pod naporem wiatru przyłgnęły mu do głowy. Nie widziałem jego twarzy, ale mogłem sobie wyobrazić, jaką miał minę i jeśli nawet była inna niż przypuszczałem wolałem na niego nie patrzeć.

Kilkadziesiąt metrów od samolotu Sukonin podniósł głowę. Nie takiego spojrzenia oczekiwałem. Była w nim i pretensja, że to niby wszystko przeze mnie, i... nadzieja.

Tak, pomyślałem, to najgorsza rzecz, jaka mogła go spotkać: zawiedziona nadzieja.

Co ja mogłem zrobić?

Patrzyliśmy sobie w oczy, starałem się powiedzieć mu, że nic nam nie przeszkodzi, że damy radę, że będzie dobrze.

– Nie okazuj mu, broń Boże współczucia! – mruknął stojący za moimi plecami Jerzy.

Kapitan, słysząc to, drgnął i odwrócił się, ale się nie odezwał, tylko sięgnął do zapięcia odgradzającego nam drogę pasa. Ja też przemilczałem ostrzeżenie.

Platforma schodów dość mocno łupnęła w kadłub samolotu. Sukonin nie poruszył się. Pilot szybko zdemontował kratę i wypuścił nas. Zbiegliśmy po trapie. Od strony budynku lotniska pędził ku nam hyundai z kogutami i żółtymi pasami na dachu i bokach. Kostia zeskoczył ze stopnia i wyjął paczkę papierosów, zapaliliśmy.

– Były – wychrypiał, odkaszlnął i ciągnął – w parku. Irina Matwiejewna i Lenka z Ninką. Czterdzieści minut temu Lenka do mnie z zadzwoniła komórki. Nie robi tego bez ważnego powodu. – Podjechał samochód, wsiedliśmy z Jerzym do tyłu. Sukonin wskazał kierowcy kierunek w lewo i ponaglająco pomachał w tamtą stronę palcem. – Wysłuchałem nagrania Leneczki. Powiedziała dokładnie tak: „Tato, ci ludzie kazali mi powiedzieć, że jeśli chcesz nas zobaczyć żywe, musisz postępować tak, jak ci każą. Przede wszystkim nie szukać nas, bo jak się zbliżycie na kilometr, wyrzucą nas z piątego piętra... No, zabiją. Musisz ich słuchać, tatusiu. Si ren bng, tatusiu!”

Głęboko zaczerpnął powietrza. Jerzy zmarszczył brwi i pytająco patrzył na Kostię.

Si ren bng – banda czworga, po chińsku. Czyli było ich, porywaczy, czterech. – Ponad moim ramieniem popatrzył na budynek dworca lotniczego, obejrzałem się też, charakterystyczny, kojarzący się z odwróconymi do góry dnem szklankami, jarzył się białym martwym światłem. Pięć szklanek na tle ciemnego ołowianego nieba. – Jest jeszcze coś, zaraz powiem. Wsiadamy, walizki dostarczą wam do domu, dobrze?

To „dobrze” zabrzmiało obrzydliwie prosząco, nieśmiało, drżąco. Mężczyzna nie powinien tak pytać, inaczej, nie wolno dopuścić, by ktoś zmusił mężczyznę, człowieka, do takiego drżenia w głosie, do takiej galarety w duszy. Poczułem, że drga mi lewa powieka. Po ranie, amnezji i leczeniu u Osipa pojawił mi się tik, taka reakcja na podwyższone ciśnienie, na wkurwę.

Hyundai wyhamował z przenikliwym piskiem opon. Migiem wpakowaliśmy się i pognaliśmy w kierunku dworca. Brzydkiego jak cholera, a dziś, w tej chwili, wręcz irytującego. Kostia bezczelnie cisnął połówkę papierosa na podłogę i niedbale zglanował go obcasem. Milczał chwilę, przygryzając dolną wargę. Już miałem zapytać go, co jeszcze ma nam do powiedzenia, ale uprzedził mnie Jerzy.

– Masz coś jeszcze?

Ku naszemu zdziwieniu odpowiedział tylko:

– Tak. – I zamilkł.

No dobra, albo pochłonęła go jakaś myśl, albo nie chciał przy szeregowym milicjancie dzielić się danymi.

Dwie minuty później zaparkowaliśmy, już bez efektów dźwiękowych, na służbowym parkingu, przesiedliśmy się do czarnego – jakżeby inaczej! – hyundaia i wyprzedzani przez

bordowego cherokee, z wiszącym na ogonie audi kombi, wypadliśmy z parkingu i pognaliśmy do miasta, feerią kogutów i zawodzeniem syren rozpędzając samochody na pobocza szosy. Nie było ich, zresztą, zbyt wiele, i niezbyt chętnie ustępowały nam miejsca. Plaga bezczeli przyczepiających sobie wszelkie możliwe koguty stępiła dobre chęci zwyczajnych Rosjan. Na prostej, jakby widząc, że nie dzieje się nic godnego większej uwagi, Kostia odwrócił się do nas.

Nawet nie zauważyłem, kiedy zapalił kolejnego papierosa.

– Były w parku, do pilnowania ich przydzieliłem jednego człowieka. Zadźgali go.

Potem zwinęli... dziewczynki i Irinę. Moi ludzie przeczesują park... – Popatrzył mi w oczy. – Chyba nie mamy po co tam jechać?

Pokręciłem głową. Bo i po co? Oglądać pety i korę drzew? Od tego są technicy, z lepszym wzrokiem niż my.

– Na razie wiem tylko tyle, że nieopodal kręcono jakiś reklamowy klip. Proszek do prania czy inne gówno... Tłum gapiów... Dziesiątki ludzi do przepytania. Nie wiemy, ilu z tych, którzy coś widzieli poszli do domu nieprzepytani.

Usiadł prosto, zapiął pas.

Kierowca, oszczędzając nasze uszy, włączał syrenę w trybie ponaglenia.

Mknęliśmy w tunelu wycinanym przez pilotującego nas hyundaia. Z prawej, nad mrocznymi polami, na styku z horyzontem, błysnęło. Nie wiem, dlaczego pomyślałem: „Pisnęła błyskawica”. Droga skręcała w tamtym kierunku. Zmieniliśmy znowu pas, ale jakiś ford, uciekający chyba przed naganiaczami



szrotu, zajechał nam drogę i nie przejmując się mi gatkami i syreną, blokował drogę.

Zastrieli jewo! – warknął Sukonin.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, kierowca wyszarpnął z kabury pod prawą pachą pistolet i wystawił go przez okno. Ford z zaskakującą zwawością uskoczył w prawo, odsłaniając nam drogę. Przed nami był ładny kawałek pustej trasy, tylko na lewym pasie, lewymi kołami przygniatając wybujałą trawę, stała ciężarówka z włączonymi światłami awaryjnymi. Blaszana buda miała ciemnozielony kolor i jakieś napisy...

Nagle drzwi ciężarówki otworzyły się szeroko, w ciemnym wnętrzu zobaczyłem dwie skulone sylwetki w ogromnych okularach, tulące do siebie...

Ten z lewej wystrzelił pierwszy.

Po raz pierwszy w życiu widziałem na żywo to, co tak wiele razy pokazywały niezliczone hollywoodzkie akcyjniaki: lot granatu w kierunku widza. To było idiotyczne, ale filmowcy wiedzieli, co robią: granat mknął przed siebie w spowolnionym, kisielowatym tempie. Wydawało się, że mogę w tym czasie zrobić wiele rzeczy: wyjąć notes, zapalić papierosa, wyskoczyć z wozu.

Nic nie zrobiłem.

Ja. Ja nic nie zrobiłem.

Granat trafił w bordowy wóz pilotujący. Kapotował i eksplodował w ułamku sekundy. Zdmuchnęło go z szosy.

Druga sylwetka w ciężarówce odpaliła pocisk. Ten mknął ku nam niby wolno, a tak naprawdę z prędkością niweczącą w zarodku wszelkie próby uniknięcia trafienia.

W hyundaiu nikt nawet nie otworzył ust, nikt nie krzyknął, nie zaklął, nie zaczął się modlić.

Pocisk... Granat... Smuga dymu, leniwie snująca się i zakrywająca częściowo podnoszące się z kolan sylwetki – wszystko to sparaliżowało nas.

Nas tak, ale nie kierowcę.

Kątem oka zobaczyłem, że wykonuje kierownicą jakieś niewyobrażalnie szybkie ruchy. Działo się to tak szybko, że wydawało mi się kompletnie absurdalnie, jakby w jakimś innym ułamku sekundy, dodanym przez podzielony na szufladki mózg, że koło kierownicy zmienia się w ósemkę. Kierowca cały zeszywniał, chyba zaparł się stopami o pedały i mamrotał coś pod nosem.

Wóz nagle majtnął się na boki, potem podskoczył, odbił się kołami od wybruszonego na poboczu asfaltu, wierzgnął, bryknął i wystrzelił w górę. Huknął jednym bokiem w metalową taśmę barierki, furknął w powietrze i poleciał w pole.

Jerzy zwałił się na mnie, a ja ze zdziwieniem zorientowałem się, że siedzę wciśnięty kolanami w oparcie przedniego fotela, prawą dłońią czepiam się podłokietnika, a lewą usiłuję objąć Jerzego, ale on już przygniótł ją sobą do boku. W kikutach palców rozwarły się kratery bólu... Walnęliśmy dachem o zaorany grunt, odbili niczym piłka tenisowa, trochę sflaczała. Nawet udało mi się utrzymać na siedzeniu, tylko Jerzy poleciał w górę, czyli w dół. Z nieprzyjemnym jękliwym trzaskiem pękła któraś szyba, przez otwór wdarł się jakiś nowy, nowy od kilku, może trzech sekund dźwięk – prucie mocnej elastycznej tkaniny.

To ci z audi kombi! – pomyślałem.

Nasz wóz uderzył bokiem o ziemię, Jerzy zwałił się na mnie, tym razem udało mi się go objąć i przytrzymać. Jeszcze raz podskoczyliśmy niemrawo i stanęliśmy na czterech kołach. Silnik nie przestał pracować.

Kierowca, do połowy wychylony na zewnątrz, strzelał w kierunku ciężarówki.

Sukonin rzucał na przemian „kurwami” i „jobami” szarpał się zablokowany pasem, jednocześnie masakrował pięścią poduszkę.

Ciężarówka wolno, z wyjątkiem przeraźliwie silnikiem, usiłowała wydostać się z pasa trawy, ale nawet z tej odległości było widać, że podwójne tylne koła zostały podziurawione pociskami. Jeden z zamachowców bezwładnie przeturlał się po podłodze paki i obrzydliwie, niczym ogromna pacynka, zwałił się na jezdnię, uderzając w nią najpierw głową, a potem przywalił ją martwym, śmiertelnie giętkim ciałem. Drugi ze strzelców wyskoczył na pas trawy, co było o tyle głupie, że audi już hamowało o kilka metrów od niego, z trzech okien akrobatycznie wylaniali się omonowcy z maszynkami w dłoniach. Mężczyzna zrobił krok i... tym sposobem pozbawił się nóg. Masa pocisków niczym nóż pulsacyjny zmasakrowała mu łydki i kolana. Runął w trawę, dwaj agenci wyskoczyli z wozu, kierowca z czwartym wystartowali, chcąc zająć drogę ciężarówce, ciągle jeszcze usiłującej panicznie i bezsensownie uciec. Seria chlasnęła po oponach, ciężarówka zachwiała się i ryknęła nie wiadomo dlaczego klaksonem. W obliczu śmierci i całego tego burdelu brzmiał kretyńsko: piskliwie i obrzydliwie.

Szarpnąłem za klamkę i wyskoczyłem na pole, potknąłem się o głęboką skibę i zapikowałem na twarz. Mokre i zimne, tfu!

Nie miałem broni, przecież mieliśmy lecieć samolotem! Nie miałem na sobie kamizelki, bo po co?

No i w obecnej sytuacji naprawdę po co?

Zamachowcy zostali zastrzeleni albo kierowca? – zatrzymani. W trafionym granatem pojedzie nie mieli szans na przeżycie. Na szosie słyhać było piski opon, wrzaski, wyzwiska, okrzyki zdziwienia i przerażenia, a nad całym tym tumultem unosił się płacz dziecka.

Co za idiota na widok strzelaniny wyjmuję dzieciaka z samochodu, zamiast wiać w drugą stronę? – pomyślałem. Co, chce pokazać dzidzi, jak się likwiduje niegrzecznych wujków?

Z hyundaia wygramolił się Jerzy i nagle fiknął kozła – to wściekły Sukonin, nie mogąc sobie poradzić z poduszką i pasem, wystrzelił w wyrastającą przed nim banię.

I zapadła cisza, to znaczy – ustała strzelanina.

Od strony ciężarówki dochodziły krzyki, świadczące o tym, że ktoś w kabinie kierowcy jednak przeżył, był wywlekany i obrzucany wyzwiskami. Za nami na polu trzaskały w płomieniach jakieś elementy samochodu. Sukonin zrobił kilka kroków w jego kierunku, zatrzymał się i stał chwilę z zaciśniętymi ustami.

Po brodzie spływała mu cienka strużka krwi.

Odwrócił się wolno, z widocznym wysiłkiem poruszył ustami, otarł krew. Popatrzył na Jerzego, na mnie. Zrobił dwa kroki, stanął tuż przede mną i jeszcze dodatkowo pochylił się w moim kierunku.

Co to jest, Kamil? Wojna? Jakaś pierdolona wojna? Co to – Czeczenia?

Afganistan? Irak? Z nami? Z nami, kurwa?!

Mimo wyraźnych pytańników nie nazwałbym jego wypowiedzi ciągiem pytań.

Nasz kierowca, arcy-kurwa-mistrz kierownicy, potrafiący wyrzucić w powietrze dwutonową maszynę, schował broń. Sądząc po jego reakcji, bitwa na szosie zakończyła się. Dwaj ludzie z hyundaia krzżeli się przy trupie jednego ze strzelców i rannym, czy może już też wymeldowanym ze świata żywych, pozostali uwijali się przy kabinie kierowcy.

W polu dogorywał zmasakrowany pociskami z granatnika nasz trzeci wóz. Nikt nawet nie próbował się do niego zbliżyć.

Zimne zawodowstwo. Koledzy polegli, kolegami zajmiemy się później. Godnie się zajmiemy.

Wyjąłem papierosy.

Most Lejtienanta Szmida stanowi granicę: po prawej, idąc w kierunku Admiralicji, płynie Newa, od jego lewej krawędzi zaczyna się Zalew Fiński i część zwana Newską Gubą.

Kapitan Morowskiej zawsze przekraczał most Lejtienanta Szmida, wcześniej Mikołajewski, jeszcze wcześniej Błagowieszczanski, prawym chodnikiem. W połowie mostu wypalał papierosa, wpatrując się w zabytkowe gmachy, odnotowując postępy prac renowacyjnych i – z satysfakcją – brak wieżowców w centrum nie tak starego, bo trzystuletniego tylko miasta.

Było wczesne popołudnie, Morowskiej dotarł do środka mostu, zatrzymał się, sięgnął po papierosa.

Nie miał. Zostawił w komisariacie.

Job!...

Wściekły gapił się chwilę na Newę, do której nigdy nie wrzucił niedopałka. Do mostu zbliżał się statek wycieczkowy, górny pokład wypełniony turystami, strzelającymi fleszami we wszystkie strony, szczególnie w stronę mostu, o którym opowiadała niewidoczna z brzegu przewodniczka. Z głośników leciał monotony wyraźny głos. Morowskiej odwrócił się tyłem do obiektywów, w starym dobrym psim odruchu ukrywania twarzy.

...pierwszy stały most przez Newę, znajdujący się między placem Trezini i placem Truda. Długość mostu wynosi trzysta trzydzieści jeden metrów, szerokość dwadzieścia cztery metry. Przelot otwieranego przęsła ma długość czterdzieści dwa metry, dwa razy więcej niż przed rekonstrukcją mostu. Przelot otwierany jest za pomocą silników elektrycznych w tak zwanym systemie Leonarda. Na linii mostu przebiega podział wodny między Newą a początkiem Zalewu Fińskiego – Newską Gubą. Współczesną nazwę most otrzymał w październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, na cześć lejtnanta Piotra Piotrowicza Szmidta, przywódcy powstania na krążowniku „Oczakow” w tysiąc dziewięćset piątym roku. Spory o projekt mostu trwały niezwykle długo, bo aż sześćdziesiąt lat. Rosyjscy i zagraniczni inżynierowie i architekci zgłosili mnóstwo pomysłów, zwyciężył absolwent Instytutu Dróg Komunikacyjnych, młody peterburski inżynier Stanisław Walerianowicz Kierbedź. Budowę ulokowano w miejscu, gdzie do Newy wpada Kriukow Kanał, którego ujście wpuszczono w kamienne rury i zasypano. Pierwotnie...

Morowskiej westchnął i ruszył w stronę budynku Admiralicji. Para młodych ludzi z kapturami na głowach, spod których

wyłaniały się właściwie tylko kabelki jakichś odtwarzaczy, rozstąpiła się, przepuszczając kapitana.

Zrównał się z nimi, a wtedy czas nagle przyspieszył, runął i... skończył się.

Dwaj młodzieńcy, mijając Morowskoja, chwycili go pod ramiona, jeden wyszarpnął nie wiadomo skąd linę, zarzucił na szyję kapitana, a ten, zły na swoje gapiostwo, zamyślony i rozluźniony, zareagował tylko wierzgnięciem nóg. Oprawcy podrzucili jego ciało w górę i przerzucili przez barierkę mostu. Gdy leciał w dół, ten, który miał linę, błyskawicznie omotał jej koniec dokoła ozdobnej szyszki balustrady.

Kapitan Morowskoj przeleciał trzy metry, wymachując bezładnie nogami i usiłując chwycić dłońmi linę.

Nie udało się.

Z ohydny chrzęstem wyłamywanych i rozrywanych kręgów majtnął się na linie, jego ciało zaczęło się kuliście kołysać.

Dwóch katów zniknęło z pola widzenia wycieczkowiczów, ich kamer i aparatów fotograficznych. Przebiegli na drugą stronę mostu i szybkim krokiem oddalili się z miejsca egzekucji.

Przewodniczka, nieświadoma sceny, jakiej świadkami byli chyba wszyscy na górnym pokładzie stateczku, informowała o tym, że oryginalne żeliwne filary mostu w latach tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt trzy – pięćdziesiąt sześć zostały użyte do budowy zniszczonego przez faszystów mostu przez Wołgę w mieście Kalinin, dziś znów noszącym nazwę Twer. Dopiero po chwili histeryczny wrzask pasażerek i okrzyki grozy, a potem wyteżony odgłos pracujących wstecz pełną mocą silników statku,

spowodowały, że zaskoczona i spanikowana, urwała i wyrzała przez okno.

W tym momencie już kilku kierowców samochodów z mostu i kilkunastu pasażerów stateczku, a także jego sternik, bardziej lub mniej beładnie relacjonowali zajście dyżurnemu milicji miasta Sankt Petersburg.



## ROZDZIAŁ 2

Konstantin Sukonin długo stał przy oknie w swoim gabinecie, niewidzącym spojrzeniem wpatrując się w ulicę przed budynkiem zarządu MSW. Potem odsunął się i przemaszerował po pokoju w każdym z możliwych kierunków, odliczając pod nosem kroki. Czternaście, dwanaście, osiem. Powtórzył pomiar, nie zgadzało się pół kroku.

Podszedł do regału, wyjął płytę Kenny'ego Rodgersa i włożył do odtwarzacza.

Ruszył w ponowny pomiar, ale trwało to tylko dwie minuty i czterdzieści sekund, następnym utworem była piosenka o córeczkach. Sukonin znieruchomiał, zapalił papierosa, spokojnie wyjął płytę, włożył do pudełka, ustawił w szeregu na półce, po czym wyjął pistolet i przestrzelił całą kolekcję.

Dowiedziałem się tego od generała Jarcewa, który w trybie pilnym wezwał mnie do siebie w celu, jak się okazało, zapoznania mnie z ciężką i trudną sprawą kapitana Sukonina. Tak jakbym sam nie czuł, że nerwy Kostii są napięte jak struny harfy!

– Chyba rozumiem, o co chodzi kapitanowi – powiedziałem. – To może być taki „twardy reset”, przestawienie siebie, nastawienie się na to, że nie ma nic ważniejszego, nic godnego, nic ładnego, gdy jego córki są w rękach porywaczy.

– Tak... Tak to chyba jest. – Generał chwilę stuknął w blat biurka końcówką długopisu. – Wiesz... Gdy Kostia miał trzy latka, przyjechał do nas brat mojej żony, szwagier, jego – jak się już mówiło – wuj. To był dobry człowiek, ale nigdy nie miał do czynienia z dziećmi, nie rozumiał ich i chciał, żeby od razu stawały się mądre jak dorośli. Przez tydzień ciągle strofował Kostię, to niedobrze, to nie tak, tamto niewłaściwie. Pewnego razu

powiada: „Chodź, Kostia pójdziemy na spacer”. Stałem w kuchni i widzę, jak mój malec podchodzi do wieszaka, wkłada kurteczkę i mruczy coś pod nosem. Na palcach podkradłem się bliżej i usłyszałem, jak trzyletni brzdąc mówi do siebie: „Trzeba przestać się bać! Trzeba przestać się bać!”. Usłyszał to też wuj Grisza, śmiał się do łez i od tej pory zmienił stosunek do Kosti .

A Kostia Sukonin zrobił z tych słów swoje motto życiowe.

Milczeliśmy chwilę. Ogromny zegar z wahadłem i sekundnikiem pochrypiał, pozgrzytał i wybił drugą. Wpatrywałem się w niego długo.

– Ten sekundnik to dzieło rosyjskiego mistrza, takiego, co to pchłę podkuje. Ze względu na niesłychaną precyzję mechanizmu i komplikację rzecz unikatowa. O czym ja gadam? – Generał westchnął. – Chciałem, żeby pan wiedział, że Kostia... i ja... zrobimy wszystko... Dopadniemy każdego, kto umoczył swoje cholerne brudne paluchy w tej sprawie...

Pokiwałem głową.

Dobrze. Panie Stochard, zaczynamy naradę. Proszę do centrali.

Główny ekran jarzył się windowsowym błękitem. Mniejsze były zapracowane wyraźniej: mełły jakieś raporty, przypuszczalnie bardziej dla efektu niż z realnej potrzeby. Siedziałem w centrali dowodzenia z Jerzym, jakimś nieznanym porucznikiem, który się nie przedstawił. Może nie wiedział, na jaką poufałość czy dozę zaufania może sobie pozwolić, ja też się nie pchałem ścisnąć mu dłoni. Nie widziałem popielniczek, nikt nie zabraniał palenia, ale też nikt nie zezwalał, wybrałem wyjście pośrednie – paliłem w przestronnym kiblu, gdzie wyciąg niemal wyrywał papierosa z

ręki, a dym nie nadążał się uformować w widowiskowe pasemka, tylko gnał jednym siwym szpurtem w kierunku kratki.

Sukonin, burknąwszy coś, zniknął z centrali dobre czterdzieści minut temu. Na korytarzu, gdy już zamykały się drzwi windy, mignął mi kapitan Gariadze, strzelił w moim kierunku niechętnym spojrzeniem, jakby miał o coś pretensje. O co? Że nawiozłem im guimonów w walizce czy co?

Na cholere! im tu te serwery? – mruknąłem do Jerzego. – Bardziej przy...

– Czyś tu zdumiał? – przerwał mi. Uśmiechnął się szeroko. – Masz opóźnienie w tej dziedzinie. Po drodze, jak zjeżdżamy tutaj, jest piętro z klimatyzowaną halą, dwieście maszyn w szafach typu rack, adiabatyczna podłoga i inne cudeńka. – Przerwał i przygryzł dolną wargę. – Co ja gadam? Adiabatyczna czy antyelektryczna? Antystatyczna? Nieważne. Nie wpuściliby cię tam w elastycznych majtach... – Zmarszczył brwi i czoło. Miał brwi jak Nicholson, mefistofelowe, gdy nimi poruszał, wyglądał jak zafrasowany niebezpieczny czort. – Te tu – uniósł prawą brew, wskazując „serwery” – to tylko jakieś końcówki, chłopie.

– Nie noszę elastycznych majtasów, amigo. Bokserki.

– Wiem.

Przeciągnąłem się i już miałem pójść na jeszcze jednego papierosa, gdy sapnęły drzwi, do centrum wszedł energicznie Jarcew, za nim ponury Gariadze, ale i tak przy generale wyglądał jak rozanielony jazdą na karuzeli chłopiec. Dwaj nieznani mi cywile, ale z mundurami w sercu, jakiś porucznik, Sukonin, Konowalenko i trzech umundurowani omonowcy. Nikt nikogo nie

przedstawiał, oni pewnie wiedzieli, co mieli wiedzieć, my mieliśmy wiedzieć mniej. Zresztą co mi po nazwiskach i stopniach?

– Dawajcie, k diełu! – rzucił Jarcew i usiadł pierwszy.

Pozostali roztasowali się i rozsiedli, Sukonin naprzeciwko nas, Gariadze po mojej prawej ręce, po lewej Jerzy. Jarcew pozwolił sobie na zdjęcie okularów i chwilę masował powieki opuszkami kciuka i wskazującego palca, potem odetchnął głęboko i założył okulary.

– Większość obecnych to Rosjanie, będziemy prowadzili rozmowę po rosyjsku, wam to nie sprawi problemu – popatrzył na Jerzego i na mnie. Obaj zgodnie skinęliśmy głowami. – Kapitan Gariadze dowodzi grupą prowadzącą śledztwo w sprawie porwania. – Nie podał nazwiska ofiar. – Kapitan Sukonin zajmuje się drugą sprawą. Ta druga, mająca szeroki, nadspodziewanie szeroki zakres, to ataki na siły porządkowe w Petersburgu i okolicy. Od czego zaczniemy?

– Proponuję, towarzyszu generale – odezwał się Sukonin – od wojny z milicją.

– Dobrze. Zreferujcie, co się wydarzyło. – Generał podniósł okulary i oparł je na czole.

– Niemal równocześnie z porwaniem moich córek została zaatakowana milicja petersburska. Akcja przybrała różne formy, od ataków na pojedynczych stróżów porządku – poderżnięto sierpem gardło dzielnicowemu, na peryferiach Petersburga zginęli od noży jeszcze dwaj. Jeden został powieszony na moście, ostrzelano samochód patrolowy, z trzech milicjantów jadących do wypadku dwaj zginęli, trzeci w stanie ciężkim walczy o życie w szpitalu. Jeden posterunek, obrzucony koktajlami Mołotowa,

splonął doszczętnie, ofiarami są dwaj milicjanci i chyba siedmiu z kapeze.

– Kapeze? – zapytałem.

– Kamiera Priedwariteli nowo Zakluczenija. – Sukonin jakby się rozzłościł zawracaniem mu głowy nieistotnymi drobiazgami. Strzelił niecierpliwie palcami.

– Areszt tymczasowy? – dociekałem dalej.

– Tak. – Skrzywił się. – Poza tym ostrzelano nasz konwój wracający z lotniska.

Czterej ludzie stracili życie.

Jeden z zamachowców nie żyje, drugi jest ciężko ranny. Kierowca to notowany już recydywista, personalia pozostałych ustalamy. Możemy obejrzeć film, nawet kilka filmów ukazujących sceny powieszenia kapitana Morowskoja.

– Towarzyszu kapitanie. – Lejtnant poderwał się. – Prezentowałem już dwa takie filmy kolegom z Po... ze Sta... naszym gościom... – zacukał się i zamilkł.

– Dobrze. Szkoda czasu. Ten mord to tylko jeden z elementów wypowiedzianej nam wojny. Niepodlegająca dyskusji próba zastraszenia nas i doprowadzenia do hysterii społeczeństwa.

– Po co? – szybko zapytał Jarcew.

– Właśnie. Ktoś czegoś chce. Dowiemy się w swoim czasie.

– Gdy ten ktoś uzna, że dostatecznie skruszeliśmy. Że może już dyktować warunki – powiedziałem wolno i wyraźnie.

– Właśnie – włączył się Jerzy. – Trochę to jest bezładne, nieskoordynowane...

– Nie? – Gariadze okręcił się na krześle i cofnąwszy głowę, niemal dotknął brodą guzika swojego munduru.

– Nie, zaplanowane i skoordynowane byłoby, gdyby zaatakowano patrole albo posterunki, albo strzelano do każdego samotnego milicjanta. A to wygląda, jakby grupa ludzi, najprawdopodobniej z tak zwanego świata przestępczego, dostała rozkaz: każdy, kto może, ma zabić milicjanta. Dowolnym sposobem. Byle już, zaraz, skutecznie i z... hukiem, z przytupem.

– Co to waszym zdaniem znaczy? – Coś w głosie Gariadzego powodowało, że nie mogłem, albo nie chciałem, uznać go za kumpla, choć działaliśmy razem na Koniewcu. – Jakie macie przemyślenia?

– Nie wiem, ale się dowiemy, i to chyba szybko. Świat przestępczy zaatakował.

Musiał. Ale to nie znaczy, że się im to podoba, bo przecież wiedzą o akcjach odwetowych. Już są ofiary, trwają aresztowania i czystki, prawda?

– Tak – powiedział Kostia Sukonin, pozostali milczeli.

– Przestępcy najchętniej nie ruszaliby milicji, i marzą tylko o tym, by i ona ich nie ruszała. Teraz są w przymusowej sytuacji, więc atakują.

– A nie odnotowano czasem – wpadłem mu w słowo, bo Gariadze nieźle mnie wkurzył – wzmożonego wypływu elementu przestępczego z miasta?

Zapanowała cisza. Jarcew wykonał nieznaczny, ale ważki ruch brodą w kierunku jednego z nowych milicjantów. Ten chwilę zastanawiał się ze wzrokiem utkwionym w ekran swojego laptopa. Potem skinął głową.

– No tak, patrole na rogatkach nie nadążają z wygarnianiem z samochodów różnych żulów, to samo na dworcach.

– Uciekają?! – syknął Sukonin.

– Zmywają się – powiedziałem. – Nie mają ochoty robić tego, co im ktoś każe.

– Kto? – Sukonin niemal położył się na blacie stołu i patrzył na mnie.

– Wie pan, kapitanie, co odpowiem – powiedziałem od razu. Żeby nie miał wątpliwości, że odpowiedź znam od dawna.

– Daaa...

Nie było jasne, czy to potwierdzenie, że wie, czy tylko taki przerywnik, podsumowanie dialogu.

Komórka przed Jarcewem rozjarzyła się i zadygotała.

– Pięć minut przerwy – rzucił generał i chwyciwszy komórkę, wymaszerował z centrali.

Poszedłem na papierosa. Za mną wymknął się jeden z tych dwóch nieznanomych, ale nie rozmawialiśmy. Wypaliłem papierosa, wyjrzałem, generała nie było, więc zapaliłem drugiego. Rosjanin też zapalił następnego. Bez większego przekonania, chyba po prostu miał mnie mieć na oku, może z własnej inicjatywy.

Może nie.

Wszedł Jerzy, puścił do mnie ostentacyjnie oko i zamknął się w kabinie. Zgasiłem papierosa i wróciłem do sali.

Gdy przekraczałem próg, w powietrzu zawisł znak zapytania po jakichś słowach Sukonina. Gariadze odchylił się w fotelu i prychnął:

– Och, eti waszy... gej-meny! – zachichotał.

Usiadłem i przesunąłem odrobinę laptopa.

Sukonin wpił się w Gariadzego płonącym spojrzeniem. Ten zerknął na mnie, z wysiłkiem przełknął ślinę. Grdyka poruszyła mu się kilka razy, jakby się dławił.

– Kamil, już ci mówiłem, że laptopy są przypięte do blatów nie dlatego, że boimy się złodziei – powiedział Sukonin, nie odrywając oczu od Gariadzego. – Kiedyś jeden oficer przyłożył drugiemu takim komputerem.

Niedbale pokręciłem kółkami na zapięciu linki. Pociągnąłem linkę, wyskoczyła z blokady. Przesunąłem laptopa. Gariadze drgnął. Sukonin przeniósł spojrzenie na mnie.

– Kiepskie zabezpieczenie – mruknąłem.

Już podczas pierwszej wizyty w centrali odkryłem, że ktoś pomyślał tak jak ja: jakie jest najprostsze trzycyfrowe zabezpieczenie, nie do zapomnienia? 007!

– Dalej już będziemy rozmawiać po rosyjsku – powiedział Kostia. – Poczekamy tylko na towarzysza generała.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się, do stołu wrócił Jerzy, za nim podążał nieprzedstawiony nam milicjant. Jerzy chyba wyczuł jakiś swąd w atmosferze, nie patrzył na mnie, ale już znałem jego odrobinę czujniejsze spojrzenie i sposób oddychania – bezgłośny, jakby bał się zagłuszyć coś, na co powinien zwrócić uwagę.

Ja wiedziałem, że już mamy zbiorczą ksywkę u Rosjan, że Gariadze nie zmarnuje takiego udanego bon motu. Gej-meny. Trudno.

Wrócił Jarcew, w drodze na swoje miejsce obrzucił zebranych uważnym spojrzeniem, chyba chodziło mu o sprawdzenie, jak się trzyma Sukonin, ale odnotował też odpięty leżący przede mną laptop i stężale pod sufitem napięcie.



– Teraz porwanie dziewczynek? – zapytał. – Kapitanie, proszę zreferować.

– Rano, około dziesiątej, Irina Matwiejewna Jarcewa i dwie moje córki były w parku. O dziesiątej czterdzieści zadzwonił telefon Leny, nagranie znacie. Informacja o porwaniu i dodatkowa po chińsku o „bandzie czworga”, czyli wiemy, że porywaczy było właśnie tyłu. Nieopodal w krzewach znaleźliśmy ciało milicjanta, który miał dyskretnie obserwować... – odchrząknął – ...dziewczynki. Dźgnięty od tyłu w serce.

Idziemy dalej. W stojącym obok ławeczki, na której siedziała Irina Jarcewa, koszu na śmieci znaleziono jej telefon z włączonym dyktafonem. Musiała coś zobaczyć, włączyła nagrywanie i pozbyła się telefonu, niewiele na nim jest. Męski głos każe zachować ciszę, grozi śmiercią dziewczynek. Irina Jarcewa mówi tylko: „Żeby wam brody robaki zżarły, gady!”. To nam trochę pomogło, ponieważ nieopodal prywatna ekipa nagrywała klip reklamowy jakiegoś soku. Kamerzysta, ustawiając światło, kręcił trochę okolicy, robił też próbne ujęcia, poza tym w klipie brała udział grupa rozentuzjasmowanych statystów. Udało się dojrzeć dwóch brodatych mężczyzn, nie całkiem tak zwanej azjatyckiej urody, ale z czarnymi brodami. Generalnie – czornomazyje. – Nie starał się ukryć niechęci, choć słowo „niechęć” słabo oddawało jego stosunek do porywaczy. – Trwa ustalanie ich tożsamości.

Milczał chwilę.

– Przepraszam, a telefony dziewczynek? – odezwał się Jerzy. – Widziałem przelotnie aparat jednej z nich. Wydał mi się dość niezwykły... Taki no name, nawet się zdziwiłem, że dziewczynka zgodziła się na coś, czym nie może się pochwalić koleżankom.

– Tak. To ważne i już wyjaśniam. Proszę o cierpliwość, bo żeby wszystko było jasne, muszę zacząć od początku. Nina i Lena bardzo chciały dostać modne ba-geranckie iphony na urodziny. Wiadomo: Internet, gry, Facebook, Skype, ICQ i tak dalej. Najpierw walczyłem z tym pomysłem, potem postanowiłem wykorzystać go do swoich celów. Nie pasowały do nich urządzenia Apple. Choć piekielnie rozbudowane, są zamknięte i nie pozwalają na pełne wykorzystywanie zasobów.

Kolega ze studiów, Koreańczyk, który pracuje w dziale rozwoju Samsunga, przekazał mi dwa testowe, nierejestrowane, egzemplarze telefonów. Jeszcze bez nazwy. Mają od cholery tych zabawnych chwastów, pracują w oparciu o system operacyjny Android, a konkretniej na jego niejawną próbną wersję o nazwie kodowej Ice Cream. Moi koledzy z komórki... – pokiwał głową i ciągnął: – ...z pewnej naszej komórki dopisali nakładkę na system i zespół aplikacji, które w pełni wykorzystują dostarczony mi hardware. Co jest niezwykłego w tych telefonach... Pozwalają, po pierwsze, na uruchomienie trybu awaryjnego przez podanie alternatywnego pinu lub wykonanie specjalnej serii określonych ruchów na dotykowym ekranie. Po wejściu w taki tryb telefon działa normalnie, ale ma też wielowątkowy system operacyjny, umożliwiający równoległe działanie wielu aplikacji. Aplikacje umieszczone w pamięci przez moich kolegów zmieniają telefon w urządzenie nasłuchowo-lokalizacyjne.

– To działa? – przerwał mu Jarcew.

– Tak, ale telefon, z którego dzwoniła Lena został zniszczony. Namierzyliśmy go i znaleźliśmy, to nam wskazuje kierunek poruszania się porywaczy od parku do punktu, w którym

wyrzucili zniszczony aparat. Może to być mylące, może nie. Drugi jest wyłączony. Wyjęta bateria. Szkoda, że porywacze nie dali się nabrać na wyjęcie karty, bo karty pełnią w nich tylko funkcję nośników danych. Gdyby po prostu wyjęli kartę, telefon nadal by się logował. Dane z GPS-u, informacje z czujnika przyspieszenia, czujnika żyroskopowego i kompasu elektronicznego pozwalają narysować ścieżki ruchu z dokładnością do trzydziestu centymetrów. Wiedziałbym nawet, poprzez czujnik ciepła, czy ktoś go trzyma w ręku, nie wspominając o tym, że dane z mikrofonu i aparatu fotograficznego przekazywane byłyby strumieniowo do Sieci. Wysokość nad poziomem morza też.

– No, no! – skwitował Jerzy.

– To jeszcze nie wszystko. – Aby zapewnić możliwie najszybsze połączenie i przekazanie tych danych w czasie rzeczywistym, telefon również „w tle” próbuje się połączyć z dostępnymi hotspotami i prostym algorytmem łamie hasła dostępowe.

Tak więc brakuje nam tylko jednego: baterii w aparacie.

– Jest nadzieja, że zadzwonią z jakimiś żądaniami – powiedziałem.

– Tak, jest taka szansa. Wtedy telefon sam się zaloguje na pewnej stronie internetowej. Oczywiście mam ją cały czas na podglądzie. Od chwili zalogowania będziemy mieli, niestety, mało czasu, bo „mój” tryb awaryjny szybko zżera baterię.

To chyba jego jedyna wada... – Sukonin zwałił się na oparcie krzesła, pomasaował sobie kark i powiedział: – Poddaliśmy analizie tło dźwiękowe towarzyszące głosowi Leny, nic znaczącego, najprawdopodobniej były w jakimś mieszkaniu.

– Ile czasu minęło od porwania do telefonu? – zapytał Gariadze.

– Dziewięćdziesiąt minut – odpowiedział Konowalenko. Uniósł rękę, ściągając na siebie uwagę i wskazał palcem centralny ekran: – Tu jest park... – Na ekranie pojawiła się hybryda mapy z fotografią satelitarną. – Park Udielnyj. To miejsce porwania. – Na ekranie najpierw plama zieleni po drugiej stronie rzeki została zakreślona czerwonym mazem. Następnie na północnym skraju parku pojawił się żółty iks. – To jest miejsce znalezienia telefonu. – Jakież czterdzieści centymetrów od parku pojawił się niebieski iks. – To jest odległość, jaką pokona przeciętny samochód z przeciętnym kierowcą od parku...

– Uwzględniliście dotarcie do samochodu? – wtrąciłem się. – I ruch w tych godzinach?

– Tak. Jak widzicie, one były na obrzeżu parku. Zakładamy, że nie stawiały oporu.

– Popatrzył na generała i kontynuował: – Jeśli rozmowa była nagrana w miejscu ulokowania porwanych, musiałyby to być mniej więcej tu... – Nakreślił koło wielkości piłki do koszykówki.

– Porywacze byliby idiotami, gdyby wyrzucili telefon pod własną bramą, prawda? – zauważył Jerzy.

– Tak. Mamy dwa warianty: są idiotami i wyrzucili telefon blisko kryjówki. To by był ten rejon. I drugi wariant: nie są idiotami i dla zmylenia nas wyrzucili go w miejscu maksymalnie oddalonym od gawry. Z rozliczenia czasu wynika, że ty mógł być ten rejon.

Na ekranie pojawiła się druga obręcz, zielona, częściowo nachodząca na wyrysowane koło i ten soczewkowaty kształt został

zakratkowany.

– Uważamy, że to najprawdopodobniej sja okolica – powiedział Konowalenko.

– A motocykl czy rower? – zapytał Jerzy. – Mogli wrzucić telefon do tramwaju albo do autobusu...

– Nie, nie! Był w koszu na śmieci.

– Mógł go tam wrzucić pasażer, wściekły, że niby telefon, a nie działa – powiedziałem bez wiary we własne słowa.

– Obok kosza leżały odłamki telefonu. Ktoś go rozdeptał niemal na miazgę.

– Aha, no dobrze. Widzę, że nie mamy wątpliwości. – Pokiwałem głową.

– Firma wieników nie wiażet!\*burknął Gariadze.

Chyba wiedział, że naraża się Sukoninowi, ale świadomie parł do konfrontacji ze mną. Z nami, z Jerzym i ze mną. Zakonotowałem to w skarbczyku pamięci.

Sukonin popukał w stół paznokciem.

– Wydaje się nam, że to dzielnica Wyborgskaja Starana, nieco na północ od Newy. Wypuściliśmy tam pracowników, bardzo dyskretnie – dodał szybko, widząc uniesioną brew Jerzego. – Żadnych patroli, żadnych utajnionych wozów. Agentki z dziećmi w wózkach, młodziaki z byczymi karkami i tak dalej.

Wszyscy milczeli zamyśleni.

– W tej chwili koncentrujemy się na tych dwóch mężczyznach z brodami z parku, analizujemy telefon od Leny – powiedział Kostia.

– Konfidenci? – rzucił Jerzy.

– Tak. I tu jest problem, bo większość z nich jakby zapadła się pod ziemię, a milicjanci z kolei raczej by im łby pourywali, niż rozmawiali po dobroci. W każdym razie nic się w tej sprawie nie pojawiło.

\*Firma wieników nie wiażet! (ros.) – Firma (przecież) nie zajmuje się produkcją mioteł.

– Można? – Jerzy wstał i zrobił kilka kroków w kierunku ekranu, ale nie zamierzał nic na nim pokazywać. – Taka mała dygresja. – Popatrzył na Jarcewa, ten pokiwał głową. – Mój stryj miał działkę, mały ogród W centrum miasta – dodał, by Rosjanie zrozumieli, co ma na myśli. – Dokuczał mu bardzo kret, nie pomagały żadne sposoby – zakopywanie butelek, pręty z wiatraczkami, trutki. W końcu stryj przyjechał na działkę motorowerem, nałożył na rurę wydechową gumowego węża, którego drugi koniec wpakował do świeżego kanału. Motorowerek pyrkał dwie godziny, potem stryj pojechał do domu. A dwa dni później sąsiad pokazał mu zdechłego kreta i powiedział, że na jego działce walił dym spod altany. Jeśli wyrażam się niejasno, to pointa mojej dygresji jest taka, że to, co się pozornie dzieje tu, właściwe uzasadnienie ma kompletnie gdzie indziej. Podsuwa się nam zagadki do rozwiązania, żeby odciągnąć uwagę od najważniejszego problemu.

– Jakiego? – zapytał szybko Jarcew.

– Guimony.

Gariadze prychnął przez nos, pozostali milczeli.

– Ktoś uznał, że jesteśmy groźni, może dotarliśmy do jakiegoś miejsca, do którego wcześniej się nie zbliżaliśmy, nie wiem. Ale jestem przekonany, że tylko pozornie widzimy sedno. Nie, inaczej

– to jest powierzchnia, po której mamy się ślizgać, a właściwe dno, to drugie, jest gdzie indziej.

– To co, mamy odpuścić porywaczom i zająć się guimonami? – warknął Gariadze.

To było wyraźnie pod Sukonina. Miałem nadzieję, że on też to rozumie.

– Nie, musimy odszukać dziewczynki, to priorytet niepodlegający dyskusji, ale musimy też, czy się te ataki na milicję nasilą, czy nie, część sił oddelegować do kontynuowania sprawy ojca Andrieja, zamordowania Zemfiry, próby zabójstwa Kamila.

– Jakoś nie przejmowaliście się porucznik Zemfirą Warakanową, tylko zabraliście swoje dupy do Stanów! – Gariadze odsunął się z hurkotem od stołu i wyprostował.

Idiota, myślał, że któryś z nas go uderzy? – Zostawiliście rozgrzebaną spra...

– Kapitanie Gariadze! – huknął generał Jarcew.

Gariadze poderwał się i stanął na baczność twarzą do przełożonego.

– Proszę nie zachowywać się jak niedojebana histeryczna nimfomanka! Swoje debilne wywody proszę zostawić na spotkania z kolegami przy kieliszku. Tu jest zespół powołany do konkretnej sprawy, a nawet kilku spraw. Możecie, oczywiście, zrezygnować z udziału w pracach. W każdej chwili. W każdej!

– Tak toczno, tawariszcz gienierał! Winowat! Praszu praszczenijsza!

Jarcew wpatrywał się chwilę w purpurowego kapitana, lewa górna powieka nagle zadrgała, spojrzenie generała

znieruchomiało. Wiedziałem, że panuje nad sobą nadludzkim wysiłkiem woli. Jego podwładni zostali zaatakowani, prowadzono przeciwko nim bezprecedensową wojnę. Ukochane wnuczki zostały porwane, ale to już była wojna prywatna. Na dodatek miał na głowie sprawę, której nie mógł, nie potrafił, nie chciał, zrelacjonować swoim wierzącym i niewierzącym, nieważne, przełożonym. I na dodatek podwładni mieli do niego pretensje o współpracę z obcymi. Zwariować można.

Miałem nadzieję, że Jarcew nie zwariuje.

– Towarzyszu kapitanie – powiedział lekko zachrypniętym nagle głosem. – Zespół jest silny siłą zespołu. To jest zdanie niechlujne stylistycznie, ale ja mam w dupie stylistykę. Jeśli ktokolwiek z tego czy innego zespołu nie wspomogę drugiego – wylatuje z niego. Jeśli zaś przeszkodzi...

Jarcew urwał i to było najlepsze, co mógł zrobić.

Ciarki przemaszerowały mi po plecach i nastroszyły się włoski na karku. Co poczuł Gariadze – nie wiem. Jeśli nic, to znaczy, że był debilem.

– Poniał, tawariszcz gienierał.

Strzelił obcasami.

– Siadajcie.

Jarcew zerknął na zegarek.

– Jakies pomysły? Propozycje? Plany?

Nie odzywałem się. Nikt się nie odezwał.

– No to dziękuję. Pan Kamil i pan Jerzi... – Generał, jak większość Rosjan, sądził, że po naszym „rz” musi być głoska „i”, jak w języku rosyjskim. – Proszę zostać na chwilę.

Wszyscy poza nami wstali i oddawszy honory, wyszli.



– Mam dla was propozycję. Istnieje w naszych strukturach możliwość zatrudnienia osób... no, obcych, nie Rosjan, bez określonego statusu wykształcenia.

Mam na myśli nie „nieokreślony”, czyli nijaki... – Generał znanym mi już gestem zdjął okulary i krótką chwilę masował nasadę nosa. Zanim nałożył okulary, zauważyłem, że drga mu lewa powieka, znowu. – Nieokreślony, czyli nieokreślony naszymi przepisami. Pan, panie pułkowniku? – spojrzał na Jerzego. Ten pokręcił głową. – No tak, rozumiem, nie może pan być, nie popadając w konflikt interesów, w dwóch strukturach dwu różnych państw. A pan Kamil? – Popatrzył na mnie, jak mi się wydawało, może pochlebiając sobie, z nadzieją. – Pan, jak wiem, zwolnił się z pracy.

Z formalnego punktu widzenia nikt nie ma prawa pana ścigać, ścigać do Polski ani oskarżać o cokolwiek. Skontaktowałem się z pana przełożonymi, tak wysoko jak mogłem, i załatwiłem, co mogłem. Proponuję panu zatrudnienie się w naszym MSW jako rezydent porucznik. Z wszystkimi tego stanowiska przywilejami i... to jasne... problemami. Najważniejsze, że otrzyma pan służbową broń, legitymację, nie będzie kłopotu z wprowadzeniem pana w nasze struktury. Szto wy ab etom dumajecie, pan Kamil?

Zastanawiałem się chwilę. Najpierw nie chciałem patrzeć na Jerzego, potem, a niby dlaczego nie? – popatrzyłem.

Miał minę mówiącą „Twoja sprawa”. Gdyby z jakiegoś powodu mu to nie pasowało, miałby inną.

– Ryszardowicz – powiedziałem, uśmiechając się.

– Szto?

– Kamil Ryszardowicz. To ja.

Patrzył na mnie chwilę, potem głęboko, z ulgą odetchnął.

– Spasiba. – Wstał i ruszył ku nam dookoła stołu.

Poderwałem się i odsunąłem od stołu. Wymieniliśmy uściski dłoni. Generał nie wdawał się już w kurtuazyjny bełkocik.

– Jutro będzie gotowa legitymacja. Potem uda się pan do zbrojowni, obok jest strzelnica, pół godziny i po kłopotcie. Pierwsza pensja za dwa miesiące. Wynagro-dzenie dodatkowe za ranę, rekonwalescencję i tak dalej.

– Towarzyszu generale, nie dla...

– Dziękuję, poruczniku. Do zobaczenia jutro. Wyszedł.

Zostaliśmy sami, z planem miasta na ekranie.

– No i dobrze – powiedział Jerzy. – Mieliby z tobą formalny kłopot. A gdy się to wszystko skończy, udasz się na zasłużoną emeryturę albo rentę. – Klepnął mnie w ramię.

– Tak, na tym mi najbardziej zależy. – Uniósł pytająco brew. – Na zakończeniu sprawy, głupku, nie na rosyjskiej rencie.

– Nie gardź nią. Może być bardzo interesująca.

– Ta... – Popatrzyłem na plan miasta. – Może... Może przejedźmy się tam?

– Pochodzimy, powęszymy? Cudem trafimy na trop? Kamil, ocknij się. Wpierdolą nam albo milicjanci, albo miejscowi.

– Nie przypominamy Czeczeńców ani innych, jak oni tu poetycko mówią, czernoioptych\* – zaprotestowałem.

– Ale i tak walimy do domu. Wydaje mi się, że coś cię... trapi?

– Gdzie tam! – Wzruszyłem chojracko ramionami.

– Porwano trzy kobiety, zabito tuzin psów, wyrzuciłem

*\*Czernoioptyje (ros.) – czarnodupcy, pogardliwe określenie narodowości południowych; zastąpiło wcześniejsze czernomordyje,*

*czarnomordzi.*

się z jednej roboty, przyjąłem do drugiej, guimony mają się dobrze, a Przedwieczny planuje nam wielkie ziaziu. Skąd to podejrzenie, że coś mnie, kurwa, trapi?

Właśnie. Chodźmy. Mam nadzieję, że dadzą nam jakiś samochód, korzystajmy z twoich przywilejów.

### ROZDZIAŁ 3

Walentina długą chwilę przyglądała się mężczyźnie po drugiej stronie masywnego „stalinowskiego” stołu. Miał starannie zaczesane na tył głowy długie zadbane włosy, cienkimi kreskami misternie wymodelowaną bródkę, pachniał drogimi perfumami Balanciagi, dłonie, najwyraźniej był z nich dumny – ułożył płasko na stole przed sobą.

Paznokcie wypiełgnowane, przycięte skórki. Spod mankietu jedwabnej koszuli dyskretnie wystawała droga delbana.

Wszystko tu było drogie, bo i czemu nie, skoro usługa medium, jasnowidza i mentora kosztowała czterysta dolarów. Walentina zacisnęła zęby i stłumiła chęć wyjścia z gabinetu Jurija Samojłowicza Rżanowskiego.

Sięgnęła do torebki i położyła na stole kopertę.

Jurij Samojłowicz bez słowa, nie zaglądając do środka, wciąż wpijając się wzrokiem w klientkę, wsunął w kopertę długie szczupłe palce i wyłowił dwie fotografie. Banknoty zostały w kopercie, niedbale popchniętej pod niski kryształowy flakonik z pękiem orchidei. Odwrócił fotografię Niny i Leny do siebie, ułożył równo, poprawił, poprawił jeszcze raz. Przesunął dłonie. Zdjęcia leżały teraz na obrusie, dotykał je samymi czubkami palców. Spojrzenia ciemnych, głęboko osadzonych oczu nie odrywał od Walentyny, a ona nie zamierzała odwracać wzroku. Mierzyli się tak spojrzeniami długą chwilę. Pierwszy poruszył się Jurij Samojłowicz, wyprostował i cofnął głowę, jakby zdziwiony, ale i zdegustowany. Przez cały czas nie odrywał palców od zdjęć i utrzymywał kontakt wzrokowy z Walentyną.

– Proszę zabrać fotografie i pieniądze i iść sobie – powiedział nagle.

– Dlaczego?

– Nie mam... nic dobrego do powiedzenia – oznajmił cicho.

– Przecież przychodzą do pana ludzie z podobnymi problemami, nie jest pan pocieszycielem, nie o to chodzi. Czy innym też pan odmawia, gdy nie ma nic dobrego do powiedzenia?

-Nie.

– No to dlaczego?

– Walentino Igorowna, pani mąż nie aprobuje moich metod.

– Wiem, że w pewnych sprawach zwracali się do pana i rodzice, i milicja.

I nie zdarzyło się, byś pomógł! – pomyślała z niechęcią.

– Nie pani mąż.

– Wiedziałaś, kim jestem, trzeba było od razu odmówić, a nie odgrywać... – Zdusiła następne słowo, które mogło być ostatnie w ich rozmowie. Zacisnęła zęby. – Zdaje sobie sprawę, Juriju Samojłowiczu, że gdybym nie była w rozpaczliwej sytuacji, nie przyszedłabym tu. Jestem zdesperowana, więc nie zadzierał ze mną. Jeśli jesteś kanciarzem jak Garbawoj\*, to byłam twoim ostatnim klientem. Za godzinę będziesz wróżył starszemu celi. Jeśli masz mi coś do powiedzenia – gadaj. Nie prowokuj mnie.

Rżanowski nie odwracał antracytowych oczu od Walentyny Sukoniny.

Pewnie kontakty, barwione. Boże, co ja tu robię?!

– Straciła pani córki – powiedział cicho. – Nie choroba, nie wypadek... Były spokojne i zadowolone... cieszyły się... słońce i zielen... Nagła zmiana... Niepokój, potem strach...

Nie mrugaj, nie poruszaj się, niech ci nie drgnie powieka! On wszystko widzi i konotuje, wykorzysta każde potwierdzenie

swoich rozmytych widzeń...

– Strach o siebie wzajemnie. Jedna boi się o drugą... – Drgnął.

– Coś wchodzi między nie! A-a-a... Nie widzę dobrze...

Zaraz się zrzygam na niego, zabiję skurwysyna!

– Czerń i woda... coś mglistego zasnuwa obraz... Widzę, że nie są rozdzielone, nie... same...

Nagle z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Nie mogę...

\* Grigorij Garbawoj – osławiony mag, wykładowca w kremlowskiej szkole administracji, za około 40 tys. rubli (4 tys. zł) obiecywał wskrzeszenie zmarłych.

Aktualnie przebywa w zakładzie penitencjarnym.

Odsunął się od stołu. Oddychał ciężko. Walentyna całkiem trzeźwo rozważała, co za chwilę zrobi – rozwali mu pysk kryształowym flakonem czy tylko wydrapie soczewki kontaktowe i oderwie uszy.

– Niech pani nie sądzi, że to... kiwka... Ja nigdy wcześniej... cokolwiek pani o mnie myśli, Walentino Igoro...

– Zamknij się, gnido! – syknęła.

Sięgnęła po zdjęcia, ale Rzanowski nagle przejechał dłonią po kartonikach i zagarnął je do siebie. Zamrugął oczami.

– Proszę zabrać pieniądze – powiedział ochryple. – Proszę. Ale niech mi pani zostawi te zdjęcia. Ja spróbuję potem... Nie jestem kanciarzem, ale coś... Po raz pierwszy czuję taki potężny mrok, przesłaniający... Jak nie widzę, to nie widzę... – mówił szybko, żarliwie. – Nie zawsze mi się udaje, wtedy kombinuję, tak, ma pani rację. Nie mam stuprocentowej skuteczności, oczywiście, ale też nigdy...

Walentina wstała, zawahała się i wyciągnęła dłoń, ale Jurij Samojłowicz siedział nieruchomo i wpatrywał się w nią niemal błagalnie. Walentina odwróciła się na pięcie i wyszła, nawet nie próbując zamknąć za sobą drzwi.

Wieczorny chłód nie przyniósł ulgi. Wsiadła do samochodu, zablokowała drzwi i uruchomiwszy silnik, włączyła klimatyzację na maksymalny bieg, do temperatury piętnastu stopni. Udało jej się nie rozplakać. Chłód jakby zmroził pęczniejące pod powiekami łzy. Włączyła światła i wyjechała z zatoczki na jezdnię. Kwadrans później była w domu. Przechodząc obok pokoju dziewczynek, odruchowo otworzyła drzwi, jakby łudziła się, że tam są, zostawią swoje lalki i kompy i rzucą się do niej wymieniać przy tułaczki.

W kuchni metodycznie oczyściła ekspres z fusów, zmieniała wodę na świeżą i uruchomiła funkcję płukania maszyny. Gdy zdejmowała zaparzoną kawę z tacki, szczęknął zamek w drzwiach. Wstawiła pod dyszę drugą filiżankę.

Jemu jest chyba najgorzej, pomyślała. Bezsilność... Najgorsza rzecz... I jeszcze mama, ciągle o niej zapominam! Boże!

Konstantin wszedł do kuchni, starając się wyglądać jak zawsze energicznie, młodo, atrakcyjnie, mimo ciemnych worów pod oczami, przygaszonego, matowego, pełnego rozterki spojrzenie.

Walentina szybko podeszła do męża i przytuliła go do siebie. Nie wtuliła się w niego, tylko przytuliła go.

– Kostia. Wiem, jak ci ciężko, wiem, że stałeś pod drzwiami, bojąc się przekroczyć próg. – Sukonin drgnął lekko. – Pięć minut?

-Tak.

– Kłamiesz, co najmniej dziesięć. – Odsunęła się od męża i popatrzyła mu w oczy.

– Jesteś rozdygotany jak galareta, a na dodatek musisz myśleć o mnie. No więc nie zajmuj się mną, mnie nie trzeba ratować. Rozmawiałam z Kamilem pół godziny temu – zmieniła raptownie temat.

– Tak? I co?

– Powiedział, że porwanie dziewczynek ma przynieść określony skutek, a porywacze, a raczej ich mocodawcy, wiedzą, że jakakolwiek krzywda dziewczynek będzie dla nich oznaczała piekło. Jeśli chcą osiągnąć cel, muszą współpracować.

Sukonin przytulił się do żony, kuchnię wypełniła cisza i bezruch. Po chwili jednocześnie odsunęli się od siebie, pocałowali.

– Ja też to wiem, ale...

– Ale on mógł to powiedzieć, wiem.

Walentyna obejrzała się na ekspres. Skończył sączenie naparu.

– Mamy kawę...

– Chętnie.

Usiadł przy stole.

Pili w milczeniu. Za oknem narastał, a potem zaczął się oddalać dźwięk syreny.

– Boże! Cały dzień tak wyją! – jęknęła Walentyna. – Nie możecie im zakazać...

Albo niech używają naprawdę kiedy trzeba, a nie kiedy pan doktor śpieszy się do prywatnej kliniki.

Nagle łzy trysnęły jej z oczu. Sukonin poderwał się i przykucnąwszy przy żonie, objął ją mocno. Rozszlochała się, najpierw tłumiła płacz, potem jęknęła i pozwoliła sobie na rozluźnienie. Trwało to kilka minut, podczas których Sukonin nie



wypuszczał jej z objęć. W końcu Walentina mocno oparła się o pierś męża i odsunęła.

– Zmoczyłam ci koszulę – powiedziała, pociągając nosem.

– Tak, to dramat.

Wyszła z kuchni. Woda w łazience długo szumiała. Sukonin wypalił w tym czasie papierosa i wypił kawę. Gdy wróciła do kuchni, usiadła i pociągnęła łyk chłodnej już kawy.

– Byłam u Rzanowskiego – powiedziała, nagle zdecydowawszy się złamać własne przyrzeczenie.

Sukonin popatrzył na nią łagodnie.

– Nie dziwię się. Samo mało nie wezwałem na komendę kilku takich jak on.

– To kanciarz – oświadczyła z mocą. I od razu zawahała się: – Chyba...

– Chyba? – Uniósł pytająco brew.

– Nie chciał wziąć pieniędzy. Bełkotał coś, że zła moc, że nie widzi, że coś przeszkadza...

Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było, pomyślał. Muszę o tym powiedzieć Kamilowi.

– A co niby ma mówić? Że jest mocny w gębie, jak przychodzi babunia i sama mu podpowiada, co chce usłyszeć?

– Jak tato? – zapytała Walentina.

– Jest jak skała – skłamał. – Na zewnątrz, oczywiście. Opieprzył dziś przy całym zespole Gariadzego.

– Za co?

– Leonid sam się o to prosił. Kpił z Kamila i Jerzego, ciągle rzucał jakieś uszczypliwości. W końcu generał postawił go na baczność i – mam nadzieję – zakończył temat.

Walentina zastanawiała się chwilę.

– No nie wiem. Oby. Lonia jest zawzięty, wiesz przecież.

– Wiem.

– Daj papierosa.

Nie protestował. Zapalili oboje. Kłęby dymu wolno unosiły się w kierunku sufitu, tam przyspieszały i wsiąkały w dyskretne szczeliny wyciągu klimatyzacji.

– Która godzina? – Walentinie nie chciało się odwracać do zegara, a ten na wyświetlaczu inteligentnej kuchenki pokazywał błędną godzinę.

– Za piętnaście ósma.

– Nie chcę oglądać telewizji – poinformowała go.

– A od kiedy to istnieje w naszym domu przymus oglądania telewizji?

– Filmu nie chcę. Wódki... nie chcę.

Sukonin zmusił się do uśmiechu.

– Namiok poniał\*.

Wstał i poszedł do swojego gabinetu. Wrócił ze skórzaną szkatułką i paczką bibulek. Niespecjalnie wprawnie, ale bez szkód i nerwowych ruchów skręcił dwa jointy. Zapalili, wciągnęli dym w płuca i wstrzymali oddechy. Sukonin, na bezdechu, wstał i wyjął z szafki dwa kieliszki i butelkę koniaku. Wypuścił powietrze z płuc i nalał do kieliszków po trzydzieści gramów trunku.

– Pure weed? – spytała Walentina.

– Nu szto ty? Leciutki, tylko symbolicznie...

Wypalili skręty i wypili koniak. Nie poczuli się specjalnie lepiej, ale jakoś lżej, mimo wszystko. Milczeli. Po kwadransie Walentina pocałowała męża i położyła się do łóżka. Sukonin

siedział chwilę, zapatrzony w mrok za oknem, potem wstał i przyniósł do kuchni laptopa. Długo wpatrywał się bezmyślnie w żądanie podania hasła, westchnął, wpisał kombinację dziewięciu cyfr i liter, uruchomił fotolab i zaczął obrabiać najlepsze zdjęcie brodatego mężczyzny, jakie udało się wyjąć z przypadkowych kadrów kamerzysty ekipy reklamiarzy.

\* Namiok poniał (ros.) – aluzję zrozumiałem.

Co jakiś czas wstawał i na palcach podchodził do uchylonych drzwi sypialni.

Walentina leżała z zamkniętymi oczami, z baterią telefonów na stoliku. Nie spała.

Po godzinie poderwała się i pobiegła do łazienki. Wymiotowała długo, z wysiłkiem, Konstantin słyszał, że jednocześnie płacze i cicho skowyczy. Zapukał do drzwi.

– Wala? Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Nic... się nie dzieje. To tylko lekka histeria.

Proszę, wracaj do tego, co robiłeś.

– Drzwi zostawiłaś otwarte?

– Tak...

Sprawdził to, ale nie zaglądał do środka. Odczekał, aż usłyszał szum prysznicza i pulsujący odgłos uderzających w ściany kabiny strumieni wody.

Wrócił do kuchni, podszedł do okna. Wpatrywał się w ciemność, odpędzaną od domu światłem pięciu latarni. Po chwili od strony miasta błysnęły reflektory samochodu. Sukonin poczuł lekki skurcz serca. Klasnął w dłonie i w kuchni zapanowała ciemność. Samochód podjechał pod bramę i tkwił tam, pyrkając

dymem z rury wydechowej. Po paru sekundach kierowca wysiadł i oparłszy się o karoserię, stał i patrzył w ciemne okna. Sukonin klasnął w dłonie i uniósł rękę.

Generał Jarcew uniósł swoją i zaraz opuścił. Przez minutę mężczyźni wpatrywali się w siebie, pokrzepiając się nawzajem. Przybrany ojciec, przybrany syn, teść, zięć... Silniej złączeni nieszczęściem niż przeżytymi wspólnie kilkudziesięciami latami.

Generał Jarcew skinął głową, wsiadł do auta i odjechał.

Sukonin mocno zacisnął zęby i dłonie. Przez chwilę skupił się na wzmacnianiu nacisku na szczękę i stawy. Wrócił do stołu i komputera, wykonał kolejny, motywowany dwudziestoma dwoma stałymi bazowymi punktami portret porywacza: krótko ostrzyżone włosy, wąsy, nieco odstające uszy. Jasne oczy, nie te bardzo ciemne, maskowane kontaktami, tylko szare. Renderowanie trwało ponad pół godziny.

Nadal nic. Widoczny na ekranie mężczyzna nie budził żadnych wspomnień, ale Sukonin nie łudził się, że zna cały przestępczy świat Pitra i okolic.

Od razu, śladem poprzednich trzech, wysłał obraz do archiwum, gdzie dwie pracownice sprawdzały zgodność danych wyjściowych z otrzymanym wizerunkiem i uruchamiały wyszukiwanie podobnych twarzy. One same wykonały już po osiem wariantów, Sukonin dobrze wiedział, że jego pomysły wcale nie muszą być najlepsze, ale musiał czymś się zająć.

Gdy Walentina wyszła z łazienki, przyprowadził ją do kuchni, ucałował w zapuchnięte, otoczone purpurowymi kręgami oczy, posadził na krześle.

Mocna herbata i jajko po wiedeńsku – zapowiedział.

Żona najpierw słabo pokręciła głową, potem skinęła na zgodę głową.

Wyjął z garnuszka dwa jajka dokładnie po dwóch minutach i pięćdziesięciu sekundach od zagotowania wody i schłodził je w wodzie z pływającymi kostkami lodu. Nastrugał wiórków masła, podał żonie, przysunął sól i pieprz, podał filiżankę z ciemnym naparem. Dopilnował, by zjadła wszystko, wtedy poszedł do swojego gabinetu, otworzył kluczykiem szufladę biurka i chwilę przeszukiwał swoją „apteczkę”. Z bładoniebieskiej fiolki wyjął dwie pachnące walerianą pigułki, zamknął szufladę.

– Połknij to, proszę.

– Nie chcę. – Potrząsnęła mokrymi włosami.

– Wala, proszę. Potrzebuję cię zdrowej i czujnej, aktywnej. Przecież nie wiemy, czego zażądają porywacze – zaczął pleść misterne kłamstwo: – Może będziesz musiała gdzieś pojechać, coś zrobić, odebrać telefon.

Podstawiła dłoń. Gdy Kostia położył na niej tabletki, nieufnie je powąchała.

– Waleriana? – zdziwiła się.

– Przecież ci powiedziałem, prawda?

Właśnie po to dodawano do nich mocnej waleriany, żeby wcisnąć komuś ufnemu tabletkę do ust.

– Akurat ci uwierzę, że nie kontrolujecie telefonu. – powiedziała.

Połknęła pigułki i popiła ciepłą mineralną z butelki.

– Oczywiście, jest na podsłuchu, ale jeśli porywacze będą chcieli rozmawiać z tobą?

Pokiwała głową. Oboje wiedzieli, że: on ją oszukuje, a ona udaje, że mu wierzy.

Ale ważniejsze było, by zrozpaczona matka mogła usnąć, by mogła jutro czuwać i w ogóle żyć.

Konstantin Sukonin zaprowadził żonę do sypialni, ułożył w łóżku, poprawił poduszki i lekką kołdrę. Przyciemnił światło, usiadł na brzegu pościelenia i czule głaskał dłoń żony, aż zasnęła. W gabinecie łyknął tabletkę z innej, pomarańczowej fiołki i wrócił do kuchni.

Pracował tak do szóstej, następnie spędził pod prysznicem pół godziny, ogolił się, wmasował w skórę twarzy zachwalany przez dermatologów krem regenerujący.

Kilka minut czyścił zęby, siedząc w ulubionej pozycji, na muszli.

Szum wody obudził Walentinę, ale leżała spokojnie i udawała, że równomiernie oddycha. Słyszała, jak Konstantin kąpie się, ubiera, sypie do filiżanki granulowaną kawę by nie uruchamiać głośnego ekspresu, rozmawia z kimś przez telefon. Skoro nie wszedł do sypialni i nie obudził jej, uznała, że to nie dotyczyło dziewczynek. Ich dziewczynek.

Gdy wyszedł, pomyślała, że teraz wszystko dotyczy ich dziewczynek.

## ROZDZIAŁ 4

Najwyższy z trójki porywaczy, którego Irina Matwiejewna nazwała w myślach młodym Zizitopem, z najbujniejszą, choć również sztuczną brodą i peruką, w ciemnych okularach na nosie, wszedł do pokoju, zapukawszy przedtem grzecznie.

– Po co pukasz? Kamery wam wysiadły? – naskoczyła na niego Ninka.

– Trochę grzeczniej, młoda damo – powiedział mężczyzna, nieudolnie naśladowując południowy akcent. – Chcecie do WC? Coś do picia?

– Ja chcę – odezwała się Lena. -Ija.

– Ja też muszę – powiedziała Irina Matwiejewna Jarcewa.

Wcześniej, w łóżku, przytulone do siebie, uzgodniły, że będą nękały porywaczy przy każdej okazji, nie dadzą im spokoju i uprzykrzą życie. Oczywiście w granicach rozsądku, zaznaczyła babcia.

Zizitop westchnął, wsunął broń za pasek bojówek i skinął głową.

– Kto pierwszy? Wstała Irina. -Ja.

– No to proszę.

– Ja chcę pić. Nie wodę i nie herbatę. Jakiś sok. Bezpestkowe owoce, nie te wasze granaty – zażądała Nina.

– Jabłko, naszą antonówkę.

– Będziesz pić to, co dostaniesz – mruknął mężczyzna. Otworzył drzwi i przepuścił Jarcewą. W korytarzu czekał drugi porywacz. Przyklejona broda, maskująca niemal całkowicie rysy twarzy, peruka. Niski i pękaty. Biegiemot. Hipopotam. – A jak nie...

– To co? – Nina hardo podniosła głowę.

Siostra strzeliła w jej stronę ostrzegawczym spojrzeniem.

– To będzie ci się chciało pić! – prychnął ironicznie brodacz i wyszedł.

Zamek drzwi cicho, oleście mlasnął.

– Nu-u-dzi mi się – powiedziała kapryśnym tonem Nina.

Głośno, żeby kamery z mikrofonami wychwyciły informację.

– Przestań. – Lena grała rolę tej rozsądniejszej z sióstr. W innym, lepszym życiu, bez porywaczy, też.

– Pomyśl, jak się czują rodzice, dziadek.

– Wiem. Przepraszam, ale nudzi mi się. Otworzyły się drzwi, weszła babcia, za nią Zizitop.

– Proszę usiąść razem – rozkazał. – Zrobię zdjęcie i wyślę waszemu ojcu.

– Nie będę... – zaczęła Lenka.

– Chyba nie chcesz, żeby się o was niepokoił? I wasza matka? I dziadek?

– Dobrze – skapitulowała Lena, ale gdy babcia usiadła między nimi i na polecenie rozłożyła świeży egzemplarz „Metra” z dużym tytułem: „Na Ukrainie odpiłowano głowę Stalina”, odwróciła głowę i zrobiła nadąsaną minę.

– Patrz na mnie – powiedział porywacz.

– Po co? – Kapryśnie poruszyła ramionami. – Masz Ninę, jesteśmy identyczne.

– Akurat – mruknął pod nosem Zizitop. Spoglądając w ekran komórki, pstryknął kilka zdjęć. – „Metro” zostawcie sobie do poczytania.

– Nudzę się! – jęknęła Lena.

– W środku jest krzyżówka.



– Nie zno...

Zizitop odwrócił się i błysnął białymi zębami.

– No to chodź, obetniemy ci paznokcie – zaproponował.

Irina Matwiejewna przygarnęła krnąbrną wnuczkę do siebie. Kilka razy nacisnęła lekko palcem plecy dziewczynki. „Nie przeszarżuj!”. Lena nie odezwała się.

Zizitop odczekał chwilę.

– No! – powiedział zadowolony. – Bo ci te pazurki stępimy, maluszk!

Wyszedł.

– Uf! Lena, tak nie można! – Irina Matwiejewna na użytek kamer skarciła wnuczkę.

– Babciu, ja zwariuję. Niechby dali jakąś książkę Albo zamontowali telewizor.

Przecież zanim tato nas uwolni, może minąć kilka dni. – Pociągnęła nosem i skrzywiła się. – I te nieświeże ubrania, duszno, ciemno. – Popatrzyła na okno, zabite szczelnie płytą pilśniową.

– To są porywacze, może nie... tego...

– Niespełna rozumu? – podpowiedziała Nina.

– Przestańcie! Przecież oni mogą nas podsłuchiwać! – rzuciła Irina Matwiejewna.

Ona też wiedziała, że kamery internetowe, wszystkie cztery znajdujące się w pokoju, mają mikrofony.

– Miałyśmy iść do WC – przypomniała Lena.

Zeskoczyła z kanapy i podbiegłszy do drzwi, zapukała w nie grzecznie.

– My do ubikacji-i! He-ej!

Po chwili drzwi otworzyły się. Irina Matwiejewna starała się nie przygryzać warg, ale mina porywacza raczej nie wróżyła niczego dobrego.

– Czego chcesz?

– Do ubikacji.

– Chodź.

– Idę z nią – poderwała się babcia.

– W żadnym wypadku! Zostajesz z drugą. – Chwycił Lenę za ramię i wyprowadził na korytarz. – Ta druga jest przecież identyczna.

Otworzył drzwi bez żadnych obaw, pomyślała babcia. Czyli rzeczywiście podglądają i podsłuchują. Boże, Boże, Boże!

– No to zagramy w łapki – rzuciła beztrąsko do Niny.

Sukonin oddał nam do dyspozycji swojego concordę, z „dyskoteką”, pełnym zbiornikiem i talonami na tankowanie.

Prowadził Jerzy, ja oddawałem się obserwacji przechodniów. Do komendy mieliśmy się zgłosić dopiero za dwie godziny, postanowiliśmy przejechać się na Piskariowski Cmentarz. Nie dlatego, że ciągnęło nas do pół miliona pogrzebanych ani nawet patriotycznie do tablicy pamiątkowej: „Polakom. Obrońcom Leningradu”.

Bardziej zależało nam na spacerze w zieleni, nie po parku, bo parki w Petersburgu nie zawsze są bezpieczne, a cmentarz, na którym nie spoczywa nikt bliski czy znajomy, wydał nam się miejscem idealnym.

Nie dojechaliśmy.

Odezwał się mój telefon, pojawiła się ikona MMS.

Odebrałem.

Na kanapie, na tle pustej ściany, siedziała Irina Matwiejewna Jarcewa, z gazetą w jednej ręce, drugą ręką przytulała naburmuszoną Leninkę. Oczywiście, nie miałem pojęcia, którą. Jedna siedziała spokojnie i patrzyła w obiektyw aparatu, druga albo była zła, albo chora. Albo pobita...

Od razu zadzwonił Sukonin.

– Odebrałeś – stwierdził. – Gdzie jesteście?

– Jedziemy do komendy – powiedziałem.

Jerzy sięgnął po koguta i ustawił go na dachu, wrzucił kierunkowskaz i wbił się w lewy pas, na skrzyżowaniu zawrócił i, rzuciwszy okiem na ekran GPS-a, ruszył w kierunku ulicy Czajkowskiego.

– Wszystko na zdjęciu pasuje? – zapytałem.

– Tak, tylko Lena jakaś smutna. W domu by mnie to zaniepokoiło.

Zgłupiałem.

– A tu nie?

– Jeśli nic się jej nie stało, to ona coś kombinuje.

– Sprawdziłeś tę gazetę? Czy można porównać czas wysłania MMS-a i dostawy gazety do kiosków?

– „Metro” jest bezpłatne, rozdawane na ulicach... Poczekaj! Idiota ze mnie. Może któryś z roznosicieli zapamiętał brodatego czeczenowatego?

Rozłączył się raptownie. Szkoda, bo chciałem mu uświadomić, że „Metro”, jeśli to rosyjska mutacja pisma znanego mi z Polski, jest też wykładane w przychodniach, sklepach, muzeach, urzędach skarbowych i szpitalach, no ale może przy odrobinie szczęścia trafimy na bystrego kolportera, który zapamiętał

przechodnia z bujnie owłosioną twarzą. Rosjanie, co wiedziałem, przyjeżdżając tu, generalnie boją się mężczyzn narodowości kaukaskiej, nie bez powodu zresztą. A po eksplozjach w moskiewskim teatrze – kobiet również. Lek powoduje, że baczniej im się przypatrują.

Jerzy rzucił mi szybkie pytające spojrzenie. Uzmysłowiłem sobie, że ani nie widział zdjęcia, ani nie słyszał Sukonina.

– Porywacze przysłali zdjęcie babci i dziewczynek. Są całe i zdrowe, ale jedna z nich, od Kosti wiem, że to Lena, jest smutna albo udaje smutną, a to jego zdaniem coś znaczy. Na fotografii Irina Matwiejewna trzyma dzisiejszy egzemplarz „Metra”, darmowej gazety. Sukonin chce zgarnąć wszystkich roznosicieli tej gazety.

– A jak został wysłany ten MMS?

– Nie wiem. Sądzę, że skorzystali z karty, po czym wrzucili aparat do Newy.

– Inaczej byliby idiotami – mruknął. Coś mi zaświtało w głowie.

– A wiesz, że coś jest na rzeczy? Może porywaczy na siłę uszczęśliwiono tym zleceniem? – powiedziałem wolno, przepuszczając świeżo zrodzoną myśl przez zwoje mózgowy.

-Co?

– To może być tak jak z uderzeniem w milicję. Ktoś wydał rozkaz porwania wnuczek komendanta MSW drugiej stolicy Rosji, córek kapitana, zajadłego obrońcy prawa... Bezpośredni wykonawcy leją pod siebie ze strachu. Jak myślisz, czego mogą się spodziewać?

Rozważał chwilę moje słowa.

– Może masz rację. Musisz to szybko wyłożyć Suko... E? Swojemu przełożonemu przecież! – Roześmiał się i energicznie zakręcił kierownicą na rondzie, stroboskopami i kogutem rozpędzając ruch na nim. I od razu spowaźniał. – Przeciwny wariant jest gorszy, prawda?

– Tak. Jeśli porwali je nie na rozkaz gangstera albo jeśli sami są spowinowaceni z Wielkim Przedmuchanym. To najgorszy z wariantów.

Odtworzyłem z pamięci fotografię.

– Wiesz co? One wcale nie były przerażone. Owszem lekko zaniepokojone, przestraszone, ale dalekie od paniki.

– To też powiedz Kostii. Nawet jeśli sam do tego i doszedł, to potwierdzenie bardzo mu się przyda.

[ Od razu po przyjeździe do Sukonina wyłożyłem mu i swoje przemyślenia. Podaną mi legitymację schowałem j? i do kieszeni.

|

– Masz rację. – Najwyraźniej sam do tego nie doszedł albo nie dowierzał swojej analizie sytuacji. – Masz rację!

Zerknął na zegarek. Zanim otworzył usta, zapytałem:

– A... słuchaj... kto jest moim przełożonym? U kogo mam się meldować? Kogo słuchać?

– Słuchać to sobie możesz Bitelsów, a przełożonym jestem ja. Teraz idź do zbrojowni, wszystko przygotowane. Pokój, w którym będziesz urzędował, jeśli to ci się uda, ma numer siedemnaście, na moim piętrze. – Przeniósł wzrok na Jerzego. – Pan też ma tam stanowisko, jeśli zechce pan skorzystać.

– Oczywiście. Idę tam.

Zszedłem piętro niżej. Po swojego kolejnego desert eagle'a. To już trzeci w ciągu ośmiu miesięcy. Nieźle. Dzięki takim jak ja Israel Military Industries ma się nieźle. W magazynie broni czekał na mnie najwyższy gość, z jakim przyszło mi rozmawiać.

– Gaspadin Stochard? Pażatsta bilet.

Zgłupiałem. Ale tylko na chwilę. Zaraz przypomniałem sobie, że bilet znaczy też legitymacja. Podałem mu ją, czytał długo, skonfrontował mój wygląd z fotografią, w końcu westchnął i oddał mi dokument.

– Znaczy chce pan desert eagle'a?

– Tak. A co?

– Po cholere? – Wyciągnął rękę i kolejno zaginał długie palce wyliczając: – Głośny jak czołg. Po wystrzale w nocy oślepia. Magazynek mieści tylko dziewięć naboju. Owszem, jak się trafi, to raduje, ale męka przy noszeniu i użyciu... – Pokręcił głową. – Żadnych zalet.

Jak by go pan potrzebował na paradę, do wywiadu albo reklamówki, to tak.

Mówił przekonująco i miał w tym wiele racji, ale było coś jeszcze. Jakby realizował zalecenia z góry: przekonaj go, że to głupi pomysł.

Dobra, jak jest po rosyjsku „jeśli wlażesz między wrony...”?

– A co będzie lepsze? Czego używają wasi ludzie?

– A my to lubimy swoje, rosyjskie. Mogę zaproponować berettę, glocka albo coś innego, ale skoro macie współdziałać... znaczy pracować z naszymi... weźcie pistolet Gracz.

Coś mi się poruszyło pod czaszką.

– Gracz... znaczy co? W karty?

– Nie, ptak. Wczesna wiosna, czarny...

Aha, szpak!

– Dobra, niech będzie Gracz.

Dwumetrowiec zasunął kratę na okno, szcękniętymi zamkami i oddalił się na długą chwilę. W końcu pojawił się z owym graczem.

– Coś wyjaśnię: prototypem była broń sportowa, i to widać, jak się go rozbierze.

Bez czyszczenia i konserwacji śmiało wytrzyma dziesięć magazynków. Proszę wtedy przyjść do mnie. Dziś kapitan Sukonin zalecał szybką decyzję i energiczne działania. To jest egzemplarz PJ, wersja specjalna. Naboje parabellum, nie nasze, lepsze. Dwa rodzaje kabury.

Wykładał po kolei wszystko na blat przed sobą, jeszcze nie otwierając kraty.

Broń mi się spodobała.

– Kaliber dziewięć milimetrów – powiedział wysoki. – Mieści siedemnaście naboje. Ze stu metrów nie ma problemu z trafieniem w sylwetkę. Standardowe kamizelki stębnuje bez trudu. Karoserię samochodu na wylot z kierowcą i pasażerem po drodze. – Popatrzył na mnie. – To co?

– Bieru.

– Bo jest jeszcze GSz osiemnaście, lżejszy i o jeden nabój tego samego kalibru w magaz...

– Biorę ten.

Uśmiechnął się, metodycznie odrygłował kratę, podsunął mi do podpisu dokument z imponującą ilością rubryk, po czym, odptaszkowując składowe dokumentu wydania, przekazał mi sztukę po sztuce.

Wystrzelałem dwa magazynki i dałem sobie spokój. Odechciało mi się. Pakując broń, zastanawiałem się nad swoją ewolucją. Jeszcze rok temu bawiły mnie takie drobiazgi – nowa broń, nowy laptop, nawet fajny telefon czy hecny pojemny pendrive.

Teraz tego rodzaju gadzety zeszły na dalszy plan. Starość?

Przerzuciłem kaburę przez ramię, włożyłem bluzę i poszedłem do swojego pokoju. Na korytarzu czekała na mnie sekretarka Sukonina.

– Proszę pana do centrali.

– Już idę.

Broń zamknąłem w cyfrowym sejfie, pokój na klucz, klucz schowałem do kieszeni i zjechałem na dół.

W centrali był tylko Jerzy.

– Zmieniłem broń – poinformowałem go.

– Słusznie. Desert eagle jest bardzo efektowny, ale mało poręczny.

– Teraz mi to mówisz?

– Lubieś go? – Skinąłem głową. – Chciałeś mieć? – Wzruszyłem ramionami. – No to o co chodzi? Nie zawiódł cię, ale zawsze myślałem, że przydałyby się w nim dwa pociski więcej.

– Teraz mam znacznie więcej niż dwa więcej.

Usiadłem obok niego.

– Gariadze nas nie lubi.

Uniósł brew. „A co ja na to poradzę?”. Umyślnie powiedziałem to tu, gdzie pewnie każde słowo i każdy oddech są nagrywane. W domu zresztą też. Niby czemu nie? W

Polsce Sukonin cieszyłby się taką samą estymą.

Wszedł Kostia z laptopem w rękę, wymieniliśmy uściski dłoni.



Przyjrzałem mu się. Był energiczny i wyspany. Skubany! Skała nie człowiek.

– MMS został nadany na drugim końcu miasta, z dzielnicy Kupczino. – Machnął ręką. – Nawet nie wysyłałem tam nikogo, miejscowy posterunek dostał zadanie, ale nie wierzę w ten trop.

– Co ustaliliście? – zapytał Jerzy.

Wcześniej rzadko pierwszy wtrącał się do rozmowy, jakby zostawiając mi prowadzenie „weralistyki”, sobie pozostawiając rolę zagranicznego konsultanta.

Teraz chyba uznał, że jestem w niezręcznej sytuacji: powinienem zwracać się do Sukonina „towarzyszu kapitanie”, pytać o pozwolenie zabrania głosu, konsultować każdy ruch, meldować się przy wyjściu z komendy i... I tak dalej.

– „Metro” poszło do dystrybucji o szóstej rano. Przed szóstą piętnaście praktycznie mieli je tylko roznosiciele, hurtownie, no i kierowcy rozwożący paczki.

MMS został wysłany o ósmej. Czyli był już w powszechnej „rozdawce”.

– Dużo tego jest? Na miasto? – zapytałem.

– Ponad pół miliona. – Wyjął papierosy, poczęstował nas. Jerzy odmówił. Ja zapaliłem. – Jak to mówią: Nasz naród na chalawu ochocz\*. Niemal wyrywają gazetę z rąk roznosicieli, zwłaszcza ci starsi. Kierowcy, szczególnie ci w wypasionych furach, olewają to ostentacyjnie, ale emeryci chętnie biorą – jest prognoza pogody, horoskop, krzyżówka, newsy z miasta, czasem zapowiedzi przecen, wyprzedaży i promocji. Nie wierzę i w ten trop, ale na wszelki wypadek dwaj ludzie siedzą w „Metrze” i obdzwaniają wszystkich, którzy mają komórki. Na razie zero.

– A co z MMS-em? Analiza foto? – spytał Jerzy.

– Pokój mniej więcej dwudziestometrowy w starej zabudowie, parkiet, wielkość i obramowanie okna oraz ślady po tłoczonych tapetach na niedbale pomalowanej ścianie wskazują na klasyczny petersburski budynek, taki mniej więcej jak ten, w którym wy mieszkacie. Ale takie są niemal w każdej dzielnicy, może poza klasycznymi „chruszczobami” i starym centrum.

– Wspomniałeś coś o nadąsaniu Lenoczki? – odpowiedziałem.

– Ona się nigdy nie dąsa, żadna z nich się nie dąsa. Albo się zgadzają, albo negocjują, albo ustępują. Obie dawno temu uznały, że na fochy szkoda czasu.

Przegrany

\* Nasz naród na chalawu ochocz (ros.) – Nasz naród darmochę lubi, musi walczyć albo pogodzić się, na dąsy szkoda czasu i mordęgi.

– Tak samo uważał Wańkowicz, choć trochę w innej materii – powiedziałem, żeby coś powiedzieć w zapadłej ciszy. – Twierdził, że pokusom należy ulegać od razu, bo i tak człowiek ulegnie, a walcząc ze sobą tylko się niepotrzebnie utrudzi. Nie ręczę za precyzję cytatu.

– Pokaż ten MMS na ekranie – poprosił Jerzy.

Sukonin włączył laptopa, po kilku sekundach na centralnym ekranie pojawiła się marna fotografia Iriny Matwiejewny i Leninek.

Wpatrywaliśmy się uważnie, odruchowo sprawdziłem wielkość klepek parkietu i ściany w tle, przyjrzałem się naburmuszonej Lenie. Nina była spokojna, Irina Matwiejewna miała w spojrzeniu rozpacz.

Jerzy wstał i obszedł stół, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Powiększ to! – zażądał nagle, obrysowując palcem gazetę, zasłaniającą brzuch babci.

Sukonin pobawił się „lehtaczką”, obraz się powiększył. Teraz wyraźnie widzieliśmy jakiś pomnik bez głowy i podpis pod zdjęciem „Na Ukrainie obcięto głowę Stalinowi”.

– Przesuń w lewo i trochę w dół.

Kostia przesunął obraz. Jerzy wpatrywał się chwilę w zdjęcie.

– Czy mi się wydaje, że Irina Matwiejewna trzyma dziwnie palec wskazujący?

Rzeczywiście – był odsunięty od reszty palców. Jakby... jakby...

– Jakby wskazywała coś! – Sukonin poderwał się z krzesła i dopadł ekranu. – Reklama łaźni fińskiej! Że niby lepsza od naszej bani... Zaraz... A-a! Dworzec Fiński!

Wyborgskaja Starana! Wie gdzie są przetrzymywane, mniej więcej. Ach, mamusiu!

Stara porządna legawaja szkoła!

Podniósł słuchawkę i połączył się z generałem Jarcewem. Krótko zrelacjonował odkrycie Jerzego.

– Tak przypuszczaliśmy, że to ta dzielnica – zakończył. – Ale teraz teren nam się zawężił, no i mamy pewność. – Słuchał przez kilkanaście długich sekund.

– Tak jest, zaczniemy od starych budynków, z których można usłyszeć zapowiedzi peronowe, i będziemy się oddalać. – Słuchał znowu, tym razem krótko. – Tak.

Dobrze. Odmeldowuję się.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na nas.

- Dokąd jechaliście rano, kiedy do ciebie zadzwoniłem?
- Na cmentarz, ten... no... Piska...
- Piskariowski?
- Tak. A skąd wiesz, że... Ach, lokalizator w concordzie? – Potwierdził mój domysł skinieniem głowy.
- Dopiero teraz założyłeś?
- Tak. Dobra, ja i moi ludzie ruszamy na Dworzec Fiński. Poszukamy domów, stojących z zimnymi silnikami furgonetek, popytamy rozdających „Metro”.
- Zaraz! – zaprotestowałem. – Zwariowałeś? Przepraszam, to nierozsądne, towarz...
- Kamil?! Nie wygłupiaj się z tym kapitanem. Nie będziemy odstawiać cyrku z salutami i honorami. Nasze stosunki nie zmieniły się. Kropka.
- Dobra. Ale i tak złagodzę swój wykrzyknik. Chcesz szwendać się po okolicy i wpaść w oko porywaczom? Przecież cię znają, nie łudź się. Może dokleisz sobie brodę?
- To nierozsądne, kapitanie – poparł mnie Jerzy.
- Zgoda. To idiotyczne. – Zaakceptował naszą opinię od razu. Po wańkowiczowsku. – Moi ludzie pojedą, ja nie.
- Wytłumacz im, że wszystko ma się odbyć w białych rękawiczkach, delikatnie, najsubtelniej jak to tylko możliwe.
- Będzie tak. Komar nosa nie padtoczył!\* – Ruszył do drzwi. – A co wy będziecie robić?
- Ja skorzystam z chwili względnego spokoju i spotkam się z pewnym człowiekiem z naszej ambasady – odparł Jerzy. – Dyskretnie, oczywiście.
- A ja poharcuję po Internecie – powiedziałem.

– Dobrze. Jakby co, mam wasze telefony.

Wypadł z pomieszczenia.

Jerzy patrzył jeszcze chwilę na powiększenie fotografii .

– Dzielna kobieta. Zuchy dziewczynki.

– Tak. Dobrane trio.

– I mają plan.

Tak. To również przyszło mi do głowy.

– Mam nadzieję, że nie wpadły na pomysł, że zadręczą porywaczy, i ci, wściekli i bezsilni, wypuszczą je – mruknął Jerzy.

– No to lecę.

\*Komar nosa nie padtoczit (ros.) – dosł. Komar nie naostrzy nosa; Nikt niczego nie zwęszy.

Leć.

Poszedłem do swojego pokoju. Zamknąłem się od środka i solidnie przejrzałem go na okoliczność pluskiew. Nie znalazłem. Dobrze, nie chciałem, by ktoś widział, jak...

Założyłem kaburę pod pachę, wyjąłem magazynek, wsadziłem gracza do kabury, włożyłem kurtkę. Przez dziesięć minut wyszarpywałem go pod pachą w różnych układach. Pewnie wyglądało to jak parodia De Niro albo Pazury, ale musiałem wiedzieć, jak na szybko układa się w dłoni. Nie za dobrze. Moje palce z przyzwyczajenia oczekiwały solidniejszej wagi i dłuższej lufy. Trudno.

Schowałem broń i włączyłem się do Sieci. Nie mogłem pozbyć się wrażenie, że czegoś powinienem tam poszukać. Wczoraj Jerzy zapytał, co mnie trapi. Miał rację.

Od kilku dni, jeszcze przed nieudanym wylotem do USA, nękało mnie poczucie, że czegoś nie zauważyłem, nie

odnotowałem, nie zapamiętałem. Że coś czai się za plecami, tuż-tuż, trzeba tylko wystarczająco szybko odwrócić głowę, żeby to coś uchwycić.

Poszedłem do bufetu, zamówiłem kawę i dwie wafelki, bułeczki z serem.

Dobre. Zjadłem je, leniwie manipulując myszką. Wolno przyswajałem sobie wiedzę o Yandeksie i Ramblerze na Gazieta.Ru, Lenta.Ru, www.mwd.ru. Kompletnie nie wiedziałem, czego szukam, ale nie ustawałem. Skakałem od stron z plotkami o politykach, z fotkami obnażającymi prawdę o aktorach i idolach kina, do stron z cudownymi uzdrowieniami, bankructwami banków, pożarami dworców i wypadkami drogowymi. Fora miłośników psów, życiorysy pisarzy emigracyjnych i komuszych, rosyjska Cerkiew, rosyjskie siły zbrojne, rosyjscy sportowcy. Dowiedziałem się, ile dzipów kupiła Ał a Pugaczowa swojemu wnukowi, kto i dlaczego pokłócił się z Michałkowem, ile kosztują bilety na koncerty w Burmiha Cultural Center, gdzie znajdują się sklepy z towarami luksusowymi, naprawdę luksusowymi, jak zrobić do-mową chałwę z mąki, cukru, wanilii i czegoś tam jeszcze, co w tym sezonie oferują producenci wytwornych i piekielnie drogich kreacji dla kotów, uszytych z tkanin „odpychających” sierść.

Dwie godziny!

Chyba nigdy nie siedziałem tak długo ciągiem w Sieci. Z tak marnym pożytkiem, szlag!

Była już pierwsza. Rozważałem zjedzenie obiadu, nie zanosilo się na wspólny posiłek z Jerzym czy Kostią.

Zadzwoił telefon. Sekretarka generała informowała, że za pół godziny zjem z nim obiad. Dobra, wypaliłem dwa papierosy z rządu, bo nie wiedziałem, czy generał toleruje dym po posiłku. Pięć minut przed spotkaniem zameldowałem się w sekretariacie.

Proszę. – Sekretarka już wiedziała o moim nowym przydziale. Nie zaprowadziła jak gościa do drzwi, tylko uprzejmie wskazała je.

Jarcew wstał i ruszyliśmy sobie na powitanie. Uścisk dłoni. Odholował mnie w prawo, do małego stołu pod oknem. Zanim doszliśmy, dogoniły nas dwie kelnerki.

Szczerze mówiąc, zdziwiłem się, na widok parujących potraw ze stołówki! Smaczne, sycące, apetycznie pachnące, ale nie tak wyobrażałem sobie generalski obiad.

Jedząc nie rozmawialiśmy. Po posiłku przesiedliśmy się na fotele przy stoliku z kawą i wodą mineralną.

– Jakież nowe pomysły, pan Kamil?

Pokręciłem głową.

– Same stare, ale jestem pewien, że dobre. Upieram się, że to jakaś centrala guimonów wszczęła działania odwracając naszą uwagę. Jakkolwiek to okrutnie zabrzmie, porwanie Iriny Matiwejewny i Leninek ma taki właśnie cel. Dopóki będą to ciągnąć, dopóty nie uczynią im krzywdy. W przeciwnym razie nie dość, że nie osiągną celu, to jeszcze narażą się na działania odwetowe.

– Ale czego boją się ci z hipotetycznej centrali?

– Może myślą, że odkryliśmy coś, ale co – pokręciłem głową – nie wiem.

– Pan Kamil. Jestem panu wdzięczny, że się pan zgodził tu zostać. I pomóc nam.

Szczerze mówiąc, gdyby nie pan, to po jednej dobie czy dwóch uznałbym, że wszystko to mi się przyśniło. Pana niezachwiane przekonanie i pewność ustawiają wszystko na właściwym miejscu. Chciałbym pana zapewnić, że z naszej strony... – Sapnął z irytacją, która mnie zdziwiła. – Ma pan papierosy?

– Oczywiście.

Wyjąłem z kieszeni fajki i zapalniczkę.

Zapaliliśmy.

– Coś panu opowiem, to taka dygresyjna... Nieważne. No, było tak. Jeden z naszych kosmonautów opowiedziałem w telewizji taką oto historię. Był z kolegą na orbicie. Na wyposażeniu mieli między innymi dwie półlitrowe butelki wysokoprocentowego napoju. Pierwszą wypili po udanym osadzeniu na orbicie, drugą zostawili na czarną godzinę. To była długa ekspedycja i pewnego dnia poczuli, że ta chwila nadeszła. Otwierają więc kasetę z butelką, a tam jednej trzeciej nie ma.

Jeden patrzy na drugiego i obaj myślą to samo: „A to gnojek! Sam ćwiartkę wygolił!”.

Zapewniają sobie nawzajem: „Ja nie ruszałem!”. Ten, co opowiadał tę historię, mówi, że pomyślał tak: „Wiem, że nie piłem. Jest nas dwóch, najbliższy człowiek o sto kilometrów stąd. No to jak – cud?”. Ten drugi zaklina się, że nie ruszał butelki. No dobra. Wypili to, co zostało, i po jakimś czasie szczęśliwie wrócili do domu. W raporcie wspomnieli o tym incydencie, naukowcy zbadali sprawę i okazało się, że sztuczne tworzywo po prostu przepuszcza alkohol. I konkluzja tego kosmonauty:



„Oto, co znaczy prawdziwe zaufanie. Mogliśmy sobie nie uwierzyć i boczyć się na siebie, ale my wierzyliśmy sobie wzajemnie i dlatego nic złego się nie stało”. – Generał zaciągnął się mocno, aż za mocno. – Ja panu, pan Kamil, ufam całkowicie.

Mam nadzieję, że i pan nam.

– Panie generale... znaczy, towarzyszu generale... Myślę, że okres docierania jest już za nami. Bez wzajemnego zaufania nie wiele osiągniemy. A do wygrania mamy wszystko.

– Tak... – Jarcew zgasił papierosa. – Może mi pan zostawić jeszcze jednego? Nie, nie, prosiłem o jednego! – Zamachał ręką, gdy wyciągnąłem w jego stronę całą paczkę. – Jeden wystarczy. Dziękuję.

Zapatrzył się w okno. Położyłem paczkę z kilkoma papierosami na stole.

Wstałem.

– Pójdę pomóżgować trochę, jeśli pan pozwoli.

– Tak – powiedział, myśląc już chyba o czymś innym.

Nawet nie wstał, gdy wychodziłem. Niby czemu zresztą miałby wstawać?

Wróciłem do pokoju. Zanurzyłem się w Internecie.

Czego ja tu, kurwa, szukam? Sposobów na pozbycia się nadwagi? Darmowych biletów na koncert progresywnych kapel? Wspaniałych sztucznych futer? Nowych wspaniałych fot boskiego Kirkorowa? Koncert Zemf...

Szybko wyskoczyłem z tej zakładki.

Nie, takie przesiewanie Internetu nic nie da. To znaczy – może dać, ale przy szczęśliwym trafie. Nie mogę usprawnić poszukiwań, bo sam nie wiem, czego szukam, więc skąd by wyszukiwarka,

nawet milicyjna, miałyby to wiedzieć. Trzeba by się było jakoś sprecyzować... Oderwałem się od monitora, poszedłem do bufetu po papierosy, wróciwszy, zaparzyłem mocną herbatę. Przez dwadzieścia gapiłem się na ulicę Czajkowskiego. W końcu, świadomy, że nie mam wpływu na płynność ruchu, ani on na moje myślenie, usiadłem przy klawiaturze. Dobra, żadnych plotek, tylko postacie z pierwszej ligi politycznej. Tak! Zacząłem od strony rządowej, prezydent, premier, ministrowie, Rada Najwyższa... Cholera, nudy jak szlag!

Poszedłem do sekretariatu.

– Czy macie kogoś – powiedziałem koślawym rosyjskim – kto mógłby wyselekcjonować dla mnie serię zdjęć?

– Oczywiście! – powiedziała sekretarka. – Już łączę... Nie, lepiej niech on do was przyjdzie – uśmiechnęła się.

Widać nie wierzyła, że dogadam się przez telefon.

Podziękowałem i wróciłem do siebie. Dwie minuty później do pokoju wszedł nijaki facet w przydymionych okularach.

– Wzywaliście mnie, towarzyszu kapitanie?

– Tak. Chodzi o to, żebyście przygotowali mi plik z fotografiami najważniejszych osób w państwie – ministrowie, zastępcy, dyrektorzy departamentów, Rada Najwyższa, prezesi największych banków, najważniejszych przedsiębiorstw, dowódcy okręgów wojskowych, gubernatorzy i ich najbliższe otoczenie. Rozumiecie, o co chodzi? Polityczna i rządowa wierchuszka, ale nie tylko – sąsiadujące z Rosji były republiki też. Litwa, Gruzja, Ukraina w tym samym układzie: rząd, finansjera i koncerny przemysłowe. – W miarę mówienia lista rozrastała się coraz bardziej. – Pierwsza setka najbogatszych ludzi. – Facet spokojnie

patrzył na mnie spod fotochromów. Jakoś nie wstrząsnął nim zakres pracy. Może miał wprawę i oprogramowanie jak Penelope Garcia z serialu Criminal Minds? – Od siebie możecie dołączyć zdjęcia nadzwyczaj popularnych aktorów i estradowców, takich jak Pugaczowa czy Kaszpirowski, albo autorów bestsellerów... Rozumiecie?

– Tak toczno, towariszcz kapitan. Na kagda?

– Jak najszybciej. Tylko jedna prośba: żeby to było jakoś poukładane. Nie przysyłajcie mi trochę tego, trochę tamtego, bo się pogubię. Aha! Jeszcze znane osobistości, które wycofały się z polityki albo interesów, byli ministrowie, tacy naprawdę ważni i już nieczynni. OK?

– Kanieszno. Paniatno! Na kagda? Zawtra?

– Jutro, pojutrze. Tak bardzo mi się nie śpieszy. Jutro? Wspaniale.

Wyszedł z pokoju.

Przez pięćdziesiąt minut z nudów niedbale surfowałem po Sieci. Potem zadzwoniłem do Osipa Stiepanowicza. Ucieszył się bardzo.

– Ty skąd dzwonisz, Kamil? Z Amieriki?

– Nie. Zostałem tutaj jeszcze na jakiś czas.

Kilka sekund przeżuwał informację.

– Aha – powiedział w końcu. – A jak się czujesz?

– Bardzo dobrze. – Popatrzyłem na kikuty dwóch palców. Rany zabiłszy się, tylko skóra była nowiutka, sprawiała wrażenie cienkiej i wrażliwej, odruchowo przesadnie chronilem lewą dłoń przed urazami. Domniemywanymi, przede wszystkim. – Osiem piw to i tak dużo.

Zachichotał.

– Pamiętasz!. Co? – zapytał nie mnie, bo odsunął słuchawkę. – Nu jasne, że pozdrowię! – Znowu usłyszałem go głośniej. – Ksenia cię pozdrawia i całuje. – Ściszył głos: – Na ścianie wisi twoje zdjęcie, na honorowym miejscu jak ikona!

Matko moja miła!

– Ma odstraszać guimony? – zapytałem.

– Nie, ma cię przypominać, dobrodzieja naszego. Przez cały czas...

– Osip! – przerwałem mu. – Uratowaliście mi życie. Dajmy już spokój z tymi wzajemnymi podziękowaniami.

– No tak, tak – zgodził się szybko. – Odwiedzisz nas kiedyś?

– Na pewno. Teraz mam mało czasu, ale wpadnę jak tylko się uporam.

Zastanawiał się chwilę, jak nie zapytać wprost, a jednak czegoś się dowiedzieć.

– Dużo roboty? – rzucił w końcu.

– Nie, nie za dużo, ale poważna sprawa.

– Aha...

– Dobra, idę działać. – Zobaczyłem na ekranie powiadomienie o udostępnieniu mi pliku. – Pozdrów Ksenię Abramowną.

– Na pewno pozdrowię. Ona też cię pozdrawia, no i ja.

– No to do zobaczenia.

– Cześć.

Odłożyłem słuchawkę i już sięgałem do myszy, gdy zadzwonił telefon.

## ROZDZIAŁ 5

Jedziemy – rzucił Kostia, gdy dotarłem do holu. Niemal biegiem rzucił się do drzwi, nie zwracając uwagi na pierzchających na jego widok szeregowych, i nie tylko, milicjantów. Pędziłem tuż za nim, mimo to na mój widok nie pierzchali, wręcz przeciwnie – jakby przysuwali się, żeby mi się przyjrzeć.

Wskoczyliśmy do wozu, Kostia uruchomił silnik i ostro ruszył.

– Miałem telefon. Nie, nie od porywaczy, od kapusia. Chce się ze mną widzieć w jakiejś ważnej sprawie. Chciał, żebym był sam. Powiedziałem, że to nie wchodzi w grę. Mamy dojechać do Smolnego, gdzie dostaniemy nowe instrukcje. Normalnie bym go olał, ale zachowywał się jak człowiek, który ma lufę przystawioną do skroni.

– Myślisz, że może mieć związek z uprowadzeniem dziewczynek?

Zastanawiał się chwilę, skręcił w lewo.

– Trudno wykluczyć.

Objężdżaliśmy jakiś park, zakręt w prawo, długa prosta. Odezwał się telefon Sukonina.

– Tak? Mów. – Chwila milczenia. – Nie, nie sam, mówiłem, że nie będę sam... No to spierdalaj i nie zawracaj mi głowy... No właśnie, dawaj, co masz i wio, nie będę marnował czasu. – Nagle brwi podjechały mu do góry, rzucił mi spojrzenie, które miało oznaczać: „Co jest, do licha?”. – A? Dobrze. Za chwilę będziemy.

Rozłączył się, skręcił w prawo i przeciął aleję przed dziwnym budynkiem w błękitach i bieli, ze złoconymi kopułami.

– Inaczej wyobrażałem sobie Smolny – powiedziałem.

– Bo pewnie myślałeś o instytucie – to tam. – I po chwili: – Siedziba władz...

Nie zainteresowałem się obiektem. Sukonin jechał wolno i rozglądał się na boki, ja wołałem pilnować dystansu do poprzedzającego nas samochodu. I dobrze przeczuwałem – ten nagle zwolnił, a światła stopu nie miał.

– Uwaga! – krzyknąłem.

Sukonin wdepnął pedał hamulca i tym samym jakby uruchamił wielowymiarową projekcję zdarzeń, których ośrodkiem byliśmy my. Z prawej niemal wbił nam się w drzwi stary golf, z tyłu zajechała ogromna toyota, z lewej zatrzymał się stary merc.

– Spokojnie – mruknął Kostia.

Byłem w miarę spokojny.

Zaproszono nas do samochodu z tyłu. Kierowca wyglądał jak wycięty spod sztancy: ciemne okulary, wygolony czerep, kanciaste rysy.

Wysiadamy – powiedział Sukonin.

Wysiedliśmy i poszliśmy do toyoty. Na kanapie leżały dwa grube brezentowe czarne wory. Siedzący obok kierowcy mężczyzna pokazał na migi, że mamy nałożyć je sobie na głowę.

Samochód ruszył, zanim posłusznie odcięliśmy sobie kilka podstawowych zmysłów. Podczas jazdy nie padło ani jedno słowo. Wsłuchiwałem się w odgłosy ulicy, usiłując zapamiętać charakterystyczne dźwięki, dzwonki tramwajowe, odgłos kół na kostce, mosty, dzwony cerkwi. Pewnie było to pozbawione sensu, ale miło było myśleć, że nie jestem wieprzkiem wiezionym do rzeźni, tylko prowadzę dochodzenie. Minęło sporo czasu, chyba

ponad czterdzieści minut, co nie miało znaczenia, bo zakładałem, że wiozą nas okrężną drogą.

Na pewno wyjechaliśmy z miasta albo wydostaliśmy się na jakąś obwodnicę, wóz bowiem wyraźnie przyspieszył, kierowca nie musiał manewrować. Trwało to dziesięć minut, może kwadrans. Zjechaliśmy z autostrady, kilka ciasnych skrętów, gorszy asfalt, potem szutrowa nawierzchnia. Zwolniliśmy, wreszcie wjechaliśmy do garażu.

Poczułem stukanie w kolano, nie zareagowałem, więc Sukonin trącił mnie w ramię.

Zdjąłem worek. Kierowca siedział nieruchomo, konwojent pokazał otwarte drzwi, prowadzące do wnętrza domu. Nie zamierzałem przejmować inicjatywy.

Poczekalem, aż Kostia szarpnie klamkę. Otworzyłem swoje drzwi, wysiadłem i poszedłem za nim. Sytuacja była dziwaczna i niepokojąca: Sukonin wyglądał na niewzruszonego, ale ja wiedziałem, co oznacza jego lekko wzniesiona prawa brew.

Powinienem zacząć się niepokoić. Może nawet bać.

Krótki korytarz doprowadził nas do olbrzymiego salonu z całą ścianą okien, szczelnie zasłoniętych akrami tkaniny w japońskie niepowtarzające się wzory: czaple czy bociany, cholera wie, góra Fudzi, gaje bambusowe, jaskółki, świątynie. Zaraz za progiem dwaj potężni ochroniarze w rozpiętych marynarkach, pod którymi ich torsy opinały kuloodporne kamizelki w rozmiarze, chyba sześć XL, wyciągnęli łapy.

– Broń proszę oddać.

Podniosłem ręce i poły mojej kurtki rozsunęły się, Kostia niedbale, powoli, ale bez ostentacji wyjął swojego szpaka i podał

im. Z tyłu bezszelestnie zbliżyli się dwaj inni i „skonturowali” nas wykrywaczami metalu. Przypuszczałem, że mają podobne gabaryty, ale wzorem Kostii nie odwróciłem się. Twarz maska.

Do salonu wszedł szczupły, wysoki mężczyzna w pomarańczowych fotochromach, z gęstą szopą siwych włosów i małą bródką, siwą, co nasuwało skoja-rzenie z Czechowem albo Klimentem Woroszyłowem. Miał na sobie skórzane spodnie i sztruksową marynarkę, pod nią koszulkę polo. Na przegubach obu dłoni masywne bransolety, chyba platynowe, z kamieniami, chyba „brylantowymi”, jak mawiała pewna ekspedientka w Stodole. Nie zgrywał się na kumpla, nie fundował graby, usiadł w fotelu przed masywnym stolikiem na masywnej zabudowie. W razie czego miał go chronić przed przypadkowymi pociskami. Albo kierowanymi.

– Kapitan – powiedział bez wstępu – nie podoba mi się, że postąpił pan wbrew moim instrukcjom.

– A jakie ty mi możesz wydawać instrukcje? – rzucił hardo Sukonin.

– Jakie tylko chcę. W tej chwili twoje życie zależy od mojego humoru – poinformował gospodarz.

– Jak bym się nie zgodził, to gównem by zależało.

– Tak, ale uwierz mi, sprowadziłbym cię tu wcześniej czy później.

– Raczej później. Miałem wolną chwilę, to się zgodziłem.

Mężczyźnie drgnął kącik ust. Niewydarzony uśmiech albo oznaka irytacji.

– Mam kilka pytań, od odpowiedzi zależy, czy się rozstaniemy w zgodzie, czy rozstaniecie się z życiem – wycedził.



– Ach, może powali mnie zawał, zanim zdążę odpowiedzieć. – Sukonin zrobił krok i wczepił się palcami w oparcie jednego z pięciu skórzanych foteli. – Rozmawiajmy jak ludzie albo dajmy sobie spokój. Nie wiem, kim musiałbyś być, żebyś zdołał mnie wystraszyć. Ja się już nabałem na całe życie i dlatego jestem takim groźnym przeciwnikiem.

Gospodarz milczał chwilę.

– Co tu się dzieje? – zapytał w końcu.

– Dwa kontrpytania: gdzie tu i kto pyta?

Jeden z goryli zakołysał się, jakby gotów wbić Kostii zęby w tchawicę, ale gospodarz nie poruszył nawet brwią. Ochroniarz wahał się i wrócił do nieruchomego pionu.

– Tu, w Pitrze.

– Kto pyta?

– Przestań się popisywać, Sukonin – warknął mężczyzna. – Po to wzięłeś tu tego niemowę, żeby mieć widownię?

Sukonin wpatrywał się w niego uważnie, potem odsunął się od fotela i skrzyżował ręce na piersi.

– Nie może być?! – powiedział po chwili. – Sam Niebieski Kruk?

Mężczyzna milczał.

– Możemy usiąść? – zapytał Kostia. – Opowieść trochę potrwa, a jeszcze mam dziś to i owo do zrobienia.

Gospodarz poruszył głową, tak jakby chciał zapytać: „A skąd pewność, że jakieś dziś dla ciebie istnieje?”, ale widocznie uznał, że ciągle grożenie i straszenie może być opacznie zinterpretowane.

– Siadajcie.

Usiedliśmy.

– Co cię interesuje? – zapytał Sukonin, elegancko poprawiwszy nogawki spodni.

– Co tu się dzieje – odparł na pozór spokojnie Niebieski Kruk.

– Aktualnie mamy wojnę. Twój przeciwko moim.

– To wiem... – wolno powiedział Kruk.

Sukonin zmrużył oczy i nagle uśmiechnął się.

– Ale nie wiesz, kto wydał rozkaz ataku, co?

Kruk, Niebieski Kruk, zacisnął na chwilę usta.

– Będę z wami szczery, bo coś mi się zdaje, że nie podzielicie się swoją wiedzą z nikim, może z rybami, robakami albo okolicznymi wilkami.

– Bądź szczery, a potem zobaczymy, czym się będą żywić okoliczne wilki.

– Szczerze, to nie wiem, kto was podpuścił – dokończył po chwili wahania. – Nie wiem dlaczego. Możesz mi coś, kapitanie, o tym powiedzieć?

Sukonin kilka sekund przeszywał go wzrokiem. Potem popatrzył na mnie.

– To jest car przestępczego świata tej części Rosji – wyjaśnił, po czym odwrócił się do Niebieskiego Kruka. – On nie wie, kim jesteś, a będzie referował sprawę – wyjaśnił.

Kruk poruszył lekko głowę.

– Człowiek legenda. Urki śpiewają o nim bałady, opowiadają legendy, wychwalają pod niebiosa – Sukonin mówił do mnie, ale patrzył na gospodarza. – A tu, proszę, niespodzianka. Kruk nie wie, kto kazał jego armii uderzyć na milicję!

– Nie przesadzaj, kapitan! – wycedził Niebieski Kruk.

– Dobra. Nie będziemy się droczyć. Prawda jest taka, że my też nie wiemy, dlaczego nas zaatakowaliście. Mamy swoje spekulacje i przypuszczenia, ale – jeszcze! – niepotwierdzone.

– No to wyjaśnij powoli i dokładnie.

Sukonin popatrzył na mnie i sięgnął do kieszeni.

– Możemy zapalić?

Niebieski Kruk skinął niedbale ręką. Ten gest był przyzwoleniem i zarazem poleceniem. Jeden z tych, którzy nas prześwietlali, pokazał się w polu widzenia z trzema popielniczkami. Ustawił przed każdym z nas jedną.

Szybko zapaliłem.

Nie częstując Kruka.

On nie poruszył się.

– No to mów, Kamil. Wyłóż mu wszystko.

– Sprawa wygląda tak. Niemal sto lat temu pewien amerykański fantasta opisał w swoim cyklu opowiadań potężne bóstwo, Cthulhu, śpiące na dnie mitycznego oceanu, krwawe i żądne władzy. Rok temu okazało się, że to bóstwo istnieje naprawdę. Śpiąc gdzieś tam, emituje sny, które, gdy trafią na podatny grunt, na po-datnego człowieka, opanowują go i czynią żołnierzem Cthulhu.

– Czeka, kto ty jesteś?

– Kamil Stochard.

– Nie Rosjanin?

– Nie, Polak.

– Aha. Polak. – Kruk sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. – Co robi Polak w twojej milicji?

– Jest specem, dlatego go zaimportowaliśmy.

– Czekaj, czekaj! Już kojarzę, Polak – drużok kapitana Sukonina! A nie miałeś odlecieć za ocean?

Zapamiętałem, że nie użył słowa drug, tylko drużok – koleżka. Coś chciał przez to powiedzieć. Cóż, „wieści szybko się roznoszą i nie będziesz...”

– Tak. Ale w ostatniej chwili zrezygnowałem. Na razie pracuję tu.

– Nad czym?

– Ludzie opanowani przez Cthulhu, najczęściej starcy i prymitywna młodzież, w chwili zagrożenia stają się potworami. Nieludzko silni, trudni do zabicia, szaleni...

– O czym ty mówisz?

– Miałem ci powiedzieć wszystko i prawdę, to mówię. Zetknęliście się z kilkoma takimi sprawami: babcia rozszarpała pięciu blokatorów, inna na naszych oczach oderwała nogę komandosowi. Nie chciałbyś oglądać filmu z tej ekspedycji, a już na pewno nie przed snem.

Zresztą, i kapitan Sukonin, i kilku innych oficerów widziało guimony na własne oczy.

Świadców jest cała masa. W każdym razie macie tu delegację piekielnego Cthulhu.

Podczas akcji na wyspie Koniewiec udało nam się rozbić sporą ich grupę, może nawet unicestwić jakiegoś arcykapłana, ale nie wszystkich. Dlatego nie odleciałem do Stanów Zjednoczonych.

O Leninkach nie zamierzałem mówić.

Niebieski Kruk omal nie eksplodował jakąś kunsztowną wiązką. Powściągnął jednak emocje. Zaciągnął się papierosem mało elegancko, po knajacku i wychylił w stronę Sukonina.

– Powiedz, że to prawda – zażądał.

– W bardzo skróconej wersji. Ani słowa przesady. Prześlę ci kilka fot. Nie uwierzysz. Pomyślisz, że Mosfilm wreszcie kupił dobry program do efektów specjalnych. Tymczasem ja straciłem w ciągu dwóch miesięcy czternastu ludzi, większość z OMON-u.

Kruk zapalił drugiego papierosa, ja nie wypaliłem jeszcze jednej trzeciej.

– Dobra, chier s wami, nie wierzę, ale widzę, że wy w to wierzycie. Ale co to ma do rzeczy? Do wojny z milicją?

– Proste – odezwał się Kostia. – Ktoś kazał twoim marszałkom naskoczyć na milicję. A oni nie potrafili temu komuś czy temu czemuś odmówić.

– Co?! – wrzasnął Kruk.

– Nie dziw się, bo pewnie sam byś nie odmówił.

– Ja jebu... – powiedział wolno Niebieski Kruk. – To jest... to jest... – Wytrzeszczył oczy i powoli rozejrzał się po pokoju. Tak naprawdę patrzył przede wszystkim w jedno miejsce, gdzie pewnie był ktoś, komu ufał i u którego szukał pomocy. Jakiś jego consigliere. – Naćpaliście się, tak? No bo nie wierzę, że wciskacie mi taki kit... – zabrakło mu słów.

– Widziałeś film Obcy – ósmy pasażer Nostromo? – zapytałem.

– Tak, sto lat temu...

– No to nasz guimon w szale rozpierdoliłby Aliena w kilka sekund. Uwierz mi.

– Nie... – zaczął.

Potem byłoby: „Nikt mi jeszcze tak bezczelnie nie robił kisielu z mózgu!”, więc wpadłem mu w słowo:

– No pomyśl, jaki mielibyśmy cel opowiadać ci bajki, zamiast gadać o odwiecznej wojnie, o walce dobra i zła... W tej sprawie też jest walka dobra i zła, tylko to zło to nie milicja, a Zło upiorne, piekielne, nierealne. Cthulhu chce panować nad światem, a guimony są jego armią, małą, ale skoczną.

– Nie! Nie i jeszcze raz nie! – Niebieski Kruk walnął płasko dłonią w stół. – Nie kupuję tego, za chuja tego nie biorę...

– Daj mi laptopa z Internetem! – wrzasnął nagle Sukonin. – Zobaczysz sam!

Kruk zamilkł i miałem wrażenie, że przez chwilę napawał się widokiem uroczystego pogrzebu dwóch legawych, ale w końcu machnął ręką. Minęła minuta, przed Sukoninem pojawił się laptop, w ciągu tej minuty i ja, i Niebieski Kruk skończyliśmy palić.

Kostia zgasił swojego papierosa, chwilę stukał w klawisze. Odwrócił komputer ekranem do Kruka, wcisnął enter.

– Chodź tu! – syknął w powietrze Kruk.

Zastukały obcasy, obok niego zacumował młody rudzielec. No, może nie taki młody, ale rudzi gładko się starzeją. Obaj wpatrywali się w ekran najpierw z zacie-kawieniem, potem niemal paniką. Dźwięk był wyciszony, ale wystarczyło, bym dokładnie wiedział, co widzą. Po trzech minutach obaj mężczyźni jednocześnie wy-prostowali się i popatrzyli na siebie.

– Jeśli to jest jakaś kiwka... padjobka... to pożałujecie tego wy, wasze dzieci, wasi rodzice, znajomi i sąsiedzi – wycedził, ale bez przekonania Niebieski Kruk.

Kostia jakby odetchnął z ulgą. Ja na pewno odetchnąłem z ulgą. Wielką ulgą.

Miło jest żyć...

Sukonin popukał palcem w krawędź ekranu laptopa.

– Ktoś taki przyszedł do twojego marszałka czy generała i powiedział mu kilka słów. A ten, srając w portki ze strachu, kazał swoim ludziom rzucić się nam do gardła.

– Ale po co? – zainteresował się rudy.

W ogóle to, że pytał nas nie „odgórnie”, z pogardą typową dla ludzi trzymających palec na cynglu, dobrze rokowało.

– Tego to i my nie wiemy – powiedział Sukonin.

Pomyślałem, że to błąd, że w tej chwili Niebieski Kruk może być naszym tymczasowym sojusznikiem.

– Myślę... – zacząłem i od razu dotarło do mnie, że podsrywam teraz Sukonina, ale przecież on i tak się ze mną nie zgadzał, kiwnięciem głowy wskazałem Kostię – ...że guimony wszczęły wojnę, żeby odwrócić naszą uwagę od siebie. Udało nam się dość mocno ich przetrzepać, może zaczęły się bać, może tylko kupują sobie czas.

Niebieski Kruk otworzył usta, opadł na oparcie fotela, siedział tak chwilę, potem opanował się, zamknął usta i wymienił z consigliere bezradne spojrzenie.

– Gdyby to nie było tak niewyobrażalnie nierealne, w życiu bym nie uwierzył... – przyznał w końcu. – No i to... – Zerknął z obawą na ekran swojego laptopa. – Daj mi chwilę.

Daliśmy, bo tylko to mogliśmy mu w tej chwili dać.

– Gdzie wódka?syknął.

Za naszymi plecami coś zabrzęczało, przygalopował jeden z goryli z tacą.

Wódka, kieliszki, karafka z jakimś sokiem.

Kruk skinął na rudego, ten szybko nalał, Sukonin podziękował ruchem ręki, ja – głowy.

Gospodarz wlał w siebie setę i nawet nie chuchnął. Zaciągnął się.

Jednocześnie sięgnęliśmy z Sukoninem po papierosy. Tylko że ja nie miałem zapalniczki, a jego przestała działać. Zerknąłem w rozterce na Kruka. Błądził gdzieś myślami. Po chwili drgnął i wrócił do nas. Zorientował się, w czym problem. Chwilę myślał, żal mu było swojego złotego cacka czy co? W końcu podniósł głowę i popatrzył na przydupasa. Ten jakby nie rozumiał, o co szefowi chodzi.

– Daj te zapalniczki – rzucił.

Pomocnik skinął głową, z ulgą? Pobiegł gdzieś, wrócił i podał mi tekturowe zapalniczki z reklamą jakiejś knajpy.

Zachichotałem w duchu. W amerykańskim filmie mafioso takiego kalibru cisnąłby mi niedbale złotego ronsona. Ten daje zapalniczki z rozmazanym zdjęciem Japonki. Co kraj...

Zapaliliśmy.

– Sukonin, kapitan – powiedział Niebieski Kruk. – Ja tę wojnę zakończę. Szybko.

Wy też się nie... angażujcie za bardzo, dobrze?

– My jesteśmy zaangażowani, niestety, zawsze. I to się nie zmieni – twardo oświadczył Kostia.

– Dobra, dobra, nie pizdiNie chodzi mi o żadne moratorium ani rozejm. Bez łaski.

Nie piłujcie przez kilka godzin za bardzo, to i was nie będą piłowali.



Sukonin nie odpowiedział. Niebieski Kruk teatralnie rozłożył ręce i westchnął.

– Nu ładna, chuj s taboj. Powiedziałem: my przerywamy ataki. Wy... Wy sobie walczcie z tym Chujulu! – Zachichotał nerwowo. – Nie pomożemy wam, bo nie mamy w tym żadnego interesu, ale nie będziemy przeszkadzać.

– Nie macie interesu? Mylicie się – powiedziałem cicho. – Cthulhu, jeśli zawładnie światem, nie zrobi was swoimi ministrami od tortur, krwi i cierpienia. Zafunduje wam takie samo piekło jak innym.

Kruk zrobił kwaśną minę.

– Dobra. Nie będę się sprzeczał... Róbcie, co chcecie, załatwcie go. Patom razbieriomsia!\*

Sukonin odchylił się w fotelu, założył nogę na nogę. Potem pochylił się, zgasił papierosa.

\* Patom razbieriomsia! (ros.) – Później to wyjaśnimy! (załatwimy).

– Posłuchaj, Kruk czy inny... – zmeł w ustach jakieś uwłaczające określenie. – Nie będziesz mi mówił, czy mogę robić, co chcę, bo tak właśnie robię. Nie będę się popisował odwagą, jesteśmy tu, nie mamy szans na ucieczkę, ale czy stąd wyjdę, czy nie – ty jesteś po jednej stronie prawa, a ja po drugiej. Możemy to sobie opisać jako istnienie dwóch plemion po dwóch stronach autostrady czy rzeki. I kiedykolwiek którykolwiek z was, przestępców na dowolną skalę, przejdzie na moją stronę – będę go ścigał i eliminował. I w miarę możliwości będę robił wypadki na waszą stronę. Jak nie ja, to ktoś inny. Zawsze znajdzie się ktoś, kto tam do was pójdzie.

– Powiem tak: jak świat światem zawsze byli tacy, co żyli po mojej stronie... pierdolonej autostrady – powiedział Niebieski Kruk.

Zdziwiła mnie intonacja jego głosu. Jakby poczuł się urażony, że oto on, car rosyjskich przestępców, bo tak go oceniałem, wyciąga rękę, wspaniałomyślnie idzie na ugodę i alians, a taki pieprzony kapitan z pogardą odtrąca podaną dłoń.

– Czy mogę? – zapytałem grzecznie. Jakoś niemiło mi było myśleć, że któryś z goryli już zbliża się z zaopatrzonym w tłumik gnatem. – Musi pan zrozumieć, że guimony na czele z kardynałami, biskupami i papieżami jak ich nazywamy, są również pańskimi wrogami. Ktoś przecież wydał rozkaz szaleńczego, samobójczego ataku...

– Samobójczego? – prychnął Kruk.

– Tak. Na dalszą metę – tak. Chyba nie sądzi pan, że świat przestępczy pokona stróżów prawa. W otwartej wojnie nie macie szans. W najgorszym razie przyjadą tu dwa bataliony piechoty morskiej z USA. Jesteście skazani na porażkę, mimo to przystępujecie do wojny. Powtarzam: to samobójstwo. Pan by takiego rozkazu nie wydał. A gdyby nawet – poszliby na to? Proszę nie odpowiadać, tylko rozważyć to sobie w duchu. – Dałem mu trzy sekundy na namysł. – A tymczasem ktoś, pomijając pana, cara urków, opiewanego w pieśniach jako Niebieski Kruk, każe im dać się zabić i ci ludzie to robią. – Znowu pauza, wyrozumowana, wymierzona i odmierzona.

– A jeśli ten ktoś każe uderzyć na pana? Jeśli uzna, że przygotowując Armagedon, ostateczną wojnę Cthulhu z ludzkością, zagarnie pod swoje skrzydła świat przestępczy?

Rudy drgnął, może czknął, nie analizowałem tego. Niebieski Kruk sapnął ze złością.

– Jak wy, kurwa, Polacy, zawsze potraficie odwrócić kota ogonem. – Zgrzytnął zębami. – Dobra, co twoim zdaniem mam zrobić? Ale uważaj, nie przegnij, bo ja – do rany przyłoż, ale mężczyzna musi ponosić odpowiedzialność za swoje słowa, musi czasem za nie płacić.

– Na pewno wojna jest na rękę nie nam i nie wam, powinna więc szybko się skończyć. Cthulhu jest wrogiem całej ludzkości, pożre, pochłonie, rozszarpie wszystkich. Po obu stronach autostrady. Wnioski nasuwają się same. Pomocy nie potrzebujemy... – Chyba, pomyślałem. Chętnie bym wysłał w pierwszym rzucie na jakąś siedzibę biskupa Cthulhu bandę Niebieskiego Kruka, ale Kostia na to nie pójdzie. Nie pójdzie, ale może zażądać od Niebies... Rzuciłem szybkie spojrzenie na Sukonina i od razu zrozumiałem, że jeśli palnę coś o pomocy w uwolnieniu Leninek, stanę się jego śmiertelnym wrogiem. – Poza tym nie możemy dopuścić do przecieku informacji do opinii publicznej, bo zacznie się wrzenie w stylu: „Co robi władza!” albo ludzie zaczną eliminować „podejrzanych”, rozkwitną sekty gwarantujące zbawienie i ocalenie, czyli tak naprawdę dojdzie do tego, o co Cthulhu chodzi.

Niebieski Kruk zachichotał nerwowo.

– Spociłem się, job twaju mat', słuchając ciebie. – Pokręcił głową, wymienił spojrzenie z rudym. – Jako adwokat albo prokurator zrobiłbyś karierę. Jaki masz stopień?

– Tajemnica.

– Aha, lejtienant albo kapitaniszka...

Zapadła długa, długa, długa cisza. Rudy consigliere trwał bez ruchu jak posąg.

Jeśli oddychał, to ja tego nie widziałem. Sukonin siedział nieruchomo, ja też nie wymachiwałem rękami. Szczerze mówiąc, byłem równie nieruchomy jak reszta.

– Dobrze. Taki deal. Wy róbcie swoje, a co ja zrobię – nie wasza sprawa. – Popatrzył na mnie, potem na Sukonina. – Więcej się nie spotkamy, a jeśli spotkamy, to już bez sentymentów i pierdolenia o wspólnej walce ze wspólnym wrogiem. Jeśli mnie kiwnąłeś – wpił we mnie spojrzenie jasnych, wcale nie kruczych oczu – znajdę cię nawet na dnie oceanu i przez dupę wyciągnę wszystkie kichy na zewnątrz.

Umiemy to robić.

Powstrzymałem się od komentarza. Od błaznowania. Od oddychania.

– Wsio. Razajdiomsia pa domam!

Plasnął dłonią w kolano i wstał. Obszedł stół i fotele i zniknął za najbliższymi drzwiami. Rudy odczekał chwilę i odetchnął z ulgą.

– Idiom! – Machnął ręką i skierował się do drzwi prowadzących do garażu.

Tam czekał wóz, rudy wskazał drzwi, bez słowa odwrócił się na pięcie i już go nie było. Należało się odmeldować.

Wsiedliśmy, wsiadł kierowca i konwojent.

– Worki – burknął ten ostatni bez specjalnego przekonania, ale nie protestowaliśmy.

Godzinę później usłyszeliśmy:

– Wysiadajcie.

Zdjeliśmy worki z głów.

Na zewnątrz zapadał zmierzch. Smolny oświetlały dziesiątki reflektorów.

Wyglądał teraz inaczej niż w świetle dziennym, ale czy lepiej?

Zapaliliśmy bez słowa, zaciągnąłem się głęboko. Zapałki już miałem cisnąć do kosza, ale przypomniałem sobie, że nie wiem, gdzie mam zapalniczkę. Wylądowały w kieszeni.

Sukonin sztachnął się pospiesznie trzy razy. Zamrugał powiekami nagle uprzytomniłem sobie, że przez cały pobyt u Niebieskiego Kruka nie widziałem, by choć raz mrugnął. Odruchowo ja też zamrugąłem. Zacząłem obserwować Kostię. Po chwili byłem już pewien: nie mruga. W każdym razie w chwili napięcia, zagrożenia, podniecenia nie mruga!

– Kamil... Ty nie masz pojęcia... – mruknął. – Nie masz bladego pojęcia, z kim rozmawialiśmy. Nikt z milicji nie to, że go nie widział, nikt nie odważy się skłamać, pochwalić, że go widział. Nie wszyscy wierzą, że istnieje...

– A mnie tacy królowie podziemia wkurwiają maksymalnie. W dupie mam ich styl bycia i życia jak z romansów Dumasa, pierdołę ich moc i zasięg władzy. Najchętniej naszczałbym mu na ten jego turecki dywan – wycedziłem. – Nienawidzę ich jak niczego innego i dlatego się nie boję, dlatego nie muszę oddychać z ulgą.

– Al Capone biegałby po świeżą gazetę dla niego! – rzucił z urazą Kostia.

– A mnie Al Capone wisi i powiewa! – Strzeliłem niedopałkiem w stronę metalowego kosza na śmieci. Nie trafiłem. – Jak suchy pastewny burak, jak mielona...

– No już, nie nakręcaj się – przerwał mi. Zerknął na zegarek. – Jedziemy do firmy!

– Rozejrzał się, zorientował względem rozjarzonego światłami Smolnego, wskazał kierunek palcem. – Myślałem, że najbardziej nienawidzisz guimonów – dodał z pewną dozą złości, złośliwości czy przekory.

– Guimony to inna bateria. Nienawidzę ich, oczywiście, ale nie jako ludzi, tylko jako guimony – ludzi, owładniętych Złem. To jednak nie oni czynią zło. Ono jest jak pasożyt w ich duszy, piekielna narośl, nowotwór sterujący ich działaniem.

– A w Wadowicach? – rzucił przez ramię, szybko przemierzając pokreślony żywiołowo utworzonymi ścieżkami trawnik. – To nie był człowiek?

– Tak, ale sam z siebie by tego nie zrobił. Jego sternik kazał mu tak postępować.

– Fajnie, a gdyby sternik kazał człowiekowi rozpylić węgla z wieży Eiffla?

Teatralnie przyłożyłem palec do warg. Sukonin pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „No, właśnie!”.

Znaleźliśmy naszego hyundaia.

– Mamy w Rosji stu dziewięćdziesięciu królów podziemia...

– Wory w zakonie? – zapytałem, żeby pokazać, że co nieco wiem.

– Tak. Nawet wiem, kto jest kto, gdzie mieszka. Witia Kalina, Globus, Rambo, Amiran Kwantriszwili, Fiedia Szalony, bracia Pipija, Otar Sokiradze, Bicz, Boria Kitajec, Samałodze, Bajbasarow... Z pamięci mogę ci wymienić osiemdziesięciu z nich. A Niebieski Kruk...

– westchnął. – Do dziś nie byłem pewien czy to tylko symbol, element błatnego folkloru. – Popatrzył na mnie.

– Dziękuję, że nie wspomniałeś o Leninkach.

– Sami je uwolnimy – oznajmiłem. – Nie potrzebujemy pomocy Kruka, wrony, kury ani innego pierdolonego drobiu!

Leciutko skinął głową. Nie mrugnął.

Dojechaliśmy do komendy bez słowa. Dopiero na parkingu Kostia popatrzył mi w oczy.

– Przemilczmy to, co? – zaproponował.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak chcesz. Ty wiesz lepiej.

– Właśnie. Powiem generałowi, reszcie ta informacja do niczego nie posłuży. Nie mam teraz czasu ani głowy do walki z Niebieskim Krukiem. Nie będę każdemu po kolei tłumaczył, dlaczego nie skoczyłem mu do gardła.

– OK. Rozumiem. I popieram.

– OK. Idziemy do centrali. I tu się pomylił.

Rozdzwonił się jego telefon. Sukonin zeszywniał, ale udało mu się wyłowić aparat z kieszeni i nie upuścić go. Już wiedziałem, co się dzieje.

– Odezwał się telefon Niny!

Do centrali nie poszliśmy, a pobiegliśmy.

## ROZDZIAŁ 6

W centrali już zasiadało stałe towarzystwo: generał Jarcew, Gariadze, Konowalenko, Jerzy, tylko omonowców było o jednego mniej. Na głównym ekranie skaner malował coś seledynowymi i czerwonymi kreskami. Sukonin znieruchomiał w progu i chwilę pochłaniał widok.

– Siadajcie, kapitanie – rzucił Jarcew.

Ominąłem Kostię i zająłem miejsce obok Jerzego.

Sukonin usiadł na pierwszym wolnym krześle, wyszarpnął z kieszonki groszek słuchawki i wcisnął głęboko w ucho. Pewnie podsłuchiwał, co się dzieje w skano-wanym mieszkaniu.

Jarcew wstał, odsunął się od ekranu.

– Mamy kompletną lokalizację – powiedział.

Nie patrzył na Sukonina, ale miałem wrażenie, że żywił pewnego rodzaju pretensje do nieobecnego w ważnym momencie zięcia. Na pewno był bardzo zde-nerwowany, może nawet na granicy wyczerpania. Wojna z guimonami jakby na chwilę, na jednym odcinku wygrana, porwanie żony i ukochanych wnuczek, wojna z bandytami...

– Ulica Michajłowa – ciągnął generał – dokładnie naprzeciwko fabryki Arsienal, Michajłowa trzy, mieszkanie numer czternaście. Za chwilę będziemy mieli nazwisko właściciela, ale wszystko wskazuje na to, że to typowa „wynajmiocha”. – Popatrzył na ekran, na którym linie przestały drżeć i miotać się. – Pokój, w którym ktoś ma telefon i chodzi z nim... – mówił, nie odwracając się.

Panował nad swoim głosem niczym diwa Teatro al a Scala.

– Wy tłumaczyłem im, że to daje pełniejszy i pewniejszy skan pomieszczenia – powiedział Sukonin.



Oczekiwałem, że głos mu się załamie, że zachrypnie, no, że jakoś się zmieni. Ale nie! Czysty, klarowny sukoninowski głos.

Tyle że nie mrugał...

Do centrali wpadł trzeci brakujący omonowiec, dwoma długimi krokami, nie, przesadziłem: czterema długimi krokami dopadł do generała.

– Towarzyszu generale, właścicielem mieszkania jest niejaki Marat Skabidze. – Wskazał palcem ekran, na którym pojawiło się wydłużone, „chrystusowe” oblicze, tylko włosy i broda były ciemne, czarne, zwyczajnie czarne. Ciemne oczy patrzyły pytająco i jakby lekko ironicznie.

Zaciekawiło mnie, jak taki klasycznie „czarnodupy” człowiek daje sobie radę w niechętnym mu świecie. I od razu pojawiła się na ekranie odpowiedź: dwie następne fotografie pokazywały jakby innego mężczyznę – włosy miał rozjaśnione, skrócone, po brodzie nie został nawet ślad, rozjaśnione brwi i rzęsy powodowały, że spojrzenie nabrało lekkości. Z trudem bym go rozpoznał.

– W kartotece nic na niego nie mamy – meldował dalej – raczej się nie udziela w sferze pomocy swoim, nie przekazuje im pieniędzy. – Wzruszył ramionami. – Może być też głęboko uśpiony, przeznaczony do zadań specjalnych, ale raczej postawiłbym na to, że robi tu pieniądze, jest bezpieczny i unika kłopotów.

Generał odwrócił się, smagnięty jego spojrzeniem omonowiec szybko dodał:

– Już po niego pojechali, będą przesłuchiwać po drodze, za kilka minut wyniki dotrą do nas...

– Jak to mieszkanie jest zlokalizowane w budynku?

– zapytał mnie Jerzy cicho.

Wszystkie głowy odwróciły się do nas. Przetłumaczyłem pytanie.

- Ostatnie piętro, piąte.
- Czyli czwarte – wyjaśniłem Jerzemu. – Piąta kondygnacja.
- Wejdziemy od góry – poderwał się Konowalenko.
- Odwrócenie uwagi i wejście.

Nikt nie zaproponował. Relacjonujący aspekt mieszkaniowy omonowiec poruszył się, odruchowo dotknął słuchawki w uchu.

– Właściciel wynajął ten lokal parze Ukraińców, z zawodu dentów, młodzi ludzie.

Już ich szukamy. Widocznie podnajęli je komuś, kto dobrze zapłacił. To częsta praktyka.

Jarcew wrócił na swoje miejsce. Wyglądał na spokojnego, był spokojny, jakby informacja o mieszkaniu dodała mu sił.

– Dobrze. Plan mieszkania – raz. Dwa – plan operacji osłonowej – kapitan Sukonin. Operacja uwolnienia – major Konowalenko. Kapitan Gariadze działa w grupie operacyjnej Konowalenki. Kapitan Stochard – grupa osłonowa.

Jerzy został bez przydziału. No bo jak by to wyglądało – pułkownik pod kapitanem czy majorem?!

Do północy brakowało niecałych trzech godzin.

Atak na mieszkanie porywaczy miał nastąpić za dziesięć godzin.

Kompletny i konkretny plan został zatwierdzony o czwartej rano.

Zostały trzy godziny.

Sukonin wyjął paczkę papierosów, pokazał mi ją i wskazał drzwi.

Wyszliśmy na korytarz, skręcił w lewo, w przeciwnym kierunku niż do windy.

Weszliśmy do jakiegoś saloniku – termosy z kawą i herbatą, dwie przeszklone chłodziarki na napoje, popielniczki. Sukonin nalał sobie kawy, usiadł, zapalił. O mnie zapomniał, ale poradziłem sobie z wyjęciem puszki fanty. Odkryłem, że rosyjska jest nieco inna niż „polska”, lepsza – bardziej orzeźwiająca. Niby dlaczego? To, że coca-cola ma specyficzny smak w zależności od lokalizacji, smak uwzględniający specyfikę części globu – wiadomo, ale dlaczego fanta jest inna?

– Nie wiem, czy nie masz nam za złe, że tak się odnosimy do ludzi z Kaukazu – powiedział nagle Sukonin, patrząc przed siebie.  
– Macie u siebie ośrodki dla czeczeńskich uchodźców. Zakajew to dla was bojownik o wolność... Nie obchodzi mnie to. Nie wszystkich Czeczenów uważam za bandytów i terrorystów. Po prostu oni są inni. To prości górale niech wypasają te swoje owce i śpiewają na osiem głosów stare pieśni bojowe. Przyjeżdżają tu, bo dostają za darmo kawę, pszenicę, papierosy i telewizory, a jak nie biorą, to zabierają. Komu się da. Nie żyją na wyspie, w izolacji, więc ich styl życia nie podoba się sąsiadom. Osetyńcy, Gruzini, Dagestańczycy też są odrębni, ale jakoś przychylniejsi, elastyczniejsi, można się z nimi dogadać.

Dlatego Rosjanie jak słyszą Czeczen, zgrzytają zębami i nerwowo rozglądają się.

– Wiesz, że naciskanie na nich powoduje odwrotny skutek?

Jak by nie słyszał, co powiedziałem.

– Cztery lata temu pojechałem w delegację do Oseti Południowej. Formalnie to jest Gruzja, ale oni chcą się oderwać i

przyłączyć do Osetii Północnej, która funkcjonuje w ramach Rosji. Jechaliśmy dwoma samochodami. Z Władykaukazu do Cchinwali prowadzi kręta droga w głębokim parowie, dobry asfalt, widoki bajeczne, jak powiedział mój kolega – bająnskie. W pewnej chwili wjeżdżamy do wsi. Byłej wsi.

Po prawej stronie ruiny spalonych domów. Wszystkie zniszczone. Na skraju wydłużonego placu, takiego parkingu na cztery tiry, trzy domy, całe. Sklep. Nad drzwiami kołysze się żarówka na drucie. Było już koło szóstej, zmierzchało. Ja i kolega poszliśmy do tych ruin się odlać. Okazało się, że domy w drugim szeregu są – nie wiem, dlaczego – wypełnione po sufit plastikowymi butelkami, wiesz, typu PET.

Było ich tysiące, a może i dziesiątki tysięcy. Pewnie wrzucali je tam nasi mirotwórcy z sił rozjemczych, bo trudno przypuścić, żeby biedni górale wypili tyle pepsi i mirindy.

Poszliśmy nieco dalej i tam sobie ulżyliśmy. Nagle gdzieś z gór poszły serie, kilkanaście luf wali w dół. Nie do nas, nas chyba nie widzą. Broń została w samochodzie. Przywarliśmy do ściany, nasłuchujemy. Nasi odpowiedzieli niemrawo. Po chwili zawyły silniki, pisnęły opony i... cisza. Odjechali. Zostaliśmy sami. Po chwili dobiegły nas śmiechy, gwizdy i krzyki. To atakujący schodzili z góry do tej wsi. Mój kolega, tiozka...

– Co? – przerwałem.

– Tiozka... No, to samo imię.

– Imiennik.

– Tak, też Kostia, pod osłoną resztek murów pobiegł do najbliższego domu z butelkami zagrzebał się w nich... Wiesz, dla dzieci są w centrach handlowych takie pokoje z kolorowymi

plastikowymi piłkami, w których mogą się zatopić po uszy. My też tak zrobiliśmy. Trochę śmierdziały, ale nie przesadnie.

– A ci napastnicy? Czeczeni?

– Najprawdopodobniej. Dwóch czy trzech przyszło do tej części wsi, może też się odlewali. Z tego, co usłyszałem, wychwyciłem kilka czeczeńskich słów, ale mogły być podobne lub wspólne dla kilku języków, może dla Inguszów? Nie wiem.

Chciałbym powiedzieć coś takiego, co by dodało rumieńców tej opowieści, że na przykład przyszli się wysikać na stertę butelek, pod którą leżałem, albo że strzelali na oślepa i zranili tego Kostię, ale nic takiego się nie stało. Noc spędziliśmy pod butelkami, rano wygrzebałem się, wywołałem swojego imiennika. Poszliśmy do sklepu kupić coś na ząb, napić się, może zadzwonić, bo komórki były bezużyteczne... Na drzwiach zobaczyłem kartkę... – Sięgnął do kieszeni, wyjął z portfela złożoną wielokrotnie kartkę, delikatnie ją wyprostował i położył przede mną na stole. Nabazgrano na niej grubymi kulfonami, jakby palcem umaczanym w czymś brązowym:

„Ona sprzedawała (się) Ruskim”

– Pocięli tę sprzedawczynię, młodą dziewczynę, pochlastali, zaszlachtowali jak szaleńcy. Odechciało mi się pić i jeść. Nie wiem, po co zabrałem tę kartkę, oczywiście to jest krew. Nie wiem, po co ją noszę. – Popatrzył na mnie i uśmiechnął się smętnie. – Nie myśl, że to jakiś mój sztandar, że co pewien czas wyjmuję ją i odnawiam jakieś przysięgi, nie jest też moim amuletem. Nie wiem... Po prostu ją zabrałem, teraz już jej nie wyrzucę. Mam. Po dwóch godzinach przyjechały dwie tankietki, zabrały nas i tyle...

Chciałem powiedzieć, że taka pamiątka może go fałszywie ukierunkować, że zaślepią, ale przeważała inna myśl: „A co cię to, Kamil, obchodzi? Na polskich dworcach bomby nie wybuchają”.

– Porywacze, jak sądzimy, nie są z Kaukazu – zauważyłem.

– Tak, wiem. Opowiedziałem ci tę historię dlatego, że według mnie ktoś chce upiec trzy pieczenie przy jednym ogniu: pomścić zabite na Koniewcu guimony, osłabić milicję, skierować dochodzenia na inne tory i temu służy ta maskarada z porywaczami.

– Ktoś by chciał, żebyście wyłapali wszystkich brunetów i wszystkie brunetki w rosyjskich miastach, a oni, z zemsty kierowali do was wciąż nowe i nowe zastępy szachidów i szachidek, i tak się będzie nakręcała tak zwana spirala nienawiści?

– Właśnie.

Zapadła cisza. Niby nic mnie to nie obchodziło, albo wmawiałem sobie, że mnie nie obchodzi, jednak nie udało mi się przymknąć jadaczki.

– Moim zdaniem powinienes to wyrzucić – wskazałem głową kartkę.

– Tak myślisz?

– Tak. Ty nie potrzebujesz dodatkowego paliwa.

Patrzył na mnie uważnie, czujnie, pytająco. Potem sięgnął po kartkę, szybko przyłożył do rogu płomień zapalniczki i spalił ją nad popielniczką.

– Już.

Napiłem się fanty. Zaburczało mi w żołądku. Uświadomiłem sobie, że nie jadłem od dobrych dwunastu godzin. Łyknałem

jeszcze fanty.

– Kamil? – odezwał się Kostia.

-Tak?

– Zabezpieczacie z Jerzym ulicę. To nie jest brak zaufania do was, szczególnie do ciebie.

– Nie ma sprawy.

– Nie ma – zgodził się. – Zostałeś ciężko ranny, jesteś po rekonwalescencji i tak dalej. Już raz cię pochowali. OK?

OK.

– A co myślisz o tym... jak działać po odbiciu Leninek?

Zaskoczył mnie. Rzeczywiście sporo myślałem o kierunku działania po uratowaniu dziewczynek. Niewiele wymyśliłem.

– Nie mam pomysłu – przyznałem się. – Będziemy musieli zrobić burzę mózgów.

– Chyba tak. Chcesz się zdrzemnąć?

– Nie...

– To tak jak ja. Wracam do centrali.

Wróciliśmy razem. Dwie godziny trwało powtarzanie detali, precyzowanie, szukanie dziur. Ostatecznie godzinę ataku ustalono na dziewiątą, po szczycie prze-wozów, uspokojeniu na ulicach. Zaczęliśmy się rozchodzić – jedni do bufetu, inny do gabinetu, pewnie na kanapę. Ja zamierzałem wyjść na patio, wypalić papierosa, zażyć jedną z przepisanych na podobne okazje pigułek przeciwbólowych, niwelujących i aktywizujących.

Nagle Sukonin syknął i uniósł głowę, kilkanaście sekund wsłuchiwał się w dźwięki z mikrośłuchawki w uchu. Wczepiło się w niego osiem par oczu, cichy głos Kostii, cichy, ale zgrzytliwie tnący po bębenkach uszu, sprawił, że zeszywnieli wszyscy.

Szybko połknąłem swoją pigułę.

– Musimy przyspieszyć. Porywacze zdradzają oznaki... wycieńczenia – wychrypiał Sukonin.

Szósta trzydzieści wyruszyliśmy na akcję.

– Teraz twoja kolej – kategorycznym tonem oświadczyła Lena, podając siostrze telefon.

Ta przewróciła teatralnie oczyma, ale wzięła aparat i zaczęła zbierać jajka, spuszczone przez siedzące na czterech grzędach złośliwe, coraz szybciej znoszące jaja kury. Kultowa radziecka gra, pierwsza elektroniczna gra z wilkiem i zającem znalazła drugie życie w cudownym nienormalnym telefonie. Obok czterystu innych.

– Dlaczego każesz jej grać? – zapytała Irina Matwiejewna. – Ona nie chce, prawda?

– Nie, dlaczego, babciu, chcę! – szybko zapewniła wnuczka.

– Przecież widzę.

– Nie, tylko ona mi każe pobić swój rekord, a to niemożliwe, bo już zebrała dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć punktów. A potem jest reset.

– Reset... – westchnęła babcia. – No tak...

Nina zajęła się zbieraniem turlających się po pochylniach jaj. Lena podeszła do zasłoniętego deskami okna i setny raz wypatrywała w nich szczelin. Irina Matwiejewna wzięła do ręki krzyżówkę i bezmyślnie zapatrzyła się w opisy haseł w pionie. Od siedmiu godzin udało jej się wpisać cztery wyrazy. Jeden podpowiedziała jej Nina.

Lena odeszła od okna, przemierzyła pokój i nagle zaczęła walić w drzwi piąstkami i kopać w nie czubkami tenisówek.



– Hej tam? Dajcie jakąś książkę! Chcę czytać! Nudzi mi...

Drzwi otworzyły się gwałtownie, Lena ledwo złapała równowagę, skrzywiła się, chwyciwszy za przedramię, otworzyła usta do krzyku, ale widząc minę porywacza, zaniemówiła.

– Czego, cholera by cię wzięła?! – Dopadł małej, chwycił za rękę i szarpnął do siebie.

Irina Matwiejewna poderwała się z wersalki, mężczyzna wyciągnął zza paska pistolet z długim przerażającym tłumikiem i wycelował w atakującą go babcię.

– Jeden kroki, rozwalę ci łeb! – wrzasnął. – Żyjesz tak długo, jak długo nie będziesz nam sprawiała kłopotu! One są nam potrzebne, nie ty, staraja kar gal.

– Nie mów tak do moj... – zaczęła głośno Nina.

Porywacz błyskawicznie przesunął broń w jej kierunku i wystrzelił. W pokoju rozległo się ciche pyknięcie. Na ścianie, pół metra nad głową dziewczynki, pojawiła się mała kawerna w tynku. Siostry jednocześnie zaczerpnęły gwałtownie tchu, ale nie odezwały się. Jęknęła tylko ich babcia, odwracając się w kierunku Niny. Widząc ją całą, zdrową i tylko lekko przerażoną, chwyciła się za serce, ale zaraz zacisnęła usta, by po sekundzie rozewrzeć je z wysiłkiem.

– Ty pa-ra-zy-cie... – powiedziała. – Dziecko... Skrzywdzić dziecko? Co z ciebie za człowiek, gdzie ty masz serce, kanalio...

– Zamknij się, babo – wycharczał porywacz. – Moja dobra wola się kończy, a moim kolegom skończyła się dawno temu. Tylko dzięki mnie jeszcze żyjecie, ale, żebym zdechł, już nie mam cierpliwości. – Pchnął Lenkę w kierunku babci. – Pilnuj jej i tej drugiej, żarty się skończyły. – Wbił w Irinę Matwiejewną

rozjuszony spojrzenie. – Oddaj ten jeb... ten telefon. Koniec z zabawami, koniec z łomotaniem w drzwi, z wrzaskami. Jedna sylaba za dużo, a któraś z was pożegna się z życiem!

– Czego wy od nas chcecie? – zapytała drżącym głosem Irina Matwiejewna. – Podajcie warunki. Okup? Czy chcecie...

Chciała powiedzieć „uwolnienia waszych z więzienia”, ale uświadomiła sobie, że po pierwsze, podpowiada porywaczom warunki, po drugie, ten akurat nie będzie w żadnych okolicznościach spełniony.

– Powiem, kiedy uznam to za konieczne – wycedził porywacz. – A teraz, powtarzam, gęby na kłódkę. Gasicie światło i spać. Żadnego wychodzenia do ubikacji, macie nocnik. Bo... – zmeł w ustach jakieś nieciekawe obietnice, wycelował po kolei pistolet w obie dziewczynki i na koniec w czoło babci. – Cisz-sza!

Wyszedł, trzaskając mocno drzwiami, głośno zgrzytnęły rygle zamka. Mężczyzna przemierzył kawałek korytarza i wszedł do kuchni. Przy stole siedziało pozostałych trzech porywaczy. Wszyscy zdjęli peruki i odczepili fałszywe kruczoczarne brody, przybyły dosiadł się, szarpnął włosy, cisnął perukę na szafkę i zdarł brodę.

– Mam dość – wyrzucił z siebie.

– A my to co, wczasy mamy? – szybko odpowiedział siedzący plecami do okna.

Zasłonięte szczelnie, nie dodawało ani luksa do oświetlenia kuchni.

– Niepotrzebnie się na to zgodziliśmy – powiedział krótko ostrzyżony. Tylko przed nim leżał pistolet. Pozostali mieli broń przy sobie: dwaj w kaburach, ten, który przed chwilą groził

porwanym, nosił swoją za paskiem. – Od początku mi to śmierdziało.

– A mieliśmy wybór? – ponuro skwitował jedyny, który z grubsza przypominał urodzonego w górach Kaukazu: brunet, z dużym garbatym nosem, z granatową szczeciną na brodzie i policzkach.

– Nie trzeba było się zgadzać, Wano – warknął ten, który wszedł do kuchni ostatni.

– Misza, co ty pierdolisz? – obruszył się siedzący tyłem do okna. – Odmówić Dropiatemu? – Parsknął krótkim, pełnym rezygnacji śmieszkiem. – Świetny pomysł.

Nie musiałbyś się już o nic martwić.

– A tak to co, inaczej? – zapytał Misza. – Porwaliśmy psie dzieci i jakby tego było mało na wyrok śmierci żonę generała legawki. Kurwa, jak chcesz się z tego wykręcić?

– Kazali czekać na dyspozycje od Dropiatego, no to czekamy.

– Jak długo jeszcze? Mientura pewnie szaleje, płacą jednym, wyłamują palce i miażdżą jaja innym, prędzej czy później jakaś gnida coś chlapnie, jakiś nark na głodzie, na przykład, i dobiorą się do nas.

– Durniu, mamy te gówniary... – zaczął Wano.

Misza gwałtownie wyciągnął ręką i palcem wskazującym niemal dotknął czubka jego nosa.

– I co, może się z nimi poženimy, żeby teść nas nie skrzywdził? – szydził. – Mamy przejebane. Bardziej przejebane niż po odmowie Dropiatemu. Od niego moglibyśmy zwiać, od mientury – ni chuja.

W zapadłej nagle ciszy słychać było, jak piętro niżej przenikliwie gwizdże czajnik.

– Oddamy je – zajebie nas Dropiaty, nie oddamy – Sukonin – podsumował siedzący tyłem do zaślepionego okna. – Może... – przejechał długim pazurem kciuka po grdyce – ...i spierdalamy stąd?

Dwaj, Misza i czwarty, którego imię, podobnie jak tego spod okna, nie padło, pokręcili głowami.

– Ty co, ochujałeś? To nasze tromfy, kretynie. I na Dropiatego, i na Sukonina.

Dopóki żyją, możemy się targować.

– Wiesz, co nam zrobi Dropiaty, jak się dowie, że je zlikwidowaliśmy – poparł go bezimienny koleżka.

Wano pokiwał głową.

– Tak, Żyła ma rację, to najgorsze wyjście, jeśli w ogóle jest to wyjście...

– Chuja tam wiesz! – zrzędlawie burknął mężczyzna spod okna. – Najgorzej będzie, jak nam je odbiorą. Wtedy i Dropiaty nam wpierdoli, i Sukonin dołoży. Albo odwrotnie, nieważne.

– No to co robimy? – zapytał po chwili milczenia Misza.

Na głębokiej ciszy zapadłej w kuchni można by ugotować gęsty sos albo powiesić szlafrok. Albo samemu się powiesić.

– No właśnie... – westchnął Misza. – Idziemy spać. Zmiana co cztery godziny.

Żadnej samowolki. – Zatknał kciuki za pas i przejechał nimi dokoła, poprawiając fałdy koszuli, poprawił też pistolet. – Jakby coś się działo, budzić mnie.

– Nie jestem pewien, czy Dropiaty powiedział, że to ty dowodzisz – mruknął bezimienny spod okna.

– Leonczik... – syknął Misza. – Jak ci się nie podoba, przejmij dowodzenie. Ja chętnie stąd bryknę i nie zatrzymam się aż w Chile. Skoro nie dowodzisz, to siedź cicho i rób, co ci każe ktoś mądrzejszy. Rozumiesz?

– Ta... – burknął zapytany.

– Zostajesz na warcie pierwszy – powiedział Misza. – Reszta spać. Chuj wie, jak się jutro potoczy dzień...

Leonczik został sam w kuchni.

Zapalił, zaciągnął się kilka razy metodycznie: nosem wypuszczał, ustami wciągał dym. Pod lampą zakotłowały się popielate wstęgi. Leonczik wypalił papierosa w rekordowym czasie, nalał sobie wody mineralnej, wypił całą szklanę duszkiem, beknął przeciągle.

Usiadł i pograżył się w rozmyślaniach.

Po trzech godzinach miał przed sobą w popielniczce pół paczki niedopałków i jeszcze większy mętlik w głowie.

Myśli goniły się zaciekle, acz bezsensownie, jakby zwała się ich na niego cała kopa. Czuł się jak pogrzebany pod stogiem siana – co odgarnął trochę, to przywalała go sterta z innego miejsca.

Dropiaty też nie wyglądał dobrze. Ślina mu ściekała kącikami pyska. Czterech ludzi z nim... bał się... A zabić je, kurwy małe! Komu one potrzebne? Ucieknę do Balimy Krzywego, w Stawropolu miejsca dużo, albo do Wuja... Kurwa mać...

Kurwa... Miszka też się trzęsie. A jak mu odbije, że one potrzebne komuś wyżej? A psy? Nie śpią. Szukają. Znajdą, to zabiją. Dropiaty kazał, ale sam się nie wiąże...

Ucieknie, skurwysyn, ucieknie, żeby chuj na chuju stanął. Albo sam zakapuje i kupi sobie życie. Życ, kurwa, chcę!

O trzeciej dwadzieścia, dziesięć minut przed zmianą warty, wyjął z kieszeni pistolet i długo wpatrywał się w otwór lufy. Potem wyjął magazynek, włożył bezmyślnie z powrotem. Odbezpieczył.

Ulica Michajłowa, kimkolwiek on był, ciągnie się od Nabrzeża Arsenalnego przez trzy przecznice i kończy w dość chaotycznym skupisku bloków fabrycznych i dziesiątków małych firemek, które za tanie pieniądze urządziły tu swoje magazyny, sklepy, biura. Nas interesował pierwszy kwartał, budynek z cegły, pomalowany na dziwaczny pomarańczowy róż. Za pięć siódma przejechaliśmy tą ulicą od ulicy Komsomołu w kierunku Newy. Skręciliśmy za róg, zaparkowałem odrapanego golfa na chodniku, wysiedliśmy i czekaliśmy pod osłoną drzew.

O siódmej jedenaście rozległ się głośny huk. Wyjrzelśmy zza rogu w głąb Michajłowa. Palił się stary dostawczy mercedes, odczekaliśmy kilka minut, dały się słyszeć jękliwe nawoływania syreny strażackiej, dołączyła druga, potem trele dzwonków milicyjnych. Wolno ruszyliśmy w stronę pożaru. Po chwili byliśmy o trzydzieści metrów od płonącego wozu, biegnącego dokoła „zrozpaczonego właściciela” i pierścienia gapiów. Jakaś babunia w mieszkaniu na parterze podeszła do okna z obranym jabłuszkiem i odkrawała małym nożykiem kawałki owocu, a potem energicznie poruszając ustami, przeżuwała je, z ogromną radością przyglądając się darmowemu epizodowi całkiem jak „Z życia wzięte”.

Strażacy miotali się mało produktywnie, to rozwijali węże, to szarpali gaśnice, potem szacowali ogień i znowu brali się do węży. Takie mieli zadanie.

Za przykładem dziesiątków innych gapiów zrobiłem i ja kilka zdjęć komórką.

Zerknąłem do góry, w oknie naprzeciwko mieszkania Marata Skabidze jakaś dziarska dziewczyna pstrykała serie fot z wykorzystaniem dużego teleobiektywu.

Wiedziałem, że za jej plecami czai się dwóch snajperów, tylko czekających na znak Sukonina.

Gdzieś znad Newy dotarł do nas warkot silnika, zbliżał się. Mały żółty śmigłowiec z logo stacji telewizyjnej na boku zawisł nad ulicą, kamerzysta wychylił się mocno, skierował obiektyw na pożar. Po chwili pomachał do pilota, ten poderwał maszynę, zatoczył koło i zniknął nad dachami.

Wiedziałem, co się teraz dzieje. Sukonin, Konowalenko i jeden omonowiec wyskakują na dach budynku numer dwa. Wcześniej, kwadrans temu, młoda dziewczyna weszła na poddasze i otworzyła kłódkę na klapie w dachu. Za chwilę cała trójka przystanie pod drzwiami, potem jeden z nich wystuka numer telefonu sta-cjonarnego. Któryś z porywaczy podejdzie do aparatu, znajdującego się na półeczce w połowie korytarza, inny pewnie zostanie przy oknie, zaintrygowany czy zaniepokojony rejwachem na ulicy. Jak by szczęście sprzyjało, to w oknie będą dwaj.

Po dwóch czy trzech sygnałach drzwi wypadną z zawiasów, a może dadzą radę otworzyć je bezszelestnie jakimś cudo-szpejem z Chin lub Hongkongu. W tym samym momencie snajperzy otworzą ogień do stojących w oknie porywaczy i Sukonin odstrzeli

odbierającego telefon. Chyba żeby się ładnie podda. Skutecznie. Wiedziałem, że Kostii nie zależy na jeńcach ani na językach, i jakaś cząstka mnie wzdrygała się na myśl o egzekucji, zwyczajnej egzekucji, zemście, pomście. Jednakowoż życie i zdrowie porwanych są w tej chwili najważniejsze. Wartość zeznań porywaczy jest bardzo, baardzo, baaardzo problematyczna i wątpliwa. Gdyby nawet poszli na współpracę, to to przecież nie znają nazwiska tego, kto im kazał porwać dziewczynki. Odeślą nas do kogoś kto już zacumował na dnie Newy z betonową kotwą u nóg.

Jerzy skinął na mnie i wolno podeszliśmy do bramy. W jej mrocznym prześwicie widać było dziewczynę – tę, co kiedyś w martensach i z aparatem w dłoni opiekowała się mną i Jerzym, a dzisiaj otworzyła klapę w dachu. Teraz doskoczyła do kraty i otworzyła ją od wewnątrz.

Jeszcze nic – szepnęła.

Ruszyliśmy schodami do góry. Pierwsze piętro, drugie, trzecie, zacząłem posapywać. Zatrzymaliśmy się. Jak na zamówienie, dwa piętra wyżej coś szcęknęło i rozległy się potworne wrzaski – atak psychologiczny na tego pechowca, który podszedł do telefonu. On jeden miał jakąś szansę, bo ci, czy ten przy oknie, z definicji, z planu operacyjnego przeznaczeni byli do odstrzału.

I brzęknęły przeszyte pociskami szyby.

Biegliśmy schodami do góry spóźnieni, niepotrzebni, nieprzewidziani w finale tej akcji. Na podłodze długiego przedpokoju twarzą do ziemi leżał mężczyzna w czerwonym dresie, obok jego głowy peruka. Nad nim stało dwóch omonowców. Nie poruszył się. Jeśli żył, przyjął właściwy wariant zachowania.



W kuchni – zająłem tam od razu – pod oknem zobaczyłem dwa ciała. Brakowało jednego porywacza, ale nie musiał być w domu. Jednak był. Trzasnęły jakieś drzwi, ktoś wrzasnął wysokim głosem, niemal falsetem, ktoś wykrzyczał ostrzeżenie przed użyciem broni, ktoś inny rzucił długą wiązaną z barwnym opisem kolejnych możliwości i działań oraz historycznych wspomnień z dzieciństwa i matki podmiotu. Jeszcze jeden bez peruki został przywleczony do przedpokoju. Za nim runął Sukonin, trącił jeńca tak, że ten niemal rozbił sobie nos o ścianę, i dopadł do kolejnych drzwi.

Tam były jego córki.

Babcia zasłaniała sobą dwa małe ciała. Zza jej pleców wyzierały dwie główki.

Sprawiała wrażenie, jakby już pożegnała się z życiem, ale do samego końca postanowiła walczyć o życie wnuczek. One zaś były tylko lekko zaskoczone i mocno podniecone.

Uff, dobrze, że jesteście – powiedziała Irina Matwiejewna wibrującym w kompletnej ciszy głosem. – Już nie wiedziałam, czym je zająć.

Opadła na kanapę, szczęśliwie za nią ulokowaną, mrugała z częstotliwością kilkudziesięciu klików na minutę.

Lena i Ninka z piskiem rzuciły się do ojca, który szybko wcisnął pistolet za pasek, porwał wyćwiczonym ruchem obie w górę i zawirował z nimi po pokoju. Cofnąłem się i zamknąłem drzwi do kuchni. Leżącego na brzuchu dresiarza już nie było, drugiego jeńca wyprowadzała milicjantka z omonowcem. Zająłem do łazienki, do pokoju, z którego wyszarpano drugiego jeńca.

Nic. Koce, wyro, kilka butelek wody. Pusty plecak. Trochę papierów, toreb po chipsach i orzeszkach. Nawet nie próbowałem przeszukiwać tych maneli, zabiorą się do tego upierdliwi analitycy i wygrzebią każdy potrzebny atom dowodu i nanobit informacji.

Wyszedłem na klatkę schodową, zapaliłem.

Coś mi świdrowało umysł. Od dłuższego czasu nie dawała mi spokoju myśl, że coś mi umyka, ucieka i unika identyfikacji. Początkowo miałem nadzieję, że sama się ujawni, ale czas płynął, a ja nadal wiedziałem tylko tyle, że czegoś nie wiem.

Powinienem mocniej zabrać się do myślenia.

W drzwiach pojawił się Kostia, wyprzedzany przez córki. Widząc mnie na klatce schodowej, szarmancko usunął się z drogi Irinie Matwiej ewnej, która posłała mi zmęczony uśmiech. Grzecznie szurnąłem nóżką i pochyliłem głowę.

Diadia Kamil! – pisnęły Leninki i rzuciły się do mnie.

Cholernie trudno zapanować nad tulącymi się dwiema dziewczynkami. Cholernie!

Zaraz potem odpadły ode mnie, rozpiszczwały się jeszcze głośnieji pognały schodami w dół, naprzeciw pędzącemu do góry po dwa stopnie naraz generałowi Jarcewowi.

Wyprzedził swoją o trzydzieści lat młodszą córkę...

## ROZDZIAŁ 7

Dobre pięć minut trwało przekonywanie Sukonina, że nie będziemy z Jerzym uczestniczyć w rodzinnym obiedzie. W końcu, kiedy powiedziałem, że koniecznie i nieodwołalnie i dla dobra sprawy na kilka godzin muszę oderwać się od bieżących spraw, uścisnął mi dłoń, pożegnał Jerzego i szybkim krokiem pomaszerował do Jarcewa, który chyba zamierzał wydać mi polecenie służbowe co do obiadu. Kilka słów Kostii wystarczyło. Bez zbędnego pośpiechu i nie wznecając popłochu, wyszliśmy z budynku MSW i niewiele mówiąc, ruszyliśmy spacerkiem wzdłuż Newy.

Przeświadczenie o konieczności podjęcia jakiegoś działania, które dopadało mnie co kilka godzin w ciągu ostatnich kilku dni, a ostatniej doby zaczęło doskwierać na podobieństwo ćmiącego zęba, opanowało mnie całkowicie i nawet wywołało lekki ból głowy.

Nie wiem, co, ale coś powinienem robić, coś innego, niż robię – powiedziałem do Jerzego.

Wydłużył krok, żeby lekko odwrócić się i złapać moje spojrzenie.

– Przeczucie? – zapytał. – Jaki to rodzaj... myśli?

– Posłuchaj, już dawno chciałem cię o to zapytać. Guimonów jest jakoby sześćset sześćdziesiąt sześć... sztuk, tak? A my ciągle się na jakieś natykamy. Są pewnie rozsiane po całym świecie, więc powinniśmy trafić na nie co dwa lata, a nie raz na dwa tygodnie!

– Myślałem o tym. – Kopnął leżące na chodniku pudełko po zapalniczkach. – Dane o liczebności guimonów nie są pewne. Raczej niepewne, a nawet mocno niepewne.

Może kiedyś tak było, teraz na moje wyczucie jest ich znacznie więcej. Może sześć razy sześćset sześćdziesiąt sześć? – Zamilkł na chwilę. – Są obszary, gdzie w ogóle ich nie ma albo nie ma o nich doniesień. Chiny. Głęboka północ – Alaska, Skandynawia, Grenlandia... W Kanadzie i na Islandii – mało, pojedyncze sztuki. Nie wiadomo czy częstotliwość wykrywania zależy wprost od skuteczności naszych działań, ale w USA i Europie jest ich najwięcej.

– Polska jakoś się wyróżnia na tle innych krajów?

– Tak. – I po kilku krokach dodał: – Tak, na pewno.

– Jeszcze coś?

– Wygląda na to, że ty jakby je przyciągasz. W każdym razie statystyka mówi, że natykasz się na nie znacznie częściej niż inni eksterminatorzy.

Też odniosłem także wrażenie. Mało radosne.

Dotarliśmy do budynku, stylistyką i kolorami elewacji przypominającego Smolny.

Zaczął kropić drobny mglisty deszcz.

– Kunstkamera – powiedział Jerzy. – Może przespacerujemy się po suchych salach?

– Chcesz zobaczyć bliźnięta syjamskie, przypadki syrenomelii czy dwugłowe ciele? – zakpiłem, skręcając do wejścia.

– E tam – machnął ręką. – Mają spory dział japońskiej broni samurajskiej, ładne egzemplarze do-maru i haramaki.

– Aha.

Weszliśmy do holu, wyminęliśmy kolejkę przy kasie, skierowaliśmy się do windy.

Niedbałym gestem pokazana legitymacja zdmuchnęła z drogi jeszcze chwilę temu ważnego, wzbierającego do interwencji ciecica.

Dwie godziny spędzone w muzeum uznałem za o tyle niezamarnowane, że było ciepło, cicho i – w tych salach, które zwiedzaliśmy: Japonia i Ameryka – pusto.

Turystyczna stonka tłoczyła się przy gablotach ze słojami o zawartości odstręczającej od posiłku na kilka godzin. Obejrzeliśmy broje, przybory do rybołówstwa, ekspozycję przedstawiającą scenę leczenia chorego przez indiańskiego szamana, bogate stroje z obowiązkowymi pióropuszcami, trochę skalpów.

Przemierzałem parkiety i posadzki na autopilocie, za Jerzym. A ten pilnował się, żeby na mnie nie patrzeć. Z wielkim zainteresowaniem wpatrywał się w detale pancerzy i hełmów, a ja usiłowałem zmusić umysł do wykrztuszenia w końcu, czego ode mnie oczekuje.

Nie udało się.

Wyszliśmy z Kunstkamery. Tymczasem deszcz ustał.

– Głodny? – zapytał Jerzy.

– No, mógłbym coś zjeść.

Zadziałał jakiś dziwny mechanizm skojarzeniowy. Poklepałem się po kieszeniach i znalazłem kartonik zapalek z wydrukowanym na nich adresem i numerem telefonu. Odczytałem nazwę ulicy Jerzemu. Ruchem głowy wskazał kierunek. Popatrzyłem na numer telefonu. Przedostatnia piątka została przekreślona i zastąpiona siódmką. Zastanawiałem się chwilę, wystukałem numer z piątką, po kilku sygnałach odezwał się wysoki, chyba jednak męski głos:

– Riestoran Kitajskaja Stiena...

Rozłączyłem się. Czyli kiełkująca w zakątku umysłu myśl nie nadawała się do dalszej hodowli. Już zamachnąłem się, ale w ostatniej chwili zmieniłem zamiar i nie wyrzuciłem niepotrzebnych już zapalek do kosza. Jerzy coś powiedział, nie dosłyszałem, jakby mówił zza ściany. Nagle ogarnęło mnie podniecające uczucie zbliżania do gnębiącego mnie od tygodni sekretu, podsuwanego i odsuwanego przez mózg. Najchętniej nakryłbym się w tej chwili całym kocem i zacisnął powieki, ale nie było warunków, koca, leżanki, ciszy. Jerzy urwał w pół słowa, wyciągnął szyję i uważnie rozejrzał się dokoła. Jakby wypatrywał przyczyny mojego zasepienia. Przez ostatni kwadrans nie rozmawialiśmy. Składanie zamówienia za pomocą śmiesznie brzmiących liczb wywołało uśmiech na ustach Jerzego, a mnie zmusiło do wyjęcia zapalek. Chwilę wpatrywałem się w Azjatkę z wachlarzem i pałeczkami w ręku.

Potem wystukałem numer, ale z siódmką, zastępującą „firmową” piątkę.

Po piątym sygnale odezwał się męski głos:

– Nu, pan Kamil, ja użę dumał, szto wy nie pazwontie!

Zamurowało mnie. Zwłaszcza lekki wyrzut pobrzmiewający w głosie mojego rozmówcy. Długich kilka sekund zmarnowałem na szukanie mocnej kwestii otwierającej dyskurs.

– A kto mówi? – zapytałem, machnąwszy ręką na intelektualne zawody.

Jerzy czujnie oderwał wzrok od ogromnego złoto-czarnoczerwonego smoka na ścianie. Zmarszczył lekko czoło.

– Nic to panu nie powie – usłyszałem. – Jeśli mamy rozmawiać...

– O czym? – przerwałem obcesowo.

Nie lubię występować w roli głupka, niemającego wiedzy o okolicznościach i otaczającym świecie.

– Przecież to pan do mnie dzwoni. – Rozmówca chyba się uśmiechnął. To mi się nie podobało jeszcze bardziej. – Ja mogę z panem rozmawiać na dowolny temat. W każdym razie na wiele tematów.

– A najchętniej na jaki? – zapytałem szybko.

Kelnerka przyniosła dzbanek z sokiem i szklanki, zaczęła rozkładać sztuce.

-Zła.

Przez sekundę czy dwie zastanawiałem się nad jego odpowiedzią. Dziwnie skojarzyła mi się z kelnerką. Zła? Na co? Że zupa przesolona? – pomyślałem.

W słuchawce odezwał się głos. Mój rozmówca zmienił pingpongowy system rozmowy: „ja – on, ja – on”.

– Jak mi powiedziano, walczy pan ze złem.

– Oczywiście, jestem przecież policjantem, milicjantem – poprawiłem się.

– Tak, wiem, ale nie chodzi mi o zło tylko o Zło! – powiedział z naciskiem.

Takie czytelne rozłożenie akcentów. Puściłem do Jerzego oko. Nie zareagował.

– Dobrze, widzę, że ktoś uznał, że powinniśmy się spotkać i porozmawiać, tak?

Chwilę panowała cisza. Potem w głosie mówiącego usłyszałem lekkie zniecierpliwienie:

– Znowu muszę przypomnieć, że to pan dzwoni do mnie.

Chciałem rzucić jakimś dowcipnym tekstem w rodzaju: „Mam służbową komórkę, darmową, połączenie nic mnie nie kosztuje”, ale okoliczności...

– No dobrze, to co pan proponuje? Jeśli spotkanie, to gdzie? My, ja z przyjacielem, jesteśmy w restauracji...

– Domyśliłem się. Kitajskaja Stiena. Przepraszam, że panu przerwałem, ale ustalanie miejsca nie ma sensu. Ja nie ruszam się z domu.

Zastanawiałem się chwilę.

– Kiedy? – zapytałem.

– Zjedźcie te swoje bambusy i jaskólcze bździny i weźcie taksi. Inaczej będzie wam niełatwo trafić. Adres: Kronsztad, Krasnaja ulica, korpus dwa, dom cztery, kwartira sorok. Od strony parku, gdybyście błędzili.

Rozłączył się.

– Co tam? – szybko zapytał Jerzy.

– Dostałem te zapalki... – wyjąłem je i położyłem przed Jerzym, ściszyłem głos – ...od Niebieskiego Kruka. Numer telefonu został, jak widzisz, skorygowany. Po tym poprawionym ktoś czekał na telefon ode mnie. On coś wie. Mówi, że może pomóc w walce ze Złem. Może albo chce. W każdym razie jeśli chcemy się z nim widzieć, to musimy jechać do niego do domu, na wyspę Kotlin, miasto Kronsztad. Nie wiem, co o tym myśleć.

Jerzy nie dotknął zapalek, ale gdy jedna z kelnerek chciała je przesunąć czy zabrać, pokręcił głową i nakrył je dłonią.



Dziewczyny rozstawiły parujące talerze, roz-lały jakiś karminowy sok do szklanek i zniknęły bezszelestnie.

Jerzy popatrzył na mnie pytająco. Oczywiście, zupa nie była w tym momencie najważniejsza.

– Nie lubię takiego zdalnego sterowania jakby bym pociągiem zabawką. Z drugiej strony... – Wzruszyłem ramionami. – Ta wojna z milicją... Ktoś ją rozpętał. Przydałoby się wiedzieć kto. Chyba tylko przez tego gościa możemy dotrzeć do prawdziwego zleceniodawcy. Ten telefon to pewno jakiś kontakt z mocodawcą Kruka – zakończyłem cicho.

Jerzy lekko pchnął zapałki paznokciem w moim kierunku. Długą chwilę wpatrywał się w miseczkę z zupą.

– Jedzmy – powiedział. – Bo inaczej zainteresuje się nami obsługa. – Zaczęliśmy siorbać wrzący wywar. – Nie wiem, co ci radzić – odezwał się po chwili.

– Nie radź, powiedz, co ty byś zrobił.

– Spotkał się z nim. To oczywiste.

– Dla mnie też. Nie zabili mnie w kryjówce Kruka. O ile wiem – dodałem dowcipnie. Nie udało mi się rozładować napięcia. Wróciłem do tematu: – Nie chodzi więc o wyeliminowanie dwóch upierdliwych cudzoziemców. Raczej interpretuję to jako pomoc, jak wymuszoną współpracę księdza i prostytutki na chybotliwej tratwie.

Pokiwał głową.

– Właśnie tak. – Odsunął miseczkę z resztą zupy. – A co z twoimi... przeczuciami?

– Nic, cholera. Cały czas mam coś za kurtyną, ale nic konkretnego, poza świadomością, że coś tam jest. – Zobaczyłem

chyżo zbliżające się kelnerki, teraz już trzy. Odstawiłem zupe. – Dobra, nic na siłę. Zresztą, nie mam jak tym sterować.

Prędzej czy później się wyklaruje.

Zabraliśmy się do kaczki po pekińsku i całej tej zabawy – placuszki, sos śliwkowy, słupki pora i ogórka, zawijanie, smakowanie... Oczywiście nie byliśmy w stanie jej pochłonąć, poza tym ogarnął mnie rodzaj niecierpliwego podniecenia. Silnego zaciekawienia. Oczekiwania na spektakularny zwrot akcji.

– Taksi? – zapytałem kelnerkę, rozliczając rachunek.

– Taksi, da-da! – Pokiwała radośnie głową.

Gdy podałem kierowcy adres, gwizdnął przeciągle, potem uśmiechnął się, odsłaniając złoty ząb. I drugi stalowy – zabrakło na złoty? Pewnie tak, skoro zażądał kasy za kurs powrotny. Zgodziłem się. Gdy ruszyliśmy, poprosiłem o rachunek. Dla MSW miasta Sankt Petersburg.

Długo coś mamrotał pod wąsem. Patrzyłem obojętnie przez przednią szybę, a w duchu chichotałem.

Potem się nudziliśmy. W GPS-ie sprawdziłem drogę, musieliśmy wyjechać z centrum, wydostać się na obwodnicę, razem około sześćdziesięciu kilometrów.

Niemal dwie godziny jazdy.

Już na tamie, która stanowi zaporę przeciwpowodziową dla Petersburga i jednocześnie jedyną, jak na razie, kołową opcję dojazdu do Kronsztadu, odezwał się telefon. Z siódmką.

– Zastanowił się pan?

– Tak. Jedziemy, jesteśmy na tamie, minęliśmy jakiś duży most.

– Aha. Dobrze, przed bramą będzie ktoś na was czekał. Do zobaczenia.

– Chwileczkę! Z kim ja w ogóle rozmawiam? Jak się zwra...

Usłyszałem przerywany sygnał, rozłączyłem się i ja, włożyłem telefon do kieszeni.

– Od bramy będziemy mieli przewodnika. Ciekawe, jakiś labirynt czy co?

– Zobaczymy na miejscu.

Przywarliśmy znowu do okien. Morze, statki, światła i mgła nad Petersburgiem.

Szeroka asfaltowa droga, wzmożony ruch. W końcu Kronsztad to ponad czterdzieści tysięcy ludzi, duża baza marynarki wojennej, sporo zabytkowych fortów, rozsianych na wysepkach, niektóre już za Piotra Wielkiego utworzono sztucznie z faszyny i kamieni. Na pewno ciekawe miejsce.

Dla nas szczególnie.

Wjechaliśmy do miasta. Socjalistyczna zabudowa – wiadomo, nieciekawa, jakiś kuter w charakterze pomnika czy instalacji przestrzennej, tu i ówdzie stali ceglany mur, z reguły w katastrofalnym stanie. Jakies pomniki, marynarzy, podróżników?

Potem kanał i już byliśmy na miejscu. Kierowca długo wpatrywał się w taksometr, zaciskał zęby, jakby sprawdzał, czy ma miejsce na nowy złoty kiel, westchnął i zaczął wyciągać bloczek rachunków. Uspokoilem go, podałem kwotę z licznika, podwojoną, i zadowolony z siebie, wygramoliłem się z taksówki.

Po lewej mieliśmy gęsty stary park, po prawej – długi wysoki budynek, też stary i mimo pewnego zaniedbania imponujący.

Z parku wyszła dziewczyna z małym kundelkiem na smyczy, skierowała się do bramy. Przechodząc obok nas, rozejrzała się na boki zapytała:

– Gaspadin Kamil?

Skinąłem głową.

Przypominała mi taką jedną aktorkę... Nieważne, nie mogłem zmusić mózgu do efektywnego wysiłku. Wysoka i bardzo szczupła, długie włosy upięła w katastrofalnie niemodny kok, jaki widziałem ostatnio na zdjęciu młodej Audrey Hepburn. Mały zadarty, perkaty nosek, pełne wargi, lekko wygięte w dół, jakby w wyraźnej pogardy.

Albo gotowości do płaczu.

Wyjęła paczkę papierosów, zapaliła.

– Możemy wejść na chwilę do parku?

Grasejowała mocno. „Do pahku...”

– Oczywiście.

Też zapaliłem, przekroczyliśmy ulicę, weszliśmy pod sklepienie z gałęzi i liści.

Jerzy, jak zwykle, nieobecny duchem – niby szedł z nami, ale obok, niby słuchał, ale nie słyszał, niby uczestniczył w rozmowie, ale raczej osłaniał mnie. Cały Jerry!

– Muszę coś wyjaśnić – powiedziała dziewczuszka. – Mój dziadek jest człowiekiem wybitnym. W innym kraju, w innym czasie zostałby noblistą. W kilku dziedzinach. Tu przeżył piekło, ale kocha ojczyznę. Jeśli chcecie uzyskać pomoc, nie mówcie nic złego o ZSRR i Rosji.

– A jaką pomoc możemy uzyskać? – wpadłem jej w słowo.

Znieruchomiła na chwilę z otwartymi ustami, potem pozbierała się, zaciągnęła dymem, poszukała paznokciem nieistniejącego okrucha tytoniu na wardze.

Wywnioskowałem z tego, że pali od dawna, od czasów, kiedy istniały jeszcze papierosy bez filtra. Po kilku skubnięciach wargi skinęła głową, do swoich myśli.

Nie wiem, ale to wy przychodzicie po pomoc, więc jeśli jej naprawdę chcecie, omijajcie trudne tematy dla dziadka. – Zaciągnęła się głęboko. – Czytaliście coś Szalamowa? – Pokręciliśmy głowami. – W opowiadaniu Galina Pawłowna Zybałowa jest incydent o młodym lejtienancie, który miał odstawić więźnia gdzieś tam. Nie chciało mu się iść w zimie, w zamieci, kawał drogi do miejsca przeznaczenia, więc po prostu zastrzelił więźnia, że niby uciekał. Na dowód i dla celów identyfikacyjnych odrąbał mu toporkiem dłonie, zapakował je do plecaka i poszedł dalej. Wieczorem do drzwi chaty, gdzie jadł kolację, zaczął ktoś walić, po czym do izby wtoczył się zakrwawiony człowiek z obciętymi dłońmi. – Strzeliła niedopałkiem w trawnik. – W opowiadaniu nie mówi się, co zrobił lejtienant, i co się stało z więźniem. Sugeruje się, że został „zastrzelony” po raz drugi, skuteczniej\*. W rzeczywistości to był mój dziadek. Przeżył. Odsiedział wyrok do końca, to drugi cud i dowód na niezłomność jego charakteru. I to powinno wam podpowiedzieć, jak z nim rozmawiać, jak postępować. Do niczego go nie przymusicie, ani wy, ani nikt inny na świecie. Ale jeśli się zdecyduje,

*W. Szalamow, Galina Pawłowna Zybałowa – opisany incydent jest streszczeniem fragmentu z tego opowiadania ze zbioru*

## *Pierczatka i i KR-2.*

jeśli uzna was za towarzyszy broni, bez wahania odda za was nogi. Albo życie.

Gapilem się na nią jak zahipnotyzowany. Nie mogłem unieść ręki z papierosem.

Z otwartymi ustami pewnie wyglądałem jak zdumiały gawron.

– Nie wiem, co powiedzieć... – bąknąłem w końcu.

– Najlepiej nic – poradziła surowo. – Tu i teraz słowa nie mają znaczenia.

Wygłosiwszy to banalne stwierdzenie, pociągnęła pieska, obwąchującego z zapalem najbliższe drzewo, i ruszyła do bramy.

– Zrozumiałeś wszystko? – zapytałem Jerzego.

– Ta-ak...

Spodziewałem się windy chandlerowskiej – dychawicznej a prababci współczesnych dźwigów, marzącej o emeryturze na złomowisku, ale pomyliłem się. Cicho i sprawnie dowiozła nas na piątą kondygnację. Piesek starannie obwąchiwał buty Jerzego. Po otwarciu drzwi windy wyrwał się pierwszy, ale dziewczyna mocno trzymała smycz.

– Mam na imię Nadia – powiedziała.

Ruszyła w prawo. Szedłem za nią, zastanawiając się nad naturą Rosjan.

Człowiekowi obcinają dłonie, a on nazywa wnuczkę Nadieżda? Nie Wiera czy Lubow'\*, a Nadzieja. Ja bym nazwał wnuka Mściciel albo Postrach, a wnuczkę – Furia, Erynia albo...

Nadia otworzyła drzwi, wpuściła pieska i obejrzawszy się zapraszająco, weszła pierwsza.

Weszliśmy za nią.

\* Wiera, Lubow (ros.) – wiara, miłość.

Przedpokój był malutki, na jedną osobę, dlatego Nadi już w nim nie było. Jerzy, jak zwykle, trzymał się z tyłu. Na prawo kuchnia, na lewo drzwi, zamknięte, na wprost jasno oświetlony pokój z zaciągniętymi zasłonami.

Gospodarz siedział przy ogromnym biurku, zastawionym pulpitemi z otwartymi książkami, podstawę biurka stanowiło chyba osiem skrzynek z dziesiątkami szuflad i szufladek. Centralne miejsce zajmował duży dwudziestosiedmioocalowy monitor Samsung, przed którym leżała nietypowa klawiatura – elastyczna, silikonowa z dużymi klawiszami. Wyglądała jak dziwaczna, wynaturzona szachownica. Siedzący przy biurku mężczyzna odsunął od niego krzesło i odwrócił się do nas. Usiłowałem patrzeć mu w oczy, ale i tak widziałem przede wszystkim dwie protezy z rozcapierzonymi trzema palcami – kciukiem, wskazującym i środkowym. Pozostałą część protez skrywał rękaw flanelowej koszuli w kratę. Dziwaczna – chyba wykrochmalona i starannie wyprasowana: na rękawach, jak u gangsterów z filmu, ostro zaprasowane kanty. Gospodarz miał ciągle jeszcze wyraziste rysy twarzy – duży wąski nos, niemal proste siwe, zadbane – przycinane – brwi. Rzadkie włosy zaczesywał, jakżeby inaczej, do tyłu. Oczy, błękitne i wyblakłe, patrzyły przenikliwie.

Kilkanaście lat temu mógłby spojrzeniem rzeźbić w lodzie, ale i teraz jeszcze działały niezłe.

Wstał i lekko rozłożył ręce.

Dzień dobry, panowie. – Usiadł, zręcznie podciągając sztucznymi dłońmi sztruksowe spodnie. – Mam nadzieję, że piją

panowie herbatę. Bo w tym domu pije się tylko herbatę. Czasem koniak, dagestański. Od święta.

– Wolałbym kawę. – Postanowiłem sprawdzić gospodarza. – Może być rozpuszczalna.

Nadia pokręciła głową, ale to dziadek był tu szefem.

– Nie mamy. Po prostu nie mamy. Herbata, bardzo dobra, bardzo mocna – tak.

Jeśli chorobliwie jej pan nie znosi albo ma alergię – pozostaje woda mineralna.

Borżomi. Najlepsza.

– Może być herbata – zgodziłem się.

Borżomi raz spróbowałem i znienawidziłem.

Ciągle staliśmy jak sztubaki przed dyrektorem szkoły. Otworzyłem usta, ale nie zdążyłem się odezwać.

– Proszę, siadajcie. – Starzec wskazał kanapę za niską ławą. – Nadzieja? – zagadnął, nie odwracając się do wnuczki.

Natychmiast ruszyła do kuchni.

– Igor Siemionowicz Stawierogow – przedstawił się gospodarz.

– Kamil Stochard.

– Jerzy Wilmowski.

– Tak – potwierdził Igor Siemionowicz. Poczułem ulgę, że zgodził się na nasze imiona i nazwiska. Lekko mnie już irytował.

– Zacznę od tego, że dostarczono mi trochę danych o was. – Niemal usłyszałem „chłopcy” na końcu oświadczenia. – Zakładam, że nie żartujecie i nie montujecie gigantycznego dowcipu, mającego ośmieszyć rosyjską milicję i cały kraj.

Nie poruszyłem nawet brwią. Nie będę się tłumaczył nie wiadomo komu z nie wiadomo czego.



– Tak – odpowiedział na niezadane pytanie. – Nie żartujecie, skoro ginie kilkunastu milicjantów na wyspie Koniewiec i w Pitrze.

– Igorze Siemionowiczu... – zacząłem z zamiarem poprzestawiania akcentów i dominant w rozmowie, w sytuacji, ale weszła Nadia z tacą, zasłoniła na sekundę dziadka i moja irytacja opadła. Po prostu zamilkłem, czekając na rozstawienie szklanek z ciemną parującą herbatą. – Nie bardzo wiem, co my tu robimy, jeśli mam być szczery. Wie pan, od kogo dostałem telefon? – Skinął głową. Raz. Cholerny Car, job waszu mat’ – No więc, nie wiem, w czym Kruk może nam pomóc. – Nadieżda nie wytrzymała i posłała dziadkowi szybkie, niespokojne spojrzenie. – Bardziej, wydaje mi się, może nam nie przeszkadzać niż pomagać, ale i z tego bym nie korzystał, gdyby nie charakter... nietypowy charakter sytuacji. Jakoś tam, gorzej – lepiej, po-radziliśmy sobie z pewną ekipą Zła tu, w Petersburgu. Nie popadamy w euforię, usiłujemy zrobić coś jeszcze i nagle, jak z cholernej puszkii Pandory wyskakuje po-mocnik, mityczny, legendarny, potężny Niebieski Kruk. Nie należę do ludzi, którzy przyjmują pomoc z każdego źródła, zwłaszcza takiego. W idealnej sytuacji, w jakimś idyllicznym społeczeństwie, w którym nie byłoby typów jego pokroju, nie byłaby też potrzebna jego pomoc, ale nie żyjemy w takim. Dobra. – Plasnąłem dłonią w kolano.

– Przyjmujemy jego pomoc. Dopóki nie każe za nią płacić. Za nic, nieważne ile, nie będę mu płacił.

– Nie sądzę, by ktokolwiek kazał panu, pan Kamil, płacić.

– To dobrze – warknąłem.

A właściwie jak on nam może pomóc? W czym? – pomyślałem. Podsuwając zgorzkniałego kalekę?

Wiedziałem, że jestem obrzydliwie nietolerancyjny, niesprawiedliwy, uprzedzony. I że dobrze się z tym czuję. Umysł ma podobno noblowski. Jak to rozumieć?

Przygłodził palcem wskazującym brwi, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że jeszcze niedawno były gęste, krzaczaste, nastroszone, i dosłownie kilka godzin temu wnuczka mu je przycięła. Co to oznacza? Że zależy mu na dobrym kontakcie, na znajomości, na współpracy?

– Coś nam się ta rozmowa nie klei – powiedział ze szczerym żalem.

Powstrzymałem się od niegrzecznych i niepotrzebnych komentarzy. W końcu przyjechaliśmy tu dobrowolnie, warto choćby zorientować się, o co chodziło Niebieskiemu Krukowi, dlaczego uznał Igora Siemionowicza za przydatnego i do czego.

– Opowiedzieć o sprawie? – zapytał nagle Jerzy.

Domyśliłem się, że odkrył coś, czego ja nie dostrzegałem i przejmując inicjatywę, oszczędza mi konfuzji. – Będę mówił po polsku, pan zna polski? – kontynuował.

Rzucił znaczące spojrzenie na regał z książkami: Przebiegłem wzrokiem po grzbietach: Kotarbiński, dużo Leca, Chmielewska, Lem, Kołakowski, Tuwim, Mrozek.

– Tak. W swoim czasie rosyjski inteligent nie mógł nie znać polskiej literatury i polskiego sposobu myślenia – powiedział Igor Siemionowicz po rosyjsku. – Mówię fatalnie, ale wszystko rozumiem.

Jerzy zaczął ab ovo: Cthulhu, sen, zagłada, emisariusze, guimony...

Wyłączyłem się. Łyknąłem herbatki, taaak... Dobra, mocna, aromatyczna, garbująca język i podniebienie. Rozsiadłem się wygodnie i rozglądałem po pokoju.

Dwie ściany pokrywały półki z książkami i starannie poukładanymi jedna na drugiej opasłymi teczkami z papieruchami. Teczki były zapinane na amerykańską modłę – na guzik z tasiemką-pętelką. Wzdłuż regałów pas gładkiej drewnianej podłogi, nieprzykrytej dywanem, żeby można było swobodnie przesuwac drabinę na kółkach.

Po bokach miała dospawane wystające pręty. Zacząłem wpatrywać się w tytuły i autorów. Większość nic mi nie mówiła, ale było też sporo klasyki. Obowiązkowo Puszkina i Gogola i Lermontowa z Czechowem, Dostojewski musowo, Szołochow, który podobno buchnął komuś pomysł na swój noblodajny Cichy Don. Do tego Czernyszewski, bo jak inteligent dałby sobie radę w życiu bez sakramentalnego Co robić? Wiele półek zajmowała literatura współczesna, w której nie byłem mocny. Na jednej dostrzegłem kolekcję utworów Szałamowa, różne wydania Opowiadań kolymskich, tomiki wierszy.

Pochyliłem się w stronę Nadii.

Znali się? – zapytałem cicho wskazując palcem książki.

Natychmiast zrozumiała, o co mi chodzi, i pokiwała twierdząco głową, ale nie odezwała się, chłonąc opowieść Jerzego. Postanowiłem też posłuchać, z boku, przymierzyć się do cudzego spojrzenia. Jerzy dochodził właśnie do znalezienia w Ładodze postrzelonego Polaka, Nadia rzuciła mi szybkie spojrzenie,

bezczelnie zjechała wzrokiem na okaleczoną dłoń. Wytrzymałem i nie poruszyłem nią, nie drgnął mi na niej nawet włoszek. Igor Siemionowicz nie odrywał wzroku od Jerzego.

Nagle, kolejny raz, ogarnęło mnie irytujące już poczucie wynurzenia się jakiegoś sekretnego motywu, jakiejś myśli, pomysłu... Straciłem zainteresowanie opowieścią Jerzego, niemal całkowicie ogłuchłem, natężyłem się, choć nie ma dowodu na to, że napinanie przepony przyspiesza pracę mózgu. Załomotało mi w skroniach.

I nic. Coś szumiało, coś skrobało w czerep od środka, ale nie dawało się zwerbalizować, posmakować. Chol-l-l-era!

– ...szym zdaniem ten bezmyślny i okrutny atak na milicję to próba zastraszenia, coś w stylu komunikatu, że „jak by co, damy wam popalić” – mówił Jerzy. – Co prawda, uważamy, że prawdopodobniej jest to po prostu próba odwrócenia uwagi od sedna sprawy, od jakichś osób, do jakiegoś ośrodka... decyzyjnego? Nie wiemy.

Uświadomiłem sobie, że Jerzy nic nie powiedział o porwaniu Ninki i Leny.

Pochwaliłem go za to w myślach. Dobrze jest mieć coś w zanadrzu.

Gospodarz zamyślił się, szczerze i głęboko. Podrapał się nawet palcem protezy po głowie nad uchem. Wszyscy milczeli, sięgnąłem po mały obwarzanek, okazał się miękki, nie za słodki i pulchny, jak świeży precel z krakowskiego Rynku. Popielniczki nie widziałem, nie wyczułem też zapachu dymu, chyba się tu nie paliło.

Spróbowałem zniechęcić wrócić do namolnej myśli, która tylko sygnalizowała swoje istnienie, ale i ten sposób zawiódł.

– Szto ja magu skazat’... – powiedział w końcu Igor Siemionowicz. – Wierzę w każde słowo, jakie tu padło. Jestem zagorzałym ateistą. Wierzę jednak w rodzaj duchowości istniejącej w naszym społeczeństwie, i w ogóle w ludzkości. To w końcu siedem miliardów ludzi, najlepiej wykształconych w historii ziemi. Rozumiecie, co mam na myśli? – Baczynym spojrzeniem obrzucił mnie i Jerzego.

– Oczywiście – zgodził się Jerzy. – Są na ziemi rejony prymitywne, ale generalnie nigdy w dziejach ludzkość nie stała na tak wysokim poziomie. Za dekadę, co prawda, będzie można to powiedzieć o aktualnym społeczeństwie, za następną – o kolejnym pokoleniu i tak dalej.

– Tak, tak. Być może przy przekroczeniu jakiegoś – cmoknął kącikiem ust – limitu, po osiągnięciu pewnego poziomu intelektu, zmysłowości, wolności ducha i myślenia rodzi się nowy byt. Niematerialny, niewidoczny i niewyczuwalny. Taki produkt eteryczny myśli i uczuć. Można ten byt nazwać bóstwem, choćby z powodu jego nienamacalności. – Uśmiechnął się. – W taki byt, raczej w takie byty wierzę.

Odchyliłem się w fotelu i wpatrywałem się w oczy Stawierogowa. Nie żartował.

No dobra, nie żartował, ale czy to znaczy, że ma rację, że ma ideę, która nam w czymś pomoże?

– Dlatego jest pan ateistą? – zapytał Jerzy. W jego ciemnych oczach dostrzegłem błysk. Na tyle go znałem, że mogłem określić, kiedy nie ufa rozmówcy.

– Tak, wojującym. Walczę nie z wiarą, lecz z niedostosowanymi do realiów współczesnego świata rytuałami. Jak można wykształconemu fizykowi kazać wierzyć w anioły czy siwobrodego staruszka siedzącego na obłoku? A w prawosławnym kościele jeszcze gorzej. Chustki na głowach kobiet to tylko krok od czarczafów. Bicie pokłonów – komu to potrzebne? Bogu? – Podrapał się sztywnym kciukiem po udzie. – Wiara... A po co mi ona? Co mi da? – Wychylił się do przodu i oparł łokciami. Trochę dziwnie to wyglądało, te jego specyficzne protezy z rozcapierzonymi palcami, jakby trzymał w nich balon. – Jedyne kult, który cokolwiek daje swoim wyznawcom, to kult cargo. Gdy na Fidzi i innych wyspach Oceanu Spokojnego pojawili się biali, tubylcy zaczęli wierzyć w bogów zsyłających im żywność i inne dobra. Budowali więc przybytki kultu, przypominające pasy startowe i nawet samoloty z trzciny i liści palmowych. Jedyne oni spośród wszystkich wierzących na całym świecie otrzymywali namacalne, jadalne i miłe dowody istnienia swoich bogów: zboże, mięso, paciorki, tkaniny. Mieli po co wierzyć.

– Wiara to sfera duchowa – powiedziałem.

Nie wiem po co, przecież mnie nie obchodzi, Igor Siemionowicz jest wierzący, czy niewierzący, agnostyk, ateista, bluźnierca, idoloman, kultysta-okultysta sadysta.

Interesowało mnie jedno: czy może nam pomóc w coraz to bardziej przeciągającej się walce z Cthulhu i guimonianymi drapieżnikami. Pomyślałem, że przeszliśmy, przynajmniej ja, nie długą, ale bardzo spektakularną drogę w tej wojnie. Od zwyczajnej napierdalanki z nieludzkimi staruszkami i oczadziałymi mentalnie szczeniakami do... Zrobiło mi się gorąco.

Coś buchnęło z jakiejś szczeliny w głowie i zahuczało w mózgu, wypchnęło wszystkie myśli i...

– Pan Kamil? Pan Kamil, szto s wami?!

Kurwa jego mać po trzykroć obsrana!!! Już miałem tę cholerną myśl, ten pieprzony pomysł, ową dupą psa trącaną ideę na wyciągnięcie... czegoś, i masz!

Musiał się drzeć do mnie?!

Zacisnąłem zęby. Jerzy patrzył na mnie zaniepokojony, ale zafrasowany na pewno. Dziewczyna – cholera, jak ona ma na imię? Masza? Olga?... Nadia! Nadia patrzyła na mnie przerażona, może przeżyła zawał dziadka. Potarłem czoło.

– Coś mi się przypomniało – przyznałem niechętnie. – Prawie przypomniało, buchnęło i zakryło się dymem. Nieważne, wróci. – Machnąłem ręką. – O czym mówiliśmy?

– Walerianki? – zapytała Nadia. Poderwała się. – Przyniosę wody.

Wybiegła z pokoju.

– Gaspadin Stawierogow – zacząłem – jeśli pan uwierzył we wszystko, co było tu zrelacjonowane, to jest pan niezwykle elastycznym człowiekiem. Ja co jakiś czas muszę się szczytać, żeby przerwać to, co wydaje mi się snem obłąkanego, ale nie udaje się. Trwa. Dla mnie jest to jakaś fantasmagoria – ja, materialista i ateista, muszę godzić się z istnieniem czegoś poza tym, co człowiek sam wymyślił, nieważne co – komputer, masło, hydroplan. Z bóstwem. Nie wiem... – skłamałem gładko – ...jak sobie z tym radzi mój przyjaciel. Domyślam się, z jakim trudem odrzuca całą swoją prywatną filozofię, wykształcenie, mentalność. A pan – wzruszyłem ramionami – słucha i radośnie oznajmia:

okej, kupuję to, wierzę, pasuje mi. Łatwiej by mi było myśleć, że pan udaje, ale jakoś w to nie wierzę... Mam więc problem...

Do pokoju wpadła Nadia z dzbankiem wody i szklanką. Szybko naląła mi wody.

Ohyda. Przegotowana i wystudzona. Kiedyś karafki z taką... cieczą stały w każdej aptece. Tylko Beduin nazwałby to wodą.

– Dziękuję. W porządku. To emocje, obce miasto, nowi ludzie albo nowe miasto, obcy ludzie – plotłem. – Dużo emocji.

– Omal nie zginąłeś – podpowiedziała mi, jednocześnie proponując bruderszaft.

– Tak. I zostałem rosyjskim... – Po cholere ja to... Idiota! Chwalę się, że jestem mienteml – ...pogromcą guimonów.

Igor Siemionowicz rzucił mi bystre spojrzenie spod krzaczastych brwi.

Zrozumiałem, że z nim – bez jaj! Szutki płochi!

– Dobrze, panowie – powiedział, akcentując głoskę „o”. – Poznaliśmy się, wiemy, kto jest kto, nie wiemy, kto może komu i co, ale to wyjaśnimy sobie za dwa-trzy dni.

Możemy tak się umówić? Wtedy powiem coś konkretnego, nie lubię obiecywać czegoś, czego nie jestem pewien. Wy się też zastanowicie, jak i co. Jeśli się okaże, że nie ma dobrych prognoz – wypijemy herbatkę i zostaniemy znajomymi. Chętnie się z wami spotkam towarzysko. Jeśli uda się zrobić coś dla tych, co nie wiedzą, co im szykują moce niewyczuwalne – wzruszył ramionami – to dobrze.

Miałem, na szczęście, w szklance resztkę herbaty, popiłem nią ohydą ciec z dzbanka.



– Jeszcze jedno – odezwał się Jerzy tym swoim specyficznym tonem – pan wie o nas dużo, my o panu nic albo prawie nic. Na przykład, nie wiemy, jaki rodzaj znajomości łączy pana z Niebieskim Krukiem. Rozumie pan, jesteśmy, być może, po różnych stronach barykady. My tępiemy zło i Zło, pan, być może, ma w jednym lub w drugim swój udział. To, że chce pan pomóc nam w wojnie ze Złem, nie stanowi dowodu na czystość i szlachetność pańskich intencji. Może chce pan tylko wyciągnąć od nas, co wiemy, w którą stronę prowadzą nasze tropy, zdobyć nasze zaufanie, by wykorzystać w jakiejś innej sprawie? Nie gniewa się pan, że to mówię?

Gospodarz pokręcił głową. Skrzywił lekko usta w uśmiechu.

– Zdziwiłbym się, gdybyście to przemilczeli. Nawet bym się zaniepokoił i miał wątpliwości co do sensu współpracy. Sądziłbym, że nic z tego nie wyjdzie z powodu wzajemnego braku zaufania, może nie wzajemnego, tylko z waszej strony. A wtedy, oczywiście, uznałbym, że nie mówicie prawdy, ukrywacie coś, mataczycie – jak teraz często mówią Polacy. – Pokiwał głową. – I z mojej strony byłoby tak samo. Tak więc cieszę się, że poruszył pan ten temat. Oczywiście, nie wyjaśnię wszystkich wątpliwości w takim stopniu, jakby pan chciał, panie Jerzy. – Zręcznie włożył jeden palec protezy w ucho podstakannika, przyblokował go palcami drugiej protezy i upił kilka łyków diabelnie mocnej herbaty. Może dał nam czas na przemyślenie swoich słów? – Niebieski Kruk. Wyjaśnienie tej znajomości jest proste – to syn jednego z moich przyjaciół. Pamiętajcie, panowie, co powiedział Melchior Wańkowicz, gdy zapytano go, co robił podczas okupacji?

Powiedział: „Bawiłem w Oświęcimiu”. No więc ja „bawiłem” na Syberii i w kilku innych miejscach...

– To nieprawda – wpadłem mu w słowo.

Igor Siemionowicz wytrzeszczył na mnie oczy i zamilkł z otwartymi ustami.

– Ja... – wykrztusił. – Jak... jak...

– Melchior Wańkowicz nie był w obozie. Uciekł do Rumunii i czasy wojny spędził, ogólnie rzecz ujmując, na Zachodzie. Tyle sprostowania.

Starzec rozkaszał się, tupnął kilka razy nogą, pomagając płucom i krtani uporać się z podrażnieniem. Odetchnął głośno.

– Już myślałem... Nieważne, to była ładna anegdota, szkoda, że nieprawdziwa.

Cziort s niej, ważne jest co innego. W obozie, miałem przyjaciela. Dzieliliśmy się plackami z kory drzew, bronili przed kryminalnymi, no, wspieraliśmy się wzajemnie przez dobre dwanaście lat. Udało nam się przeżyć. On miał troje dzieci – dwie córki i syna, który stał się głową rodziny i musiał walczyć o jej byt, a nie było to łatwe w ich sytuacji. Ojciec w łagrze, matka, wykształcona kobieta pracowała jako palacz w kotłowni, siostry w szkole. Poradził sobie z otaczającymi ich drapieżcami i bydlakami w taki sposób, że sam stał się większym drapieżnikiem od nich.

I jeszcze większym bydlakiem – pomyślałem. Ale tylko pomyślałem.

– I ten syn to właśnie Niebieski Kruk – ciągnął Igor Siemionowicz. – Kropka. Co dla niego robię, czy w ogóle coś dla niego robię – sza! On mi pomaga żyć, wspiera finansowo, płaci za studia Nadii i tak dalej. Dobrze u niego zarabiam i zapewniam,

nie mam krwi na rękach. Zresztą, jeśli wam się wydaje, że Niebieski Kruk to ktoś w rodzaju Ala Capone, Carlosa czy bin Ladena, to jesteście w ogromnym błędzie, ale nie będę tego udowadniał. Albo mi uwierzcie na słowo, albo pozostaniemy przy swoim zdaniu i już.

– To frapujące, co pan powiedział – odezwałem się lekko kpiącym głosem. – Ale pewnie mamy różne kryteria oceny uczciwości. Nieważne. – Machnąłem ręką. – Na razie nie mamy podstaw zakładać, że ktoś nas robi w konia. Nie kupuję tej hollywoodzkiej bajki o szlachetnym gangsterze... – Może nie znać współczesnej polszczyzny. – Nie wierzę w nią, nie przekonuje mnie, nie wzrusza. Zgadzam się na współpracę w imię wyższego celu.

Chyba poczuł się urażony, patrzył mi chwilę w oczy, po czym wymienił błyskawiczne spojrzenie z zaniepokojoną Nadią. Podrapał się trzecim palcem w czubek głowy, wyglądało to, jakby zgłaszał się do odpowiedzi. W zupełnej ciszy niespokojnie zawibrowała czyjaś komórka. Jerzego. Przyłożył dłoń do kieszeni i odrzucił połączenie.

Popatrzył na mnie pytająco. No tak, w tej chwili kończyła się nasza misja.

Zapoznaliśmy się, wymieniliśmy dane.

Podniosłem się i wykonałem coś w rodzaju skłonu głową, eleganckie pożegnanie bez uścisku dłoni.

– Pójdziemy już. Mamy swoje telefony, major Sukonin, Konstantin Sukonin, jest bezpośrednim dowódcą dochodzenia, czy jak się to nazywa po rosyjsku. Sprawę nadzoruje generał Jarcew.

Stawierogow znowu rzucił szybkie spojrzenie na wnuczkę. Jakby opatrzył te nazwiska jakimiś przypisami.

– Już samo to, że przekonaliście Jarcewa, świadczy o tym, że mówicie prawdę, aczkolwiek wasza opowieść brzmi nieprawdopodobnie.

– Może jesteśmy grupą nawiedzonych idiotów. – Jerzy się uśmiechnął.

– O nie, za idiotów to ja was nie mam, panowie. – Ale nie uśmiechnął się przy tym.

Czyli za kogoś nas miał, ale nie zamierzał dzielić się refleksją.

Skinąłem głową Nadii i ominąwszy łukiem rozwalonego na dywanie kundelka, wyszedłem do przedpokoju, a następnie na klatkę schodową. Jerzy niemal bezgłośnie zamknął za nami drzwi.

A tam runęła w końcu lawina, na którą czekałem od kilku dni, od kilku dni świadomie, a cholera wie od ilu nieświadomie. Rozpoczęło się bombardowanie wspomnieniami, bezładne, jakby ktoś wypuścił z kojca spragnione ruchy psiaki.

Myśli gnały chaotycznie, na łeb, na szyję, potykały się, zderzały ze sobą, wyprzedzały, znikały, wypchnięte przez inne, przysłonięte przez inne...

Zachwiałem się. To aż takie mocne, że uginają się pode mną nogi? – wystraszyłem się. Jerzy podtrzymał mnie za ramiona. To on, uświadomiłem sobie, trącał mnie w ramię, pewnie zaniepokojony moim milczeniem i bezruchem.

Potrząsnął mną mocniej.

– What... Co jest?

– Już-szsz... – Struny głosowe jakby zapiekły się, wyschły do cna, musiałem chwilę chrząkać i przełykać ślinę, by odzyskać głos. A gdy to się stało, pokazałem ruchem głowy windę. – Chodźmy... – Gdy ruszyła, wyjaśniłem: – Od kilku dni męczy mnie świadomość, że umyka mi coś ważnego, o czym powinienem pamiętać, co jest potrzebne, bez czego możemy co najwyżej tępić szeregowo gówniony, nie posuwając się ani milimetr w stronę ich zwierzchników... I właśnie teraz to mnie dopadło. -1 dodałem: – Hurra! – Żeby nie martwić Jerzego.

Odruchowo rozejrzał się po kabinie windy, jakby spodziewał się, że ze styków ścian wyjrzą niechlujnie rozmieszczone obiektywy i mikrofony. Przygryzł na sekundę wargi.

Tylko tyle.

Ścisnąłem jego łokieć, choć miałem ochotę rzucić się na niego, objąć i klepać po plecach.

Wyszliśmy z budynku i wolnym krokiem, ramię w ramię ruszyliśmy w kierunku ulicy, na której wysiedliśmy z taryfy.

– Musimy jakoś dotrzeć... – zaczął Jerzy, ale nie musiał kończyć: przed nami zatrzymała się ta sama taksówka, która nas tu przywiozła.

Kierowca przechylił się przez fotel pasażera i zapytał z nadzieją:

– Damoj?

Moja mina wskazywała, że nie należy on do moich ulubionych taksówkarzy, ale Jerzy już wsiadał, więc wpakowałem się i ja do środka.

Kierowca jakby zapomniał o pewnych zgrzytach między nami i radośnie zameldował:

– Stoję na postoju i stoję, i ni... nie! Słońce się przesunęło, kula ziemską obróciła o ch... nie wiadomo ile, a kursu nie ma. No to pomyślałem, że może będziecie wracali. No i centrala zamówiła kurs, a ja byłem najbliżej!

No dobrze, przecież już wsiedliśmy?

– Tam, gdzie zaczęliśmy, pażalujsta.

Ruszyliśmy ostro. Taksjarsz chyba pomyślał, że skoro pasażerowie mają dojścia w MSW, to część władzy spływa i na niego. Lekceważył znaki ograniczenia prędkości, przejeżdżał na żółtym świetle, wyprzedzał na ciągłej linii, klaksonem i długimi światłami przeganiał z drogi innym użytkownikom.

Ktoś mi tłumaczył osobliwą cechę natury rosyjskiej: ktoś na ciebie krzyczy?

Widać ma do tego prawo. Dziwne. Hitler krzyczał i przegonili go, Stalin nie krzyczał, tylko pomrukiwał i był wielbiony.

A co mnie to! Wbiłem się w kątek kanapy i usiłowałem uporządkować skotłowane myśli.

Jak się okazało, nie było to nawet przesadnie trudne. Wymagało tylko kilkunastu minut wolnego czasu, a ja miałem go przecież więcej.

Wysiedliśmy, zapłaciliśmy i nie rozmawiając, niemal pobiegliśmy do „domu”.

– Koniak, kawa i już gadam – powiedziałem na schodach.

Mocny wyleżakowany aromat zdominował kuchnię, przyćmił nawet gorzki afrykański zapach kawy.

Zapaliłem.

– Pamiętasz, że mam dziurę w pamięci? Od chwili, kiedy wszedłem do tej ich „świątyni” do odzyskania przytomności u

Osipa Stiepanowicza...

– Tak, pamiętam. – Ostrożnie łyknął kawy.

– Teraz już pamiętam wszystko.

Chwyciłm koniakówkę i pociągnąłem spory łyk.

„Cpaniale!”, jak mawiał Waldek, zwany Terierem.

– Posłuchaj...

## ROZDZIAŁ 8

Do zjazdu do osady dotarłem przed północą. Jakby na czas, na godzinę duchów?

Przełączyłem światła na postojowe, zjechałem, wolno i cicho doturlałem się do zagajnika, zaparkowałem na jego skraju i wypaliłem dwa papierosy. Zaczęło palić i drapać w gardle. Łyknąłem ciepłej mineralnej i wpakowałem do ust dwie gumy. Po chwili pieczenie zdominowało smak, męczyłem się moment, potem wyplułem je na folię i odłożyłem na fotel dla pasażera.

Było ciemno. W końcu to przecież noc. Księżyc silił się na światło, ale tylko z grubsza rozmywał mrok, gasił kolory, wszystko było grafitowe, granatowe, szare.

Przełknąłem ślinę.

Boisz się, Kamil, co? Wpieprzyłeś się w aferę, a teraz ci głupio – ani wrócić, ani pchać się dalej... Życ się chce, mimo wszystko. Może to nie najlepsze życie, ale skąd wziąć inne? Trzeba je szanować... A szanować to znaczy— to znaczy szanować! Nie przepieprzać, nie gnić, nie skowyczeć. Kamilek? Idziesz!

Gdzieś w lesie rozległo się głośne, pełne złości krakanie. Gawrony? Kruki?

Wrony? Przez chwilę dwa ptaki licytowały się głosami, potem umilkły. Licytowały czy prowadziły dialog:

– Lezie!

– Kto? Ta baba?

– Nie, ten Polak pierrrrrdolony!

– Widzisz go?

– Ta, krrryje się w samochodzie, gadzina!

– Bądź czujny, brrrracie! Pilnuj, skurrrrrwysyna!



– Nie ukrrryje się przed moim wzrrrokiem. Może go postrrrraszę?

– Nie, Mistrz go postrrrraszy. Zesrrra się, tak go postrrrraszy!

– Strrrrasznie bym chciał to zobaczyć...

– Czujny bądź!

– Tak-rrr...

Nie obudziłem Zemfiry. To była bystra kobieta.

Zresztą, każdy by się domyślił, dokąd mogłem pojechać.

Jest gniazdo guimonów i jest ich pogromca, Kamil Stochard.

Dodaj jedno do drugiego i otrzymasz gniazdo guimonów i ich pogromcę.

Pogrrromcę, zesz go w morrrrdę!

Pogromca wysiadł, zamknął samochód i przykleił gumą kluczyk do nadkola.

Gdzieś nad wodą kwaknął jakiś ptak, potem drugi raz, odpowiedział mu inny, poirytowany jakoś, coś brzęknęło, jakby pusta blaszana wanna przycumowała do betonowego pala. Nad głową zafurkotało, łowca drgnął i poderwał wzrok, przeleciały jakieś cztery spore ptaki, gęsi albo łabędzie.

Pogromca guimonów odetchnął głęboko, ale cicho, rozejrzał się, wsłuchał w otoczenie i ostrożnym czujnym krokiem myśliwego ruszył w kierunku osady.

Ostrożnie stawiałem stopy na pasie trawy między zwirowym poboczem a rowem, na razie udało mi się zachować ciszę. Zresztą noc, jak i ptaki, też jakby przycupnęła zaniepokojona. Pieprzone kruki... W Ładodze coś zachlupotało, jakby jakiś ptak startował do lotu albo postanowił rozprostować skrzydła po drzemce. Całą czujność, wszystkie zmysły, wytężoną uwagę, całego siebie

skupiłem na budynkach, a one odpowiadały mi mrokiem, ciszą, spokojem. Kusily, zachęcały, zapraszały. Wciągały niczym trzęsawisko, udawały, że nic, że spoko, że dobrze, a z każdym krokiem odczuwałem zapadanie. I już przekroczyłem granicę, przed przejściem której mógłbym może zawrócić, ściągnąć posiłki, pomoc, siły nadzwyczajne, a sam po prostu zacząć się w krzakach, może nawet wypalić kilka fajek, każdą następną bardziej niesmaczną. Ale – cholera! – ze świadomością życia przecież!

Ale nie – już było za późno, już bym się nie odwrócił plecami do czarnych regularnych brył, z kwadratami i prostokątami martwych okien.

Sprawdziłem, choć czułem go pod pachą, czy mam pistolet. Jeszcze kilka kroków. Z tyłu usłyszałem jakiś dźwięk, odwróciłem się z lufą wycelowaną w noc za mną. Chyba to tylko znowu jakiś ptak poprawiał, skurwysyn, upierzenie...

Dotarłem do budynku.

Przylgnąłem plecami do muru. Błąd – zaszeleściło. Zamarłem i wsłuchałem się w ciszę. Strasznie mnie wkurwiała. Jakby była sprzymierzeńcem Tamtych.

Bo była – swoje dźwięki Oni znali. Wiedzieli, że każdy inny to obcy dźwięk. Wrogi.

No, ja też wiedziałem, że każdy szelest, poza moim oddechem, klikaniem powiek i zgrzytaniem zębów, jest nieprzyjazny i śmiertelnie niebezpieczny.

Skierowałem się wzdłuż ściany do jeziora. Pamiętałem, że od strony pirsu znajdują się w budynku świątyni nowe drzwi, mogły mieć dobrze posmarowane zawiasy. Mogły być zamknięte.

Drewno przystani ugięło się pod stopami, ale konserwowane i zmiękczone wilgocią, nie skrzypiało. Księżyc świecił właśnie znad jeziora, od strony wody byłem widoczny jak mucha na śnieżnobiałym obrusie. Że od wody to kij, ale przy kei cumowało ciągle kilka jednostek, w tym „Russian Wind”, poduszkowiec z łóżem na pistolet maszynowy. Długą chwilę zmarnowałem na obserwację małej floty.

Idiotyczne – przecież gdyby tam ktoś był, to albo wrzasnąłby, żebym wypierdalał stąd, albo przyczaiłby się i nie dał znaku życia. Zrobiłem jeszcze kilka miękkich cichych kroków, dotarłem do drzwi, a właściwie bramy. Obmacałem skoble, dechy.

Nie wyczułem i nie zobaczyłem żadnej kłódki, żadnego zamka.

No to idziemy.

Zaparłem się i lekko pchnąłem skrzydło, drgnęło, ale nie ruszyło po prowadnicach, wyteżyłem się bardziej, cicho i basowo przeturlały się kulki w łożyskach, wrota odsłoniły ciemne wnętrze świątyni. Oczekałem chwilę, chyba dałem sobie ostatnią możliwość odwrotu, dałem i... nie skorzystałem z niej.

Wśliznąłem się do budynku. Pamiętałem dość dobrze jego wnętrze, nie było tam ławek ani klasycznego ołtarza, ikonostasu, ani nawet anałoju czy panichidnika.

Wtedy, w dzień, po prostu w miejscu ołtarza paliło się kilkadziesiąt świec. Teraz pełgały płomyki dwóch lampionów. Niby pomagały mi, a nie pomagały – wzrok nieustannie kleił się do chwiejnego światełka, a należało patrzeć gdzie indziej.

Wszędzie.

Zrobiłem kilka nieśmiałych kroków. Zatrzymałem się. Niepewny.

Najpierw zamierzałem pójść najbardziej oczywistą trasą, może nie trasą, ale do najbardziej oczywistego celu – drzwi na prawej ścianie świątyni. Były jedyne, a więc, jeśli już tu wlażłem, to musiałem do nich dotrzeć, a potem dalej. Remontowy barak, z którego powstał ten gmach kultu, przylegał do innego, który w rozmowach z Sukoninem i Zemjirą nazywaliśmy plebanią. Tam musiało być coś interesującego, świątynia była dla szeregowej mierzwy, dla zdebiłałych akolitów, była poczekalnią albo punktem rekrutacyjnym, który miał usprawiedliwić przed światem istnienie czegoś innego. Czegoś...

Wzdrygnąłem się i obejrzałem szybko.

Znowu błąd. Wzrok przyzwyczaił się już do mroku, teraz zagapiłem się na stosunkowo jasny prostokąt drzwi z plamą księżycowego blasku. Wolno sięgnąłem po broń, ale tylko zwolniłem pasek. Ruszyłem do drzwi. Dotarłem do nich bez przeszkód, raz tylko przydepnąwszy jakąś świecę. Stałem, oparłem się plecami o ścianę, wyteżyłem słuch. Nadal nie rejestrował żadnego dźwięku. Westchnąłem, położyłem rękę na klamce i nacisnąłem. Drzwi otworzyły się niemal bezdźwięcznie, wolno uchyliłem je i odczekałem chwilę.

Miałem przed sobą korytarz, jeszcze ciemniejszy niż świątynia. Na przeciwległym końcu zamykało go okno i tylko ta plama względnego światła pozwalała ocenić długość korytarza. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem latarkę. Zapaliłem ją i zakrywając dłonią czubek, żeby się nie oślepić, poświeciłem w korytarz. Miał nie więcej niż osiem metrów długości, półtora szerokości. Czworok drzwi.

Nie wytrzymałem naporu ciemności na plecy – odwróciłem się i szybko omiotłem cienkim i mocnym, niemal laserowym promieniem świątynię. Była pusta. Zamknąłem drzwi i wolno, starając się wyczuć skrzypiące deski podłogi, ruszyłem przed siebie.

Pierwsze wrota po prawej były zniszczone, zmacerowane wiekiem, nie zachęcały do otwarcia. Ale to mogła być zmyłka. Zostawiłem je sobie na później. Drugie, po lewej, miały nowy blask dobrej farby. I dwa niezłe chyba zamki. Wyjąłem z kieszeni pożyczony od Sukonina superszpej – z cichym szcęknięciem wysunął się chytrze wyprofilowany pręcik, wsunąłem go w szczelinę zamka, nacisnąłem drugi przycisk na obudowie, cichutki zgrzyt. Zacząłem nim obracać, drgnął w moich rękach, pewnie wytrychy przesuwają zapadki. Już.

Powtórzyłem operację z drugim zamkiem.

Alarm?

Może jest. A może go nie ma. Albo ja mam farta, albo oni mają.

Raz maty rodyła! Żyje się raz.

Nacisnąłem klamkę i otworzyłem drzwi. Wsunąłem się do pokoju, zamknąłem je cicho za sobą. Promień latarki przemknął po pomieszczeniu. Pozwolił mi dojrzeć szereg regałów na lewej ścianie, rząd niskich komód na wprost, za małym biurkiem, kaloryfer pod oknem... Pod ścianą z drzwiami ulokowano dwie grupy po trzy krzesła.

Cholernie dużo do przeszukania. Opuściłem plamkę światła na podłogę i podszedłem do okna. Hura! Miało dwie zapory: żaluzje i mocno zachodzące poza obrys okna rolety. Komuś zależało na

konfidencji. Mnie też. Żaluzje były zamknięte, spuściłem roletę, podszedłem do biurka i włączyłem stojącą na nim lampkę.

Odczekałem chwilę, zasłaniając oczy dłonią, potem rozejrzałem się jeszcze raz. Nie przybyło mi od tego wiedzy. I wrażeń.

Regały? Komódki? Westchnąłem.

Komódki. Takie same zamki, tylko mniejsze. Może do przechowywania czegoś wartościowszego od segregatorów z danymi akolitów? Otworzyłem jedną. Pudło: szpalery butelek, nieopisanych, po wódce, winie, occie, bez etykiet, o zawartości – kolorystycznie – od czerni do mętnej bieli. Małe flakoniki, fiołki. Same płyny. Nie dotykałem ich, ani mi się pić nie chciało, ani oparzyć kwasem ręki... Drugie drzwi.

Już.

Otwarte.

Papiery. Głęboka taca z listami. Kasetka. Uchyliłem wieka – drobniki, znaczki pocztowe, rolka skocza, kilka wkładów do długopisów. Pudełka: spinacze, klamerki, zszywki. Zwyczajne spokojne, pokojowe biuro.

Piętro niżej. Segregatory. Od „a” do „k”, od „l” do...

Nieoznakowany segregator, jakby dokładka do jakiejś gazety, „Ptaki Rosji”,

„Święci Prawosławni” albo coś równie ekscytującego.

Wyjąłem go, położyłem na biurku, otworzyłem.

Wypełniały go wycinki prasowe, kilkanaście artykułów o grubawej babie, chyba pani polityk, bo nic sensownego na tych fotach nie robiła – nie przędła, nie bawiła się z wnuczętami, nie sadziła drzew, nie przewodniczyła radzie nadzorczej. Opierdalała

się na mównicy. Kolorowe pisma plus kilka czarno-białych wydruków z Sieci.

Żadnego odpowiednika polskiego [www.potwarz.pl](http://www.potwarz.pl), same poważne portale informacyjne, Yandex, Rambler, Nigma i jakieś nieznane mi zakątki Internetu.

Seliwanowa. Dobra, Bog s taboj, Seliwanowa. Kto jeszcze... Dziesiątki mężczyzn, sami dostojni, łysawi, brzuchaci, cwane oczka zawodowych politykierów, kilka kobiet, niemal wszystkie kłocowate, krótko obcięte włosy, praktyczne fryzury. Z takim gębami próba stylizacji dałaby komiczny efekt. Tylko jedna, już niemal na samym dnie pliku... Pierwsze zdjęcie, czarno-białe i rozmyte, ale widać, że przynajmniej szczupła, a nie sylwetka typu dąb Bartek! Drugie zdjęcie było kolorowe i...

Ktoś szarpnął drzwi i stanął w progu. Usiłowałem cisnąć album i sięgnąć po broń.

Nie było szans. Głośny huk i uderzenie pocisku w ścianę tuż za głową poderwało mnie na równe nogi.

Na podłogę! – wrzasnął mężczyzna.

Chudy jak zagruźliczony narkoman.

Tanecznym i dostawnym krokiem przesunął się w lewo, wszedł drugi.

Z wypukłym ciężowym brzuchem.

– Ruki w wierch, suka! – wrzasnął.

Wolno uniosłem rękę.

Ten pierwszy, trzymający pewną dłońią pistolet, zacisnął zęby, obszedł biurko, ale nie do końca, stanął chroniony jego rogiem i wyraziście pokręcił lufą. Nie miałem wyboru. Zacząłem się odwracać, wolno, manifestując uległość, by zyskać na czasie.

Po odwróceniu mogłem tylko liczyć na zgruchotany czerep czy przetrącony kark, a tak... Facet rozluźnił się, widząc, że wykonuję polecenie.

Z całej siły trzepnąłem w stojącą na biurku lampę, poleciała w jego kierunku, odruchowo zasłonił się lewą ręką, prawą usiłując wycelować we mnie. Na pewno nie był zawodowcem.

I nie był sam.

Zanim zdążyłem wyszarpnąć gracza z kabury, jego kompan cisnął we mnie jednym z albumów i – menda! – trafił w skroń. Przeskoczył biurko i w tę samą skroń poprawił czymś, chyba kastetem, bo natychmiast pod kopułą gruchnęło jasne światło, potem rozległ się zgrzyt, i wszystko to plus ból rzuciło mnie na kolana. Obaj użyli jeszcze trochę na mojej twarzy, dołożyli kilka kopów, w co się dało, gdy wykręcili mi ręce i skrępowali czymś za plecami.

– Do piwnicy! – usłyszałem rzuconą przez zęby komendę tego chudszeo, który pewnie trzymał broń, ale kompletnie nie umiał się nią posługiwać.

– W łeb i po krzyku! – syknął drugi.

– I będziesz go nosił, durniu? – prychnął pierwszy.

– Racja...

Powlekli mnie korytarzem w kierunku okna, ostatnie drzwi po lewej prowadziły na schody. Te zaś do piwnicy.

Warsztat. Kiedyś.

Za progiem chciałem się wyrwać, powalczyć trochę... Ale nie zdążyłem.

Któryś, pewnie ten z brzuchem i kastetem, przyłożył mi siarczyście. Do pulsującego bólu doszedł drugi nie do



wytrzymania.

Nie wytrzymałem i straciłem przytomność.

W kuchni było ciepło, za ciepło, gorąco nawet. Wstałem i otworzyłem okno. Przez firankę zlustrowałem dach niższego o dwa piętra budynku naprzeciwko.

– Potem – powiedziałem – było już z górki: przyjechała Zemfira, schwytali ją tak jak i mnie, wygarnęli nas jak kurczaki z kojca. Mieli jakieś czujniki albo wyostrzone zmysły. – Wzruszyłem ramionami. – Pojawił się ten ich arcyguimon, ojciec Andriej.

Zemfira zginęła, a ja dostałem kosą w nerkę i zostałem wrzucony do wody, skąd wyciągnął mnie kłusownik Osip Stiepanowicz, a jak już wyciągnął, to postawił sobie za punkt honoru, że nie odda mnie kostusze. Udało mu się.

Zerknąłem na lewą dłoń, poruszyłem obciętym palcem. Naprawdę go czułem!

Czasem wydawało mi się, że dotykam nim, powiedzmy, filizanki i dziwiłem się, że płyn w niej nie faluje!

– No tak, tę część historii znam... Męczyło cię, że nie pamiętasz nic od momentu, kiedy Przepuklina i Gruźlik cię schwytali?

– Tak, i że to było coś ważnego...

Jerzy opadł na oparcie krzesła i chwilę wpatrywał się we mnie uważnie.

– Album z fotografiami – powiedział po kilku sekundach.

Oczywiście odgadł. To nie dawało mi spokoju.

– Tak. Te fotografie. Jak mówiłem, było kilka artykułów prasowych o jakiejś grubej działaczce, nie pamiętam jej nazwiska. Inne foty nie były opisane, było też trochę wydruków z Sieci.

Przypomniało mi się. – Seliwanowa.! Ktoś zadał sobie trudu, żeby skompletować eine kleine dossier jakiejś Seliwanowej.

– Dość dziecinne, nie sądzisz? I samo wykonanie tego... czegoś... i pomysł...?

– Tak, dziecinne! – zgodziłem się szybko. – Dobre określenie. Ale kto wie, może te guimony są tak prymitywne, że aż zdziecinniały?

– Przyciśnięci do muru działają głupawo, fakt.

– Wygląda to tak, że jak nic im nie przeszkadza, jakoś powoli, wolniutko coś knują, coś montują, kombinują. Ale muszą mieć do tego spokój, żadnych przeszkód, a już najbardziej nie cierpią eksterminatorów na karku! Wtedy zaczynają się miotać, panikują, wściekają, tracą kontrolę nad sobą.

– Zwiększyć liczbę eksterminatorów? – zaproponowałem.

Wałkowaliśmy już ten temat.

Jerzy pokręcił głową.

– Wiesz, że to nie działa tak jak w armii: nadchodzi czas, chorąży dostaje nowe pagony i staje się oficerem. Czy ty składałeś jakąś przysięgę? Wpisywałeś się do jakiejś Magna Charta Eksterminatorum?

– Wiesz, że nie. – Pokręciłem głową z rezygnacją.

– I nikt nie składał krwawych parafek. Po prostu – jak jesteś mocny, oddany sprawie, nie boisz się i chcesz działać, czyli mordować guimony, powiedzmy to sobie otwarcie, to jesteś eksterminatorem.

Zainteresowało mnie to.

– Mówiłeś, że eksterminatorów jest czterech i że...

– Kamil, dotychczas nasza walka z guimonami i Cthulhu odbywała się, że tak się wyrażę, po omacku, na oślep. Nasza wiedza o liczbie guimonów i eksterminatorów okazała się mitem. Tych pierwszych jest więcej i liczba drugich też wzrasta – jest nas teraz dziewięciu.

Jerzy jako jedyny nie robił sobie żadnych podśmiejek z określeń naszych wrogów, nie używał wobec nich określeń pogardliwych, takich jak guiwniany, gej-mony, guimoni albo Katulek, Kantulu, Katatuj.

– A związane to jest?

– Związane to jest ze zmianą filozofii walki. Poprzednia doktryna nie zdała egzaminu, musieliśmy ją zmienić. Przestaliśmy się troszczyć o zachowanie ścisłej tajemnicy, choć nie rozgłaszamy też niczego przesadnie. Pojawiło się kilka osób z...

– szukał chwilę odpowiedniego słowa.

– Potencjałem? – podpowiedziałem.

– Nie. Z... perspektywami! Jeden z nich wpadł na pewien pomysł, chyba go zrealizujemy... – Zamilkł i chwilę wyraźnie główkował. Westchnął. Chyba ten pomysł nie za bardzo mu pasował. – Podpowiemy i zaangażujemy się w opracowanie gry fantasy z elementami horrorem. Walka z guimonami.

– Yhy... Wychowanie sobie kolejnych eksterminatorów, przyzwyczajanie społeczeństwa do myśli, że coś takiego istnieje i tak dalej – rzuciłem kpiącym tonem.

– No...

– Nie wydaje mi się, żeby ci to pasowało.

Pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

– Kamil, to burzy cały mój światopogląd, zmusza do innego działania, bez pewności, że to lepsza strategia. Muszę się do tego nowego przekonać albo przynajmniej przyzwycząć. Nawet to, co tu, w Rosji, się dzieje, to już coś całkowicie innego. Inna skala, inne okoliczności. Inna reakcja organów...

– Hej! Nie przesadzaj. Jakby durne guimony nie ruszyły Jarcewa i jego rodziny, to myślisz, że udałoby się go przekonać do naszej koncepcji?

– Zaraz, zaraz! Wezwali cię, gdy wnuczki Jarcewa spokojnie sobie spacerowały po Letnim Ogrodzie.

– No tak – spasowałem. – Ale potem wszystko potoczyło się – mimo wszystko! – dobrze dla nas. Udało się pokonać te potwory, udowodnić, że istnieje jakiś rodzaj źródła – mistycznego, religijnego, filozoficznego – produkującego guimony, co zagraża życiu na Ziemi.

– Tak, zgadza się. Nigdy dotąd nie walczyliśmy z nimi takim szerokim frontem.

Dotąd kilku facetów z posrebrzanymi katanami chodziło nocami i ścinało obrzydliwych, przemienionych staruszków. A teraz mamy masową produkcję specjalnych pocisków, oddział MSW do dyspozycji, sporo zlikwidowanych guimonów i chyba kilka starszych rangą, tych... Fn'thali.

– Masz rację. One coś kombinują, na inną skalę i inaczej niż przedtem. Czuję to. – Pchnąłem w stronę Jerzego swój pusty kieliszek. Rozlał resztę z butelki do obu kieliszków i podsunął mi mój. – Ta sekta... Może jest ich więcej. Po co im one?

Przecież szeregowy guimony werbuje jakimś innym sposobem. Skutecznie i niezawodnie. A teraz nagle nagłaśniają swoją

działalność, co może doprowadzić, i w tym przypadku doprowadziło, do zainteresowania wrogów, czyli nas. To jest moje podstawowe pytanie. Drugie: jak im się udało przeniknąć do struktur gangsterskich?

Kogo tam mają? I trzecie: ten album. To mnie męczyło od tygodni...

O matko! – Plasnąłem się w czoło. – Przecież kilka dni temu zleciłem zrobienie dla mnie zestawu stu czy dwustu najbardziej znanych Rosjan! – Jerzy popatrzył na mnie zdumiony. – Kurczę! Widać podświadomość coś usiłowała wypchnąć spod zwałów tłuszczu w mózgu. No tak, jeszcze sobie nie uświadamiałem, po co, a już zbierałem dane... – Zatarłem dłonie. – Dobrze! To znaczy, że to jest najważniejsze! – Poklepałem Jerzego po ręce. – Ściągnę sobie ten zestaw i skonfrontuję go z tymi osobami, które mignęły mi w ichnim zestawie.

Poderwałem się z krzesła i – chwyciwszy po drodze dzbanek z kawą – pognałem do pokoju z biurkiem i laptopem.

Chwilę potem w progu stanął Jerzy. Wskazał palcem łapka i zapytał:

– Podłączyć ci drugi monitor?

Myślałem chwilę.

– N-nie... To mi tylko pozornie przyspieszy oglądanie, kilka minut wte czy wewte nie zrobi różnicy.

– Aha... tak tylko pytam... Jak to idzie? To ładne powiedzonko rosyjskie o pośpiechu?

– Spieszka nużna tolko pri Iowie bloch!\*

– I jebie czużoj żeny!\*\* – uzupełnił Jerzy.

– Tak. Łapiesz rosyjski pełnymi garściami – pochwaliłem go.

Wróciłem do ekranu. Fotoplik z komendy dopiero się przewalał na mój dysk. Było tego kilka giga, gdyby nie to, że byliśmy w jakiejś milicyjnej Sieci, musiałbym capać te dane po kawałku, po kilkadziesiąt mega, ale i tak, w tej ekstrasieci, trochę to trwało. Włączyłem kilka okienek najpopularniejszych przeglądarek, z których od razu przeskoczyłem do plotkarskich pomidor, ru, spletnik, VIP i okolic. Zawirowały twarze i mordy, pyszczki i mordki, ryje i gęby... Dużo tego, no tak – w porównaniu z Polską życie towarzyskie i polityczne jest tu znacznie rozbudowane. Biedni Rosjanie! Po godzinie przy odbiorniku tv czułem chęć porzygania się na ekran, a tu? Przy tej ekspansji wszelakiego tałatajstwa – politykierskiego, sportowego, muzycznego, filmowego, biznesowego... Czy można jeszcze coś obejrzyć poza „Tańcem z gwiazdami” czy „Jak oni wyją i ryją!”?

Obsztorcowałem siebie w myślach. Nie chodziło o moją opinię o Rosji i jej celebrytach, tylko o wychwycenie kilku z nich, którzy nas interesują.

Dobra, Kamil, do roboty!

\* Spieszka nużna tolko pri łowle bloch! (ros.) – Pośpiech jest konieczny tylko przy łapaniu pcheł!

I jebie czużoj żeny! (ros.) – I pierdoleniu cudzej żony!

Wlepiłem wzrok w ekran i poruszyłem kółeczkiem myszy. Przemknęło kilkanaście fot. Pochyliłem się nad klawiaturą i podskoczyłem, gdy moja komórka odezwała się „Satisfaction”. To Osip Stiepanowicz.

– Tak? Priwiet!

– No! To ja.

– A tu ja.

– Ty! Nie bądź taki kozak! Zapraszamy was jutro na obiad. Zastanawiałem się chwilę.

– Dobra. Może być. O której?

– Druga?

-Tak.

– No to do jutra.

Nasłuchiwałem trochę. Osip Stiepanowicz zawsze, zanim wolno i „metodycznie” rozłączył się, komentował Kseni przebieg rozmowy, nigdy jednak nie mówił nic złego o rozmówcy. Tym razem też usłyszałem tylko, że przyjdziemy z Jerzym, że zadowolony jestem, że głos mój brzmi dobrze, czyli zdrowy.

Poczułem się jak nastolatek na koloniach przepytywany przez upierdliwego dziadzia.

Na ekranie zaczęły puchnąć ikony potwierdzające rozpakowywanie plików...

Dwie godziny bez papierosa. Zrobiłem sobie przerwę na kawę, dymka i łyżek koniaku.

Jerzy tłukł w klawisze swojego kompa. Ekran miał ustawiony tak, że nie dało się nic zobaczyć, póki człowiek się nie zbliżył i nie zaszedł go od tyłu.

Nie zrobiłem tego.

Nigdy tego nie robię.

Po drugiej, niemal wpół do trzeciej, przyszedł Jerzy. Nie odzywał się, rozmasował mi kark i skronie.

Poczułem się na tyle dobrze, że mogłem pograć się na kolejnych kilka godzin w odmętach Internetu, ale nie pograżyłem się.

Życie przecież nie jest tylko kąpielą w Sieci, nie jest nieustającą pracą...

Są w nim momenty... inne...

I dla tych innych, ważnych, porzuciłem laptopa. I nie żałowałem ani sekundy z tego czasu.



## ROZDZIAŁ 9

Zwaliłem się na wyro dobrze po piątej. Wyekstrahowałem z Internetu dwie fotografie osób, które zapadły mi w pamięć, zanim dwaj pomagierzy guimona pokancerowali mi ją na długo. Na jednej miałem niemal pewniaka, na drugiej wielce prawdopodobną kobietę.

Może nie za dużo, ale też i niemało. Poza tym jakościowo inna historia: co za komfort wpaść o piątej rano do apartamentu byłego dyrektora centrum kosmicznego Bajkonur, potem dyrektora departamentu w ministerstwie zasobów naturalnych, następnie ministra energetyki, ostatnio wiceministra rolnictwa Kazachstanu, Achmetzana Satyrbajewa, i wbić mu w zęby sztabkę srebra! A jak się zaprze i nie pokaże, że jest guimonem, zawsze można powiedzieć, z niezachwianą pewnością i zawodową solidarnością, że pokazaliśmy mu wlokące się za nim stare sprawy z czasów, kiedy w majestacie prawa i urzędu handlował srebrem. Każdy tam ma przecież coś na sumieniu. Pewnie się ucieszy, że mowa tylko o srebrze, a nie o milionach ton węgla czy ropy! Które nadnaturalnie szybko wyparowały z „wolniutko rynkującej się” gospodarki rosyjskiej!

Byłem szczęśliwy. W końcu, chyba po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny z guimonami, sprawy stanęły na poziomie operacyjnym, zwyczajnym, ludzkim. Oto ja-cyś ludzie, oto jacyś podejrzani, oto można ich śledzić, grzebać w życiorysach, a nie grzać do nich srebrnymi kapsułami. Poza tym byłem przekonany, że skoro pamięć już ruszyła, to wskaże jeszcze kilka osób z „pamiętkowej księgi” Fn'thala, inaczej o tym materiale nie myślałem. Bo niby czyje twarze mógł kolekcjonować kardynał

Cthulhu? Biskupów, potencjalnych lub czynnych. Mocno wierzyłem, że mam rację.

I tak zasnąłem.

Obudził mnie telefon od Sukonina.

– Tak-ch... – Odkaszlnąłem i powtórzyłem energiczniej: – Tak?!

– Będę przesłuchiwał tych dwóch zasranych „Czeczenów”.  
Interesuje cię to?

– Nie – powiedziałem szybko. – To są ludzie dla ciebie i twoich chartów, ja tu z boku.

-Aha.

Wydawał się niezadowolony.

Może i był. W końcu byłem jego podwładnym, zaprasza mnie, a ja – w krzaki...

– Nie myśl, że idę na lody. Przypomniałem sobie coś jeszcze z nocy przed... samowolką na Ładodze. Mam w pamięci kilka bardzo podejrzanych...

– Nie?!

– Tak. – Uśmiechnąłem się bardzo z siebie zadowolony. – Myślę, że Fn'thal założył sobie albumik z fotografiami najwierniejszych przyjaciół, oddanych sprawie akolitów. Siedzę teraz w Sieci, szukam waszych... naszych VIP-ów, i nie bez powodzenia – pochwaliłem się.

– Ja cię! – syknął ucieszony.

– Ja ciebie też. Słuchaj, pogmeram jeszcze w Sieci i przyjadę.  
Po południu, może być?

– Dobra.

– Cześć. – Już odkładałem telefon, gdy przypomniałem sobie o obiedzie u Osipa i Kseni. Za późno. A tam, trudno...

Poszedłem do naszego „salonu”, Jerzego w nim nie było. Zbliżyłem się, ostrożnie stawiając stopy na skrzypiących deskach, pod drzwi jego sypialni.

– Wejź! – usłyszałem.

Stałem w progu.

– Kostia zaprasza na przesłuchanie tych pseudo-Czeczenów. Zapomniałem jednak o obiedzie u Osipa...

Poruszył nozdrzami. Niezadowolony.

– Chyba przesłuchanie ma priorytet?

– Nie – zaproponowałem. – Gówno z nich wydusimy, przepraszam za niezamierzoną obrazowość. To jakieś spietrane gamonie, sparaliżowane strachem przed tymi, którzy zlecili im kidnaping, i przed nami oczywiście też. Jeśli nawet padną jakieś nazwiska i adresy, to pewnie straż pożarna już dogasza obiekt z kilkoma zwęglonymi ciałami wewnątrz... – Machnąłem ręką. – Ważniejsza, a na pewno przyjemniejsza jest wizyta u dziadków.

Poruszył nozdrzami ponownie. Chyba wiedział, że ja wiem, że...

– No to się podzielmy – zaproponował. – Ty do Osipa, ja do MSW.

Co się tak uparł na to przesłuchanie!? – pomyślałem poirytowany.

– Przecież mówię, że... Osip to nie marnowanie... – Cholera, to nie jemu uratował życie! – przypomniałem sobie.

– Dobrze. Weź samochód, a ja się przejadę met...

– Nie. Ty pojedziesz samochodem. – Zdławił mój opór uniesieniem ręki. – I tak mam po południu odebrać inny wóz. Dwoma nie pojedę.

– A? – Nic o tym nie wiedziałem. Ale czy musiałem? – No i dobrze. Czyli spotkamy się u Kostii?

– Pewnie tak.

– Na razie.

Wróciłem do siebie i zanurzyłem się w necie. Z jednej strony takie bezładne surfowanie było łatwe, skoki z liny do liny, z newsa do newsa i już. Z drugiej – nie pamiętało się po chwili, z jakiego portalu był skok, dokąd wracać, co już się widziało.

I jeszcze jedno – mimo wszystko politycy, biznesmeni, decydenci ustępowali wyraźnie pola zwyczajnym hałaśliwym siksom z piercingami i tatuażami, z mordkami żądnymi rozgłosu i uznania, odrobiny uwagi kamer i mikrofonów. Bidule, nie one były mi potrzebne, nie były też potrzebne Cthulhu, chyba same sobie nie były potrzebne.

W wypełniały Internet, wyciekały i wypływały z niego obficie. Wykapywały niczym gnojówka z nieszczęsnej przyczepy wiozącej obornik na pole... Próbowałem ustawić jakieś filtry, ale to nie działało. Dobra, trudno i darmo! Lawirowałem między stronami, portalami, wyszukiwarkami przez dobrą godzinę, potem Jerzy wyszedł, a ja zaordynowałem sobie prysznic.

Zaparkowałem wóz trzy bloki od budynku Osipa. Przespacerowałem się, pozornie obojętnym spojrzeniem penetrując okolicę. Nie było kruków, nie było żadnych babusiowych zgrupowań, żadnych dziadków z laskami i baretkami medali na marynarkach. Tylko pod spożywczo-

monopolowym mały tłumek, takie sklepy nieodmiennie ściągały chętnych, zainteresowanych i spragnionych.

– Czy jak pod sklepem stoi facet z dwoma palcami na klapie, to to coś znaczy? – zapytałem Osipa, przywitawszy się.

– Tak? – Pokazał mi, jak trzymają palce.

Zgadza się, kciuk pod klapą, wskazujący i trzeci na klapie.

– To znaczy, że on miał swoje pieniądze i kupił już połówkę, szuka dwóch chętnych z pieniędzmi do podziału. Jak znajdzie się jeden, to będzie trzymał tak! – Pokazał, że na klapie znajdzie się tylko jeden palec.

– Długo tak stoją?

– Neeee... Góra pięć minut...

– Nieźle – uśmiechnąłem się.

– Pewnie! – zgodził się. Mógłbym się założyć, że zdarzyło mu się w życiu skorzystać z takiej męskiej „grupy wsparcia”. – Butelek nie rozrzucają po trawnikach, śmieci się nie walają, wszystko ładniutko-czyściutko!

– A pewnie! – zawtórowała z kuchni Ksenia. – Żeby tylko wyskoczyć, szybko mordę zalać, wrócić i udawać, że nic się nie stało. Tak?

Osip komicznie wtulił głowę w ramiona, ale szybko się wyprostował.

– A ty masz ochotę na jednego?

– Osip!? – rozległ się strofujący okrzyk Kseni z kuchni, ależ ma słuch babunia! – Chłopak jest na służbie, prawda? Chcesz żeby go z roboty wyrzucili? Czy żeby go napadli, bo pijany?

– Aj tam! – Osip Stiepanowicz skrzywił się i machnął ręką. – Po kieluszkę nie zaszkodzi.

– Nie, dziękuję, Osip, Ksenia Abramowna ma rację. – Puściłem do niego oko, niech wie, że to czysta kurtuazja. Uśmiechnął się ze smutną miną. – Muszę na komendę, jeszcze dzisiaj nie byłem.

– Nie ucieknie – zgodził się Osip. – A tymczasem dam ci coś.

Podreptał do kredensu, po drodze ściszył telewizor. Nad kredensem wisiały trzy fotografie: młoda Ksenia, młody Osip i ja, nie za stary i nie przesadnie młody. Osip otworzył drzwiczki, wysunął szufladę i sięgnął do wnętrza. Potem metodycznie zasunął szufladę, zamknął drzwiczki, podszedł do mnie i podał mi czarny, dość gruby długopis.

Nie wątpiłem, że ma on jakieś inne zastosowanie. Uważnie przyjrzałem się pisakowi, zerknąłem na Osipa. Nie chciałem, by jakieś wyrzucane ostrze trafiło dziadka, ale nie wyglądał na zaniepokojonego, tylko zadowolonego z mojej indolencji. Ponaciskałem, co mogłem, i poddałem się.

– Pokaż mi – poprosiłem.

– Smatri! – Chwycił „długopis” w garść, przesunął palcem zaczep, kciukiem nacisnął przycisk i szybko puścił. Z wnętrza z suchym trzaskiem wypadło grube srebrne „szydło”. – Srebro, najwyższa próba. Na stalowym rdzeniu. Nie przeszkadza? – zapytał zaniepokojony.

Obmacałem grot, próbowałem wygiąć. Pokiwałem z uznaniem głową.

– Nie. Ma być bezpośredni kontakt ze srebrem. I jest. Jak się zamyka?

– Zapinkę z powrotem... – Wykonałem polecenie, grot wsunął się do wnętrza. – Kapturek zasunąć... I już!

Dwa razy wysunąłem ostrze i schowałem je. Wsadziłem długopis do kieszeni i objąłem staruszką.

– Dzięki, Osipie Stiepanowiczu.

– Aj tam! – Odsunął się ode mnie, pociągnął nosem. – Jutro będą gotowe dla Jerzyjego – nie udawało mu się inaczej wymówić tego imienia. – i Konstantina Aleksandrowicza.

– Nic im nie powiem – obiecałem. – Niech mają niespodziankę.

Produkcja srebrnych grotów do bełtów kusz i bojowych łuków podobno już ruszyła. Pewnie i noże będą produkowane.

Ksenia Abramowna wniosła tacę z talerzami i kilkoma miseczkami, groźnie łypnęła na męża.

– A serwetki gdzie? Nu, co za człowiek?! O wódce to pamięta, ale o serwetkach...

– Już, Ksiusza, już!

Akroszka Kseni, rosyjski chłodnik na kwasie chlebowym, była na głowę wszystkie akroszki świata. Dałbym sobie głowę uciąć, że warzywne składniki, ogórki, szczypior, ziemniaki, rzodkiewka były wyselekcjonowane z upierdliwością państwowego taksatora futer albo urzędnika Urzędu Kontroli Skarbowej przy spirytusie. Jaja na pewno były z podmiejskiego kurnika, śmietana „od baby”, i to nie pierwszej lepszej. Jednym słowem – byłem wniebowzięty.

Osip Stiepanowicz w połowie porcji otarł wąsy.

– A wiesz, że na wyspie Koniewiec, na tej górze, Wężowej, mieszkał podobno prototyp starca Zosimy z Braci Karamazow naszego wielkiego Dostojewskiego?

– Nie, nie wiedziałem. Starca Zosimę też słabiutko pamiętam. Z dzieł Dostojewskiego najwyżej stawiam Idiotę, Bracia są dopiero na trzecim miejscu. Po Skrzywdzonych i ponizonych.

– Aha – powiedział bez przekonania.

Nagle nastawił ucha, poderwał się i chwycił leżącego na stoliku pilota. Spikerka informowała właśnie, że od poniedziałku w wybranych przychodniach i poliklinikach każdy obywatel po sześćdziesiątym piątym roku życia będzie mógł się za darmo zaszczepić przeciwko, jak powiedziała, „zespołowi uporczywych stanów przeziębieniowych”, czyli każdy, kto miewa grypę, anginę, zapalenie zatok czy górnych dróg oddechowych, może się ustrzec przed chorobą, poddając się bezpłatnej wakcynacji. Czyżby robota Sukonina z Jarcewem? Szlag i cholera, na pewno oni to załatwili. Staruszkom zaserwują jakąś berbeluchę ze srebrem, ci co po iniekcji będą się rzucali, dostaną inną szprycę pod żebro. Nie ma co, jak Rosjanie się do czegoś biorą, to na wielką skalę!

Osip wzruszył ramionami, ale widziałem, że zapamiętał komunikat. Pójdą z Ksenią się zaszczepić. Nie ma sensu przekonywać, że ich to nie dotyczy...

Gospodarz znowu ściszył odbiornik, wróciliśmy do obiadu.

Jeśli warzywa i kwas były tylko – tylko! – starannie dobrane, to kasza gryczana została przebrana ziarnko po ziarnku za pomocą lupy i igły, a wszelkie podejrzenie jasne i ciemne krupinki – odrzucone. Pachniała tak, że za ten zapach batalion zuchów rzuciłby się z kijami na cytadelę! Do boskiej kaszy była fura mielonych kotletów, za które załoga owej cytadeli poddałaby wszystkie stanowiska ogniowe.

Płakać mi się chciało ze szczęścia.

Tylko poobiednia herbatka była marnawa. Całe szczęście, mogłem dzięki temu jakoś oderwać się od gościnnych gospodarzy i wrócić do pracy.





## ROZDZIAŁ 10

Jura dostał swój wóz – poinformował mnie Kostia zamiast powitania. Wzruszyłem ramionami.

– Skoro mu potrzebny...

– No, napierał. Trochę. To kulturalny chłop. Jak nie Słowianin. – Klepnął mnie w ramię. – Żartuję! My, Słowianie!

Był w dobrym humorze. Gdybym był chamem, nie lubiącym Rosjan chamem, powiedziałbym, że udało mu się przedostać w bezpośrednie pobliże przesłuchiwanym i pierdolnąć ich kilka razy w uszko-ząbki. Ale nie byłem polskim chamem, na tylnej szybie samochodu miałem lekko przerobioną plaketkę „Acid on stuPIS people!”. Widocznie przesłuchanie poszło po jego myśli.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytałem, idąc obok niego do windy.

– Wszystkiego. – Pokręcił głową. – Podaliby nawet numery dowodów osobistych swoich szefów. Kitrali się niewyobrażalnie przez tych kilka dni. Chyba bardziej niż Leninki.

Przemilczałem. Powstrzymałem się od złośliwego komentarza. Kilkanaście godzin temu Kostia poddałby się każdemu z tych „Czeczenów” i błagałby, żeby strzelali do niego, a nie do córek. Teraz zachowywał się jak zwycięzca. Przykra była moja misja, ale skoro była?

– Kostia, nie mamy się z czego cieszyć – powiedziałem, wsiadając do windy. Zza rogu wypadli dwaj funkcjonariusze, widząc nas, wyhamowali jak postacie z multikow i z hardymi minami zajęli się badaniem sufitu.

– Nie? – zapytał zrezygnowanym tonem. – Potem, szef na nas czeka.

Dwie minuty później westchnął i powiedział:

– No to mów.

– Chodzi ci o to, dlaczego nie mamy się z czego cieszyć? – Skinął głową.

Popatrzyłem na Jarcewa. Też nie był zaskoczony. Zawodowcy...

– Porwanie Leninek to dalszy ciąg operacji dezinformującej i odwracającej naszą uwagę. Sądzę, że gdybyśmy nie interweniowali, też by im się żadna krzywda nie stała. Oczywiście, nie odważyłbym się zaproponować ci biernego wyczekiwania na ciąg dalszy. Nie mam pewności, czy wykonawcy, zdesperowani, przerażeni, pijani, nie złamaliby własnych zasad. W każdym razie to mamy z głowy. Zdobylibyśmy, jak rozumiem, dane mocodawców, nie wyruszyliśmy na nich z krucjatą, bo – znowu: jak rozumiem – jest jakiś inny plan. Tak?

– No... Myślmy mniej więcej tak samo. Czyli nie wierzymy, że ujęcie trzech bossów peterskiego podziemia coś dało. Czy jest coś, co możemy z tymi danymi zrobić, żeby coś nam to dało? – zakończył już ze złością.

Milczeliśmy chwilę. Generał Jarcew chrząknął dwa razy w zwiniętą dłoń.

– Jest tak: oni nas odciągają. Czyli jest coś, od czego chcą nas odciągnąć. A my, durnie, nie wiemy, od czego nas odciągają. Tak czy nie?

– Dokładnie tak, towarzyszu generale. – Przypomniałem sobie, że to mój przełożony. Przełożonych należy myziać co jakiś czas. – Mamy coś, a nie wiemy, co to jest i dlaczego jest ważne.

– No, przepraszam! – Generał plasnął dłonią w biurko. – Nasrali nam w portki, jak to się mówi, a my o tym nie wiemy?!

– Gdyby się trzymać pańskiego obrazowego porównania – usłyszałem swój głos, poszukałem hamulca bezpieczeństwa, ale w rosyjskiej milicji umieszczają go gdzie indziej -powiedziałbym, że ich i nasze gówna wymieszały się w naszych gaciach teraz i już nie wiadomo.

Patrzył na mnie chwilę z niedowierzaniem. Przeniósł spojrzenie na Sukonina.

Znowu na mnie. „Idiota...?” – widniało w jego spojrzeniu. Westchnął i, chciałoby się rzec, pokręcił głową, w rzeczywistości ruszył nią lekko w lewo, potem w prawo.

– Wyjebali go z Warszawy, potem z Wrocławia, w końcu z Polski. Chyba jakieś powody mieli? – zapytał Sukonina.

Ten patrzył na fikusa i szybko mrugał.

– Tak toczno, tawariszcz gienieral – wykrztusił w końcu.

– Pa... towarzyszu generale – odezwałem się, żeby nie przesadzić z kabaretem. – Myślę, że mam ważny trop. Albo nasi przeciwnicy nie wiedzą, że żyję, ale w to wątpię, albo nie wiedzą, czy pamiętam wszystko, co się wydarzyło w świątyni. Na pewno nie wiedzą, że pewien ważny detal utknął w zakamarkach mojej pamięci i dotychczas nie wypłynął na powierzchnię. Pewnie sądzą, że już nad nim pracujemy, dlatego miotają się na prawo i lewo. A ten ważny, zapomniany trop to album ze zdjęciami. Teraz myślę, że to są ichni protektorzy, ichni sponsorzy, apologeci, a na pewno ichni ludzie, bardzo wysoko postawieni w różnych rosyjskich hierarchiach.

Przez ostatnią dobę nie robię nic innego, tylko szwendam się po Internecie i szukam.

Mam trzy pewne nazwiska i kilka prawdopodobnych. Rozrzut jest wielki – emerytowana piosenkarka...

– Nie! Nie mów, że Ałła Borisowna? – przerwał Sukonin.

Nie wyczułem – błaznował czy serio bał się o Pugaczową.

– Nie, nie ona. Były ważny polityk z Kazachstanu i taki jeden zawodowy dyrektor.

Na razie nie widzę punktów wspólnych, ani geograficznych, ani co działalności... W albumie Fn'thala jest też działaczka jakaś... feministka... – Słuchali mnie uważnie chciwie łykali słowa. Spostrzegłem błysk radości w dwu parach oczu. – Oczywiście, ten album nie musi być w stu procentach pewnym drogowskazem, ale mamy jakiś punkt zaczepienia.

– Album... – rzucił z nadzieją Sukonin.

– W szafce na plebanii znalazłem plik kartek spięty spinaczem. Na niektóre wklejono same zdjęcia wycięte z gazet, bez podpisów i tekstów, same zdjęcia. Na pozostałych były foty wydrukowane z Sieci. Teksty pod nimi usunięto albo mazakiem, albo zostały pominięte w wydrukach. W tym nie było pomieszczeniu komputera, co może znaczyć, że ktoś obsługuje ich z zewnątrz, może dokumentację prowadzi któryś z gorliwych wiernych. – Popatrzyłem na Sukonina. – Może warto by przepytac na tę okoliczność wszystkich zlokalizowanych członków sekty.

– Przepytac! – parsknął Sukonin. – Zabiorę im wszystko, co ma jakąś pamięć: telefony, kompy, konsole, ksera...

– Ta-ta-ta! Miksery, czajniki elektryczne i pralki! – przerwał mu Jarcew. – Nie przesadzaj, kto to obrobi?

– Wystarczą kompy – poparłem generała. – To jest kilkadziesiąt osób – przypomniałem mu.

– Dobra. – Zrobił ruch, jakby chciał poderwać się i już ruszyć do działania. – Ale?!

Najważniejsze – kogo znalazłeś?

Sięgnąłem do torby i wyjąłem dwa zestawy po cztery spięte pliki. Jeden podałem generałowi, drugi Kostii. Obaj rzucili się na nie jak wygłodniałe wilki na bezbronne jagnię.

– Achmetżan Satyrbajew – syknął Sukonin. – Cwana wesz, na tyle cwana, że ciągle się wykręca i na tyle nieznacząca, że inni wciąż go wyprzedzają, nawet jako obiekty dochodzeń. Kalinowska – też gnida, z pielęgniarki zrobiła się posłanką i trzyma się swojego stołka wszystkimi czterema lewymi rękami. Nic nie umie, nic nie wie, ale przy każdej próbie wyeliminowania jej rozdziera japę i wrzeszczy o równouprawnieniu, o losie biednych wsiowych kobiet, więc wszyscy ją omijają szerokim łukiem, jak kupę sfermentowanego gnoju...

– Cisnął pakiet z jej fotami i tekstami na stół. – A tu Łatuszyna... Bezgłosie i beztalencie pierwszej wody, dowód na to, że można mieć ćwierć mózgu, pół ucha, zero dykcji, minus sto dwadzieścia IQ i być TOP, VIP i SRYP! – Na stół poleciał drugi plik. – A to? – zainteresował się. – Wurcyszenko? Nie znam...

Zaczął czytać, Jarcew również odłożył trzy pliki i skoncentrował się na czwartym, zawodowym dyrektorze-prezesie. Nie było w jego życiorysie niczego specjalnie ekscytującego, poza tym, że miał wystarczającą wiedzę albo tupet, by być prezesem banków, dyrektorem hotelu, przewodniczącym ogromnego zakładu hodowlanego – trzoda, bydło, strusie, konie... Poza tym szefował firmie organizującej wycieczki dookoła świata, był dyrektorem departamentu w ministerstwach zdrowia, oświaty,

hutnictwa i komunikacji. Kierował też kopalnią węgla brunatnego. Może jeszcze czymś, ale na tym poprzestałem.

Skończyli czytać niemal jednocześnie.

– To lubię – odezwał się generał Jarcew. – Wreszcie ludzie. Lubię mieć za przeciwników ludzi. – Odchylił się w fotelu. – Uruchamiamy opiekę nad tą czwórką?

– ni to zapytał, ni to stwierdził.

Czekałem na Sukonina, ale on milczał, chyba czekając na mnie. W końcu poddałem się.

– Na pewno trzeba ich bardzo starannie prześwietlić, tak daleko wstecz, jak tylko się da – powiedziałem.

– Bardzo dyskretnie. A ja będę szukał dalej. Jak tylko coś znajdę, dodamy do bazy. – Jarcew skinął głową i stuknął w dwa klawisze na pulpicie przed sobą. – Aha, Kostia, nasz wspólny znajomy, Niebieski Kruk, zaaranżował spotkanie z pewnym dziwnym jegomościem...

Opowiedziałem wszystko, od telefonu na zapalniczkach (wyjąłem je z kieszeni i położyłem na stole, nikt się nimi nie zainteresował) do wizyty na Kronsztadzie. Gdy padło nazwisko Stawierogow, obaj milicjanci wymienili błyskawiczne spojrzenia, po czym Kostia pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

– Znasz go? – zapytałem.

– Lepiej ją – prychnął. – Cztery... prawie pięć lat temu w Sieci pojawił się darmowy programik do szyfrowania i zapamiętywania swoich haseł. Wiesz, człowiek ma pięć kart, dwa telefony, trzy konta, hasła w komputerze, w poczcie elektronicznej. Ten programik pozwalał zapisać zaszyfrowane hasła, w razie potrzeby dzwoniłeś pod swój numer, który otrzymywałeś za jedną kopiejkę,

Za jedną kopiejkę! Czyli za jedną pięćdziesiątą ceny pudełka zapalek, i miałeś swoje piny, puki i hasła. Kilkadziesiąt tysięcy leniwców zaufało programowi, pobrało go, iluś używało, do końca nie wiadomo. Po czterech latach autor programu przeorał dane użytkowników, wyciągnął z ich kont bankowych sporo mamony i zniknął. Na jakiś czas! – Wzniósł palec do góry. – Teraz test: dlaczego program działał aż cztery lata?

– Nie wiem.

– Bo autor musiał skończyć osiemnaście lat, żeby założyć sobie konto i przelać na nie gotówkę tych idiotów, którym podłożył swój program!

– Wypuścił go, mając czternaście lat?

-No!

– Zdolny gnojek...

– Zdolna. Zdol-na!

Nie było nad czym się zastanawiać.

– Nadia Stawierogowa?

– Aga!

To rosyjski odpowiednik polskiego „aha”.

– Aha... I nie siedzi?

– Oddała wszystko. Teraz rozumiem, skąd wzięła pieniądze na opłacenie tuzina prawników, którzy ruszyli w Rosję i przekonali każdego poszkodowanego, żeby wycofał swoją skargę. Wszyscy odzyskali pieniądze z nawiązką. – Podrapał się po głowie. – Myślałem, szczerze mówiąc, że użyła tej forsy do gry na giełdzie albo zrobiła inny przekręt Teraz widzę, że wujek Kruczek się postarał.

– Albo i to, i to – westchnął Jarcew.



– Może. No, w każdym razie my też odstąpiliśmy od ścigania, ale nie za bezdurno.

– Pracuje dla nas?

– Tak. W trybie dyskretnym.

– No popatrz! Nie pochwaliła się!

– Powiedziałem, że w trybie dyskretnym.

No tak, dyskrecja. Nie lubię, gdy taki rodzaj dyskrecji dotyczy mnie, pomyślałem.

Zapamiętam to sobie.

Kostia, pomilczawszy chwilę, zapytał:

– Czy ona może ci jakoś pomóc?

– No cóż... Nie wiem. Czy do utworzenia filtrów wystarczą trzy osoby, nie wiem – powtórzyłem. – Jak na razie, nie widzę żadnego powiązania między nimi. Wszystko mają odmienne: płeć, wiek, poglądy... Łączy je tylko jedno: są znani.

Sukonin zmarszczył brwi.

– A to nie jest ważne? Nie łączy?

Pokiwałem głową: może tak, może nie.

Kostia przygryzł dolną wargę.

– A mnie się to nie podoba – rzucił. – Co oni, przedzierają się do wierchuszki!

– Może.

Popatrzył na generała, ten skinął głową.

– No to ja jej powiem, żeby ci pomagała.

W kieszeni mojej bluzy poruszyła się komórka. Ciche czknięcie – SMS.

Chyba Jerzy. W pierwszym odruchu chciałem odczytać wiadomość, ale odłożyłem to później, gdy narada się skończy.

– A co wyszarpałeś z „Czeczenów”?

– Trzy nazwiska. Ustalamy przy pomocy naszych kapusiów, tych najpewniejszych, adresy i powiązania.

W jego głosie było mało optymizmu. Jakby coś przeczuwał.

– Wiesz, czym ich postraszyłem?

– Że ich wypuścisz?

– Tak! – ucieszył się.

– Nie boisz się, że niedługo pożyją? Nawet w areszcie?

– Przestań! Przypilnujemy ich.

Cicho pisnął telefon generała, zerknął na display, popatrzył na nas.

– Coś jeszcze? – zapytał. – Bo jeśli nie...

Poderwaliśmy się i wypadliśmy z gabinetu. Na korytarzu odczytałem wiadomość.

Od Jerzego:

Mam spotkanie ze swoim człowiekiem, będę późno. J.

– Kostia, coś się dzieje z Jerzym – powiedziałem cicho.

Odwrócił się błyskawicznie. Już nie był rozbawiony i zadowolony.

– Co jest?

– Napisał, że ma spotkanie ze swoim człowiekiem i podpisał się inicjałem z kropką. To sygnał. Normalnie podpisujemy bez kropki.

– Idziemy! – W marszu wyciągnął telefon i wystukał jakiś krótki, czterocyfrowy numer. Rzucił: – Do mnie! – Skierował się do windy, zjechaliśmy na parter. Dyżurny poderwał się na nasz widok. – Jerzy Wilmowski. Wyszedł jakieś dwie godziny temu. – Popatrzył na zegar nad głową dyżurnego. – Około trzeciej.

– Tak jest. – Dyżurny kliknął myszką dwa razy, odczytał z ekranu dane.

– O piętnastej osiemnaście.

– Z własnej inicjatywy uruchomił zapis kamer na zewnątrz. Przewinął zapis do piętnastej siedemnaście, puścił na przyspieszonym podglądzie. O piętnastej dwadzieścia jeden ukazał się Jerzy, spokojnie popatrzył w prawo i w lewo, podszedł do zaparkowanej w szpalerze vipowych wozów lancii delta, wsiadł i odjechał. Chwilę po nim przez ekran przemknęło bmw z przyciemnionymi szybami. Dyżurny, kumaty gość, migiem przełączył na panoramiczną kamerę na dachu komendy, zmiksował podgląd... Tak, bmw ruszyło z odległej o sto metrów zatoczki trzy sekundy po Jerzym i bez wątpienia popędziło za nim.

– Daj to technikowi, chcę mieć numery rejestracyjne i co tylko się da. Ty zobacz, kiedy to bmw przyjechało, przejrzyj, czy ktoś z niego nie wysiadał. Ruszaj, gazem! Tiechnar' niech przepatrzy inne kamery, zaczynając od najbliższej umiejscowionych, ja będę u siebie w gabinecie. Idziemy! – rzucił do mnie i nie czekając na reakcję, ruszył niemal biegiem.

Pognałem za nim, jakoś dziwnie rozkojarzony. Nie chciałem przyjąć do wiadomości treści SMS-a, a właściwie nie treści, tylko ukrytej w nim wiadomości:

„Nie jest dobrze!”.

W gabinecie Sukonina był znany mi już lejtienant Orszaków. Wstał, gdy wpadliśmy, uścisnął mi dłoń.

– Gariadze jest na mieście, szuka dojścia do tych trzech od porwania – zameldował.

– Dobra, na razie nie trzeba nikogo więcej. Kamil, co jest grane? Gadaj!

– Ja cały ranek siedziałem przy kompie, szukając nowych twarzy – powiedziałem.

– Jerzy pojechał tutaj. W SMS-ie podał zaszyfrowaną informację: „Jest niedobrze”, tyle wiem.

– Tylko „niedobrze”? – zapytał przytomnie Kostia.

– Tak. Gdyby było niebezpiecznie, użyłby małej litery inicjału.

– Może zauważył ogon? – spytał Orszaków.

– Zadzwońliby, i właśnie bardzo mnie niepokoi to, że nie zadzwonił. Niemożliwe, żeby nie odkrył, że jest prowadzony. Myślę, że się zorientował, ale już nie zdążył zadzwonić – migiem go dopadli. Jerzy, jak go znam, nie uciekał, bo chciał zdobyć jakieś nowe dane – kto go prowadził, po co, czego chce. Gdyby oni do niego strzelali, to pewnie by uciekał, ale widocznie nie było tak zwanego bezpośredniego zagrożenia życia... – Wzruszyłem ramionami. – Uznał, że lepiej będzie dowiedzieć się czegoś niż uciekać.

– To co robimy? – Założył nogę na nogę i odchylił głowę do tyłu, jakby chciał przyjrzeć się gładkiemu, monochromatycznemu, nieciekawemu sufitowi.

– Szukamy go, na pewno. Może dostaniemy jakiś komunikat, jakieś warunki uwolnienia. Ale róbmy wszystko bardzo delikatnie, dyskretnie. Bo nawet nie wiemy, kto stoi za tym porwaniem – Niebieski Kruk? Mało prawdopodobne. Jego opozycja?

Ci, którzy porwali dziewczynki? Może, prawdopodobne. Guimony – mniej prawdopodobne. Ktoś inny – nieprawdopodobne.

Jeśli zatem się nie mylę – porwali go konkurenci Niebieskiego Kruka, którzy pewnie gównem wiedzą o sprawie, boją się go, a jeszcze bardziej boją się tego kogoś, przez którego zadzierają z milicją i ekstermanami.

Sukonin usiadł prosto, miał dziwną minę.

– Co za pierdolona sprawa... – powiedział cicho. – Jakbym otwierał matrioski, ale nie normalne, od największej do najmniejszej, w większej mniejsza, a w niej jeszcze mniejsza... tylko odwrotnie od najmniejszej do największej. To niemożliwe, ale w tej sprawie jest wiele rzeczy niemożliwych. Co którąś otworzę, to jakby uwalniało się jeszcze większe zło, jeszcze większe zagrożenie... Jest gdzieś ta ostatnia matrioszka!

– Pewnie Cthulhu... – bąknąłem.

– Oby! – mruknął przez zęby. – Od źródła, od szefa, czy jak go tam nazwać, ciągle oddziela nas cała armia gotowych do poświęcenia się ofiar. Czy dotrzemy kiedyś do praprzyczyny tego całego bajzlu?

Nie odpowiedziałem. Jeszcze tydzień temu idiotycznie i naiwnie myślałem, że dużo wiemy, dużo umiemy, mamy środki i możliwości. Tak wyposażeni, polecimy sobie do Nowego Orleanu. Tam, w egzotycznej, przesyconej muzyką scenerii, między jedną calimdą a drugą bamboulą, dorwiemy wreszcie przeklętego Cthulhu i rozprawimy się z nim, oczywiście. A gibkie Kreolki będą nam ciskać pod nogi kwiaty...

Debil!

Odezwał się stłumiony flecik sygnału telefonu biurowego. Kostia wstał, stękając teatralnie, podniósł słuchawkę.

– Wchodź! – warknął po kilku sekundach.

Cisnął słuchawkę i jednocześnie otworzyły się drzwi.

Wpadł mały pulchny człowieczek z ogromną pożyczką na głowie, maskującą łysinę.

Szybko skinął głową Kosti i mnie, Orszakowa olał.

Chwycił leżącego na biurku Sukonina pilota i wycelował nim w moduł prezentacji na komodzie. Migiem zjechały rolety, na ścianie rozbłysnął ekran, technik ma-nipulował chwilę przy jakimś szpeju przy pasie. Ekran podzielił się na cztery prostokąty. W jednym widniał tył lancii delta, w trzech pozostałych – fragmenty parkingu. Oto na jeden z nich zajeżdża czarne bmw, parkuje tyłem, kilkakrotnie poprawiając ustawienie, przyciemnione szyby, numery rejestracyjne dziwnie błyszczące, nieczytelne.

– Co z numerami? – rzucił Sukonin.

– Fałszywe, znaczy skradzione dwa dni temu. I na dodatek spryskane fotoblokerem.

Technik przyspieszył podgląd. Na ekranie była pierwsza z minutami, godzina przeleciała w minutę.

Przez ten czas bmw nie poruszyło się, tylko cienie na budynkach, przemykający przechodnie i śmigające samochody świadczyły o wpływie biegu czasu. Potem kierowca bmw uchylił szybę i z wozu zaczęły wylatywać histerycznie szybkie kłęby dymu. Sukonin chrząknął, technik sapnął z urazą.

– Zabezpieczyliśmy niedopałek, towarzyszu kapitanie – powiedział.

Jeszcze jedna minuta, na innym kwadracie Jerzy wsiada do wozu, rusza, bmw za nim dwie sekundy później. Do zakrętu dojeżdża trzydzieści metrów za Jerzym.

Kamera pokazuje inne skrzyżowanie, sądząc po czasie, jaki minął od ostatnich kadrów, przejechali jakieś trzysta-czterysta metrów. Na skrzyżowaniu nic się nie dzieje, jest lancia Jerzego, toyota i bmw. Tuż przed startem Jerzy zerka w lusterko i uśmiecha się szeroko. To do mnie. Chyba.

Jeszcze jedna kamera. Cztery minuty później. W lancii za kierownicą jakiś młodzian w bejsbolówce. Po bmw ani śladu, musiało skręcić gdzieś przed kamerą.

Otworzyłem usta, ale wyprzedził mnie technik:

– Mogli skręcić tylko tu, żeby uniknąć kamer!

Na ekranie pojawia się plan Petersburga, pulsuje zielona krecha od gmachu MSW, załamuje się dwukrotnie, potem seledynowa prowadzi prosto, domyślam się, że to szlak lancii. Wcześniej od zaznaczonej trasy odchodzi czerwona linia.

– Wszystkie trasy z kamerami są już trałowane – mówi technik. – Niestety, jest kilka możliwości, żeby urwać się podglądowi, przepakować i dalej jechać już bez obawy przed śledzeniem.

Sukonin pochylił się nad interkomem i polecił najbliższym patrolom przeczesać podejrzane ulice, w sumie siedem czy osiem. Zacisnąłem kilka razy lewą dłoń.

Brakujące palce odezwały się lekkim kluciem. Potarłem pierścień. Kolejny raz miałem wrażenie, jakby delikatnie zawibrował. Złudzenie? Rozejrzałem się po gabinecie Kosti, podszedłem do wbudowanej w regał lodówki, nalałem sobie wody mineralnej, wypłem duszkiem. Paskudne to borżomi!

– Co robimy? – zapytał Sukonin. Odpowiedziałem wzruszeniem ramion. – Zaczynamy czesać miasto – powiedział

przepraszającym tonem.

Pokiwałem głową. Nie miałem lepszego pomysłu.

– Idę do siebie, poszperam w Internecie – mruknąłem.

Długo to nie trwało, akurat zdążyłem odebrać pocztę od anonimowego nadawcy, na zastrzeżony kod milicyjny, wjechałem na zawartość – link do pakietu fotografii z wyselekcjonowanymi ważnymi osobami Rosji – gdy wpadł Sukonin i zamachał ręką.

– Migiem! Lecimy!

Pobiegłem za nim do windy. Zjechaliśmy do piwnicy, pokonaliśmy kilkadziesiąt metrów pachnącego świeżą farbą korytarza i wypadliśmy na jakieś podwórko, widocznie przyległe do „oficjalnego” patia MSW. Powietrze mełł śmigłem żółty kilkumiejscowy helikopter. W kabinie nieruchomo siedzieli czterej funkcjonariusze z OMON-u. Sukonin odruchowo pochylił się i popędził w kierunku maszyny. Ja za nim.

W kabinie założyliśmy słuchawki, włączyliśmy się w sieć.

– Telefon miałem – krzyknął Sukonin. – Ktoś przedyskutował mi zamiar i wyłączył się. Lecimy tam. Dwie inne maszyny już są w powietrzu. Celem jest środek Szungierowskiego Lasoparku...

– Namierzyliście, kto dzwonił? – zapytałem tylko po to, żeby coś powiedzieć.

Nie za bardzo podobała mi się wyprawa do lasu, gdy nie wiadomo czyim zakładnikiem był najbliższy mi człowiek. Gdybym był pewien, że ta wyprawa nie dotyczy Jerzego, żadna siła, łącznie z MSW Rosji, nie zmusiłaby mnie do wywołanej anonimowym telefonem wyprawy. Ale...

Ale minęły już ponad dwie godziny od porwania Jerzego.



Pilot, wiedząc, że załódze się śpieszy, dawał czadu, prowadząc śmigłowiec z pochylonym ku ziemi dziobem śmigłowca. Pomyślałem, że gdyby miało to wpływ na prędkość i – zwłaszcza – na efektywność podróży, wykonałby pętlę, kobrę albo i beczkę. Sukonin pomyślał o tym samym: przełączył się na kabinę i obsztorcował pilota. Śmigłowiec wyrównał i – jakby obrażony – lekko zwolnił. Mój żołądek wrócił na swoje miejsce.

Mijała dwunasta minuta lotu, silnik zmienił ton, przy oknie siedział Kostia, to on i dwaj komandosi przylgnęli do okien. Ja tylko pomacałem się pod pachą, czy Gracz jest na miejscu.

Sukonin zaczął coś mówić, nie słyszałem go. Śmigłowiec wszedł w ciasny skręt, jednocześnie opadając. Potem było tylko gorzej – jeszcze ciaśniejsza pętla i jeszcze szybsze opadanie. Następnie zadziwiająco gwałtownie „zahamował”, zatrzymał się, zawisł w powietrzu.

Sukonin wpatrywał się w coś pod nami, potem nacisnął klamkę drzwi chwyciwszy się pasa, wychylił. Dłuższą chwilę wpatrywał się w las, po czym szarpnięciem ciała i pasa wrócił do kabiny i pociągnął za leżące na półce szelki. Przełączył się na zakres ogólny.

Za mało miejsca, nie wylądujemy. Musimy zjechać w uprzęży. Robiłeś to kiedyś?

Skinąłem głową. Gówno prawda, ale przecież sztuka polega przede wszystkim na odpowiednim, czyli właściwym, napięciu uprzęży. Czyli starannym, żeby się nie rozpięła. Bo potem włącza się wyciągarka i – heja! Jak się obiekt nie wypnie, to jest na ziemi po minucie, jak się wypnie – ciutkę wcześniej...

Sukonin, oczywiście, rzucił się jak na paradzie. Gdyby wiatrak wisiał dwadzieścia metrów niżej, skoczyłby bez uprzęży. Z drugiej strony do wyścigu z nim skoczył jeden z omonowców. Po dwóch minutach wróciła uprzęż. Drugi omonowiec nie patyczkował się ze mną. Wbił w pętle, zacisnął ściągacze, poprawił dwie klamry i... wypchnął z kabiny.

Wpadłem w huragan dokoła i pod helikopterem, zakręciło mnie, ale opadałem dość szybko i dość szybko wir powietrza przestał wyrywać mi włosy z cebulkami.

Popatrzyłem w dół.

Polana nie byłaby za mała na lądowanie, gdyby nie była zajęta. Z góry widoczny był jakiś dziwny pierścień, nie wiadomo z czego. Tak pomyślałem, a po chwili już wiedziałem, z czego ten krąg.

Pierścień o średnicy około dziesięciu metrów tworzyły siedzące na krzesłach nagie postacie. Nieruchome, niezważające na podmuchy z wirnika. Nieruchome kukły z przestrzelonymi głowami.

Przestałem się nimi zajmować, ziemia już waliła w moje stopy. Huknąłem mocno piętami w szczęśliwie mokry grunt i wysoką trawę, szarpnąłem te klamry, które zapamiętałem, i okazało się, że dobrze zapamiętałem. Uprząż pognała w górę, jakiś pas chlasnął mnie w policzek. Cholernie mocno, na sekundę dziwnie pociemniało-rozbłysło mi w oczach. Odskokczyłem, nie wiem po co – przecież pas był już dwa piętra nade mną.

Dobra, chuj z pasem i policzkiem. Co my tu mamy?

Sukonin pokazał mi, żebym odsunął się z miejsca lądowania omonowca. Zanim to zrobiłem, silnik zmienił ton i raptownie ścichł. Śmigłowiec odleciał poza linię czupryn drzew.

– Ekipa wyląduje gdzie indziej! – krzyknął Kostia. – I dojdzie na piechotę. Nie ma się do czego śpieszyć.

Policzyłem ciała.

Jedenaście.

Dziesięciu mężczyzn.

Wszyscy nadzy. W różnych stadiach otyłości i ledwości. Z mężczyzn dwaj, nie – trzech, wyraźnie południowego pochodzenia – mocno i czarno owłosione torsy i ramiona, plecy, jeden bardzo blady, chyba rudzielec, kobiecie się nie przyglądałem, około pięćdziesiątki, nie dawała zarobić dietetykom i masażystom.

– Co to za krąg!... – syknął Sukonin.

Wszyscy siedzieli na jednakowych metalowych, wbitych czy wkopanych trochę w grunt krzeselkach, każdy, łącznie z kobietą, opierał prawe ramię na barkach sąsiada z prawej, w prawej dłoni trzymał, identyczny pistolet. Nikt nie odrzucił, nie wypuścił go z martwej dłoni. Wszyscy siedzieli dziwnie – pośladki zjeżdżały im z siedzisk, ale nie spadali, opierali się krzywo o oparcia, ale nie obsuwali się w martwe objęcia sąsiada...

Nikt nie uciekał, nie uchylał się.

– Ktoś im kazał? – podsunąłem Sukoninowi.

Pokręcił głową.

Nie ruszaliśmy się. Ślady, tropy, niedopałki, włosy, odciski butów... Wymiociny, ślina, łupież...

Sukonin przykucnął i wbił wzrok w najbliższego trupa. Nie wszyscy z siedzących na krzesłach mieli tak dobrze zachowane twarze. Mózg nieboszczyka wytrysnął na prawe ramię sąsiada. I pewnie na trawę.

– Uch-ch-sss... – wyrzucił z siebie po chwili. – Oni są przyklejeni do krzeseł!

To wiele tłumaczyło.

– Ramiona też pewnie mają przyklejone do barków sąsiada – powiedziałem. – A broń do dłoni...

-1 co, losowanie? Loteria? Dlaczego strzelali do siebie, dlaczego...

– Taki był rozkaz – odparłem wolno. Odwróciłem wzrok od makabrycznego okręgu. Już wiedziałem, jak się to odbyło. – Pierwszy strzelił do sąsiada z prawej, sąsiad z lewej do niego, kolejny z lewej do tego, i tak dalej... Ostatni zastrzelił kumpla po prawicy, potem okręcił dłoń i palnął sobie w łeb... A może ktoś mu pomógł?

Jeden z komandosów wyjął z dużej torby kilka sprasowanych plastikowych płacht, gwizdnięciem zwrócił na siebie uwagę i rzucił każdemu z nas jedną. Roz-prostowaliśmy je, rozłożyli na wysokiej trawie i stanęli na nich. Zapaliłem, uważając, żeby popiół nie spadł poza płachtę. Sukonin pomachał ponagłajaco ręką, dostał jeszcze jedną paczkę, mniejszą, wyszarpnął z niej niecierpliwie wysokie kapcie z cholewkami, i ostrożnie, patrząc pod nogi, obszedł koszmarny krąg. Wrócił do mnie.

– Trzech znam. Aż za dobrze: Boria Ponury, Nina Kacabajka, ta kobieta, i Juraszka Siewriugin. Tutejsze szychy.

– Niebieski Kruk wyczyścił powietrze? – zapytałem. – Wykosił niepokornych, ukarał nieposłusznych i...

– I pokazał, kto tu rządzi – dokończył Kostia.

Omonowiec pstryknął w panel radiostacji, coś powiedział, czegoś wysłuchał.

– Zaraz tu będą! – zawołał i jakby wystraszywszy się własnego krzyku, dodał ciszej: – Ekipa dochodzeniowa, eksperci. Co robić z drugim śmigłowcem?

– Niech wyląduje ekipę i wraca, wyląduje maksymalnie blisko. Będzie zabierał ciała.

Komandos przekazał słowa Sukonina, skinął głową na znak, że wszystko załatwione. Wysypałem z paczki resztę papierosów, siedem sztuk, policzyłem, i zgasiłem w niej niedopałek.

– Jak to się ma do porwania Jerzego? – zapytał Sukonin.

A skąd, do kurwy nędzy, mam wiedzieć? – Chciałem ryknąć.

– A skąd mam wiedzieć? – powiedziałem, siląc się na spokój.

– Bo jeśli to Kruk załatwił tych tu... – krótkim ruchem głowy wskazał ciała – ...to kto porwał Jerzego? Też on?

– Albo zostało wykonane polecenie zmarłego. Jednego z tych ludzi, jego śmierć nie odwołała akcji.

– Albo nikt jeszcze nie wie o śmierci zleceniodawcy.

– Albo to zupełnie kto inny – ani Niebieski Kruk, ani peterski kryminal.

– Czyli kto?

– Czyli Cthulhu za pośrednictwem swoich Fn'thali, guimonów i co tam jeszcze ma!

– warknąłem.

Wydawało mi się, że pada za dużo słów. A jednocześnie cisza tak głęboka...

Miękka, mroczna, leśna. Jak się nazywał ten dobry wojenny radziecki film? Tak tu cicho o zmierzchu? Nie! Jak tu cicho o zmierzchu. Nie, Tak tu cicho o zmierzcha!

Nad głowami zafurkotały ptasie skrzydła, podniosłem głowę, ale ptaki, dwa albo trzy, już skryły się za koronami drzew. Jeden nie wytrzymał:

– Krr-aa!

Wzdrygnąłem się. Krucze skurwiesyny. Skruczesyny... Pomagierzy guimonów.

Tu? Czyli co – nie Kruk?

Sukonin rzucił mi szybkie spojrzenie. Pytanie zawisło w powietrzu. Z boku, od skraju polany odezwały się jakieś głosy. Kostia odwrócił się.

Na scenę wkraczała ekipa – laboratorium, technicy, oświetleniowcy, kamerzyści.

Nadchodzili tyralierą. Czekalem na rozkazy.

I nadeszły. Wszyscy pod południową linię drzew. Zachować ostrożność, nie zostawiać swoich śladów. Czekać. Nie przeszkadzać. Można oddychać.

W ramach wyjątku ja z Sukoninem przenieśliśmy się na przeciwległą stronę polany, skąd wyszła ekipa. Ktoś zrobił kilka zdjęć, skrzył ten kawałek ziemi cyfrową kamerą, rozłożył dwa stoliki i trzy krzesła, jedno pozostało wolne, bo wszyscy ruszyli do roboty.

Dwie godziny trwało utrwalanie na dyskach wszelkich możliwych ujęć zwłok.

Potem ekipa długą chwilę deliberowała, jak zabrać ciała: odrywać od krzeseł czy nie odrywać. Może odcinać ręce? Może odpiłować nogi krzeseł? Udało się określić rodzaj użytego kleju, ale rozpuszczalnika było za mało. Wystarczyło do odklejenia wszystkich ciał od sąsiadów. I jednego nieboszczyka od krzesła. Ci

z krzesłami nie mieścili się w workach, owijano ich w duże płachty, krępowano linkami i tak wciągano na pokład śmigłowca. Trwało to cztery długie makabryczne godziny.

Do Sukonina podbiegł jeden z techników.

– Tawariszcz...

– Dawaj! – warknął Kostia.

– Telewizja otrzymała nagranie. Nie jedna, wszystkie. Stacje komercyjne zapowiadają, że puszczą to, zaleciwszy usunięcie dzieci sprzed telewizorów... – Postawił na stole przed Sukoninem, ostentacyjnie mnie pomijając, siedemnastocalowy laptop, migiem coś uruchomił, posługując się „łechtaczką” i służbiście odsunął się dwa kroki.

Sukonin przesunął laptopa, ustawiłem się tak, żeby dobrze widzieć.

Nad polaną wolno krążyła kamera, ostrość rozjeżdżała się co rusz, ale wystarczyło jej, by mieć pewność, że poza jedenastoma siedzącymi na polanie nie ma na niej nikogo. Jeden z siedzących w tym jeszcze tylko dziwacznym, jeszcze nie koszmarnym kręgu, jakiejś makabrycznej ohydnej, „siadanej” zorbie, poruszył dłonią i wypalił w głowę siedzącego obok. Zaraz potem sam stracił mózg po strzale, po nim jego zabójca, potem zabójca zabójcy, i kolejny... Wszyscy po kolei kończyli ze sobą, a ostatni, tak jak myślałem, majtał się chwilę na krześle, szarpał ręką i stygnącym, jeszcze ciepłym, przed chwilą pozbawionym życia ciałem, aż udało mu się tak wykręcić zakrwawioną dłoń, że lufa spojrzała mu pomiędzy oczy. Wtedy wystrzelił po raz drugi. Jedyne uprzywilejowany. Upoważniony do dwóch strzałów.

– Po ile pocisków mieli w magazynkach? – rzuciłem. – Kim był ten ostatni? Czy to może być znaczące?

– Nie wiemy jeszcze, nie dotykali broni.

– Z czego filmowali? Śmigłowiec – ryzykowne – sypnąłem kolejnymi pytaniami, które mnie samego dręczyły.

– Motolotnia. Bezpilotowy samolot...

– Tawańszcz lejtenant – zaszalował technik. – Można?

-Tak?

– To ptak! – wypalił technik. – Analiza rozmywającej się ostrości wykazuje, że to ptak – po każdym uderzeniu skrzydeł na pół sekundy obraz traci ostrość, zanim automat znowu ją złapie. I tak w kółko.

– Duży ptak? – zapytałem. – Jak jest po rosyjsku... – odwróciłem się do Kostii – ...bocian czy...

– Kamil, nie wal gruchy! – syknął Sukonin. – To kruk. – Odwrócił się do technika. – Woron!

– Możliwe, bardzo możliwe. Dużo ich tu, pojętne, łatwe do tresury... – Zawahał się.

– Ale czy można tak ułożyć ptaka, żeby filmował to, co chce treser?

Bardzo prosto, pomyślałem. Dla niektórych to pestka z masłem, jebana pestka, z pierdolonym masłem!

– Uporządkujmy – zaproponował Sukonin, nie zwracając uwagi na przestępującego z nogi na nogę technika. – Jeśli to filmował ptak, kruk, to Niebieskiego Kruka możemy wykluczyć albo dołączyć do stada guimonów. Tak?

Zastanawiałem się chwilę.

– T-tak-k...



– Inne, wymagające natychmiastowej odpowiedzi pytanie – co z telewizjami?

– A możesz to wstrzymać? – Nie kryłem zwątpienia, zadając to pytanie.

Popatrzył na mnie jak na durnia. Takiego, który na pytanie „Gdzie WC?”, pyta: „A po co ci?”.

– Niech mi, kurwa, podpadną! – wycedził przez zęby. – Wiedzą, że demokracja-sracja, ale zatruć im życie możemy bez trudu. Tylko czego my chcemy – zamieść pod dywan czy nagłośnić?

Zaakcentował „my”, a ja, część tego „my”, zacząłem ogryzać skórę na kciuku.

Czego my chcemy, czego potrzebujemy. Chagiewu.

Oddajcie, chuje-ctuhule, Jerzego. Bo pogadamy inaczej.

A czy on sam się nie wpakował w ich saki? Wiadomo po co. Żeby być bliżej. Ale jak się jest za blisko ognia, to można przykopać wąsy.

Nie potrafiłem tego wyjaśnić, ale jakoś porwanie Jerzego ustawiałem w kategorii zdarzeń absorbujących, a nie rozpaczliwie ważnych. Po prostu miałem wrażenie, że Jerzy nie mówił mi wszystkiego, że miał jakieś wtyki, jakieś dane, jakieś, kurwa, możliwości, którymi się z nikim nie dzielił, nawet ze mną. Nie dlatego, że nikomu nie ufał, tylko dlatego, że nie mógł albo uznał to za nieważne, zbędne, błahe... Mógł się mylić. Ten nieważny wątek nagle wskoczył do czarnego bmw i przyłożył mu lufę do skroni.

Poczułem mrowienie w kieszeni. Wyjąłem komórkę. Numer z wizytówki chińskiej „spyzarni”. Stawierogow.

-Tak?

– Pan Kamil? Nadia mi pokazała film z lotu ptaka... – zaczął Igor Siemionowicz.

Ha. Już wiedział, że to ptak. Nadia działała profesjonalnie.

– My to widzieliśmy na żywo. Znaczący – post factum, ale i tak...

– Owszem, mocne. Coś wiecie?

– Niewiele. Ktoś wykosił wierchuszkę peterskiego kryminału. Zacznie się walka o fotele, gównu mnie to obchodzi.

– Aha. Mnie też. A co z tego nas obchodzi?

– Kto i jak zmusił zaprawionych w walce o władzę i życie kryminalistów do wzajemnego wystrzelania się.

Chwilę operator zbierał impulsy za ciszę. Wymieniliśmy pół jej minuty na kopiejki, ale tym się nie kłopotalem. Nie moje kopiejki.

Potem Stawierogow powiedział coś ważnego:

– Zniewolenie duchowe? Kazali im wybierać: albo tak, albo coś gorszego: rozwalimy wasze rodziny. Na przykład. Albo – zmienił timbre głosu – coś innego? To mnie interesuje, to coś innego. Macie jakieś dane z sekcji?

– Jeszcze nie – powiedziałem wolno, rozważając wszystkie zawarte w jego pytaniach istotne wątki.

– No tak... Za mało czasu. Ale jak będzie coś wiadomo, dajcie znać. Jeśli można.

Do widzenia.

Akurat! „Jeśli można”? „Jak będzie wiadomo”!?

Jego wnuczka będzie wiedziała przede mną, co jest grane.

– Kostia, wydaje mi się ważne, żeby możliwie szybko, a myślę, że u ciebie to oznacza migiem, zrobić sekcję tych – omal nie palnąłem „biedaków” – ludzi.

Stawierogow naciska delikatnie, mnie też się wydaje ważne ustalenie, jak do tego doszło, a to może prowadzić do odpowiedzi, kto ich zmusił.

Sukonin chwilę podgryzał wewnętrzną stronę dolnej wargi.

– No tak, durr-rak! – prychnął.

Przypomniałem sobie, jak wymawiała to słowo Zemfira: dur-rr-rak! „R” w jej ustach turkotało i hurkotało jak kamienna kula w betonowym korycie. Zimna kula przetoczyła się i przez moje trzewia. Kiedy był jej pogrzeb?

Dwudziestego? Dwudziestego pierwszego? Kurwa, nie pamiętam. No tak, przecież ja wtedy, w pełnej amnezji w łóżku w dacy Osipa Stiepanowicza Niczypurienki!

Kapitan Konstantin Sukonin, emitując wiązanki „jobów”, przyspieszał sekcje zamordowanych. Nie działało to na kogoś po drugiej stronie łącza, w końcu zgodził się na przyspieszoną sekcję tego jedyne, który popełnił samobójstwo. Sekcja i pełne badanie toksykologiczne tych, którzy popełnili je w wymyślny, pokrętny, jeśli tak można powiedzieć, sposób, odbędą się później. Niewiele, job waszu mat’, później.

Potem słuchał długą chwilę, w trakcie której dwa razy rzucił mi szybkie, ni to ukradkowe, ni to przepaszające spojrzenie. Widocznie meldowali mu, co odkryli w sprawie Jerzego. Odruchowo wyjąłem komórkę i sprawdziłem listę połączeń. Listę?!

Jedno. Jeden, znaczy, SMS. Znowu przez moje kichy przetoczył się lodowy walec.

Zacisnąłem zęby, po chwili włożyłem między nie filtr papierosa.

Zmierzch nie zapadał i nie zapadnie. Połowa czerwca – białe noce. Nawet nie zauważyłem do mnie, że już sięgają apogeum. W nocy ciężkie zasłony (właśnie, dlatego we wszystkich mieszkaniach są takie szczelne kurtyny i opuszczone żaluzje oddzielają od niepokojącej jasności za oknem!) i opuszczone żaluzje. Na zewnątrz normalne nocne odgłosy, dla mieszkańców Petersburga zwykle białe szaleństwo. Na ulicach tylko podchmieleni albo podjarani światłem turyści, chcą się nachwytać światła, jakby na zapas, napaść luksów, żeby potem terkotać o niesamowitym, nienaturalnym, niepowtarzalnym zjawisku. Ci, którzy zapomnieli, że w nocy, co z tego, że białej, zwodzone mosty są uniesione, nie dostaną się do do hotelu po drugiej stronie Newy.

Jerzy!?

Zapaliłem. Zaciągnąłem się dymem aż po kolana. Wszystko, co odrzucałem, odsuwałem, strach, lęk, przerażenie po SMS-ie Jerzego, nagle zważyło się na mnie z potrojoną mocą. Nagle byłem sam, w obcym kraju, w obcym... Nie, dobra, przyjechałem tu pewien, że Jerzy nie żyje. Prawie pewien. Bardzo pewien, ale hołu-biały mikroskopijną nadzieję, że może się myłę. Dobra, odzyskałem go, a teraz co?

Znowu straciłem? Cthulhu, kimkolwiek, czymkolwiek, srymkolwiek jesteś – masz u mnie rzeź. Masz u mnie gówno w zęby, masz u mnie chu...

– Kamil? KA-MIL?!

– Czego, kurwa, się drzesz?

Sukonin podszedł dwa kroki, wyciągnął rękę.

– Po pierwsze, daj papierosa. Po drugie, spadamy stąd. Nie ma co się gapić w trawę. Tu nie ma śladów albo co są, to nie dla nas.

Odpuściłem mu mało poprawną polszczyznę, i tak rewelacyjną w porównaniu z moją ruszczyzną. Podałem mu papierosy, zapalniczkę, rozejrzałem się dokoła, chcąc pokazać, że jestem gotów wracać do jakiejś cywilizacji. W rzeczywistości chciałem się dorwać do laboratorium, do wyników, do danych z kamer. Dorwać, dorwać, dorwać! Teraz, teraz, teraz!

Ruszyłem za Sukoninem w las, ścieżka została wydeptana dawno temu, dziś świeżo dodeptana, pokrzywy z obrzeży bezlitośnie pogniecione, wciśnięte w wilgotny grunt, gałęzie krzewów, przesadnie wyeksponowane na ścieżce, połamane. Po drodze mijaliśmy kilku techników, jeden z nich na nasz widok zatrzymał się, pokręcił palcem koło ucha – pytał, czy lecimy. Gdy Kostia machnął twierdząco ręką, zawrócił i ruszył biegiem z powrotem. Kilka sekund później groźniej i mocniej ryknęły turbiny śmigłowca.

Po kwadransie opadliśmy na przypominający zakaz parkowania i postoju znak na lądowisku komendy.

– Słuchaj – powiedział Sukonin, gdy weszliśmy do windy. – Niektóre badania są cholernie czasoi pracochłonne, trzeba coś wyhodować, wykstrahować, wiadomo.

Już wiemy, że w użyciu była diufurazyna. Raczej tego nie znasz albo znasz pod inną nazwą. W każdym razie jej łagodnych pochodnych używa się do ekstremalnych przesłuchań, w ekstremalnych, ma się rozumieć, warunkach. Wojna, niewola, terro-ryzm, zagrożenie i takie tam. Osoby poddane jej działaniu przypominają świecę nad ogniskiem: miękną, topnieją, wyginają

się, w końcu spalają się jasnym ogniem. To w łagodnym użyciu, co do użycia agresywnego mam małą wiedzę. Wygląda na to, że na polanie mieliśmy do czynienia z działaniem agresywnym, czyli w czystej postaci.

Absolutne farmakologiczne zniewolenie.

– Z utratą instynktu samozachowawczego? – zapytałem trochę bez sensu.

– Całkowitą. Człowiek pod jej wpływem i może na komendę kogoś z boku sam wytluc sobie młotkiem mózg z czerepu.

– Dzięki, bardzo obrazowe – burknąłem.

Coś takiego kołatało mi się w głowie. Hipnoza czy zastraszenie kilkunastu opornych gangsterów nie wchodziły w grę. Tylko jakaś potężna szpryca mogła stłamsić i podporządkować taki zestaw ludzki.

Sukonin spacerował po swoim gabinecie. Przechodząc obok biurka, machinalnie poprawił jakieś papiery, zerknął na szafkę kryjącą barek, ale na kontakcie wzrokowym się skończyło. Wykonał jeszcze kilka takich przemarszów.

– Niebieski Kruk – stwierdził.

– Na to wygląda – przytaknąłem.

– Potwierdzenie panowania?

– Pewnie tak, a przy okazji pozbycie się krnąbrnych, co do których nie ma już nadziei na reedukację.

Pokiwał głową, a potem nią pokręcił.

– Jakies to... sztamowe. Myślałem, że jest bardziej oryginalny.

– Do jego kompanów i konkurentów wyrafinowane komunikaty mogą nie dotrzeć.

– Też prawda.

– Powinieneś się cieszyć. To ci, którzy na rozkaz emisariusza czy emisariuszy Cthulhu rozpętali wojnę z milicją, porwali twoje córki...

– ...i porwali Jerzego?

Sukonin zerknął na mnie spod oka.

– Może powinniśmy poprosić go o pomoc? – zapytał.

– A honor legawca?

– Chuj z nim, z honorem! Chodzi o to, że... Jerzy by sobie nie życzył, żeby z jego powodu źli stawali się na chwilę dobrzy, a co najmniej potrzebni – wpadłem mu w słowo.

– Ja nie mam żadnych problemów z wykorzystaniem przeciwnika do swoich celów – prychnął.

Otworzyłem usta, żeby mu wyłożyć swoją filozofię wykorzystywania przeciwnika, ale miło zaplunkał telefon, Kostia jednym susem pokonał stosowną odległość i poderwał słuchawkę do ucha. Chyba lekko przestraszona gwałtownością jego ruchów, sekretarka szybko zameldowała połączenie z laboratorium. Kostia nie przełączył rozmowy na „głośno”. Wkurzył mnie tym. Słuchał sam. Szerzej i szerzej otwierając oczy. Potem odłożył słuchawkę.

– Tylko w ciałach dwóch osób znaleziono diufurazynę! U tego podwójnego strzelca i jeszcze jednego. Pozostali są czyści, tak przynajmniej wynika ze wstępnych badań. Może coś głębiej w nich siedzi, coś, czego nie wykrywają testy tego poziomu. Ale teoria o farmakologicznym uzależnieniu upadła. To co teraz?

Nie zastanawiałem się długo.

– Teraz szukaj Niebieskiego Kruka.

– Po co?

-Żeby go ostrzec! Jeśli zrobiły to Fn'thale i guimony, to Kruk nie jest im do niczego potrzebny. Wręcz przeciwnie – przeszkadza!

Sukonin doskoczył do mnie i klepnął w ramię.

– Nie masz pojęcia, jak mnie cieszy, że pracujemy razem. Brak mądrych współpracowników to koszmar.

– Spieprzaj...

Wyciągnął z kieszeni komórkę i wystukał numer. Odczekał kilka sygnałów, usłyszał powitanie poczty głosowej, burknął: „To ja. Proszę oddzwonić”. Delikatnie odłożył telefon.

– W sprawie Jerzego nic nie wiadomo – powiedział.

Przemilczałem komunikat. Przecież gdyby coś wiedział, to i ja bym wiedział.

– Najważniejsze to kto, prawda? – ciągnął Sukonin. – Bo co innego by było jakby pomiot guimoni, a co innego jakby nasi rodzimi kryminaliści.

Nie zabrzmiało to szczerze, zabrzmiało to, jakby kapitana Sukonina dręczyła wymuszona bezczynność, jakby miał wyrzuty sumienia, że nie może nic dla mnie, dla Jerzego zrobić.

– W którym momencie drasnęliśmy Cthulhu? – powiedziałem, zamiast skomentować oświadczenie Kostii. – Czego się boi? Od czego odwraca naszą uwagę?

Sukonin przysiadł na krawędzi biurka, ale nie odezwał się.

– Cały czas mam wrażenie – kontynuowałem – że wszystko, co się wydarzyło po akcji na Koniewcu, jest zmyłą, ślepą uliczką, gorączkowym, nieskoordynowanym odciąganiem nas od sedna, podsuwaniem nieważnych celów. Bylebyśmy nie skoncentrowali się na czymś naprawdę ważnym.

– Ojciec Andriej? – podsunął Kostia.



– Związał, to fakt. Bardzo bym chciał go tu mieć. Na pewno jest ważny, ale czy niezmiernie ważny? Kostek, patrz: postawmy się na miejscu bóstwa albo jego arcykapłana. Rozpętuje wojnę z MSW Rosji, czego każdy powinien unikać, póki może. A on już nie może. Co go sprowokowało? Czego się boi? Co ukrywa?

– Może jest jeszcze coś – zaczął ostrożnie Sukonin – czego nie pamiętasz z nocnej wyprawy do tego cthultowiska?

– Cthultowisko... – powtórzyłem. – Dobrze. Czy jeszcze o czymś nie pamiętam? Za Chiny nie mogę powiedzieć tak czy nie. Zanim nie przypomniałem sobie tego albumu, nie odczuwałem luki w pamięci. Niepamięć gładko przykryła mi tę kawernę w mózgu. Mogła też przykryć co innego. Wiesz... Za mało było czasu – podjechałem, wszedłem tam, otworzyłem szafkę, przejrzałem album i zostałem pojmany, że się tak elegancko wyrażę. A nieelegancko – dałem dupy tak, że Messalina by się spaliła ze wstydu. Już potem nie bardzo było co – mam na myśli własny umysł – ukrywać. Czyli to coś jest na widoku, tylko my tego nie dostrzegamy.

– Czyli działają sensownie – powiedział Kostia. – Sprzedali nam ślepą plamkę, przez którą nie widzimy tego, co powinniśmy widzieć.

– No to co, poddajemy się? – Wysunąłem szpilę i ukłułem kapitana.

– Achuję! Za nic. Trzeba tylko pomyśleć. Myślmy.

– Myślę i myślę, i tylko jedno mi wychodzi.

– Ja mam to samo. Po długim myśleniu doszedłem do jednego wniosku.

– Trzy-cztery! – wydałem komendę.

– Album! – powiedzieliśmy jednocześnie.

Obaj, nie umawiając się, odetchnęliśmy.

– To proste, proste jak budowa akceleratora cząsteczek – roześmiał się Sukonin. – Jeśli ten idiota ojciec Andriej, idiota z ich punktu widzenia, założył album swoich VIP-ów, ty go widziałeś, i oni już wiedzą, że przeżyłeś, to skąd niby mają wiedzieć, że nie pamiętasz akurat tego momentu?

– No... Mogą myśleć, że skoro nie działamy w tym kierunku, to znaczy, że nie zrozumieliśmy, jakim skarbem dysponujemy...

– Bo sama wiedza o tym, że taki album istnieje, że istnieją tacy ludzie, to już skarb! – wpadł mi w słowo Sukonin.

– Jasne. Mogą też sądzić, że odciąganie nas od VIP-listy jest bardzo skuteczne.

Dlatego nie dają nam ani chwili wytchnienia: ataki na milicję, porwanie Leninek, porwanie Jerzego, zaczystka petersburskiego podziemia. Co dalej?

– Dalej – dwa tory: albo udajemy, że skutecznie nas kiwają, albo uderzamy.

– Mamy w kogo?

– Mam kilka osób wyciągniętych z Sieci, bardzo, ale to bardzo podejrzanych.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent. Niepewnych mam jeszcze z osiem-dziesięć postaci.

– Może wsadzić kij w ten... murawiejnik!

– Mrowisko – podpowiedziałem odruchowo. – Za wcześnie. Popatrz, w albumie było kilkadziesiąt zdjęć. Wsadzimy kij w mrowisko, aresztujemy dziesięć osób.

Wśród nich, powiedzmy, byłego dyrektora zespołu elektrowni wodnych. Skąd będziemy wiedzieli, czy wyjeżdżał za granicę, w sprawach służbowych, a nie w innym celu?

– Chcesz wyselekcjonować więcej tego gówna?

– Tak. Jak najwięcej.

– Masz rację. Zajmij się tym... dogłębnie.

Byłem pewien, że miał na myśli najwyższy priorytet, porzucenie wszystkich innych spraw, ale ugryzł się w język, przypomniawszy sobie, kim dla mnie jest Jerzy.

– Tak zrobię. – Wstałem. – A, panie kapitanie, może znalazłby się w komendzie jakiś kącik sypialny dla mnie? Chromolę mieszkanie, nie chce mi się jeździć tam i z powrotem. Tu czy w domu siedzę przy komputerze.

– Właśnie chciałem ci powiedzieć, żebyś nie szwendał się po ulicach sam, bo nie mam już ludzi do konwojowania ciebie. I tak trzy czwarte komendy zajmuje się pośrednio lub bezpośrednio naszymi sprawami.

– Kostia, nie pierdzieli W Pitrze nie było tak spokojnie od bitwy pod Połtawą w tysiąc siedemset dziewiątym roku! Wszystko, co mogło się schować, schowało, wyjechało, zgrzeczniało – ze strachu albo wyrachowania.

– Fakt! – Roześmiał się. – Dla turystów i mieszkańców Pitra to raj! Ale do rzeczy.

Masz w swoim pokoju raskładuszkę. Na razie nic więcej nie da się zorganizować.

– Wystarczy. Czy twój superhacker jest do mojej dyspozycji? Wie o tym?

– Tak. Kazałem jej odłożyć wszystko, co nie jest związane z naszym dochodzeniem. Nie jest twoją podwładną, ale wie, co jest co i kto jej wyznacza zadania. Ty możesz.

– Okay. No to idę do siebie.

– Dobra. W kantynie powołaj się na mnie.

– A dostanę, co chcę, czy tylko „zestaw kapitana”? – pozwoliłem sobie na żarcik.

– Do roboty!

U siebie natychmiast włączyłem komp, zalogowałem się do Sieci. Wędrując od hasła do kodu, od foldera do strony, dotarłem do ostatniej zapory przed przygotowanym przez Nadię zestawem. Zgromadziła w nim już ponad dwa tysiące elementów.

Nie wiedziałem, jak działa selekcja Nadii, jakie cechy zostały ustawione jako predystynatory, ale nie mogło to być nic ostrego, zdecydowanego, no bo skąd dwa tysiące nazwisk? Zresztą, to dobrze, bo gdyby miała niezawodne ostre kwantyfikatory i dzięki nim wyszarpała dwa tysiące VIP-ów, to znaczyłoby, że cała Rosja już jest przeżarta kwasem Cthulhu!

Poczułem zimny powiew czegoś na karku.

Nie, tak nie było. Bo inaczej nie dałoby się prowadzić takiego śledztwa, takich działań jak nasze! Stłamsiliby nas, odstawili, odstrzelili w końcu.

Czyli jest jeszcze o co się bić.

Zamknąłem drzwi na klucz, rzuciłem kurtkę na krzesło, wyciągnąłem z lodówki puszkę jakiegoś miejscowego energetyka i wyssałem landrynkową ciecz. Smak niedoskonały, działanie zaskakująco wyraźne.

Zasiadłem przed kompem, splotłem palce, strzeliłem kostkami.

Do roboty! – powiedział Sukonin.  
Tajest!

## ROZDZIAŁ 11

Ból głowy narastał od dłuższej chwili, może od pół godziny. Ujawnił się na czubku, a kiedy zdałem sobie z tego sprawę, spłynął dwoma strumieniami ku skroniom i tam usadowił się na dobre. Uruchomiłem pokaz slajdów z częstotliwością zmian co trzy sekundy. Obie ręce miałem więc wolne i mogłem palcami wygniatać ból ze skroni.

Ale to nie działało. Nawet powiedziałbym, że przyniosło odwrotny skutek. Zaczęło mi w skroniach łomotać, najpierw rytmicznie, potem monotennie, ciężko, od cepa, niemiłosiernie.

Zatrzymałem przegląd fot i powlokłem się do biurka. Z szuflady wyciągnąłem dwie tabletki auliny i łyknąłem bez popijania. Jeden stanął w gardle, musiałem doczołgać się do parapetu, na którym stała butelka mineralnej, i łyknąć chłodnej cieczy – całe szczęście, że okno było od północy. Stałem przy nim długo, kwadrans chyba, nie mając siły wrócić na fotel przed kompem.

Potem, po tych koszmarnych piętnastu minutach, ból trochę opadł, udało mi się otworzyć oczy i nawet zrozumieć, co widzę przez okno. Dwa drzewa. Natychmiast poczułem, że pod drzewami ból ustałby zupełnie. Musiałem wyjść.

Wyszedłem.

Źle skręciłem, wyszedłem nie na wewnętrzny dziedziniec, tylko na ulicę Czajkowskiego. Trudno. O rzut mikroskopem miałem Letni Ogród. Tam nawet młody Eugeniusz Oniegin czuł się dobrze. Pomaszerowałem w tamtą stronę. Chciałem powiadomić Sukonina, ale komórka została w pokoju, broń także.

Doszedłem do kutego ogrodzenia i furty.

Za godzinę zamykamy, młody człowieku! – dźwięcznie zawołała za mną masywna odźwierna.

Pomachałem do niej ręką, że wiem. Zrobiłem kilkadziesiąt kroków i opadłem na ławkę jak dmuchawiec. Rozejrzałem się, przymknąłem oczy. Ból narastał. Już się rozzłościłem na siebie, już pomyślałem, że trzeba było siedzieć na dupie albo położyć się na połówce, gdy zelżał. Potem zelżał jeszcze bardziej i niemal całkowicie ustał.

Ktoś usiadł obok mnie.

Otworzyłem oczy i popatrzyłem w prawo.

Zemfira miała włosy gładko zaczesane do tyłu, zwinięte w ciasną płaską spiralę.

W uszach ogromne koła, czarno-białe, ogromne ciemne okulary na oczach. Reszta stroju – golf, spodnie, kozaki – była dopasowana kolorem do okularów. Czerni.

Zadygotałem. Z radości. Ja też byłem uznany za martwego, a żyłem! Może i Zemfi...

Stop! Odbył się jej pogrzeb! Niemożliwe, by pochowali kogoś innego. W takim razie kim jest ta osoba obok mnie?

Bliźniaczka? Klon? Sobowtór? Przez kogo przygotowany: milicję, emisariuszy Przedwiecznego, Niebieskiego Kruka?

Broń? Na komendzie.

Wołać o pomoc?

– Boisz się, Kamil? – zapytała Zemfira.

Odrobinę chrypiała, głos miała przydymiony, idealny do śpiewania bluesa z lampką koniaku w rękę i dobrym pianistą przy fortepianie.

– Jestem zaskoczony – powiedziałem.

– Boisz się? – powtórzyła pytanie.

Dopiero teraz usłyszałem, że mówi bezbłędnie po polsku. Niewiele powiedziała, ale wystarczyło samo „się”.

– Niby czego mam się bać? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. – Zamierzasz mnie skrzywdzić?

Chi, chi! Jaki jestem sprytny! Zamiast się przyznać, przeniosłem pytanie na interlokutorkę. Niech ona odpowie, co mi grozi. I kto się na mnie zamierza?

– Musisz się bać, Kamil. Zadarłeś z mocami, które tylko chwilowo nie mogą zetrzeć cię z powierzchni ziemi, wydrzeć z pamięci najbliższych, z pamięci wszystkich.

– Tylko mnie jednego chcą zetrzeć z powierzchni ziemi? – zdziwiłem się. – To niewielka cena za spokój ludzkości. Jestem gotów ją zapłacić.

– Nie żartuj sobie. Nikt nie będzie się z tobą targował ani układał. – Wolno odwróciła się do mnie i utkwiała we mnie ogromne żabie szkła okularów. Pomyślałem, że spojrzenie pod nimi musi być prawdziwie palące. – Możesz zgłosić akces do Jedynego i Wielkiego, być może będzie ci wybaczone, może zostaniesz przyjęty do grona sług i bę...

– Zemfiro?! Jaja sobie robisz? – syknąłem.

Napiąłem mięśnie, by w każdej chwili móc wykonać unik, uskoczyć, zwalić się z ławki.

Zemfira nawet się nie poruszyła, patrzyła na mnie spokojnie. Głębia jej ciemnego spojrzenia wysysała ze mnie tupet i odwagę. Uniosła lewą rękę i wolno wyciągnęła ją w moją stronę. Nie poruszyłem się. Pamiętałem, że nie dotknąłem chyba Zemfiry



poprzedniej, żywej, innej, tym bardziej nie zamierzałem dotykać tej nieznannej zaskakującej samym swym istnieniem.

Dłoń zawisła i trwała nieruchomo, nienaturalnie nieruchomo, jak kończyzna zaprogramowanego robota: ruch-bezruch, ruch-bezruch. Po piętnastu-dwudziestu sekundach opadła na ławkę, chyba dokładnie w to miejsce, z którego wyruszyła na spotkanie przyjaznego dotyku.

– Mam już trzydziestu zidentyfikowanych guimonów z rosyjskich elit – powiedziałem spokojnie.

Czujnie obserwowałem Zemfirę, ciekaw jej reakcji, ale za okularami mogła ukryć wiele odczuć.

– Z albumu pieprzonego ojca Andrieja – ciągnąłem.

Nie drgnął ani jeden atom jej ciała. Odwróciła głowę i patrzyła przed siebie. Usiłowałem zajrzeć pod okulary, zobaczyć jej oczy, ale ogromne czarne oprawki zachodziły niemal na skronie. Zemfira popatrzyła na mnie.

– Tak? No i co?

– Wyłapiemy ich i skąpiemy w kolargolu – zachichotałem.

Chichocząc, lewą ręką sięgnąłem do kieszeni, gdzie trzymałem sprężynowe szydło od Osipa.

Zemfira westchnęła.

– Nawet nie próbuj – powiedziała. – Nie masz przy sobie szydła od Osipa Stiepajobanycza.

Nie maskując się już, dotknąłem kieszeni. Była pusta. Pewnie szydło zostało w kurtce.

Co ona powiedziała? Stiepajobanycza? Zemfira była kobietą nietuzinkową, ostrą w słowach i czynach, ale nie rzucała matem bez potrzeby.

– Zemfiro, odpowiedz na jedno pytanie i możemy sobie dalej gadać. Mam sporo czasu. Kim jesteś?

– Zemfirą Warakanową. Tak, zapytasz teraz, jak to możliwe, że rozmawiam z tobą skoro zginęłam. Jesteś naiwnym osłem. Kamil. Naiwnym, lekkomyślnym osłem.

Wierzysz Sukoninowi, wierzysz w jego przyjaźń, w jego szczerść i oddanie idei sprawiedliwości totalnej. Tymczasem siedzisz obok najlepszego dowodu jego dwuli-cowości, zakłamania i zdrady. Porwanie jego córeczek zostało sfingowane od początku do końca. Nie miał jak cię tu zatrzymać, nie dopuścić do działań w USA, więc zlecił „porwanie” swoich ukochanych dzieci. Wiem nawet, że gdybyś nie zareagował prawidłowo, czyli odleciał mimo wszystko, za dwa dni jego teściowa zostałaby zabita. To by cię ściągnęło z powrotem do Rosji. Prawda?

Milczałem.

– Dokoła ciebie snuje się delikatna na oko, ale mocna jak karbon sieć intryg, pozorów, zmyłek... Po to, żeby wyssać z ciebie wszystko, co wiesz i czego możesz jeszcze się dowiedzieć. A potem ciach! Nie potrzebują cię w Polsce, obawiają w Rosji. Znikniesz bez śladu i nikt nie będzie cię szukał, może tylko ten stary farfocel, Osip – prychnęła z pogardą.

– Skąd tak dobrze znasz polski? – zapytałem. – Nie popisywałaś się tym wcześniej.

– Bo nie miałam się popisywać. – Wzruszyła ramionami.

– A scena, w której Fn'thal rzuca tobą o ścianę i łamie ci kręgosłup?

Teraz ona zachichotała.

– Oj, Kamilku, sieroto boża... – Westchnęła. – Po pierwsze, co widziałeś, a czego się tylko domyślałeś? Po drugie, wiesz, jakie psychotropy stosuje nasz MSW?

Możemy ci wcisnąć, że jesteś nieślubnym synem Lenina i Ałły Pugaczowej, i oddasz życie, broniąc ich i swojego honoru. Rusz głową, nie odrzucaj wszystkich nie-dorzeczności, niedopowiedzeń, rzekomej nieudolności. To wszystko się łatwo wytłumaczy, jeśli powiesz sobie, że to nie są twoi przyjaciele.

Znowu odwróciła głowę. Powoli sięgnęła okularów i zdjęła je. Oczekiwałem pustych oczodołów, krwawych kawern, zacieków posoki, czegoś w stylu straszyłki klasy C. Ale nie, patrzyła na mnie swoimi orzechowymi, lekko skośnymi oczami ze smutkiem, żalem i politowaniem, z rozczarowaniem i litością. Jej lewa dłoń dotknęła mojej, nawet nie zauważyłem, kiedy poruszyła ręką. Była ciepła i sucha, twarda i... czuła. Ścisnęła moje palce. Zadrzałem.

Czyżbym dał się tak wyrolować? Jak kiep nad kpy? Jak ostatnia dupa wołowa?

Posłużyłem za taran, parawan, za taczkę, wiertło, sieć, za wszystko, co się da wykorzystać w swojej sprawie?! Jak to możliwe?

Popatrzyłem bezradnie na Zemfirę.

– Zemfiro – wychrypiałem. – Czemu dopiero teraz się pojawiłaś? Nie mogłaś wcześniej?

– Kamil, duraczok, ty myślisz, że ja mogę wszystko? Że mi ufają bezwzględnie i całkowicie? O nieee, bracie. Nie. Po pierwsze, tu nikomu się nie ufa całkowicie. Po drugie, nie ufają mi całkowicie z innych powodów.

– Jakich?

– Kocham cię, Kamil – powiedziała po prostu.

Milczałem.

– Sukonin o tym wie. Zresztą, to on kazał mi wskoczyć tobie do łóżka. I to będąc moim stałym kochankiem, choć to nie kochanek, a taki tam – jobar’\*.

– Czego ode mnie oczekujesz, Zemfiro?

Jej palce na moich zacisnęły się, sprawiając ból. Nie poruszyłem się.

– Najbardziej bym chciała, żebyś uciekł z Rosji i zabrał mnie ze sobą. Ale to niemożliwe, w żadnym układzie niemożliwe. Możemy jednak być razem tutaj tak długo, jak się da. I tak jest nam pisane niedługie życie. Ciebie zabijają, jak przestaniesz być potrzebny, mnie – gdy odkryją, że knuję z wrogiem. Jeśli im zwieje-my gdzieś w Rosję, to możemy trochę pożyć. Jestem przygotowana. Wiesz, za Stalina wywiad i kontrwywiad działały w grupach trzyosobowych. Dowódca plus dwaj podwładni. Takie jaczejki. Co jakiś czas, niemal z automatu, jaczejki były likwidowane. Wszyscy o tym

*\* Jobar’ (ros.) – Partner tylko do seksu, rypacz.*

wiedzieli, niektórzy się godzili, inni przygotowywali się na taki moment i wiali. Mieli załatwione dokumenty, pieniądze, nowe życiorysy. Zrywali z rodziną i znajomymi, znikali, tworzyli sobie nowe życie i żyli, ile się dało. Jednym udawało się miesiąc, innym dziesięć lat, jeszcze inni żyli do naturalnej śmierci. My – uśmiechnęła się – do śmierci. A kiedy ona nastąpi, nie wiemy przecież.

Poczułem szaleńcze walenie w skroniach, jakby cała krew nagle została skierowana do głowy. Otworzyłem usta, żeby coś

powiedzieć, choć nie wiedziałem, co mogę, co chcę...

Tyle tego...

Ja...

Za plecami Zemfiry pojawił się staruszek z małym psiakiem. Nie wiem dlaczego, zepsuł mi krajobraz, zakłócił pole widzenia, oderwałem wzrok od orzechowych oczu Zemfiry i popatrzyłem z irytacją na dziadka. Uwolniłem palce z uchwytu Zemfiry, w tym samym momencie starzec przechylił głowę i jakby tym ruchem zdjął maskę. To był Osip Stiepanowicz. Patrzył na mnie z trwogą. I nadzieją.

Wszystko się zawaliło.

Odsunąłem się gwałtownie od Zemfiry, odtrąciłem jej dłoń, znowu szukającą mojej.

Won! – ryknąłem.

Nie orzechowe! Nie orzechowe! Błękitne miała oczy, błękitne, mara pierdolona!

Zemfira dziwnie zafalowała, jak szykujący się do ataku pyton. Odchyliła głowę do tyłu, otworzyła szeroko usta. Usłyszałem bulgocący charkot. Rozłożyła ręce na boki i wykonała nimi kołyszący ruch. Spojrzenie rubinowych oczu skierowała na mnie. W jej paszczy coś zasyczało, bezwargi pysk odsłonił dwa szeregi kłów. Spod włosów na skroniach wyłoniły się dwa pasemka i zaczęły żyć jakby własnym życiem – falowały, wydłużały się, pogrubiały... Na ich końcach pojawiły się małe, wrednie uzębione paszczęki. Seledynowe oczka zerknęły na mnie, z pysków wydobył się przenikliwy syk.

Byłem jak sparaliżowany. Wiedziałem, że powinienem uciekać. Albo atakować, a nie gapić się jak cielę na malowane wrota.

Zemfira szybko wyciągnęła rękę i położyła dłoń na moim karku, ścisnęła mocniej, przyciągając mnie do siebie.

Opierałem się, ale wiedziałem, że za słabo...

Kapitan Sukonin wysłuchiwał raportu z prosektorium.

Podszedł do regału z płytami. Trzydzieści cztery CD diabli wzięli. Pocisk przeszedł gładko, Kenny Rodgers – bye-bye Madam Sakalauskenie bardzo się przejęła, jak powiedziała, „nieodpowiedzialnym hałasem”.

Przecież ktoś mógłby pomyśleć, że to strzał z broni – powiedziała.

Właśnie...

Sukonin patrzył chwilę na przeoraną pociskiem kolekcję, zgarnął ją i wrzucił do kubła. I od razu wyjął z powrotem, klnąc pod nosem. Zrozumiał, że przyda się choćby jako wzorzec do odtworzenia kolekcji. Pozbierał wszystkie pudełka, nagle znieruchomiał i roześmiał się i cisnął ponownie blisko trzy tuziny CD-ków do kosza.

Na cholerę mi ten Kenny Rodgers?! – pomyślał. Będę zbierał co innego, Creedence Clearwater Revival, Joan Baez albo Doiły Parton! Kto mi zabroni?

Wcisnął największy przycisk interkomu.

– Soniu Jakowlewna, proszę mnie połączyć ze Stochardem... – Czekał pół minuty.

– Nie odbiera? Ale jest u siebie? Dobra, dziękuję.

Zadowolony, że ma pretekst do wyjścia z gabinetu, szybko przemierzył sekretariat, kawałek korytarza i niemal rozbił sobie nos o drzwi, gdy napotkał ich sta-nowczy opór. Trącił je jeszcze raz, potem energicznie nacisnął kilka razy klamkę. W obite dermą

drzwi nie ma sensu pukać. Odsunął dwa kroki, wyjął komórkę i klawiszem z numerem trzy wywołał Stocharda. Znowu odczekał chwilę. Gdy już niemal szykował się do wezwania dyżurnego z zapasowymi kluczami do pokoju, szczęknął zamek, drzwi otworzyły się. W progu stał blady Kamil, jedną ręką trzymając się klamki, drugą położył na karku, jakby obawiał się, że głowa mu odpadnie. Wyglądał kiepsko. Widok Sukonina jakby jeszcze pogłębił trudny do określenia, ale na pewno niedobry stan.

Cofnął się od progu, podszedł do okna, ciągle z dłonią na karku, jakby coś zakrywał.

Sukonin zmrużył oczy i szybko ruszył za nim.

– Coś ci jest? – zapytał.

Kamil stał nieruchomo. Sukonin położył mu rękę na ramieniu.

– Co ci jest? – powtórzył z naciskiem.

– Śniła mi się Zemfira – powiedział niechętnie Stochard.

Odwrócił się do Kosty. Zaciśnął usta i zmarszczył czoło.

– Mnie się śniła cztery razy – przyznał Sukonin.

– Coś ci się stało w kark? – Zrobił ruch, jakby chciał sprawdzić.

– Zdrętwiała mi szyja. Zasnąłem przy przeglądance.

– Rozmasowałem szyję. Poklepałem. Opuściłem wreszcie rękę.

Sukonin chwycił go za ramię, przyciągnął, okręcił.

– Pokaż! – zażądał.

– No coś ty! Myślisz, że mam tam stygmat? – zakpił Kamil, ale Sukonin już wpatrywał się w jego kark.

– I co?

– Nic. Nie ma żadnego znaku.

Stochard pokręcił głową, wykonał trzy koliste ruchy.

– Byłeś jej kochankiem? – zapytał zniechęca. Kostia wytrzeszczył oczy i otworzył usta. Wyglądał jak ostatni gamoń.

– Zwariowałeś? Kocham Walentinę, nie mam boków. Kamil obśmiałyby inne zaprzeczenie w rodzaju: „Coś ty, w pracy o moim romansie byłoby wiadomo dwie godziny po fakcie!”, albo „Dobry kogut nie puka na własnym podwórku”, albo... Nieważne. Ta, która padła, była najlepsza.

– Powiedziała mi to Zemfira we śnie. Był realistyczny aż do bólu, oprócz zakończenia, kiedy zaczęła się przeistaczać w aktywnego guimona.

Zapadła cisza. Sukonin usiadł w fotelu.

– To coś znaczy, twoim zdaniem? – Sięgnął po papierosy Kamila i zapalił.

– A czy ja wiem? – Stochard również zapalił. – Jakie były twoje sny?

– Przerażające. Budziłem się złany potem, ze skurczem żuchwy. – Zaciągnął się i nerwowo zgasił dopiero co zapalonego papierosa. – Raz omal się nie zlałem w pościel, gdy mi się przyśniła – wyrzucił z siebie. – Okaleczona, połamana, w stanie rozkładu. – Podniósł głowę i popatrzył na Stocharda. – A tobie jak się śniła?

– Wyglądała znakomicie, seksownie, pięknie. Nie zgadzał tylko się kolor oczu.

Miała orzechowe, a w rzeczywistości...

Sukonin pokręcił głową.

– Co? – zapytał Stochard. – W rzeczywistości jakiego miała koloru?



– Orzechowego. Tydzień przed twoim przyjazdem sprawiła sobie nowe kontakty.

Nic znaczącego, powiedziałbym, że zrobiła to dla jaj.

– No i masz... – rzucił Stochard.

– Myślisz... – zaczął Sukonin i zamilkł.

– Nie wiem. Może Cthulhu przedziera się do naszych umysłów? A jeśli tak, to po co? Żeby poznać nasze plany?

– A może po to, żeby Kamil Stochard wsadził Konstantinowi Sukoninowi granat w dupę – dokończył kapitan.

– No. – Zatoczył głową w lewo, potem w prawo. – Coś o Jerzym? – zapytał.

Sukonin pokręcił głową.

– Nic. Niebieski Kruk milczy. Telewizje tańczą mi po brzuchu, ale nie dają się.

Patologia wije się i też milczy... – Wzruszył ramionami. – Od słowa „pat” czy co? Nic konkretnego nie chcą powiedzieć. Ciągłe weryfikują dane i powtarzają testy.

– Czy to coś znaczy twoim zdaniem? – zapytał, umyślnie powtarzając słowo w słowo pytanie Sukonina.

– Na pewno – odparł bez wahania. – Szykują jakąś niespodziankę i oni chcą być pewni swego i nie dać się zje... chać.

– Przyjechałem tu z elektroniczną namiastką papierosa – powiedział. – Myślałem, że łatwo i szybko rzucę. – Zapalił. – Na razie odkładam realizację tego planu. – Uśmiechnął się krzywo.

– Postanowienie to połowa sukcesu – zauważył Sukonin.

– Akurat!

Sukonin zmrużył oczy i chwilę przyglądał się Stochardowi.

– Uda ci się. Hardy chuj z ciebie.

Obok siebie dały się słyszeć dźwięczne i bezdźwięczne „h”. Kamil poruszył ustami, jakby ćwiczył te głoski, w polskiej fonetyce już praktycznie niewystępujące w obu wariantach.

Chwilę milczeli. Sukonin zerknął na zegarek i powiedział:

– Zabiję tę bandę z laboratorium! – Wyjął komórkę i wdusił kilka przycisków. – Siergiej? No co wy, pracujecie czy strugacie marchew? Co? Z czego się cieszysz? – Słuchał chwilę. – Nie, głównie mnie obchodzi twoja radość. Nie, serio. Możesz sobie być jak Francuz, który wynalazł minetę, ale mnie to nie rusza. Wyniki, wyniki! Tak?

Dobra, nieoficjalnie! No? – Słuchał, tym razem długo, z każdą chwilą okazując coraz większe zdziwienie. W końcu, po trzech minutach, rzucił do słuchawki: – Nie pytam, czy masz stuprocen... Tak, nieoficjalnie, pamiętam. Oficjalnie proszę do mnie. Jak najszybciej. Najpierw w trzech zdaniach, potem na piśmie. Dziękuję. Cześć!

Rozłączył się i popatrzył na Kamila.

– Oni nie byli znarkotykowani. Dwie osoby, czwarty w tym kole i siódmy, tak, miały śladowe ilości diufurazyny, pozostałe nie. Akurat w pierwszych zwłokach, jakie wzięli pod mikroskop, wykryli ten narkotyk, więc jakiś dupek uznał, że wszyscy zabici byli pod jego wpływem. Co teraz?... Nic nie rozumiem.

– To może być proste, Kostia – powiedział Stochard. – Gdyby wszyscy byli zamuleni farmakologicznie, przypisalibyśmy to albo kryminalnemu podziemiu albo Niebieskiemu Krukowi. Czyli też kryminaliście. Przymusić ludzi do takiego wyrafinowanego samobójstwa bez użycia narkotów, bez presji fizycznej, grożenia śmiercią bliskich, na przykład, bez lufy przystawionej do skroni –

pokręcił głową – mogli tylko Cthulhu. Nie wiem, jakie warunki muszą być spełnione, jakie okoliczności i jacy ludzie są na to podatni. Może wszyscy, tylko oni muszą mieć czas. Może poddają ofiary jakiemuś rodzajowi hipnozy, uzależnienia, ale z tego co wiem instynkt samozachowawczy jest najsilniejszy. Nie uda się zmusić człowieka, żeby targnął się na swoje życie. Nie wiem, jak tego dokonano. Najprościej zwalić wszystko na Cthulhu i tak też robię.

Zerwał się, chwycił leżące na biurku pudełko zapalek, podrzucił i kopnął z całej siły. Nie trafił czysto – pudełko poleciało w bok.

– Kostia. Kostia – powtarzał. – To jest tak wkurwiające, że nie masz pojęcia.

– Ja? Ja nie mam pojęcia?

– No tak. Pieprzę od rzeczy. Nawet nie wiem, jak to opisać. Czy porównanie nas do dzikich, dżgających drewnianymi dzidami mastodontów uwłacza nam, czy mastodontom... Już się wydaje, że osiągnęliśmy sukces, że idziemy do przodu, że coś mamy na plusie i nagle jedenaście trupów – jeb! I już po naszej przewadze, po sukcesach. Możemy się tylko cieszyć, że nie po nas samych. To jest wkurwiające i frustrujące.

Sukonin przyglądał mu się chwilę, potem uśmiechnął lekko.

– Bardziej wkurwiające czy bardziej frustrujące?

Kamil parsknął niewesołym śmiechem.

– I jedno, i drugie.

– Wybieram się do generała, idziesz ze mną?

Kamil zastanawiał się chwilę.

– Nie, posiedzę nad tymi pieprzonymi VIP-ami. Wydaje mi się, że to najbardziej perspektywiczny kierunek. Tak chyba najskuteczniej możemy dosolić guimonom i całemu temu piekielnemu towarzystwu.

Sukonin skinął ze zrozumieniem głową.

– Dobra. To róbmy każdy swoje. Nie wychodź z komendy bez porozumienia ze mną.

– Jasne, po to prosiłem cię o kąć do spania. Na razie stąd nie wychodzę.

Sukonin plasnął dłońmi w kolano, wstał, teatralnie stękając, i pomachawszy ręką na pożegnanie, wyszedł.

Kamil patrzył chwilę w podłogę, zerknął na okno, przyjrzał się wszystkim ścianom pokoju. Nie chciało mu się wracać do monitora, setek i tysięcy fotografii. Sprawdził komórkę. Nie było SMS-ów. Usiadł przed kompem, odnowił wygasające automatycznie po trzech minutach bezczynności logowanie.

Ruszył na poszukiwanie guimonów w viplandzie i celebrytorium made in Russia.

## ROZDZIAŁ 12

O siedemnastej zadzwoniła Nadia... Nadia? Stawierogowa?  
Czy inaczej?

Halo? – rzuciła i od razu przeszła do rzeczy: – Czy możesz coś dodać do wybranych przez ciebie osób? Jakies charakterystyki czy ozna...

– Zaraz? Podglądasz mnie? – Poczujęm, że za chwilę szlag mnie trafi.

Prychnęła do słuchawki jak gówniara, którą ojciec karci za zbyt krótką spódniczkę.

– Ja wszystkich mam na...

Rozłączyłem się.

Kwestia zasad. Kto jeździ maserati, nie ściga się z trabantem.

Zadzwoniła od razu. Pewnie nie zorientowała się, że to nie błąd operatora.

Odrzuciłem.

Pewnie teraz się wścieka. „Sram na niego. Nie będę dzwonić!”. Obgryza paznokcie. Przypomina sobie, że to nie zabawa w Facebook. Że jest podwładną Sukonina, że to praca. Zaciska zęby, przygryza wargi.

Zadzwoniła.

-Tak?

– Przepraszam, ja tak odruchowo. Zawsze to robiłam i nie uwierzysz, jak często się przydawało.

– Może. Ja sobie nie życzę.

– Dob...

– Jeszcze nie skończyłem, Nadiu. Nie zdajesz sobie sprawy, że jesteśmy w stanie wojny z niezwykle silnym i zupełnie odbiegającym od standardu przeciwnikiem. Nie wiemy, ani jaki

ma zasięg ramion, ani jakim arsenałem dysponuje. Nie wiem, kogo do czego może przymusić, dlatego tylko dwie osoby wiedzą o sprawie wszystko albo prawie wszystko. Pozostali, gdyby nawet byli zmuszeni do zeznań, nie powiedzą tego, czego nie wiedzą. Rozumiesz? Nie wyobrażam sobie, że ktoś trzeci wie za dużo, i to nie przyznając się do tego. Natychmiast, słyszysz? Natych...

– Już się odłączyłam – jęknęła. – Nie bądź taki... nienowoczesny!

– Dobrze. I bardzo, bardzo uważaj na siebie, bo nie wiesz, co ci może grozić, zwłaszcza gdy przeciwnik dowie się o twoim istnieniu. Zginęło już wie...

– Już rozumiem! – znowu mi przerwała. – Przepraszam, nie będę. Możemy wrócić do tematu?

Nigdy nie lubiłem, gdy ktoś za szybko mnie przeproszał, nie dając mi się powymądrzać.

Trudno.

– Tak. Wracajmy.

– Jeszcze ra...

– Pamiętam. – Ja też umiem przerywać rozmówcy. – Nie mogę do tych osób dodać niczego, zupełnie przecież ich nie znam. To tylko twarze zapamiętane z albumu. Na dodatek, ustalmy, że poprzeczkę niezawodności pamięci ustawiam tylko na osiemdziesiąt sześć procent. Album przeglądałem szybko, ukradkiem, w stresie. Potem miałem... jeszcze więcej stresu. Kilkanaście dni byłem w amnezji. O albumie zapomniałem na długi czas. Dopiero niedawno sobie o nim przypomniałem. Odłożyłem do folderu „prawdopodobne” kilkanaście person, nie

chcę skrzywdzić niewinnych ludzi. A ta dziesiątka jest najpewniejsza. Naj-pew-niej-sza. Tylko tyle.

– Dobrze. Chcę uruchomić coś na kształt heurystycznego wyszukiwania wspólnych cech tych ludzi. Rozumiesz? Jeśli znajdę łączącą ich nić, to mogę za nią pociągnąć i ujawnić innych powiązanych. Co prawda, dwie naczelne zasady heurystyki informacyjnej, zasada wyczerpania, inaczej kompletności, i zasada właściwego doboru materiału, czyli relewantności, nie są w tym przypadku przestrzegane z wystarczającą dokładnością, ale też nie jest to, jak powiedziałam, dokładnie ta heurystyka, jaką znajdziesz w podręczniku czy Wikipedi .

– Bez tego wikimędzenia – masz nadzieję?

– Że to zadziała? Tak. Ale nie wiem, ile czasu będziemy potrzebować.

– A niezawodność? Czy może pewność działania? Nie wiem, jak to zgrabnie ująć – w sensie, czy to nam coś da?

– Powinno.

– No to zapuszczaj swoją – chciałem zadowcipkować: chierristikę, ale szybko mi przeszło – machinerię i melduj o wszystkim.

– Dobrze, ale zaraz! Nie rozłączaj się.

W głośniczku zastukało, zachrobotowało, pisnęło.

– Halo, to ja. – Przełączyła na tryb głośnomówiący. – Nadzieжда mówi, żeby nie używać nazwisk w telefonie, bo ktoś może trałować rozmowy, żeby wyszukać... i tak dalej.

– Zgadza się z nią.

– No tak, to mądre dziecko. Chcę się z panem zobaczyć.

– Pilne?

- Dość. Wszystko jest pilne w tej sprawie.
- Dobrze. Zaraz się zbiorę i jadę.
- A ja czekam. – Głośne puknięcie w słuchawce, pewnie palcem protezy huknął w przycisk rozłączenia.

Przeciągnąłem się leniwie. W kubku miałem jeszcze dwa łyki zimnej herbaty.

Wdusiłem czwórkę na wewnętrznym telefonie.

- Kostia, zaprosił mnie Stawierogow. Pojadę do niego?

Półtorej sekundy wahania.

- Jedziemy razem. Zejdź do holu.

Okazało się, że przydzielono nam opancerzone bmw. Popularny model, a co za tym idzie, łatwo się wtopi w dziesiątki podobnych aut. Kierowca i siedzący na przednim fotelu komandos w cywilu z karabinem szturmowym OC 14 Groza na kolanach. Silna grupa.

Podczas jazdy zapoznałem Kostię z przebiegiem rozmowy z Nadią. Pokręcił głową, mruknął „Zabiję kiedyś tę dziewczuchę” i na tym skończył manifestację przełożonego. Czyli o wszystkim wiedział. Siała baba mak... a dziad wiedział...

- Powiedziałeś, że dwaj ludzie wiedzą wszystko?

– Wiem, Jerzy, ale... Hm, jakby ktoś podsłuchiwał, to nie musi wiedzieć...

Nie kończyłem, można się było domyślić, że inaczej będą pytali Jerzego, wiedząc, że jest dostatecznie poinformowany, inaczej, jeśli mają go tylko za jednego z szeregowych... Gówno prawda, nie porwali żadnego innego szeregowego...

Na skrzyżowaniach kierowca włączał syrenę, samochody jadące przed nami niechętnie ustępowały miejsca. Dojechaliśmy do Kronsztadu w nieco krótszym czasie niż zwykłą taryfą.



Komandos wyskoczył pierwszy i nie przechwalając się bronią, wbiegł do klatki schodowej. Pod drzwiami mieszkania Stawierogowa zasalutował jednym palcem i usunął się na bok.

– Czekał – rzucił Sukonin i zadzwonił.

Otworzyła Nadia, uśmiechnęła się krótko do szefa, zrobiła skruszoną minę do mnie. Nie zareagowałem, wszedłem za Sukoninem do pokoju. Gospodarz nie dziwił się teatralnie, nie skomentował obecności Kosti.

– Dzień dobry – powiedział. – Nadiu, herbata gotowa?

– Tak, tak! Już niosę.

Stawierogow popatrzył na nas, najpierw na Sukonina, potem na mnie.

– Siadajcie, mili goście. Zajmę wam trochę czasu.

Usiedliśmy. Ja na tym samym miejscu co przedtem.

Sukonin – na miejscu, które zajmował Jerzy.

Cholera, Jerzy, odezwij się!

– Nie będę streszczał podstaw fikcyjnego czy prawdziwego kultu Cthulhu.

Zakładam, że znacie go. Przejrzałem wszystko, co napisał o tym Lovecraft. Co do wartości literackiej tekstów mam spore zastrzeżenia, ramoty, powiedziałbym, ale nam przecież chodzi o wartość informacyjną. Co chciał przekazać Lovecraft, o czym – jakoby – wiedział i czym się chciał podzielić, przed czym ostrzec. – Skinąłem głową, to samo zrobił Sukonin. – Zamierzałem z pomocą Nadi spenetrować Sieć, ale okazało się, że jest o wiele prostsze rozwiązanie, które właśnie ona znalazła.

Mianowicie przeszukała w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych katalogi, ale pod kątem czytelników, nie zbiorów.

Okazało się, że Howard Phillips Lovecraft w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku odwiedził tę bibliotekę siedmiokrotnie.

Pierwsze dwie wizyty sprawiały wrażenia poszukiwań po omacku, pozostałe pięć koncentrowały się na jednym temacie.

Przerwał, ponieważ weszła Nadia z tacą, niosąc trzy szklanki z parującą herbatą, cukiernicą, kilkoma dzbanuszkami – jak się domyśliłem – z konfiturami. Podała szklanekę dziadkowi, który zręcznie wsunął palce protezy w nieco zmodyfikowany uchwyt podstakannika, nasze szklanki postawiła na stoliku.

Lovecraft przetrawił wszystko, co napisał o Aleutach niejaki Patrick Seygord.

Dlaczego Aleuty? – Zrobił chytrą minę. Zwlekając z odpowiedzią, napił się herbaty. – Ten archipelag odkryli podczas ekspedycji tysiąc siedemset czterdziestego pierwszego – czterdziestego drugiego roku rosyjscy podróżnicy, Bering, Duńczyk w służbie Rosji, i Czirikow. Bering zginął podczas ekspedycji. Jedna z większych wysp, do dziś należąca do Rosji, nosi jego imię. Podczas tej wyprawy i następnych Rosjanie odkryli, że to raj dla handlarzy futrami. Zaczęli bezlitośnie eksploatować wyspy. Tubylców traktowali nieludzko, wręcz sadystycznie, mordowali bezlitośnie, okradali, gwałcili kobiety. Niektóre wyspy zostały praktycznie wyludnione w wyniku rzezi dokonywanych pod byle pretekstem. W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku Aleutami zaczęła zarządzać Rosyjsko-Amerykańska Kompania Handlowa. Od tysiąc osiemset dwudziestego sytuacja mieszkańców stopniowo się poprawiała. Pojawiły się pierwsze, uwaga – pierwsze! szpitale i szkoły.

Powstanie tych instytucji przyczyniło się do pogorszenia i tak już trudnej sytuacji finansowej kompanii. Ludność kolonii należało zaopatrywać w żywność, wypłacać emerytury, pomoc socjalną, utrzymać personel medyczny i pedagogiczny. Te i inne przyczyny doprowadziły do finansowego kryzysu kompanii w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku. Ciężka sytuacja stała się ważkim argumentem zwolenników sprzedaży kolonii Stanom Zjednoczonym. Trzydziestego marca tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego roku Aleuty, z wyjątkiem Wyspy Beringa i Miedzianej, stały się własnością USA.

Siorbnął herbaty, wzniosł oczy do sufitu, jakby szukał natchnienia. Cała nasza trójka milczała nabożnie. Nadia pewnie wiedziała, co się za chwilę stanie, ale wyglądała na najbardziej poruszoną, wręcz zaintrygowaną.

Na wyspach, oczywiście, rządziła Cerkiew. Aha, zapomniałem powiedzieć, że o te wyspy zahaczył także znany z innych ekspedycji James Cook, skorygował pozycje tych większych i ważniejszych, poprawił wynikające z niechlujstwa i dyletanctwa błędy nawigatorów. No i dochodzimy do prawosławia. Pierwszym chrześcijańskim misjonarzem był ojciec Gierman, który przybył tam w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku z dziesięcioma duchownymi i zakonnikami. Po dwóch latach – sic! – żył tylko on. To ważne. Dziś zwany świętym Giermanem z Alaski. Potem byli inni, najbardziej znani to ojciec Iwan Wieniaminow. Przybył tam w tysiąc osiemset dwudziestym czwartym roku, po piętnastu latach został mianowany biskupem i przybrał imię Innokientij. Znany jako Innokientij z Alaski. Za jego życia

wydarzyło się to, co nas interesuje. – Przerwał i popatrzył na Nadię. – Nadiusza, po riumoczkie koniaku, a?

Nadia uśmiechnęła się i wyskoczyła do kuchni, wróciła po pięciu sekundach.

Musiała dobrze znać swojego dieduszka. Otrzymaliśmy po lampce, nie bawiłem się w zawile degustacyjne przyruchy, po prostu powąchałem i łyknąłem. Dobry.

Wspomniałem o Patricku Seygordzie. Przybył na Aleuty w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym roku. Zostawił po sobie grube bruliony z zapiskami. Dwa z nich są wypełnione dokładnym i beznamiętnym opisem życia Aleutów – polowania, zwyczaje, życie codzienne. W pozostałych przedstawił wierzenia. Zaczął od kultu Czarnego Węża, dziwnego i jak się potem okazało strasznego. Na wyspie Buldir, położonej między wyspami Kiska i Alaid, dość daleko od obu, co w archipelagu nie jest normą, mieszkał ponad rok, dokładnie siedemnaście miesięcy, zanim się czegoś domyślił. Mieszkańcy odwiedzali skromną „wiejską” świątynię, modlili się z duchownym, jeśli był, i bez niego. Jak się potem okazało, do świątyni przychodziło sześćdziesiąt procent mieszkańców, w Czarnego Węża zaś wierzyli wszyscy. Po ośmiu miesiącach Seygord wzenił się w wyspiarską rodzinę, żona zaciążyła i wtedy, dokładnie nie wiadomo jak, odkrył, że ona nocami uczestniczy w obrzędach innej wiary, rzekomo w trosce o dobro dziecka i jego rodziców. Patrick mętnie to opisuje, w każdym razie dowiedział się, że jego Bóg jest na Buldirze jakby gościem, a wyspą, ba! – wyspami, niepodzielnie włada Czarny Wąż. Ond’agfel. On decyduje, kto z kim żyje, kto rządzi, kim i czym, kiedy wypływa się na połów, kiedy urządza się polowa-nie,

kiedy zaczyna się i kończy post. Seygord wpadł w panikę. Zrozumiał, że jeśli wystąpi przeciwko temu bóstwu, nie ujdzie z wyspy z życiem. Udał więc, że wybiera tego boga. Żona udała się do starszyny plemiennej i „wyznaniowej”. Medytacje trwały całą noc, a Patrick modlił się żarliwie do swojego Boga, by pozwolił mu unieść głowę z tej przygody. Rano przyszedł sąsiad, jak się okazało najwyższy kapłan Ond’agfela, i zapytał, czy podda się próbie. Jakież miał wybór biedak? Ucieszył się z okazanej mu łaski, obiecał zastosować się do wszystkich wymogów, zgodził się poświęcić życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wiedział już, że jeśli nie złoży takiej obietnicy, dokona żywota szybko albo wolno, w każdym przypadku boleśnie. – Igor Siemionowicz przyjrzał się mi i powiedział: – Jeśli chce pan zapalić, to proszę na balkonie.

– Wytrzymam.

Opanowałem się i przestałem macać przez tkaninę bluzy paczkę papierosów.

– W nocy został poddany obrzędowi inicjacji w tajemnej świątyni. Nie wiedział nawet, gdzie się mieści na wyspie, zaprowadzono go tam przy dźwiękach bębnów i jakichś skrzypiących instrumentów. Nie rozpoznał, czy to była jaskinia czy ogromna ziemianka. Na jej frontowej ścianie siedział przerażający Czarny Wąż – ogromny gad, długości około dwunastu metrów, zwinięty w kłęb, głowa wysunięta w górę, rozwartym pyskiem mogła połknąć krowę, gadzie czerwone oczy... Mówimy o rzeźbie w kamieniu, rzecz jasna. Na łbie ośle uszy i korona z macek. Może miał w genach ośmiornicę czy kałamarnicę. Wyrzeźbiono go z paraliżującą maestrią.

Odbyły się śpiewy, modły, palenie traw i rybich łbów, tańce, znowu palenie, tym razem wnętrzności zwierząt oraz żywych kóz, których beczenie miało go prześladować do końca życia. Bo, jak się domyślacie, nie dokonał tam żywota. Po kilku godzinach ceremonii, kiedy wydawało mu się, że przeżył piekło, przystąpiono go obrzędu inicjacji. Wychłostano go za grzechy popełnione w ciele wierzącego w inne bóstwo, wypił kilka czar różnych cieczy: krwi kóz, zmielonych oczu jakichś głowonogów, czegoś palącego, ziołowego. Potem położono go na nagiego kamieniu, rozciągnięto kończyny do granic możliwości. Myślał, że umrze. Dwie stare wiedźmy, z martwymi, ale jeszcze świeżymi ośmiornicami na głowach, kiwając ich mackami, zaczęły nacinać mu skórę na barkach, ramionach, przedramionach, wierzchu dłoni.

Nacinały, mrużąc coś, co powtarzał tłum, wcierały jakieś proszki. Nacięcia po wtartych specyfikach przestawały boleć. Seygord stracił rachubę czasu. Co jakiś czas popadał w omdlenie, wtedy wiedźmy nacinały mu skórę i nie posypywały środkiem uśmierzającym, żeby zbudził się z omdlenia.

Nabrałem ochoty na wyjście na balkon. Ale wytrzymałem. Kostia zerknął na mnie, pewnie też chętnie obejrzałby panoramę Kronsztadu.

– Potem zaczęły chyba działać napary odurzające. Patrick opisał złożenie w ofierze dwojga dzieci. Kamienny Czarny Wąż ożył i sam wybrał sobie jeszcze kilkoro wyznawców, których na oczach innych pożarł, przy jękach rozkoszy tychże. Seygord dość dokładnie opisał, jak odrywał im nogi i pożerał, a ofiary, już bez nóg, czołgały się w jego stronę i wyciągały ręce, by też je odgryzł. Potem zjadał głowy, a następnie korpusy w całości. I tak dalej.

– No nie, czemu oszczędza nam pan najciekawszych detali – prychnął Sukonin.

Nerwowo przełknął ślinę. – Ja bym...

– Konstantynie Aleksandrowiczu, nie nakręcam się torturami, ale żeby wszystko zrozumieć, trzeba pewne szczegóły... – Wzruszył ramionami.

– Tak, tak, rozumiem. Przepraszam. Proszę dalej.

– Patrick Seygord przeżył inicjację, dołączył do grona wiernych, o czym świadczyły czarne tatuaże na rękach, bardzo, jak napisał, „udatnie naśladujące pa-skudne, obrzydliwe i ohydne łuski bożka Ond’agfela”. Potem już nie wdawał się w takie szczegóły. Żył na wyspie jeszcze siedem miesięcy i uciekł przy pierwszej okazji. Usiłował przekonać kogo się da, że na Buldirze osiedlił się diabeł i opętał mieszkańców. Apelował, składał noty do Kongresu Stanów Zjednoczonych. Po siedmiu latach odniósł sukces: otrzymał niewielkie środki, pluton żołnierzy i „Sea Hope”. Na tym stateczku przyplłynął na Buldir ponownie, po ośmiu latach.

I co się okazało? – Igor Siemionowicz uwolnił protezę z uchwytu szklanki i wychylił się w naszym kierunku. – Na wyspie nie było ani jednej żywej istoty. Niczego większego od jaszczurki. Zero ptaków. Zero gryzoni. Zero fok. Morsów. Nic, tylko jaszczurki, owady i małże na przybrzeżnych skałach. Najpierw Patrick sądził, że plemię-mieszkańcy-wyznawcy ukryli się w jaskini-ziemiance. Nic z tego. Znaleźli ją.

Bez rzeźby. Tylko kamienny tron, miejsce po ognisku, okopcone ściany. Trochę gnatów, w tym ludzkich, jak się okazało. Ani jednego człowieka! Z sześciu tysięcy!

Gdzie kozy? Krowy? Psy? Koty? Świnie? Nic. Nic-sss...

Znów napił się herbaty.

I to już wszystko. Poza jednym. Na pionowej skale wystającej z morza, której nie sposób zdobyć, widocznej tylko od strony morza, z łusek, przypominających skórzane gonty wykonano ogromny wizerunek boga Ond'agfela. Kto i jak to zrobił, skoro ekspedycja Seygorda, z całym dobrodziejstwem cywilizacji: linami, krążkami, hakami nie zdołała dotrzeć do skały, choćby po to, żeby oderwać jedną łuskę – nie wiadomo. W nocy wizerunek emanował mętным, ponurym, obrzydliwym światłem. W dzień oczy potwora świeciły karminowo. Gdy Seygord zdecydował o opuszczeniu wyspy, na pożegnanie czterech żołnierzy oddało salwę w kierunku potwora.

Następnego dnia nie doliczono się dwu z nich. Pozostałych sprytny Seygord zamknął w komórcie, pilnowanej w dzień i w nocy przez towarzyszy. Dowiózł ich do Alaski. Jeden powiesił się od razu po zejściu na ląd. Drugi uczynił to samo miesiąc później.

Teraz przyspieszamy bieg wydarzeń. Raz – Lovecraft zaczytywał się właśnie dziennikami Seygorda. Czterema pierwszymi i ośmioma następnymi, podobno coraz bardziej przypominającymi bredzenie chorego w malignie. Dwa – na wyspie Buldir mieszka dziś znikoma liczba ludzi. Odsetek samobójstw, pomieszania zmysłów, ataków furii i depresji jest tu siedemdziesięciokrotnie wyższy niż jakimkolwiek innym zakątku Ziemi. To niemal wszystko, co chciałem wam opowiedzieć.

– Niemal? – zapytał Sukonin. – A pointa?

– Pointa jest taka, że Lovecraft swój kult Cthulhu oparł na... cholera – faktach?



Uwierzył, że gdzieś na końcu świata żyje czy w jakiś właściwy sobie sposób trwa krwawe mroczne bóstwo. Zmodyfikował opowieść Seygorda, przeniósł w inne miejsce, nie wiem po co. Może uznał, że nie powinien wprost ostrzegać ludzkości przed Czarnym Wężem, bo a nuż ten przybędzie po niego? Ale jakoś tam chciał ostrzec, że, uważajcie, nie wszystko jest takie, jakie się wam wydaje. Nie Szatana się bójcie, nie Armageddonu, lecz Ond'agfela! – Wpił się niespokojnym wzrokiem najpierw we mnie, potem w Kostię.

Wymieniliśmy z Kostią spojrzenia.

Bez cienia kpiny. Bez irytacji. Zdumienia. Niezrozumienia.

Materialiści oko w oko z pierdolonym duchem.

Nie za bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

– Wąż z łuskami, pyskiem okolonym wąsami czy czułkami-mackami to klasyka – każdy smok ma takie. Miał skrzydła?

– Nie, chyba nie.

– Cthulhu ma.

– Zdaniem Lovecrafta ma. A on twórczo, że tak powiem, rozwinął historię Seygorda.

– N-ndaa... – podsumował Sukonin. – Rozumiem, istniał taki kult, Lovecraft go spopularyzował, ale nie rozumiem, dlaczego pan nam to opowiada, dlaczego uważacie, Igorze Siemionowiczu, że to ważne dla nas, dla naszego dochodzenia?

Stawierogow rozparł się w krześle-fotelu, ułożył protezy przedramion na oparciach. Wygodnie się usadowił.

– Wy łuszczyłem wam swój pogląd na religię. Jestem niewierzący. Ale, jak już mówiłem, nie neguję istnienia, w pewnych okolicznościach, w pewnych miejscach, jakiejś

nienamacalnej kreacji. Wydaje mi się, że na wyspie Buldir doszło do jej uwolnienia, nie twierdzą, że wiem dlaczego. Ale doszło. Objawiła się tam niematerialna moc, która pochłonęła sześć tysięcy istnień, co najmniej tyle. Nasyciła się nimi i, być może, na jakiś czas się uspiła. Pograżyła w śnie, w niebycie. Lovecraft był introwertykiem, czułym i wrażliwym myślicielem, domorosłym filozofem. Może wyczuł coś. Może nie zrozumiał do końca, co się stało, ale przeraziło go to. Nie pouczał, nie straszył. Przygotowywał na przyjście Szatana. Piekła. Ond'afela.

Cthulhu. Zrobił to za pośrednictwem literatury: ja wam mówię, jak jest, a wy zróbcie z tym, co chcecie. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku, jak pewnie wiecie, wykryto u niego raka jelit, ale nie wiem, czy nie groźniejsze były objawy zwyczajnego niedożywienia. Owszem, nie śmierdział groszem, ale też nie był nędzarzem, którego nie stać na jedzenie. Stawiam na taki wariant: bał się tak, że chciał jak najszybciej umrzeć. Bał się popełnić samobójstwo przy użyciu sznura albo brzytwy, bał się skoczyć z dachu, więc postanowił się zagłodzić i odejść, zanim nadejdzie Przedwieczny.

– I co z tego wynika? – zapytał Sukonin i dopił koniak.

Poszedłem w jego ślady.

– Żeby efektywnie walczyć z przeciwnikiem, trzeba rozpoznać jego mocne i słabe strony. Pierwszych unikać, a drugie wykorzystać.

– Sto procent racji. No to jakie mamy mocne strony Czarnego Węża?

– Przenika do umysłu niektórych ludzi i panuje nad nimi. Wiecie, jaki rodzaj ludzi jest podatny?

– Nie – pokręcił głową Kostia.

– To niedobrze. Powinniśmy to wiedzieć.

– Parę tęgich głów siedzi nad tym i nic. Schwytaliśmy na Koniewcu kilka guimonów po przeistoczeniu, i też nic. Obudzeni z farmakologicznego bezwładu toczą pianę i nie mogąc nikogo dopaść, rozpadają się w pył. Nasi materialistyczni fizycy, biolodzy, medycy nie potrafią rozwikłać tej zagadki, sprawę załatwiają słowem „magia”.

– A doszedł pan, jakie są słabe strony naszych wrogów? – zapytałem.

Chwilę milczał, potem pokręcił głową. Jakby bez przekonania. Albo marzyłem o tym, żeby było bez przekonania.

– Przez chwilę zastanawiałem się, czy Cthulhu, w Polsce wymawiane Katulu, ma coś wspólnego z rdzeniem „katol”, katolicki.

Pokręciłem powątpiewająco głową. Stawierogow szybko się zgodził:

– No właśnie, też to odrzuciłem.

Przeżuwaliliśmy w milczeniu rozmowę. Kostia skubał swoje ucho.

– Nadia, może byś się zajęła stworzeniem portretu guimona? – zapytał z nadzieją.

– Wiesz, jakie cechy mają – miały schwytane przez nas osobniki. Dlaczego jedni są podatni, a inni nie. Grupa krwi. Kod genetyczny. Narodowość. Temperament.

Wykształcenie, kurrr... – Przełknął przekleństwo.

– Na ile to ważne, Konstantinie Aleksandrowiczu? Co ma priorytet?

– Wszystko, co ci podrzucił Kamil, ma priorytet. To, co ci zadałem przed chwilą, ma priorytet. Cokolwiek ci przyjdzie do głowy, co może nam pomóc, ma cholerny priorytet.

– Paniatno. Kamil podrzucił mi dwa tematy. Jeden to VIP-y made in Russia, drugi co ich łączy.

– No i dobrze. Jedno ma wyższy priorytet od drugiego – ucieszył się Sukonin.

Otworzyła usta, ale zrozumiała, że zadając konkretyzujące pytania naraża się na coraz większe wygłupy przełożonego. Opuściła głowę, po sekundzie drgnęły jej ramiona. Miałem nadzieję, że ze śmiechu, nie z płaczu.

Odwróciłem się do jej dziadka.

– Igorze Siemionowiczu. Co jeszcze pan ma?

Westchnął i pokręcił głową.

– Już nic, ale nie tracę nadziei. Pókim żyw, nie stracę jej.

– A jakby tak na Buldir zrzucić trochę atomu? – zapytał Sukonin.

Chyba się upił tą jedną lampką koniaku. A może wcześniej czymś się uraczył z barku?

– Nieee... Czarny Wąż zwiął stamtąd...

– Samobójstwa, frustracje, choroby psychiczne? Przecież pozostały na wyspie?

– E tam! To jak smród w chlewie po kilkunastu latach nieużywania.

Stawierogow machnął ręką.

Machnął ręką... Jak miło: tym gestem wskazał butelkę koniaku. Nadia, choć siedziała z pochyloną głową, od razu

zrozumiała, o co mu chodzi. Dołała nam wszystkim po kilka łyków.

– Przepraszam, ja z tak zwanej innej beczki. – Podniosłem grzecznie rękę. – Co to za alkohol? – Wskazałem brodą butelkę.

– Dagestański. Nielegalny. Raz na pół roku odwiedza mnie handlarz, przywozi dwie pięciolitrówki. Dzielę się z kilkoma osobami. – Zerknął na Nadię. – Z panem też się podzielę.

– Dziękuję.

Już miałem powiedzieć: „Przynajmniej nie jechałem tu na próżno”, ale udało mi się przytrzasnąć ozór zębami.

Nadia wyszła do kuchni. Coś przyjemnie brzęknęło. Sukonin potarł brodę, zachrząściło.

– Igorze Siemionowiczu, jedno ważne pytanie. Miał pan ostatnio wieści od... naszego wspólnego znajomego?

Stawierogow zeszywniał. Wbił w Sukonina złe, niespokojne, pełne wyrzutu spojrzenie.

Oczekiwałem, że wybuchnie, ale nie tego się spodziewałem:

– Nie mam z nim kontaktu od doby – wyjaśnił grzecznie Kostia. – Obawiam się, że chcąc dać nauczkę swoim podwładnym, przechwyconym przez Cthulhu, naraził się siłom, którym nie podołał.

Gospodarz jakby odetchnął z ulgą, ale dopiero po chwili.

– Ja... – zawahał się. – Skontaktuję się i dam panu znać.

Kostia skinął głową. Na tym zakończyliśmy temat Niebieskiego Kruka.

Weszła Nadia, postawiła na stoliku między nami piersiówkę o pojemności około pół litra. Usiadła na swoim miejscu, w fotelu blisko drzwi.

W pokoju zapanowało cisza. Bezcześnie rozsiadła się i jednostajnie kiwała nogą.

Im dłużej trwała, tym trudniej było przerwać jej panowanie. W końcu Kostia Sukonin zebrał się na odwagę. Podrapał się znowu po brodzie, skubnął ucho i wypalił:

– No to my już pójdziemy. Igorze Siemionowiczu? Czekam na wiadomość – przypomniał gospodarzowi o jego obietnicy.

Ten tylko skinął głową.

– No to do widzenia.

Sukonin wstał i skierował się do drzwi. Chwyciłm piersiówkę, uniosłem ją w stronę Stawierogowa.

– Dziękuję. I do zobaczenia. Myślę, że wkrótce.

– Też tak myślę.

Kostia otworzył drzwi na korytarz, wyjrzał, wyszedł, obejrzawszy się na mnie.

Do komendy wróciliśmy, niewiele mówiąc. Obaj chyba zastanawialiśmy się nad tym, co powiedział Stawierogow.

Wziąłem prysznic, oczekując jakichś „występów” zdrowych rosyjskich milicjantów, ale był tam tylko jeden, nie znałem go, może i on mnie nie znał.

Zasiadłem przed monitorem, wypilem dwie filiżanki kawy. Przewietrzyłem pokój i wróciłem do przeglądania dziesiątków i setek zdjęć.

Koszmarne życie VIP-a: rauty, pozowanie, imprezy, bale, przyjęcia, wyścigi, koncerty, balety i opery, spotkania z wielbicielami i wyznawcami, towarzyszami partyjnymi, bizneslancze, frisztiki, garden party, rauty, bankiety, koktajle...

Ile zdrowia, samozaparcia, pieniędzy utopionego w tłumach.

Nie spałem tej nocy ani sekundy. Co godzina odrywałem się od monitora, podchodziłem do okna, patrzyłem na niezmiennie, niemal dziennym światłem oświetlone podwórko komendy. Czasem widziałem na nim jakąś zbłąkaną służbową postać, umundurowani milicjanci przechadzali się, palili papierosy, jeden odlał się pod brzošką, obrzucając niedbałym, ale w jakimś sensie pełnym winy spojrzeniem okna. Nie chciałem mu robić przykrości i schowałem się za zasłoną.

Syf.

Potem wracałem do kompa.

A co innego mogłem robić? Wszystkie możliwe warianty postępowania mającego na celu pomoc Jerzemu już przewalcowałem. Mogłem, mogliśmy liczyć tylko na jego ucieczkę, na uwolnienie, na odkrycie kto i dlaczego. Nie wątpiłem, że Sukonin nadał sprawie odpowiednie tempo i właściwy priorytet. Ja nie miałem ani rozeznania, ani danych. Mogłem tylko czekać. Ustaliłem, że będę czekał aktywnie, nie z łbem rozbitym o futrynę drzwi, lecz z głową pełną pomysłów, myśli, planów. A gównu miałem.

Mogłem się jedynie upić, naćpać, siedzieć przy monitorze i podglądać życie rosyjskich nuworyszów, nowych ruskich, władców dusz i serc, gigantów przemysłu, estrady, sceny, ekranu, polityki wreszcie.

O szóstej wyszedłem z sektora Sieci, jaki określiła Nadia. Znowu zapomniałem, jak ona ma na nazwisko. Obiecałem sobie zapytać Sukonina.

Obudziłem się o pierwszej dwanaście. Leżałem na krótkiej kanapie, nie na składanym polowym łóżku. Widocznie broniłem

się przed zaśnięciem, usiadłem na chwilę i wycięło mnie. Jakaś troskliwa duszyczka nakryła mnie powleczone w poszwę kocem. Na białej tkaninie mocnym granatem wybijał się herb MSW

1 napis: Ministierstwo Wnutriennich Dieł. Sankt Pietierburg. Przypomniał mi się staaary dowcip o facecie, który chciał zmienić sobie nazwisko na Orbis. Ale dlaczego?, pyta urzędnik. Bo ja mam całą zastawę z napisem Orbis, wyznał hotelowy złodziejaszek.

Kto ośmieli się podpieprzyć poszwę z napisem Ministierstwo Wnutriennich Dieł.

Sankt Pietiersburg?

Kto mnie odwiedził, przykrył? Sonia Jakowlewna Skala... Sakalasokie... Sal...

Jakoś tak... Czy Sukonin? On. Na pewno miał dobre rosyjskie parchy, paraszki, dzięki którym mógł funkcjonować normalnie w nienormalnych warunkach.

Otworzyłem okno, przeciągnąłem się, wciągnąłem nosem kilka razy świeże wilgotne, rzeczno-morskie powietrze. Podszedłem do biurka. Na klawiaturze leżała zwykła żółta karteczka. I dwie czarne tabletki. Gdyby nie inny kształt, pomyślałbym, że to węgiel, ale przecież nie skarżyłem się na dolegliwości żołądkowe. Co tu kombinować, łyknąłem.

Popiłem wodą.

Nic.

Jeśli oczekiwałem spektakularnej eksplozji w mózgu, rozjaśnienia, rozbłysku, gejzeru myśli i buchającej z mięśni i w mięśni energii – kicha!

Nic takiego się nie stało.

Może to były tabletki na katar kiszek?



Z szafy wyjąłem czyste ubranie i ręcznik. Pomaszerowałem pod prysznic. Długo się moczyłem, parzyłem, chłodziłem, mydliłem i spłukiwałem. Brudną bieliznę wrzuciłem do kubła. Ręcznik też. Pierdolę.

W kantynie ruch był spory. Kilkunastu mientów rześkich i wyspanych, że aż się rzygać chciało, siorbało kawę z mlekiem z rogalikami i bułeczkami. Czarnej nie było.

Wmusiłem w siebie dwa pierożki, trochę głupio, bo jeden był z mięsem, drugi z dżemem, trudno, popiłem to słodką kawą z mlekiem. Wróciłem do siebie. Kwadrans po ósmej. Korciło mnie zadzwonić do Nadii, zapytać, czy ma jeszcze dużo takich galerii dla mnie. Dałem jej jeszcze godzinę na sen. Choć może też nie spała?

Wydrukowałem swoją galerię. Piętnaście osób. Dwanaście do trzech na korzyść mężczyzn.

Piątka to ludzie sztuki, malarz, trójka z estrady, poeta.

Ośmiu – przemysłowcy i finansiści.

Sportsmenka. Ale mogłaby być przemysłowcem – dyskobolka.

Były przewodniczący parlamentu Rosji.

Dobra, chuj z resztą. Zmacajmy tych.

Wysłałem do Nadii emila z prośbą o dziesięć fot każdego z tej galerii, in easy arrangement: młodszy, profile, uśmiechy, powaga, złość.

Dziesięć sekund później ruszyła lawina.

Więc nie spała. I miała to gotowe. Franca, podglądała mnie nadal. Albo coś innego.

Nieważne.

Zacząłem przeglądać te foty jakby od nowa, jakbym sam nie wybrał ich z tysięcy innych.

## ROZDZIAŁ 13

Kamil wybrał piętnaście osób – powiedziała Nadia, oderwawszy się na chwilę od wpatrywania w centralny monitor, jeden z trzech na jej biurku, które ukrywała przed gośćmi w zamkniętym pokoju. Gdy pracowała, a dziadek był zainteresowany wynikami, a jej, z kolei, nie przeszkadzało jego towarzystwo, przetaczała swój na zamówienie robiony mebel ze sprytnym samozwijającym bębniem na kable, żeby nie marnować czasu na podłączanie do prądu i sieci. – To bardzo solidne wipostwo – zachichotała.

– Tak, tak, tak... – mruknął Igor Siemionowicz, wpatrzony w swój monitor.

Przewinął dwa ekrany i popatrzył na wnuczkę. – Jakieś to dziwne... Dlaczego niby znane i znaczące osoby miałyby być powiązane z kultem Cthulhu?

– To właśnie chcę wyjaśnić.

– Niby jak? Chcesz tu, w domu, zrobić to, czego nie może Sukonin i reszta milicji?

Nie, nie tak. Chcę, muszę odkryć, co łączy te piętnaście osób. Wtedy będę mogła znaleźć kolejne, rozumiesz? A Konstantin Aleksandrowicz niech sobie ich przesłuchuje i wyjaśnia, co ich łączy z Cthulhu czy innym Malu-Gulu. Opisuję, jak mogę szczegółowo, te osoby i czekam. Może mój program znajdzie wspólną cechę... No...

Jakby zapomniała o dziadku. Widząc coś na ekranie, rzuciła się na klawiaturę i zaczęła w nią uderzać w nierównym, ale bardzo szybkim rytmie. Tłukła w klawisze zawzięcie przez dwie minuty, jej dziadek w tym czasie stuknął raz w page down i czytał.

W mieszkaniu panowała cisza, odmierzana cykaniem stylizowanego na staroć zegara z kukułką. Gdzieś za oknem zabuczał niskim basem holownik. Stawierogow odchylił się w swoim fotelu i utkwił spojrzenie w kącie sufitu. Nadia zerknęła na niego raz i drugi, ale nie odezwała się. Zresztą zaraz pochłonęła ją misterna, pleciona wokół piętnastu osób, sieć. Po dwudziestu minutach Stawierogow nadal przewiercał spojrzeniem kąt nad oknem, Nadia napisała poisk i przeciągnęła się.

Dziadek nie zareagował. Wstała i na palcach wymknęła się do kuchni. Szybko przygotowała kolację, jego ulubione tłuste śledzie, nie filety, tylko porządne grube śledzie iwasi. Po prawdzie, nie były to śledzie, tylko sardynki, którym w Związku Radzieckim, a potem w Rosji, nadano taką nazwę handlową. Po japońsku iwasi znaczy właśnie sardynka. Nadia wiedziała to od dziadka, ale nigdy nie odważyłaby się powiedzieć: „Dziadku, oto twoje ulubione sardynki pacyficzne z cebulą i w śmietanie”. O nie! Pewnych rzeczy się po prostu nie robi. Uśmiechnęła się do swoich myśli, ułożyła na gęstej śmietanie dwa piórka natki pietruszki i pokroiła dość grubo, jak należy, czarny chleb. Z innym pieczywem sielodka iwasi się nie liczyła. Nie jadło się jej bez takiego chleba. Pewnych rzeczy się po prostu nie robi. Jak pisał Jerofiejew w Moskwa-Pietuszki – koktajl „Łza Komsomołki” należy wymieszać gałązką wiciokrzewu, niektórzy mieszają czym popadnie, ale ja bym tego do ust nie wziął, oświadczył narrator-bohater.

Zaniosła na tacy śledzie, talerzyki, chleb, maselnickę, dwie szklanki świeżo zaparzonej herbaty.

– Przerwa – oświadczyła od progu.

Dziadek wolno odwrócił głowę.

– Jak jeść to jeść – odpowiedział rytualnym przyzwoleniem.

Nadia wzięła specjalnie przystosowane sztucce i nałożyła pierścienie na palce protez – Igor Siemionowicz został wyposażony w widelec i nóż. Westchnął z zado-woleniem, już napawając się czekającą go ucztą.

Zaczęli jeść. Pisnął komputer Nadi , ale nawet nie zerknęła w tamtą stronę.

Kolacja, jak zresztą każdy posiłek w domu Igora Siemionowicza, była celebrowana w ciszy i skupieniu. Nerwy, pośpiech, dekoncentracja nie sprzyjały smakowitemu nasycaniu się i trawieniu. „Jedz w pośpiechu, rak czeka”, mawiał dziadek. Gdy zjedli, Stawierogow sam zsunął na talerz widelec i nóż, sięgnął po herbatę. Wypił połowę szklanki, nie odzywając się. Potem uśmiechnął się i powiedział do wnuczki:

– No, leć do niego, przecież widzę, że połykasz ości, zamiast je wybierać.

Nadia pokręciła głową. Spokojnie dopiła swoją herbatę, sprzątnęła ze stołu.

Wolała już potem nie odrywać się od kompa.

Gdy wróciła do pokoju i popatrzyła w monitor, triumfalnie uniosła ręce do góry.

– Takie proste! – jęknęła. Odwróciła się i popatrzyła na dziadka. – Wszyscy leczyli się u dermatologów albo odwiedzali kliniki kosmetyczne. Dobrze, że mogę korzystać z serwerów MSW, mój by grzebał się z tym kilka godzin.

Rzuciła się na komputer i zaatakowała go serią uderzeń w klawisze. Godzinę później odsunęła krzesło od biurka.

– Dziadku, jadę do Sukonina.

– A co znalazłaś?

– Klinika Terchiwadzega, u nas, w Pitrze. Siedem trafień. A wiesz, co najlepsze?

– Nie, nie wiem.

– Nie mogę się przedrzeć do ich archiwum. To znaczy, mogłabym, ale obawiam się, że to potrwa długo, a jeśli się pośpieszę, to uruchomię alarm. Cholernie dobrze zadrutowane. Za dobrze.

Igor Siemionowicz pokiwał ze zrozumieniem głową.

– O której wrócisz?

Popatrzyła na zegar, w tym samym momencie otworzyło się okienko i wychyliła drewniany łebek kukułka. Wykukała szóstą.

– O ósmej. Najpóźniej o dziewiątej.

– Dobrze. Będę czekał.

– Po co? Nie jestem...

– ...dzieckiem. Wiem. Ale i tak będę czekał.

– Dobrze, dziadku. I po kim to ja jestem taka uparta? – zapytała, patrząc na okno.

– Pocałuj mnie i biegnij.

Pocałowała go w policzek i wyprysnęła do swojego pokoju. Spakowała do torby tablet, dwa pendrive'y, płaski futerał. Spod komody wyjęła umocowany w specjalnym uchwycie mały pistolet i wrzuciła do torby razem z wyjętymi z szafy szelkami. Dodała latarkę, za pasek spodni z tyłu włożyła długi nóż z cienkim ostrzem. Zamknęła torbę i wyszła z pokoju. Jeszcze raz pocałowała dziadka, w przedpokoju pogłaskała Miłkę i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Na korytarzu umocowała na uchu blutusowy łącznik, wywołała jedynekę i przywołała windę.

Samochód, łada ósemka, zaparkowany był za rogiem. Nadieżda wsiadła, włożyła w uchwyt wyjęty z torby GPS i zadała adres. Chwilę czekała na fix, sprawdziła destynację, ruszyła.

O tej porze miasto powoli spowalniało rytm. Wyludniały się sklepy, pustoszały chodniki, w ogródkach knajp siedzieli nie młodzi niecierpliwi piwosze, ale sta-teczniejsi, bogatsi i nieśpieszący się nigdzie burżuje i mieszczenie. Przede wszystkim – turyści. Wenecja Północy chłonęła ich, ich pieniądze, zapachy, wygląd.

Nadia nie śpieszyła się. Oczywiście, zmrok nie zapadnie, nie pomoże jej ciemność, ale ludzki biorytm silniej reagował na zegarek niż na światło dnia o tej porze doby. Dotarła na przedmieścia. Od rogu Prospektu Weteranów i Kozłowa poszła pieszo. Oczywiście, GPS, powędrował pod fotel, razem z uchwytem. Po co kusić licho?

Po prawej miała park, po lewej – wysoki mur z segmentów, rozdzielonych kolumnami z kulami na szczycie. Ciągnął się dobre sześćdziesiąt metrów. Skręciła w lewo, wzdłuż tego samego muru. Po pięćdziesięciu metrach minęła bramę, wzór solidności, trwałości i starannej konserwacji. Wygląd bramy napawał poczuciem bezpieczeństwa, wiele podobnych bram w Pitrze miało wiszące krzywo skrzydła, wyłamane zamki, zardzewiałe łańcuchy służące za zamknięcie. Ta nie. Ta mogła stawić czoło rozpędzonej tankietce. Dlatego Nadia nawet nie przyglądała jej się szczególnie. Furtka obok, furta, furcisko raczej, tworzyła prostokąt chyba centymetrowej stali z zawiasami i zamkami odbierającymi chęć forsowania ich.

Mur ciągnął się cały kwartał. Nadia znowu skręciła w lewo. Klinika Rustama Terchiwadzego zajmowała ponad pół hektara, co, biorąc pod uwagę cenę gruntów w Sankt Petersburgu, stawiało go w gronie stu albo i pięćdziesięciu najbogatszych ludzi w Pitrze. Wreszcie mur skończył się zaczęło zupełnie inne ogrodzenie. Niby kute, ale półtora wieku temu, i poza pierwszym malowaniem już niekonserwowane, pręty-sztachety pokrywała wilgotna rdza. Ulica była pusta, za ogrodzeniem nie czekały psy, stare krzewy i drzewa kryły zabudowania, jeśli w ogóle jakieś tam były. Nadia oparła stopę na podmurówce i porządnie przewięzała sznurówki jednego i drugiego buta. Przy okazji obrzuciła uważnym wzrokiem obie strony ulicy. Pusto.

Szarpnęła jeden z prętów, cicho zgrzytnął i puścił na górnym łączu, szybko odgięła go, przedarła się przez okaleczone ogrodzenie, dogięła pręt z powrotem.

Starając się nie hałasować, sforsowała szpaler krzewów, rozejrzała się. Po prawej, za drzewami stał drewniany dom, nie do uratowania. Przypominał starego schorowanego człowieka – krzywe ściany, kose okna, zapadające się schodki na werandę. Mało interesujące.

Po lewej mur. Znowu solidny, wysoki, od tej strony nie tak zadbany jak od ulicy.

Cegła, w dobrym stanie, ale cegła. Na szczycie pojedynczy ciąg drutu kolczastego.

Przespacerowała się wzdłuż muru, zatrzymała przy sągu stosunkowo świeżych bali brzozowych, przełożyła pasek torby przez ramię i wyjąwszy jedną kłodę, oparła ją ukośnie o cegły. Usiadła z całej siły na balu, nie ugiął się, nie pękł, odeszła więc



kilka kroków, wzięła rozbieg, dwoma susami zręcznie pokonała pochylnię i wylądowała piersią na krawędzi muru. Wsunęła głowę pod drut kolczasty i rozejrzała się na boki.

Przed sobą miała park. Starannie utrzymane wąskie alejki, wijące się wśród zieleni. Ławki nowe, porządnie polakierowane, wygodnie wyprofilowane, obok każdej i co dwadzieścia metrów latarnia, stylizowana na starą. Nie widać żywego ducha, ale gdzieś zza drzew dobiegał refren Besame mucho, nieśmiertelnego przeboju Consueli Velazquez. Piosenkę napisaną siedemdziesiąt lat temu wykonywały na szczęście nie dwie czy trzy lesbijowate pindeczki, tylko głęboki baryton. Dobry i wyszkolony.

Nadia odczekała refren, drugą zwrotkę, a gdy baryton ponownie zażądał „całuj mnie mocno”, przełożyła jedną nogę pod drutem, ostrożnie przesunęła szczupłe ciało i zsunęła się na trawnik, pod krzew czarnego bzu, i znieruchomiała. Nic się nie działo. Ruszyła wzdłuż muru, blisko krzewów i drzew, torbę przewiesiła przez ramię, nie do biegu, zdawała sobie przecież sprawę, że nie wydobędzie się stąd, polegając na szybkości nóg. Po kilkudziesięciu krokach doszła do alejki prowadzącej prosto do budynku. Bił w oczy świeżą farbą, szykiem, mieszanką starego dobrego arystokratycznego stylu i lekkiego stonowania przesadnych ozdób. Ta alejka jej się nie podobała, szybko ją przekroczyła i ruszyła dalej.

Następna była ciekawsza – prowadziła do ewidentnie służbowej części kliniki. Na podjeździe stała furgonetka, dwa motocykle, w drewnianym boksie dostrzegła plastikowe granatowe skrzynie i czerwone zamykane pudła. Odczekała chwilę. Zerknęła na zegarek. Siódma z minutami. Pora kolacji?

Możliwe, bardzo możliwe. Przekroczyła i tę alejkę i kryjąc się za zielenią, zbliżyła do budynku. Nie było widać żywego ducha, co czyniło domysł Nadii o porze posiłku bardzo prawdopodobnym.

Przy ostatnim krzewie, który mógł ją osłonić, odczekała chwilę, niedbale przerzuciła torbę przez ramię na plecy i z miną jakby pogwizdywała, ruszyła ku podwójnej szerokości drzwiom dostawczym.

Były otwarte. Weszła w korytarz, zobaczyła windę towarową, drzwi z napisami „Zmywalnia”, „Magazyn suchy”, „Magazyn III”, „Kotłownia”. Ruszyła korytarzem obok windy. Mijając poszczególne drzwi, przystawała i nasłuchiwała. Wyglądało na to, że w tej chwili na dole nie było nikogo. Na końcu korytarza znajdowały się schody.

Bezszelestnie zaczęła wchodzić na górę. Półpiętro, wyżej, drewniane drzwi z matowymi szybkami. Za nimi ktoś był – rozmazany cień wolno przesunął się przez tafle piaskowanego szkła, serce Nadii podskoczyło. Cień przesunął się i zniknął.

Kelnerka z wózkiem albo jakiś chory, pomyślała. Co tam jest? Jadalnia czy korytarz? Raczej korytarz. Nie mogliby sobie pozwolić na przenikanie jakichś zapachów z dołu do jadalni. A może tylko kuchnia i inne służbówki? Kuchnia też nie powinna psuć swoimi wyziewami apetytu delikatnym pacjentom. W Sieci nie było planów budynku, to też zastanawiające...

Mogła pójść wyżej, na drugą kondygnację, ale logika podpowiadała jej, że jeśli tu, na służbowym piętrze, pod warunkiem że to służbowe piętro, mogła udawać kuriera, nową pokojówkę czy kelnerkę, to wyżej, w enklawie pacjentów, pewnie w drogich peniuarach i szlafrokach, z zabandażowanymi nosami i

czerepami po przeszczepie włosów, może udawać tylko odwiedzającą kogoś siostrzenicę. Jeśli tu nie było odwiedzin albo tylko w dni parzyste?

Dotknęła klamki, odczekała chwilę, nacisnęła ją. Zamknięte na klucz.

Szybko sięgnęła do torby, wygrzebała prostokątne etui, otworzyła i wyjęła wytrych. Po naciśnięciu wysunął się sztyft, który włożyła do dziurki od klucza i nacisnęła drugi guzik. Wytrych poruszył się w jej dłoni, cicho szcęknął zamek.

Schowała wytrych do torby, zasunęła, zostawiając mały otwór, odczekała chwilę, nacisnęła klamkę i weszła... na korytarz. Odetchnęła z ulgą. Z lewej słychać było ciche dzwonienie, jakby ktoś potrząsał pojemnikiem ze sztućcami. Przyjęła, że tam jest kuchnia. Poszła w prawo. Drzwi po prawej i lewej nie miały tabliczek z opisami.

Dotarła do kolejnych przeszklonych. Szybko wyjęła wytrych i po chwili była już za następną zaporą. Tu, ku jej radości, drzwi miały opisy. „Magazyn środków opatrunkowych”, „Magazyn leków”, potem drzwi z rzymską jedyneką, dwójką i trójką.

Ostatnie po prawej miały napis „Archiwum”.

To coś dla mnie! – ucieszyła się.

Tym razem wytrych dłużej, denerwująco, irytująco i przerażająco długo gmerał swoimi wypustkami w zamku, podolał jednak. Błyskawicznie znalazła się w środku i rozejrzała za możliwością zablokowania klamki, ale krzesła były za niskie, szafy za ciężkie, a zamykać się na klucz nie chciała. Przesunęła jedno krzesło, by przynajmniej szuraniem przy otwieraniu wszczęło alarm i rozejrzała po pomieszczeniu. Na środku stało

proste biurko, na którym nie było nic poza klawiaturą z myszką i monitorem. Wzdłuż ścian znajdowały się masywne drewniane szafy, udające przedrewolucyjne meble, ale zamiast zamków miały dwunastopunktowe klawiatury, dziesięć cyfr i dwa klawisze funkcyjne – „Enter” i „Kasuj”. A kody?

Przysunęła do pierwszej z brzegu szafy krzesło, położyła na nim wyjęty z torby tablet, a raczej to, co tablet udawało, spiralnym kabelkiem podłączyła do niego końcówkę skanera i delikatnie przysunęła ją do zamka. Ekran tabletu pokryła delikatna splątana sieć, raczej kłęb czegoś. Kłęb niemrawo falował, drgnęło coś w lewym górnym rogu.

Nu, dawaj! – ponagliła Nadia.

Ale linie nie prostowały się. Po minucie coś się ruszyło, widocznie skaner przechwycił sygnał logujący zamka, teraz niemożliwe stało się nie tak niemożliwe. A po chwili stało się możliwe.

Szafa psyknęła i odsłoniła wnętrze.

Puste.

Nadia zaklęła w duchu, przestawiła krzesło pod drugą z kolei szafę, zerknęła na ostatnią, albo pierwszą z drugiej strony i zabrała się do jej otwierania. Poszło szybko i fartownie: tu znajdowały się płytki CD, ośmiocentymetrowe nowoczesne nośniki, czarne, z ftalocyjanianowym pigmentem. Przygryzła dolną wargę. Płytek było na oko kilkaset, skopiowanie ich nie wchodziło w grę, zajęłoby tygodnie. W następnych szafach mogło ich być tyle samo. Wyjęła kilka z nich. Opis był kodowany, jedyne, co mogło być pomocne, to kończący kod rok. Zastanowiła się chwilę i na chybił zaczęła trafiać wyjmować małe czarne krążki z

pudełek i wrzucać do torby. Trochę z tego roku, kilka z ubiegłego i tak po kolei. Załadowawszy około czterdziestu krążków z ośmiu ostatnich lat, zamknęła szafę, podeszła do trzeciej od końca, otworzyła ją, by przekonać się, że jest pusta.

Czyli tylko ostatnia szafa mieści dane, pozostałe stoją dla picu. Albo czekają na obfitsze lata, uznała.

Schowała sprzęt do torby, rozejrzała się po pokoju. Nic po sobie nie zostawiła.

Teraz należało pomyśleć o sposobie wycofania się. Przemknęło jej przez myśl, że może fajnie by było zadzwonić do przełożonego i... I? I co – wejdzie bez nakazu i wyprowadzi swojego człowieka? Odpada.

Trudno. Jak się weszło między wrony, to trzeba też spomiędzy nich umieć wyjść.

Uśmiechnęła się krzywo i podeszła do drzwi. Nasłuchiwała chwilę.

Cisza.

Baryton umilkł dawno temu. Nikt inny nie zakłócał ciszy. Nieprzyjemnej.

Musnęła klamkę dłonią, nacisnęła i uchyliła drzwi. Pusto.

Wyrzała w prawo i zobaczyła lufę rewolweru wpatrującą się swoim jedynym okiem w środek jej czoła.

Za lufą zobaczyła ptasie oblicze chudego przygarbionego łysola w mocnych szklach.

Wada wzroku w tym przypadku, na tę odległość, przy tym kalibrze broni nie miała znaczenia. Nawet kret, jednooki kret, ulokowałby pocisk tam, gdzie by chciał.

W tym przypadku w środku jej czoła.

– Czego chcesz? – zapytała bezczelnie.

– Nu, ty suczka, dajosz! – Okularnik pokręcił głową, ale dłoń, trzymająca broń, niczym stabilizowana żyroskopowa lufa czołgu, nie poruszyła się ani o milimetr. – Nie będę cię pytał, co tu robisz, bo gównu mnie to obchodzi. Nie pytam cię, co masz w torbie, bo za chwilę będę to miał na własność. Szkoda, że tak krótko pożyłaś.

– Nie śpiesz się, Rustam nie będzie zadowolony, że nie pogadaliśmy.

– A chuj z Rustamem! – Szczerze wyznał, jaki ma stosunek do właściciela kliniki. – Kogo on obchodzi?

– A ja ci mówię, że obchodzi. Szkoda mi życia, ale będę umierała zadowolona, że już za chwilę dogonisz mnie w świetlistym tunelu.

Okularnik rozważał chwilę pobyt w windzie do nieba.

– Rzuć torbę – polecił.

Nadia posłusznie postawiła torbę na zalakierowanej do lodowatego błysku podłodze i uniosła ręce do góry. Całkowicie wyprostowane, jakby chciała uchwycić się poprzeczki i podciągnąć na niej. Okularnik obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

Przedramię Nadi zetknęło się z bluetooth w uchu, wdusiło przemodelowany przez znajomego elektronika przycisk.

– Popchnij torbę do mnie – rozkazał okularnik.

Posłusznie wykonała polecenie.

– Chcę rozmawiać z Terchiwadzem – powiedziała głośno. – Albo z kimś ważniejszym. Mogę wykupić swoje życie, to się opłaci wszystkim stronom.

– Aga! – zakpił okularnik.

Lufa rewolweru wyprysnęła do przodu i uderzyła Nadię w czoło. Jęknęła, głośno, żeby było słychać w telefonie. A okularnik zbliżył się o pół kroku i wpakował kościstą twardą pięść w brzuch dziewczyny. Jęknęła, tym razem cicho, bo zabrakło jej tchu, jakby całe powietrze świata znalazło się poza jej zasięgiem. Osunęła się na kolana, kiwnęła, starając jednak złapać trochę tlenu. Oprawca sięgnął do jej ucha, zdarł bloutouth i cisnął na podłogę. Podeszwa jego buta migiem rozprawiła się z kruchą elektroniką. Chwycił dziewczynę za włosy i trzasnął twarzą o swoje kolano.

– Ni chiera siebie – mruknął, puszcżając włosy, dziewczyna bezwładnie zwała się na podłogę, mocno uderzywszy skronią o twarde deski. – Nie skazu, pułku w łob poluczu. Skazu – otpizdiat i toże pułku w łob, a to i chuże... Bład', szto diełat?\*

Nie skazu, pułku w łob poluczu. Skazu – otpizdiat i toże pułku w łob, a to i chuże...

Bład', szto diełat? (ros.) – Nie powiem, dostanę kulkę w łeb. Powiem – też wpierdolą kulkę w łeb albo i gorzej... Kurwa, co robić?

Interkom na moim biurku ryknął przeraźliwie. Nie wiedziałem, że możliwy jest taki sygnał, omal nie popuściłem w spodnie, zwłaszcza że od kilkunastu minut wybierałem się do WC.

– Tak! – krzyknąłem do słuchawki.

– Bierz broń, zapas amunicji i goń na dół! – wrzasnął Kostia do słuchawki.

W sekundę byłem gotów.

W holu czekał Kostia i Orszaków. Obaj mieli na sobie granatowe kurtki z ogromnymi literami MBff na plecach, Sukonin

rzucił mi taką samą i pobiegł do wyjścia. Orszaków zrobił minę pod tytułem: nic nie wiem! i popędził za nim.

Dogoniłem ich na parkingu. W samochodzie byli już dwaj goście z OMON-u, jednego znałem. Z widzenia. Zresztą z czego miałem znać? Wódki z żadnym z nich nie piłem...

Co jest? – chciałem zapytać, ale udało mi się utrzymać język za zębami.

Wypadliśmy na ulicę, z głośników buchnęła przeraźliwa kakofonia syren, dzwonek, jęków i pisków. Gналиśmy przez miasto jak dwa tuziny jeźdźców Apokalipsy. Sukonin milczał. Gdy wypadliśmy na trasę szybszego ruchu, odwrócił się do nas.

– Nadia wykryła jakiś związek wytypowanych przez ciebie ludzi z kliniką niejakiego Terchiwadzego – wycodził przez zęby. Po rosyjsku. – Polazła tam sama, kretynka. Och! Zab... – Urwał, jakby nie chciał kusić losu tym „zabiję”. – Kilka minut temu połączyła się z dziadkiem. Mają taki alarmowy systemik – jakby co, łączy się z nim. No i coś się stało. Usłyszał, jak mówi, że chce rozmawiać z Terchiwadzem albo z kimś innym. I że chce wykupić swoje życie. A potem ktoś ją chyba rąbnął w głowę... – Nie dokończył. – W każdym razie łączność się urwała. – Zgrzytnął zębami. – Wiem tyle, że to prywatna, kurewsko ekskluzywna klinika dermatologiczno-kosmetyczna i chuj wie jaka jeszcze. Wszystkim się zdaje, że gwiazdy odsysają sobie tam cycki albo fiuty albo doszywają jedno i drugie. – Zamilkł i chwilę jakby walczył ze skurczem mięśni zuchwy. – Kto jej pozwolił?! – ryknął i uderzył z całej siły w podgłówek przed sobą.

Siedzący z przodu omonowiec, zawzięcie łomoczący w klawisze netbooka, wyprostował się zaskoczony. W innych okolicznościach



pomyślałbym, że wystraszo-ny, ale – omonowiec?

Sukonin chwilę sapał.

– Riebiata, kończymy z pierdoleniem się w cacy akcje. Rozpierdalamy tam każdego, kto wejdzie w drogę. Biorę na siebie odpowiedzialność za konsekwencje.

Mam, kurwa, dość. To się musi skończyć. List zostawiłem i niech się, kurwa, dzieje, co chce.

– Jaki list? – zapytałem.

Milczał. Orszaków, zobaczyłem to w ogromnym lusterku wstecznym, wytrzeszczył oczy, otworzył usta, zamknął usta, znowu otworzył. Zamknął oczy i siedział cichszy od trusi.

– Jaki list? Kostia, mam prawo wiedzieć. O czym ty gadasz?

Odwrócił się do mnie i chwilę mierzył mnie spojrzeniem, przy którym określenie „badawcze” jest niedopasowane jak tyrolskie spodnie do bonzurki.

– Jest takie niepisane – przeszedł na polski, choć, widziałem, nie miało to specjalnego znaczenia, bo wszyscy obecni zeszywnieli i zrobili miny, jakby za chwilę miał mi podać kod do pierwszej atomowej salwy w stronę Chin – taki zwyczaj.

Odnosi się do co bardziej honorowych oficerów, tych bardziej elitarnych... naszych... służb. Nie chodzi o to, że jestem bardziej honorowy czy bardziej elitarny. Jestem w tej grupie, której honor munduru MSW jest drogi. No... bez pierdolenia. Każdy z nas, kto tak czuje, pisze list, w którym przyznaje się do popełnienia ciężkich grzechów. I tłumaczy, że nie miał innego wyjścia niż honorowe samobójstwo. Wiesz, żeby nie splamić munduru i tak dalej. Listy są złożone u męża zaufania. Jak trzeba coś pokryć sobą, nieudaną akcją, nieudolność, przekroczenie granic

dozwolonych, no wiesz, o czym mówię, wtedy można honorowo odejść. A list wszystko tłumaczy.

Zdarza się też – uśmiechnął się krzywym drapieżnym wilczym uśmiechem – że koledzy pomagają w odejściu. A list i tak przecież zostaje.

– Przełożonych nie dziwią samobójstwa dobrych oficerów? – wykrztusiłem.

– Przecież ci dobrzy przełożeni sami złożyli takie listy – prychnął. – A ci gorsi?

Udają, że w nie wierzą, i żyją dalej. No i nie oszukujmy się. Takie samobójstwa nie zdarzają się codziennie!

Zastanawiałem się chwilę nad tym. Potem usłyszałem, jak pytam:

– A dlaczego, chuju ruski, nie zażądałeś ode mnie takiego listu?

Chwilę patrzył mi w oczy. Coś mi się zaczęło pod kopułą ruszać w temacie rosyjska dusza, braterstwo, przyjaźń. Człowieczeństwo...

– Napiszesz jutro, jak będziesz chciał.

Odwrócił się, wyjął swojego gnata, strzelił magazynkiem, włożył, zarepetował.

Pozostali, poza kierowcą, jakby z ulgą ochoczo powtórzyli jego ruchy. Ja nie zrobiłem to cztery godziny wcześniej i ponownie trzy godziny wcześniej.

Pędziliśmy, ocierając się o miotające się na boki autobusy, zajeżdżając drogę zgrzytającym hamulcami tramwajom, nie wspominając o osranych samochodach i ich bliskich zawału

kierowcach. W życiu nie uczestniczyłem w takim katowaniu ruchu drogowego. Gwałt na żywej trafiktkance.

Jakiś park z prawej, wysoki mur z lewej.

– To tu! – syknął Sukonin, wskazując palcem ogrodzenie. – Niech mi któryś...

Skręciliśmy z piskiem opon w lewo, po kilkudziesięciu metrach w murze pojawiła się szczyrba-brama.

– Jebi jejo! – ryknął Sukonin.

Kierowca jęknął z radości, skręcił ostro i wbił się maską w cholernie solidnie wyglądające wrota. My mieliśmy lepszą stal.

Skrzydła jęknęły, brzęknęły i prysnęły na boki. Zanim zdołały odbić się od ograniczników i uderzyć w nasze boki, byliśmy już na terenie. Pędziliśmy w stronę budynku. Nie po wijącej się malowniczo szutrowej drodze, tylko po kwietnikach, klombach, trawniku. Jebać zieleni!

Przed szerokimi, paradnymi schodami wóz, nie zwalniając, zarzucił, ustawił się bokiem do promenady a la Goering – płaskich szerokich stopni.

Już po nich pędziliśmy. W oknie na piętrze pojawiła się zabandażowana twarz.

Przypominała oglądaną jeszcze w czarni i bieli w serialu Niewidzialny człowiek.

Same bandaż i szczeliny oczu.

Sukonin kopniakiem otworzył drzwi, za nim wpadł omon, potem Orszaków, potem kierowca. Jak on zdążył, kutas rybi, wyprzedzić mnie?! No chuj, gnałem ostatni, last but not least. Spluwa w garści i chęć przypierdolenia komuś. Niech tylko ruszą dziewczynę!

Parter... Wyłania się jakiś kmiot w białym kitlu, zaczyna mamrotać o coś zaskoczeniu. Kostia wyszarpuje legitymację i wbija mu ją w nos. Tamten wali się na podłogę z zakrwawioną bulwą.

Sukonin macha ręką w prawo i w lewo. Omonowcy rzucają się we wskazanych kierunkach. Kostia pędzi przed siebie, z łoskotem wyłamuje przeszklone drzwi, nie trując się dotykaniem klamki. Za nimi dwa inne fartuchy.

– Mamy wezwanie! – ryczy Sukonin. – Groźny przestępca, kobieta, wdarł się na wasz teren! Gdzie jest szef ochrony? GDZIE JEST SZEF!!!

Jeden z fartuchów coś mamroce. Pechowiec, Kostia wali nim o ścianę, ten osuwa się gorliwie, przeskakujemy nad nim, doganiamy drugi kitel, który nie gada, tylko przedkłada biegi nad dyskusję. Sukonin z radością kopie go w piętę, płaczą mu się oczywiście nogi, pada na podłogę niczym kłoda.

– Gdzie jest ochrona?! – ryczy Sukonin i strzela w podłogę, tuż obok gęby kitla.

Drzazgi ze szlachetnego drewna sypią się na wszystkie strony.

Idiotycznie myślę, że musiał napisać „dobry” list. Taki, który wytłumaczy wszystko, chorobę umysłową, sprzeniewierzenie państwowych środków, wziętki i dilerstwo.

Na dole... – chrypi kitel.

Dostaje kopa w zuchwę, odpada z zabawy. Pędzimy dalej. Są schody. Po drodze pryskają na boki cztery pielęgniarki i dwie, chyba, pacjentki. Zbiegamy pół kondygnacji w dół. Jakieś magazyny. Orszaków rzuca się do pierwszych drzwi, ja do drugich. Sukonin pędzi jak tornado przed siebie. W moim

pomieszczeniu nie ma nic poza jakimiś kotłami, w których nie zmieściłoby się ciało, nawet drobnej Nadii, więc nie zaglądam do nich, tylko gonię korytarzem. Przedostatnie drzwi są uchylone, wysuwa się z nich wysoki chudy facet w okularach jak denka słoików. Ma w rękę rewolwer. Wróc, miał w rękę rewolwer! Sukonin, nie zwalnając, wysuwa lekko rękę do przodu i przez krok, a może pół kroku trzyma ją nieruchomo. Pierwszy pocisk trafia chudego w bark, obraca go, drugi pocisk lokuje się w połowie uda. Chudy wrzeszczy przeraźliwie, nie za długo – tylko do momentu, gdy jego głowa zderza się z framugą. Sukonin nie dobija go, przeskakuje nad nim i wpada do pomieszczenia, Orszaków niby też przeskakuje, ale mimochodem wbija obcas w dołek i tak nieprzytomnego szkieletora. Jestem ostatni w pomieszczeniu.

Pod ścianą leży Nadia. Myślę, że tak nie powinno być, że powinno być tak, że można czyjaś śmierć wykupić. Że opcja nieodwracalności jest do dupy. Nie tak, inaczej – oto zabity, a to zabójca. Zabijając go, przywracasz życie ofierze. Albo, dokładając do puli, na przykład, dziesięć lat swojego życia, albo swoją rękę, albo flotę lotniskowców, wykupić ją śmierci. Tak, kurwa, powinno być. A jeśli nie jest, to ja pierdolę!

Kostia wali się na kolana przy ciele Nadi. Ja pier-do-lę! Nie!

Dobra! – krzyczy Sukonin. – Ona żyje!

Ja pierdolę...

Szlag! Walę się plecami o ścianę i zaczynam chichotać. I mam miękkie nogi i oczy i ręce.

Tak nie chciałem, żeby...

Orszaków biegnie do kranu w ścianie, po drodze chowa broń do kabury. Ja – przeciwnie – trzymam swoją w pogotowiu, w asekuracji, wyglądam na korytarz.

Pusto, cicho, głupio. Pięknie. Nadia żyje!

Orszaków przynosi wodę w dłoniach, biegnie drugi raz. Ja bohatersko asekuruję ich, pilnując korytarza. Przez moment wydaje mi się, że jestem ważny: ktoś pojawia się na horyzoncie. Ale to tylko, tylko! kierowca-omonowiec! Coś jest ze mną nie tak.

Chyba mam atak hysterii. Omon mówi coś do Sukonina, podchodzi do mnie i uśmiecha się. Kurwa, jakie on ma zęby! Mógłby odgryźć lufę T-32! Klepie mnie w ramię i mówi, że spuścili z kolegą wpierdol czterem innym zakapiorom na górze, a kilka pacjentek uciekało przed nimi tak, że podeptały sobie końce bandaży. A może ja go nie rozumiem, tylko...

Nieważne. Żyje...

Omon wyjmuje z kieszeni coś, co wygląda jak saperka. Bez trzonka. Bardzo płaska, bardzo twarda. Dociera do mnie, że to piersiówka i zarazem pancerna osłona... Serca? W dupie mam czego osłona. Łykam. Och! I jeszcze dwa razy och!

Pycha...

Łykam jeszcze raz. Ogarnia mnie radość.

– Dobrze – mówię do omona. Kiwa głową. Zerka na Sukonina. Łyka. – Tyłko jakby był trzonek... – Kurwa, jak jest po rosyjsku „trzonek”? – No wiesz, jakby było za co trzymać, to w to można by wlać jeszcze pół litra.

Omon chwilę przedziera się przez moją ruszyczkę. Potem uśmiecha się szeroko. Jakież on ma zęby...

-A po chier? – pyta radośnie. – Przecież Witia też ma.

No tak. Po to się ma przyjaciół, żeby też mieli.

Koch-chane życie...

Wyjmuję z kieszeni komórkę i wystukuję numer do Stawierogowa.

– Mamy ją, żyje – mówię szybko, gdy tylko słyszę zmianę tła dźwiękowego w słuchawce. – Żyje – powtarzam. – Chyba nic jej nie jest. Zadzwonię później.

– Dobrze – mówi Stawierogow.

Tylko „dobrze”. Obozy sprasowały go w coś twardego jak beton.

Schowałem komórkę, przesunąłem się bliżej drzwi, wyjrzałem, ale tam już stał Witia, pilnował obejścia. Sukonin podnosi się z klęczek, potrząsa głową. Mówi coś, przesuwam się, żeby mieć widok. Nadia z dużym guzem na czole siedzi oparta o ścianę, nos opuchnięty, trochę krwi. Podszedłem bliżej.

– No nic mi nie jest. Walnął mnie w splot słoneczny, zwałam się twarzą na podłogę. – Dotknęła czoła, syknęła. – A moja torba? Wszyscy zaczęli się rozglądać.

Torby nie było.

– Koniecznie ją znajdźcie. Tam są moje zabawki i trochę płyt z kartoteki. Mogą nam wiele powiedzieć.

Sukonin popatrzył na Orszakowa i omona. Wybiegli i pocałowali po schodach.

– Zawołamy lekarza? – spytał Sukonin.

Z tonu wywnioskowałem, że wolałby nie robić zbędnego hałasu wokół zdarzenia.

Choć wydawać by się mogło, że przy wywalonej bramie, strzałach w klinice, pobitym personelu trudno o jeszcze bardziej zbędny hałas.

– Nie trzeba, naprawdę. – Podciągnęła kolana, przekreśliła się na bok i wstała, nie skorzystawszy z wyciągniętej ręki Kosti . Wyprostowała ramiona i przeciągnęła się. – Wszystko w porządku.

– I tak pojedziesz do szpitala. Nawet nie próbuj! – warknął, widząc otwierające się do protestu usta. – Dawaj ręce. Witia? – rzucił przez ramię. – Skuj ją i idziemy.

Wyszliśmy na schody, akurat na górze ktoś otworzył drzwi i zaczął zbiegać na dół. Orszaków niósł w ręku torbę, na nasz widok potrząsnął nią triumfalnie.

– Wszystko chyba jest. W każdym razie płyty są, nie zdążyli jeszcze nic zszabrować.

– Sprawdź – polecił Sukonin Nadi .

Rozchyliła brzegi torby, grzebała w niej chwilę.

– Nic nie zginęło.

– No to idziemy.

– Może lepiej dołem? – zaproponowałem. – Chyba nie potrzebujemy dyskusji z władzami, pewnie już się pozbierali.

– Słusznie. Ujobywajem czeriez park!

Dwie minuty później pakowaliśmy się do samochodu. Witia sypnął na pożegnanie zwirem po klombach i już byliśmy na ulicy. Bez syreny i dyskoteki.

– Opowiadaj – zażądał Sukonin.

– Z piętnastu wybranych przez Kamila osób jedenaście leczyło się albo leczy w klinikach dermatologicznych lub regularnie odwiedza kliniki kosmetyczno-dermatologiczne. Udało mi się włamać do kilku. Oni mają zespół Peutza-Jeghersa, inaczej PJS. Nie wszystko rozumiem, znaczy, nic nie rozumiem z medycznego



opisu, ale zapamiętałam, że jest to genetycznie uwarunkowana choroba, której widocznym znakiem są plamy soczewicowate na skórze warg i palców oraz na błonie śluzowej policzków. Poza tym ten zespół charakteryzuje się obecnością polipów jakichś tam w przewodzie pokarmowym i predyspozycją do nowotworów złośliwych w różnych narządach. Siedem z tych osób leczyło się albo leczy w klinice Terchiwadzego, ale dostać się do tutejszego archiwu nie mogłam. Znaczący, mogłabym, ale zmarnowałabym nie wiem ile czasu. Więc postanowiłam skrócić to i przyjechałam.

– Wyszło ci, że PSJ... – zacząłem.

– PJS – poprawiła mnie.

– No tak... – PSJ to Polskie Stowarzyszenie Jazzowe. – Myślisz, że ludzie z PJS są z jakiegoś powodu łatwym łupem Cthulhu?

– Na to wygląda. Z jakiego powodu nie wiem. Ale to nie dla mnie robota. Wiem, że są podatni na wiele rodzajów nowotworów, mają do czegoś skłonności. Niech się tym zajmą fachowcy.

– Na pewno się zajmą – mruknął Sukonin. – Byłoby dobrze, gdyby dało się wstępnie wyselekcjonować potencjalnych guimoniarzy. W końcu może być tak, że jakiś układ genetyczny, dający defekt w postaci tej czy innej choroby, to właśnie ten układ referencyjny. – Zatarł ręce. – Mimo wszystko, mimo cennych wiadomości, muszę cię odsunąć od śledztwa – ciągnął spokojnie dalej. – Mówię o tobie – zwrócił się do Nadi .

– Mogła...

– Nie mogłabyś. Nie możemy działać w pojedynkę, na dziko. Nie wiesz, czy nie spłoszyłaś... Co ja gadam! Wiesz! Wsadziłaś drąg w mrowisko i zakreśliłaś nim.

Byłoby wspaniale, gdyby Terchiwadze nie miał pojęcia, że pacjenci z PJS mają też inne skłonności. Byłoby cudownie, ale nie będziemy się łudzić. A można było załatwić to inaczej, kontrola sanitarna, podatkowa albo sto innych sposobów.

– A jak ją powstrzymasz od grzebania w Sieci? – zgłosiłem się w charakterze głosu rozsądku.

– Przykleimy jej ręce do tyłka! – syknął.

Nadia rzuciła mi wściekłe spojrzenie. Pewnie pomyślała, że chcę jej zaszkodzić.

– Może przesunąć karę na kilka tygodni? – zaproponowałem.

– Dobrze – zgodził się ochoczo.

Widocznie sam rozumiał, że trzeba by dziewczę trzymać w piwnicy na Czajkowskiego, bez dostępu do prądu i mobilnych telefonów.

Orszaków, jak i dwaj omonowcy niebiorący dotąd udziału w rozmowie, odchrząknął. Sukonin ruchem brwi nakazał mu podzielenie się pomysłem.

– Skoro i tak już rozbabraliśmy to mrowisko, to może, nie dając im czasu na sprzątanie, wysłać ekipę dochodzeniową, która zabierze resztę płyt? Nie mamy gwarancji, że Nadii udało się zgarnąć same dobre.

– Żadnej gwarancji! – Dziewczyna podskoczyła na kanapie. – Wzięłam na chybił trafił może z pięćdziesiąt sztuk, a tam jest ich jeszcze z pięćset.

– Hm... Ale jak im wytłumaczymy, że zabieramy płyty...

– Nie! – przerwała przełożonemu Nadia. – Niech ekipa się zamknie w archiwum, rozłożą dziesięć notebooków i skopiują dane! Można? – Wyciągnęła do Orszakowa skute przeguby.

Rozkuł ją. Czekaliśmy na decyzję Sukonina. Myślał długo, przygryzając to dolną, to górną wargę, skubał ucho.

– No dobra, nie mamy wyboru. Żeby coś mieć, musimy, niestety, działać jak niedźwiedzie. Orszaków, bierzesz ekipę, dziesięć czy ile się da notebooków i wracasz do kliniki. Załatwię pilnie nakaz rewizji i doślę. Postaraj się wytłumaczyć nasze brutalne działania tym, że przestępca jest niezwykle niebezpiecznym i nieprzebierającym w środkach osobnikiem...

– Szantażystą – podpowiedziałem. – Wyszukuje bogate osoby, które można czymś szantażować, i niszczy je finansowo. Terchiwadzemu powinno zależeć na dyskrecji i na opinii bezpiecznej kliniki, a przynajmniej musi udawać, że mu zależy, czyli pójdzie na współpracę z organami ścigania. Bo inaczej prasa, telewizja, radio...

– Yhy, to mu sprzedasz.

Byliśmy już w centrum. Witia zatrzymał pokiereszowany samochód na podjeździe szpitala MSW.

– Zaprowadź ją na izbę przyjęć – powiedział Sukonin do omona z piersiówką. – Dopilnuj, żeby została przyjęta i przykuta do łóżka. Zostaniesz przy drzwiach, potem ktoś cię zmieni.

– Konstantynie Alek... – jęknęła Nadia.

– Niech cię moje oczy już nie widzą. Do jutra. I nie przeginaj, bo i Kamil ci nie pomoże!

Zrobiła minkę skrzywdzonego koali, wysiadła i powlokła się do wejścia.

– Do nas – rzucił Kostia do kierowcy.

Pojechaliśmy do „domu”.

Kostia wyjął komórkę i wdusił jeden z pierwszych numerów. Nikt się nie zgłosił, wywołał sąsiedni numer. Też bez rezultatu. Zauważył, że zeszywniał, gwałtownie przycisnął kolejny numer prostego wybierania.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Słuchał chwilę, potem przeniósł na mnie rozognione spojrzenie.

– Nie odpowiada ani Wala, ani Lenka, ani Irina Matwiejewna...

Omam nie zwymiotowałem. Na szczęście mało dzisiaj jadłem.

Przełknąłem coś, co inni nazywają śliną.

Sukonin wystukał jakiś kolejny numer. Tu ktoś się odezwał.

– Melduj! – powiedział.

Słuchał chwilę. Widziałem, jak opuszcza go panika i jak po chwili wzbiera złość, szał.

– Dobra, dziękuję – rzucił do słuchawki. – Poszły do chińskiego cyrku – oznajmił wolno. – Kobiet się przecież nie morduje...

– Słuchaj, Kostia – usłyszałem swój spokojny głos. – To przecież dobrze, kapujesz? Nie siedzą skulone ze strachu w piwnicy, nie żądają kompanii ochroniarzy, żyją normalnym życiem, jak powinno się żyć. Chiński cyrk – wspaniała sprawa. Sam bym poszedł.

Sukonin patrzył na mnie przerażony.

– Ty jednak jesteś pierdolnięty. Nadajesz się do chińskiego cyrku. Ja ci to załatwię...

Odwrócił się do okna i sapał chwilę.

Potem się roześmiał.

Ale na mnie nie patrzył.

Histeria?

Przynajmniej nie drżą mi palce – pomyślał Igor Siemionowicz, patrząc na protezy.

Dopił swój koniak. Niewiele wypił. W chwili napięcia, niebezpieczeństwa, zagrożenia wolał być trzeźwy. Ta kropelka była tylko na przepłukanie żył.

Przeniósł wzrok na telefon. Odstawił kieliszek, ostrożnie uwolnił protezę z drucianego uchwytu, przysunął aparat i wystukał kombinację cyfr.

To ja – powiedział, usłyszawszy „halo”. – Omal nie musiałem cię prosić o pomoc.

Były problemy z Miszą, ale wszystko skończyło się dobrze.

Nie używali w rozmowach prawdziwych imion, Nadia mogła być Kolą, Grigorijem, Wasią Niebieski Kruk i tak wiedział, o kim mowa. Przecież Stawierogow nie miał o kogo się martwić oprócz wnuczki.

– Wiesz, że w każdej chwili jestem do dyspozycji. – W głosie mówiącego pobrzmiwały jednak nutki podające w wątpliwość ofertę.

– Chce się z tobą skontaktować znajomy.

– Wiem. Ale... są pewne problemy...

– W takim razie on ci pomoże?

Słuchawka westchnęła.

– Po raz pierwszy w życiu nie wykluczam takiej opcji.

– No to?

– Powiedz mi najpierw co z Miszą?

– W porządku. Pod opieką, cały i zdrowy.

– Cholerny gówniarz. Przez to hobby napyta sobie kiedyś biedy.

– Oby nie. Bądźmy dobrej myśli. To co z pomocą?

– Zostawmy to na kilka godzin. Potem, jeśli nie poradzę sobie sam, zgłoszę się do kliniki.

Tfu! Akurat musiał sobie wymyślić klinikę! – zirytował się w duchu Stawierogow.

Nie mógł powiedzieć bazar, zajezdnia, stadion?

– Dobrze. Ale myśl szybko, działaj ostrożnie. Nie stać mnie na utratę choćby jednej bliskiej osoby, bo zostanie mi tylko druga!

– Aż tak źle nie jest – roześmiał się Niebieski Kruk. Ale dodał:  
– Chyba.

– Za godzinę albo dwie daj znać, dobrze?

– Na pewno. Do usłyszenia.

Na razie.

Rozłączyli się. Stawierogow odsunął mobilkę, kieliszek, przyciągnął klawiaturę.

Siedział, zapatrzony niewidzącym wzrokiem w ekran, na którym widniała strona jakiegoś arcystarego dokumentu. Odpis z X wieku jednego z dokumentów braci sołuńskich przestał go interesować. Współczesność wypierała historię. Nawet jeśli ta ostatnia kształtowała tę pierwszą.

## ROZDZIAŁ 14

Nie dotarliśmy do „domu”. Dwie przecznice przed komendą odezwała się komórka Kostii. Po dwóch sekundach słuchania podskoczył na fotelu, odwrócił się do mnie i wrzasnął:

– Mają Jerzego! Żyje!

Przylgnał do słuchawki na dłużej. Pozwoliło mi to odetchnąć głęboko kilka razy, ukradkiem uszczypnąłem się w udo, żeby zgasić idiotyczny szeroki uśmiech roz-kwitający na mojej twarzy.

Sięgnąłem po papierosy, ale zrezygnowałem z palenia. Banał. Nie chciałem robić niczego banalnego. Tylko że co można robić, kiedy spływa na człowieka ogromna ulga, taka lekka miękka pierzyna...

Dobra, odetchnąłem, i chwatit!

Kostia rozłączył się.

– Jadą do kliniki, cholera, tam, gdzie byliśmy. Witiok? – rzucił do kierowcy. – Zawracaj, kochany, do kliniki! – Odwrócił się do mnie. – Jest podtruty, dali mu jakieś draństwo. To była melina naszych narków. Przypadkowo go znaleźli...

– Co mu dali? – Podejrzanie szybko i gładko przeszedł do opisu sprawy, porzucając Jerzego.

– Krokodyl – bąknął.

Kątem oka zobaczyłem, że Witia rzuca szybkie spojrzenie w lustro. Dlaczego?

– Co to jest? Nie znam.

Westchnął. Skrzywił się.

– Kurewstwo znacznie silniejsze od heroiny, mówi się, że nawet tysiąc razy silniejsze od morfiny. Dezomorfin, klecą to z kodeiny, najczęściej z tabletek teofedryny, kwasu solnego, jodu,

środką do czyszczenia rur i kilku innych składowych. Taniocha, działa krótko, więc muszą brać często.

Urwał i uważnie zapatrzył się w okno.

– No? – ponagliłem go.

– Co – no? – Oderwał się od okna. – Cholernie szybko uzależnia i skutki są makabryczne. Uspokój się! Jerzy zaginął dwa dni temu. Nie dostał tyle, żeby...

– On ma jedną nerkę – wyrzuciłem z siebie.

Witka włączył dyskotekę. Przyspieszyliśmy.

– Kamil, on jest pod najlepszą możliwą opieką. W tej chwili usypiają go, żeby nie czuł głodu. O ile odczuje! – zastrzegł szybko. – Możemy pojechać tam, gdzie go trzymali...

– Ja jadę do kliniki, możesz mnie podrzucić i potem...

– Już! Już! – Uniósł ręce. – Dobrze, spokojnie. Jedziemy do kliniki, potem do mieszkania. Technicy spokojnie sobie pomyszkują.

– Zawsze mnie intrygowało – usłyszałem własny głos – kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby zalać tabletki kwasem solnym i wpierdolić to sobie w żyłę.

– To gówno jest podobne do używanego dawniej białego Kitajca. Przyszło z republiki Komi. Nie wiem, czemu akurat tam ktoś miał taki pojebany pomysł. Nie zajmowałem się narkotami. – Wzruszył ramionami.

Chwilę później byliśmy na podjeździe kliniki. Lekarz dyżurny zmarszczył czoło na nasz widok.

– Śpi – powiedział. – Nos nie jest złamany, tylko opuchnięty po uderzeniu.



– Dziękuję. Mamy tu jeszcze jednego znajomego pacjenta. Przywieźli go z meliny narków.

– Aa! Tak, wiem. Drugie piętro, doktor Miszorin, będzie na was czekał.

Zostawiłem Kostię, żeby rozmawiał z Miszorinem, w połowie korytarza przed jedną z sal stał mundurowy. Zgadłem, pilnował Jerzego.

Spał. Trzy kroplówki dość szybko odmierzały porcje specyfików. Wenflony w prawej ręce i obu nogach. Lewą rękę miał szczelnie zabandażowaną, koniuszki palców wystające z bandaży były niebieskie, jakby umoczył je w rozwodnionym atramencie. Dotknąłem prawej dłoni, chłodna, sucha. Na kciuku plamka smoły.

Przez plecy przetoczyła się fala zimnych ciarek, przypomniałem sobie, z czego warzą tę berbeluchę. Pochyliłem się i pocałowałem Jerzego w czoło. Wyszedłem na palcach.

Kostia czekał na korytarzu.

– Nie jest źle – powiedział szybko. – A nawet jest nieźle. Dostał chyba trzy porcje.

Zmiany w miejscu wkłucia są nieznaczne i zagoją się na sto procent. Będzie dobrze.

Nie odpowiedziałem.

– Kamil? – odezwał się z wyrzutem. – No co? Jest lepiej niż dziesięć minut temu, wtedy mogłeś się... mogliśmy się martwić. Teraz jest z nami, cały...

– Prawie zdrowy – powiedziałem, a raczej wychrypiałem.

– Nikt nigdy nie jest całkiem zdrowy – wypalił Sukonin. – Zapewniam cię, że jest dobrze.

Zerknął na zegarek.

– Przyjadę po ciebie za godzinę, co? – zaproponował.

Pokręciłem głową.

– Nie, nie, jadę z tobą. Muszę obejrzeć ten lokal.

Skinął głową, odwrócił się i pomaszerował do windy. Ruszyłem za nim.

W samochodzie nie patrzyłem, dokąd jedziemy. Przymknąłem powieki i po prostu się cieszyłem. Dopiero teraz mogłem się przed sobą samym przyznać, że rozpacz i strach wisiały mi na plecach jak kleszcze na lisie. Teraz mogłem się z nich otrząsnąć, odrywałem po kolei i odrzucałem: poczucie winy, lęk, czarnowidztwo, złość.

No, już!

Podjechaliśmy pod budynek przypominający ten, w którym mieszkaliśmy, może, zresztą, byliśmy blisko domu. Dwa milicyjne wozy, karetka pogotowia, trochę gapiów.

– Wjedź na podwórko – polecił Sukonin.

Krawężnik przed bramą zerknął na pokazaną przez Witę legitymację i zasalutował.

Przed klatką schodową stali dwaj cywile i palili. Na widok Sukonina zaciągnęli się na pożegnanie i grzecznie zgasili papierosy.

Sukonin już szedł w ich stronę, zadzierając głowę, jakby chciał zapamiętać rozkład okien.

– Które piętro? – zapytał.

– Pierwsze.

Drzwi do mieszkania były, oczywiście, otwarte, już na półpiętrze zobaczyliśmy błyski fleszy. Śmierdziało benzyną,

subtelnie, ale niezbitcie.

– Tyle razy apelowaliśmy w telewizji, że jak na schodach czuć benzynę albo aceton, trzeba wzywać milicję, i gówno! – warknął Sukonin.

Przyjrzałem się drzwiom. Bardzo starannie opatrzone. Kostia też zerknął i machnął ręką.

– Nic nie było czuć – skonstatował.

Przedpokój, podobnie jak w „moim” mieszkaniu, miał jakieś dwanaście metrów. Zaraz przy drzwiach wejściowych była łazienka, potem jakaś komórka. W nocy po piwie do łazienki robiło się kilka stadionów.

Następny, też z prawej strony korytarza, był duży pokój, laboratorium, czysto, schludnie i chemicznie. Z lewej strony korytarza wystawała z wnęki szafa. Z prawej – mały pokoik i jeszcze jeden mały. Na samym końcu – ktoś się ulitował nad mieszkańcami – mały kłopot. W jednym z małych pokoi znajdowała się solidna metalowa prycza, przymocowana do podłogi kawałkami kątownika. Ubranie Jerzego, zwinięte w kłęb, leżało w kącie.

Wyszedłem z pokoju.

Sukonin zapytał o coś i wyszedł do mnie. Stał chwilę ze zmarszczonym czołem, zajrzał do kuchni i do drugiego pokoju, stanął na środku przedpokoju i postukał czubkiem buta w podłogę.

– Bardzo solidne i trwałe panele – powiedział.

Chciałem zapytać, czy szykuje się do remontu mieszkania, ale Kostia wyciągnął rękę i szarpnął szafę. Nie poruszyła się.

– Wrażkow! – krzyknął.

Technik wypadł z pokoiku.

– Co z szafą? Czemu przybita?

Rzucili się na mebel we trzech, latarki, sondy i... radość.

– Jest!

Wrażkow włożył rękę do niemal pustego mebla, pociągnął coś na górze, szafa bezszelestnie, gładko wysunęła się na korytarz i skręciła, odsłaniając wejście do jakiegoś pomieszczenia. Wszyscy już mieliśmy broń w ręku. Wrażkow przysunął się do wejścia, szybko wprowadził do pomieszczenia sondę z kamerą.

– Pusto! – sapnął i ruszył pierwszy.

Za nim Sukonin i drugi technik. Trzeci grzecznie przepuścił mnie przed sobą.

To był pośredni pokój, mniejszy od laboratorium, znacznie większy od dwu małych. Pustawo. Bez okna, z mebli: szerokie wygodne łóżko, szafka, dwa wieszaki – jeden na ścianie, drugi stojący. Biurowe krzesło przed malutkim biurkiem z IKEA.

Obrzuciłem ten niewyszukany anturaż spojrzeniem, odwróciłem się.

Ściana po lewej od drzwi była niemal całkowicie pozbawiona tynku. Ktoś, już wiedziałem kto, szponami zdarł tapety i tynk, pokieroszował cegły, wydrapał zaprawę... Gdyby mieszkający tu guimon miał jeszcze miesiąc, to w końcu wypadłby na korytarz razem z resztkami pokancerowanego muru.

– J-j-j... – śmiesznie odezwał się Wrażkow. Miał na końcu języka job twaju mat', albo coś kunsztowniejszego, ciągle byłem do tyłu z rosyjskim matem. – Co to jest?

– Coś jak tyranozaurus – powiedział Sukonin. Zakręcił dłonią nad głową. – Tu przejrzyjcie każdy atom. Laboratorium może

poczekać, reszta gównu mnie obchodzi.

Poszliśmy do kuchni na papierosa. Gdy wyjąłem zapalniczkę, Sukonin wciągnął przez nos powietrze i uśmiechnął się krzywo.

– Może nie powinniśmy tu palić? – powiedział.

– Racja. Wyjdziemy?

Poszliśmy na korytarz, a tam Kostia machnął ręką, że niby szlag z nim, z mieszkaniem, i zszedł na podwórko.

– Czyja to chawira? – zapytał milicjanta.

– Niekarany, nienotowany, ale nikt go tu nie widział. Pewnie ma lewe dokumenty.

Mieszkanie wynajmowali dwaj młodzi, na oko studenci. W nocy odwiedzali ich jacyś mężczyźni, sąsiedzi widzieli tyle tylko, że starsi. Jeden w kapeluszu, łysy. Drugi postawny, solidny.

O? O! Ojciec Andriej? Serce zatłukło się w dusznej klatce.

Wymieniliśmy z Kostią łatwe do rozszyfrowania spojrzenia typu: wiem, co myślisz.

Sukonin zaciągnął się mocno dwa razy i cisnął połówkę papierosa pod mur.

Odszedł kilka kroków, wydało mi się, że bezgłośnie wzywa mnie do siebie.

Poszedłem za nim.

– Nie masz wrażenia, że coś się zagęszcza? – spytał. Wzrokiem błądził po oknach. Z kilku wystawały ciekawskie głowy, znikwały tylko muśnięte jego spojrzeniem.

– Tak.

– Serio tak czujesz? -Tak.

– To dobrze. – Zaczerpnął głęboko w płuca świeżego podwórkowego powietrza. – Tak jakby wszystko się po akcji na

Koniewcu uspokoiło. Potem zauważyli, że gównu, że nie, że nie odpuściliśmy, że nie położyliśmy się w hamakach i nie klepiemy po wypełnionych piwem brzuszka.

– Grzebanie w Internecie?

– Tak, zdecydowanie tak.

– Czyli domacaliśmy się wierchuszki?

– Absolutnie!

Pstryknąłem swoim niedopałkiem mniej więcej w o samo miejsce pod murem, co Kostia.

– To dobrze. Tylko jak to teraz zdyskontować? Sukonin zrobił jeszcze kilka kroków, jak uwiązany poszedłem za nim.

– Wiesz, jaki jest problem? Zastanawiałem się chwilę.

– Wysoko postawieni ci ludzie? – zapytałem.

– Tak. – Westchnął. – Kończy się nam możliwość operowania bez akceptacji góry, i to najwyższej góry. Ci ludzie to nie pierwsza strona kolorowych pisemek, i to jest właśnie złe. Jak by chodziło o piosenkarki, dziennikarzy, aktorów – gównu, zjedlibyśmy je. Ale to są ludzie znani i znający innych znanych ludzi. Rusz jednego – odezwą się gildie adwokatów, zrzeszenia finansistów, związki pracodawców i pracowników, szefowie partii, senatorzy i parlamentarzyści. Musimy załatwić to tak, że uderzamy i nie dajemy czasu na lamenty i rozdzierające wrzaski.

Pokręciłem głową.

– Nie ma co uderzać w tę piętnastkę. Za dużo ich i nic na nich nie mamy poza moimi niepewnymi przypuszczeniami. Zanim coś wynajdziemy, wskoczą wam na kark prawnicy, rodziny, dziennikarze, liga ochrony ludzi, zwierząt i psów i synapsów.

Zerknął na mnie spod oka.

- Żartujesz?
- Co do synapsów – tak.
- Ale co w takim razie?

Wyjąłem z paczki kolejnego papierosa. Nie chciało mi się palić. Chciało mi się mieć czas do namysłu. Kostia też sięgnął. Zaciągnęliśmy się. Wypuścili dym. No i co, trzeba było coś powiedzieć.

– Możemy zaatakować trzech, czterech i zobaczyć, co zrobi reszta... – bąknąłem.

– No to jak tak, to może lepiej jednego? – zapytał Sukonin.

– A jak nie trafimy w tego jednego? Będzie akurat niewinnym playboyem?

– No to dwóch?

– Aż tak ciężko, że się targujesz o jedną sztukę?

– Nie masz pojęcia jak ciężko.

– Mam.

Paliliśmy w milczeniu.

– No to kogo?

W tym momencie zadzwonił telefon. Nie mój, Kostii.

– Tak? Nadia? Czy ja ci nie kazałem...

Słuchał.

– A kto ci pozwolił...

Słuchał.

– Jak wyjdiesz, to tak ci zleję dupsko, że wrócisz na tę samą salę na urazówce, a pot...

Znowu słuchał. Coraz uważniej.

Rozłączył się.

– To Nadia – ściszył głos. – Dziadek posłał jej laptopa. Oczywiście grzebała w Sieci. I wygrzebała – sapnął. – Mamy osobę najwyżej postawioną w każdym rankingu. Nadia mówi, że jej profil pasuje do określonego przez ciebie.

Uniosłem rękę.

– Nie mów mi kto to. Powiedz, co o nim wiecie.

– Krótko: prezydent byłej republiki ZSRR. Pokonał poprzednika w jednej z tych „kwiatowych” rewolucji. Pomagaliście im wy, Polacy.

– Całuj mnie w dupę. Pomagaliśmy, choć nie ja, każdemu, kto wsadzał kółek w zadek Putinowi.

– Nieważne. Nam to też wisi. Idę dalej. Krótko rządzący prezydent. Potem... hm... rozłam w kraju, część chce tak, część owak.

– Ukraina?

– Korupcja wyłazi z każdego szwu...

– Ukraina!?

– Ukraina.

– Nie pierdol?! To ta z rogalem na głowie? Lisica cholerna? Szyje z siebie świętą wojowniczkę, a tu dupy daje w piekle piekiel?!

– Ona. Miłka, tak ją czule nazywają jej zwolennicy, starzy kretyni, którym zawróciła w głowie swoim kołaczem na głowie. Milady. Tak o niej mówią ci, co ją odrobinę znają. Inni, znający ją lepiej, używają innych określeń.

Zaciągnąłem się mocno. To była dobra wiadomość. Konkretna.

– Ale czekaj, nie wiesz, jeszcze najlepszego! – powiedział poważnie Sukonin i uśmiechnął się szeroko. Tak szeroko jak nie



uśmiechał się od wielu dni. – Przyjeżdża tu pojutrze. Ma spotkanie w Lidze Wolności, w klubie feministek i gdzieś jeszcze.

– No to sprawdźmy, co to jest gdzieś jeszcze, bo nie wierzę, by to była klinika Terchiwadzego.

– Niece, no teraz to nie. Ale jeśli to ma być jakiś ważny guimon... – Parsknął śmiechem, chichotał długo, potem pomachał rękami. – Przepraszam, to lekka histeria... Pomyślałem „guiwoman” i zgięło mnie ze śmiechu. – Prychnął jeszcze raz, otarł łzy, albo domniemane łzy wierzchem dłoni. – Już my się nią zajmiemy, oj zajmiemy – obiecał mi. I sobie. – Ta suczka nie puści bąka bez naszej wiedzy.

– A jak się dowie? Nie zapominaj, że może być obdarzona jakimiś zmysłami... Nie wiem, prekopartycją?

Posmutniał.

– No to co – nie obserwować?

– Oczywiście, że obserwować. Spróbuj wetknąć w jej ekipę swoich ludzi, dwóch-trzech, że niby taki standard obsługi, że pewne wydarzenia w Pitrze i pogłoski albo doniesienia kapusia... Rozumiesz?

– Zajmie się tymi trzema, a inni dwaj...? – Uniósł brwi i pokiwał głową, że niby my, ci dwaj, wiemy, co jest grane.

– Exactly! Ci inni dwaj, ja i ty, nie powiadamy generała ani nie wzbudzając jego gniewu, udamy się na samowolkę. Tak?

-1 Orszaków, tak?

Coś mnie zdziwiło w jego głosie.

– Dlaczego Orszaków?

– A dlaczego nie?

– No to może i Gariadze? – wypaliłem.

– Dobrze! – ucieszył się. – Dwóch to za mało. Czterech będzie akurat.

-Poczekaj! – zaprotestowałem. – Gariadze nie... tego...

– To wybitny fachowiec. Dupek, ale wybitny fachowiec. Nie tępy terminator jak inni z OMON-u. Ja bym go wziął. Musisz mieć poważne argumenty, żebym ustąpił.

Nie miałem żadnych argumentów, po prostu nie lubiłem faceta, z wzajemnością zresztą. Kostia o tym wiedział i skoro uznał, że nam się przyda, to niech się cmoka.

– Byle mi nie strzelił w plecy, to może sobie...

Sukonin zeszywniał, zgasił uśmiech i wesołe błyski w oczach.

– Nawet nie żartuj sobie tak, Kamil. To honorowy oficer, na pewno ważniejsza jest dla niego robota...

– Niż jakiś pieprzony polski homo! – Wkurwiłem się maksymalnie. „Honorowy oficer!”, pierdoluch z porypanym ego. – Mam go w centrum swojej pedalskiej dupy!

Niech mi nie wchodzi w drogę, to będzie dobrze.

– Kamil, kompleksy masz czy co? My też mamy w dupie, co ty masz. Praca jest najważniejsza, reszta się nie liczy. I skończmy już ten analny temat.

– Jak dla kogo – mruknąłem, nie chcąc zbyt szybko ustępować. W ogóle nie chcąc ustępować, ale też nie chciałem iść na noże z Sukoninem. – Dobra, ustalone. Ty jesteś sensei. Prowadź, wodzu!

Przyglądał mi się chwilę uważnie. Cisnął niedopałek pod stopy, zgasił go butem.

– Jak dopadliście tę melinę? – zapytałem ugodowo.

– Trochę przypadkiem. Ktoś łomotał do drzwi. Długo i wytrwale, może jakiś nark, w każdym razie sąsiedzi wezwali

milicję. Jak jechali tu, zadzwonił facet z punktu dorabiania kluczy, nasza kapusta. Że jakiś najarany gość dorabiał u niego klucz, gadał bez sensu. Zapłacił za dużo, wyszedł, chwilę potem podjechał patrol, mieli go już na oku. Przyszli tu za nim, tym razem otworzył zamek, pewnie gość nie mógł trafić kluczem do dziurki. W domu był jeden pokojowo nastawiony warzy cha i Jerzy w pokoju. Patrol szybko skumekał, kim jest, no i... jesteśmy.

Otworzyłem usta, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Warzycha jest doszczętnie przesłuchiwany, wytrząśniemy z niego nawet numery lotto z przyszłego tygodnia. Wszystko nam powie, a ten zajarany musi dojść do siebie. – Przepędził spojrzeniem jeszcze jednego upartego świadka. – Dzwoniłem do szpitala, wszystko tam w porządku. U Jerzego, znaczy się. Nadia sprawia kłopoty wychowawcze.

Podziękowałem skinieniem głowy. Na klatce schodowej rozległy się jakieś głosy, przypomniały, że jesteście w pracy. Wróciliśmy do mieszkania. Technicy zgrupowali się w laboratorium, na wyścigi cmokając i kręcąc z niedowierzaniem głowami. Kostia poszedł na korytarz dzwonić. Ja wszedłem do sekretnego pokoju. Przez chusteczkę sięgnąłem do gałki szafy i otworzyłem ją. Na półce leżały dwa stosiki: z lewej niższy – bokserki, z prawej wyższy – koszulki. T-shirty. Siedem koszul wisiało, pod nimi cztery swetry i porządnie złożone dwie pary spodni, jedne sztruksowe, drugie z bazaru, chińska bawełna albo coś w tym rodzaju. Wyciągnąłem spodnie i rozłożyłem, na oko rozmiar pasował do gabarytów ojca Andrieja. Byłbym rozczarowany, gdyby to nie on tu się ukrywał, a gdy mu było ciężko, gorzko i zwyczajnie „po ludzku” źle – orał szponami mur i płakał sinymi łzami. Znowu nie byłem niczego

pewien, ale sygnet na kikucie palca jakby zawibrował delikatnie. Muszę zapytać Jerzego, gdy już wyzdrowieje, pojutrze, czy ktoś zgłaszał takie działanie pierścienia eksterminatora. A może już pytałem? Chyba tak...

Oderwałem się od myśli o pierścieniu. Sumiennie przetrzepałem kieszenie spodni, drugie też. Wyjąłem chusteczkę do nosa, obrzydliwie zeskorupiałą, niemniej zainteresowała mnie. Poszedłem do laboratorium i wziąłem od technika rękawiczki.

Wróciłem do leżącego na podłodze kwadratu tkaniny. Nie był to chiński wyrób, po dwanaście sztuk za osiem złotych. Gdy rozwinąłem posklejany kłęb, okazało się, że cała chusteczka jest poplamiona czymś ciemnożółtym, niemal pomarańczowym, na dodatek w tkaninie widniały dziesiątki otworków.

Chyba wszystko się wyjaśniło – papa Andre, gdy już mu jakieś jego guimońskie peptyny rozwaląły pierdolony guimoński łeb, grzecznie przeproszał rozmówcę, szedł dostojnie do kibla, wbijał kły w chusteczkę i wył cichutko, bidula. I ślina jego parszywa ściekała na batyst, czy co tam mu babusie wyszykowały. Chciałem powąchać materiał, ale nagły atak obrzydzenia, najpotężniejszy, jaki mnie w życiu dopadł, spowodował, że cisnąłem chusteczkę na podłogę i wyprysnąłem z pokoju.

Przywołałem z labo jednego okularnika i poprosiłem, żeby dokładnie, jak to mawiał Sukonin, – doszczętnie zbadał tę chusteczkę. Dodałem, że to może coś powiedzieć o naturze guimona. Technik wytrzeszczył gały, ostrożnie wsunął chusteczkę do woreczka strunowego, starannie go zacisnął i dwa razy sprawdził zamknięcie.

Słusznie, mnie zawsze się otwierało. Nie zawsze wtedy, kiedy chciałem.

Wrócił Sukonin, poinformowałem go o odkryciu, otworzył usta, żeby zbesztać techników, ale wybroniłem ich.

– Zostaw tu pluskwę – powiedziałem szybko, chcąc odwrócić jego uwagę od spietranych techników. – Ludzi nie, za dużo musiałoby tu siedzieć, ale kamerę na korytarzu – czemu nie? On tu podobno rzadko bywał, może wpadnie pojutrze? Za cztery dni?

– Też na to wpadłem. Będzie oko. I jedno od ulicy, ze sklepu naprzeciwko.

No pewnie, żaden ze mnie Einstein, każdy by na to wpadł.

– Kiedy to będzie gotowe? – Sukonin popatrzył na technika.

Ten wzruszył ramionami, ale dziwnie, może w specyficznym rosyjskim sposobie: uniósł ramiona i jednocześnie wtulił w nie głowę. Jakby chciał okazać nie tylko nie-wiedzę, ale i odżegnać się, uciec umysłem od tematu. Przypomniał sobie, kim jest i przed kim stoi.

– Towarzyszu kapitanie. Mamy tych dwunastu z karuzeli. – Wyciągnął rękę i zamierzał wyliczyć.

– Sioma, ty mnie nie wkurwiał. Wszystko inne odstaw, daj mi skład śliny z tej chuściny.

– Dobrze! Ja... z radością. Już pędzę do firmy.

– Tak, pędź, inni niech tu kończą i zwijają się przed zmrokiem. Okna ciemne, ślady wejścia zatarte, sąsiadom zapowiedzcie, że jeśli którykolwiek komukolwiek powie cokolwiek, to mu w jakikolwiek sposób urwę jaja. – Technik czmychnął. – Skąd we mnie taka wyszukana stylistyka? – powiedział Sukonin w przestrzeń. – Przecież ja z prostych riazzańskich kołchoźników...

Uśmiechnąłem się. Obrzuciłem ostatnim kontrolnym spojrzeniem pokój.

Poszedłem pierwszy do wyjścia. Sukonin, jak przypuszczałem, zajrzał jeszcze do laboratorium i podrzucił podwładnym kilka myśli o wcześniejszej, niskiej i niepewnej emeryturze w razie... wiadomo. Poczekalem na niego pod bramą na podwórku.

Razem wyszliśmy na ulicę. Gapie zniknęli, sklepy zamykali, było trochę po dwudziestej drugiej, co wyjaśniło, dlaczego chce mi się ziewać.

Kostia uparł się, że do domu pojedę z konwojem, skoro nie chcę spać w komendzie, dobra – podjechała łada z trzema chłopakami. Jeden, jak się okazało, dostał rozkaz czuwania w moim przedpokoju. Usiłowałem wytłumaczyć Sukoninowi absurd tego pomysłu, ale był nieugięty, a biedny milicjant, w miarę wymiany zdań, kulił się coraz bardziej. W końcu machnąłem ręką, powiedziałem, żeby robił, co chce, zablokowaliśmy razem drzwi wejściowe krzesłem, poszedłem do siebie.

Siedziałem godzinę w fotelu, niemrawo rozmyślając o tym i owym. Poruszyła się komórka. Poczułem gwałtowne uderzenie serca, widząc trójkę na wyświetlaczu.

– Cześć – powiedziałem do słuchawki. – Żadnych imion i tak dalej.

– Kurczę, to może i żadnego „cześć”, tylko coś o kasztanach na placu Pigalle? – zaatakowała Ninka.

– To by było idealne. Jak tam i co tam?

– Ogon ma się dobrze – powiedziała wypranym z emocji głosem. – Już nie tęskni.

Trzy dni temu smyrnął z balkonu za jakimś ptaszkiem. Całą noc go szukałam. W końcu się znalazł. Wlazł do starej, od dawna nieużywanej zagraconej piwnicy.

Musiałam po niego włączyć przez okienko wielkości czternastocalowego monitora.

Chyba powinnam się zaszczepić na tężec.

– No, ptaszki lubi – przyznałem.

– Tak. Nawet nauczyłam go mówić „gę”, jak chce dostać coś z puszczyki.

Dawałeś mu kiedyś „Gourmonta”?

– Nie sędzę, raczej coś z niższych półek.

– Tak myślałam, za te z wyższych półek będzie śpiewał niedługo „Wlazł kotek na płotek”. Co u ciebie? Ciągłe tam jesteś?

– Tak. Swoisty urlop – westchnąłem.

– Srutu-tutu!

– No, z przerwami na pracę.

– Dużo pracy?

– Sporo.

– Ciężka?

– Nielekka.

– A koniec widać?

– Oczywiście! – powiedziałem szybko. Za szybko.

– Pieprzenie w Gienię! Wrócisz kiedyś? Zastanawiałem się dłuższą chwilę.

Wyjechałem z Polski ponad dwa miesiące temu i jakoś zupełnie tego nie odczułem. Kosmopolita?

Zdrajca? Głupek? Artykuły o Polsce w prasie opuszczałem, newsy w telewizji przełączałem, polski film wyłączyłem.

– Pytał o ciebie Janusz...

– Jaki Janusz?

– Nazywaliście go Etfus i nie chcieliście mi nigdy powiedzieć, co to znaczy. Tylko rechotaliście, bałwany.

– A wiem... Już wiem.

– Nie pytasz, czego chciał? -Nie.

Westchnęła.

– Kicia się niepokoi.

W końcu to nasza matka.

– Uspokój Kicię, uspokój Ogona, sama się uspokój. Nie dzieje się nic gorszego niż w Warszawie, trochę mózgowania, trochę ruchu. Takie tam...

– W skali jeden do dziesięciu?

– Sześć..?

– A ja myślę, że na sześć to nikt by cię tam nie trzymał – rozeźliła się Ninka. – Osiem będzie czy wyżej?

– Osiem! Osiem będzie akurat!

Usłyszałem przeciągłe westchnienie.

– Czyli dycha... – Milczeliśmy chwilę oboje. Potem Ninka powiedziała: – Słuchaj, tego...

Usłyszałem kroki, potem jej głos, nie trzymała słuchawki przy uchu:

– No, jak mówi gaska? No? Gaska jak mówi? No, Piniu?

– Gęę...

Skamieniałem. Kot gęgał.

I nagle poczułem mocną tęsknotę za Inką, kotem, matką. Nie do pól malowanych, nie do wierzb i Zakopowera. Co jest?



– Dobry koocek, tak, tak gąska gęga. Masz tu gurmoncika, masz, słoneczko moje!

– I do mnie: – Słyszałeś?

– Nie, akurat wyszedłem po popielniczkę. Co mówiłaś?

– Idiota. I kłamca. Wiem, że słyszałeś. Przecież to jakby synek nagle powiedział „tata”, durniu!

– Żartowałem, i jestem pod ogromnym, Iniu, wrażeniem. Serio. Nawet nie wiesz, jak serio.

– Coś ci przywieźć?

Milczała chwilę.

– Pogadamy o prezentach, jak już będzie można mówić po ludzku, a nie „pół litra tego, co wuj Grzegorz nazywa solą życia”.

Pochichotaliśmy oboje.

Oboje sztucznie.

– No to bye!

-Pa!

Rozłączyliśmy się. Jeszcze chwilę siedziałem w fotelu. Jakoś mi łany i pola, i wierzby puściły, odeszły. Potrząsnąłem głową i poszedłem do łazienki.

Komórkę miałem przy sobie przez cały czas, przez godzinę moczenia. Nie zadzwoniłem do kliniki, zakładając, że milczenie tamtej strony jest najlepszym ko-munikatem.

Zasnąłem po północy, obudziłem się dwadzieścia minut później.

Śnił mi się Jerzy...

Łzy przez sen się nie liczą.

## ROZDZIAŁ 15

Obudziło mnie skrzypienie podłogi w korytarzu. Broń gładko ułożyła się w dłoni. Ktoś przemierzył cały przedpokój, doszedł do kuchni, chwilę tam stał. Pewnie mój ochroniarz kimał z głową na stole. Ale to nie powód, by ktoś rozwalił mu tę głowę.

Wyskoczyłem z łóżka, przemknąłem na palcach przez pokój. Wiedziałem, że klamka i drzwi, posmarowane preparatem do czyszczenia broni, nie stawiają oporu ani nie zdradzą mnie piskiem. Ostrożnie nacisnąłem klamkę, otworzyłem je, wysunąłem się na odnogę korytarza. Z głównej części spływało światło. Przykucnąłem i krokiem jak z jakiegoś ukraińskiego tańca ludowego dotarłem do połączenia korytarzy.

Wysunąłem na ułamek sekundy głowę zza węgła.

W drzwiach kuchni stał ktoś, nie widziałem go, tylko cień. Nieruchomy.

Wyobraziłem sobie, jak celuje w czubek głowy milicjanta.

Hej! – wrzasnąłem i wymierzyłem w drzwi kuchni.

– Kamil? Nie strzelaj przypadkiem!

Splunąłem.

– Kostia, żebyś nie był...

Podniosłem się, wyprostowałem i powlokłem do kuchni. Sukonin stał oparty o szafkę, milicjant wbił się plecami w szafę po drugiej stronie kuchni.

– Coś się stało. Stawierogow. Ubierasz się?

– Trzy minuty.

Pośpiesznie wkładałem łachy. Stawierogow. Nie wiem, czemu byłem przekonany, że nie został zastrzelony ani uduszony. Jasna cholera! Jak chronić ludzi, którzy z dobrej woli stawali z nami w szeregu? Nie da się. Na szczęście dla reszty ludzkości nie ma ich.

Wszystkich się nie uchroni. Można tylko... Należy usunąć zagrożenie...

W samochodzie siedział znany mi z komendy milicjant. Wyjąłem z kieszeni paczkę gumy, poczęstowałem Kostię, pokręcił głową. Zacząłem żuć.

– Guimon. Igor Siemionowicz został rozszarpany, ciało już zabrali, tak kazałem.

My tam też pewnie nic nie znajdziemy, możemy nie jechać.

– Jedźmy!

– Dobrze. Kondrat, więzi nas.

Nie odzywaliśmy się do siebie przez całą drogę. Żulem zawzięcie gumę, nie czując jej smaku, tylko pieczenie. Sukonin oparł głowę o zagłówek i wyglądał tak, jakby drzemał, ale tylko wyglądał. Kierowca włączył koguty i gnał, katując silnik jazdą na wysokich obrotach.

Przed bramą karetka pogotowia, po cholere? Może sąsiadka zemdląła? Dwa furgony anonimowe, dwa radiowozy.

Na piętrze mieszkania Nadii i dziadka unosił się znany mi już odór świeżej krwi i jeszcze czegoś. Nie chciało mi się zastanawiać czego.

Nałożyliśmy na buty ochraniacze, wciągnęli na dłonie rękawiczki. Jakiś młody milicjant, bladoczerwony na twarzy, z obłędem w oczach, podał nam dwa jednorazowe kitle.

– Pobrudzcie ubrania, towarzysze... towarzyszu... Oj!

Rozepchnął nas, wybiegł na korytarz i pognał, wydając jednoznaczne odgłosy, w przeciwną stronę końca klatki schodowej.

Włożyliśmy kitle, weszliśmy.

Od progu mieszkanie było zlane krwią. Stawierogowa. Ktoś najwyraźniej zanurzał ręce we krwi i ganiał po mieszkaniu, wycierając je o ściany, meble, ubrania na wieszaku. Zachlastane na czerwono obrazy wisiały krzywo albo leżały na podłodze.

Zerknąłem do kuchni. To samo. W salonie wywrócony fotel-krzesło Igora Siemionowicza, ale tylko to. Zabójca nie chciał hałasem przyciągać uwagi sąsiadów.

Wydarł za to gąbkę i sprężyny z kanapy, z fotela, pociął zasłony – wisiały jeszcze, ale bardziej przypominały powieszony szeregiem lepy na muchy albo taśmowe kurtyнки do drzwi. Biurko było zalane krwią najbardziej i podłoga obok biurka. W drugim pokoju było najczystiej, pewnie zabójcy znudziło się robienie śladów albo się śpieszył. Albo zabrakło materiału.

Kostia wziął do ręki trzymany przez jednego z ponurych techników plik fotografii i przejrzał je.

– Chcesz?

Zmusiłem się do wzięcia zdjęć, ale już pierwsze z przedramion Stawierogowa bez protezy, spowodowało, że oddałem mu wszystkie. Dojrzałem tylko, że spod krwi wylaniało się ciało w dziwnym błękitnoszarym kolorze.

– Skąd ten kolor skóry? – zapytałem cicho Sukonina.

Zerknął na mnie i oddał fotografie technikowi.

– Argyria. Choroba górników kopalni srebra albo nadużywających srebra w celach leczniczych. Igor Siemionowicz spędził w kopalniach srebra większą część życia.

Ależ ze mnie dupek! – pomyślałem. Chciałem mu kupić srebrny podstakannik, żeby mieć pewność, że nie jest wtyką z tamtej strony! Całe szczęście, że nie zdążyłem tego zrobić...

- Blok od strony wejścia ma kamerę. Przeglądają nagranie.
- Ja wiem, kto tu był – powiedziałem.
- Ja też – stwierdził Sukonin.
- Właśnie. Nie wiem tylko, jak dotarł...

Odezwała się komórka Kostii. Wyszarpnął ją niezadowolony z kieszeni, zerknął na ekran, zeszywniał. Syknął głośno i uciszył wszystkich obecnych. Choć nikt się nie odzywał i nikt nie zdradzał ochoty do rozmowy.

-Tak?

Słuchał długo, patrząc w podłogę.

– Jesteś pewna? – Rzucił mi krótkie spojrzenie. – Dobrze, teraz słuchaj: jeśli natychmiast nie wyłączysz wszystkich maneli i nie pójdziesz spać, dzwonię do dyżurnego i dostaniesz taką porcję ogłupiacza, że obudzisz się dopiero za trzy dni.

Pomyślałem, że to byłoby dla Nadi najlepsze.

– Spakuj nocki.

Rozłączył się, skinął na mnie i ruszył do wyjścia. Na korytarzu zdarliśmy z siebie ochronne stroje, cisnęli na podłogę. W windzie Sukonin wyciągnął rękę, natychmiast wyjąłem paczkę papierosów, zapaliliśmy już w ciasnej kabinie. Na zewnątrz stanął i zaciągnął się kilka razy tak, że papieros nadawał się tylko do kosza.

– Jedziemy do komendy. Mam nadzieję, że generał jeszcze tam jest. – Wraz ze słowami z ust ulatywały mu niekształtne kłęby dymu. – Gazem.

Jeszcze? Sprawdziłem czas. Było jasno jak w południe, choć to kilka minut po piątej.

O szóstej zameldowaliśmy się w gabinecie Jarcewa. Chyba trochę się przespał, w każdym razie nie wyglądał na skonanego. Na wkurwionego – tak.

– Interpretacje? – rzucił na powitanie.

Sukonin zaczął mówić, zbliżając się do biurka. W kilku precyzyjnych zdaniach streścił dwa dni: porwanie Jerzego, nalot na melinę, dokonania Nadii, nasze. Na koniec śmierć Stawierogowa. Przy referowaniu dokonań dziewczyny generał gestem pozwolił nam usiąść. Podobnie jak Sukonin, nie skorzystałem z zaproszenia.

– Bez wątpienia guimon – zakończył Kostia.

Zatoczył kciukiem koło na wysokości skroni. Generał sięgnął do pilota. W pomieszczeniu rozległ się niski warkot, element systemu antypodśluchowego.

Nadstawiłem uszu. Było po co.

– Praporщик Stawierogowa nie wie o śmierci dziadka – powiedział Kostia, sztywno wpatrzony w ścianę za generałem. – W szpitalu nie przerwała wykonywania zadania, które sama nieco przemodelowała.

– Tak? – rzucił generał.

– Kapitan Stochard zlecił jej wyszukanie cech łączących grupę piętnastu podejrzanych, których fotografie przelotnie widział w świątyni nad jeziorem.

Stawierogowa, jak mnie poinformowała, znalazła trzy takie cechy. Wszystkie te osoby, lub niemal wszystkie, są nosicielami niebezpiecznej w kancerogennym znaczeniu cechy, zwanej zespołem Peutza-Jeghersa. To jedno, bardzo ważne odkrycie,

pozwoili zlokalizować klinikę, w której prawie wszyscy oni się leczyli.

Najprawdopodobniej leczyli. Dwie następne cechy nie są pewne, ponieważ nie mamy dokładnych danych medycznych całej piętnastki. Przy okazji – klinika i jej zasoby są znakomicie chronione, na zabezpieczenia wydano majątek, i to w sekrecie. Nasi ludzie przeczesują archiwum kliniki, ale wygląda na to, że nie będzie to takie proste, jak sądziliśmy. Zmierzam do ostatniej cechy, co do której praporszczyk Stawierogowa jest pewna. – Przeształ z nogi na nogę. – Twierdzi, że wszyscy ci ludzie, z racji piastowanych funkcji lub z racji koneksji, mieli dostę do atomowych kluczy WNP.

Ja też przesztł z nogi na nogę. Sukonin posłał mi szybkie spojrzenie, nie zrozumiałem – nagana? Czy tylko ciekawość mojej reakcji?

– Żebyśmy mieli jasność: Stawierogowa twierdzi, że ludzi z albumu, który oglądałeś w biurze guimonów, łączy jakaś choroba? – zapytał generał. – Czy to czyni ich podatnych na Cthulhu, czy odwrotnie – kontakt z nim wywołuje chorobę? – Sukonin pokręcił głową. – Dobra, nie wiem, cholera z nimi. Są chorzy i w dodatku niebezpieczni, bo kiedyś mieli dostę do kodów startowych naszych rakiet z głowicami jądrowymi?

Generał krótkie, ostatnie zdanie swojego podwładnego i zięcia, kapitana Sukonina, rozłożył na części pierwsze i obudował doprecyzującymi określeniami, tak by wszystko zostało powiedziane jasno i nieodwracalnie.

– Tak, towarzyszu generale. Nie można tego zinterpretować inaczej. Cokolwiek to jest, prze do naszych silosów.

– Armageddon jest na rękę Cthulhu – wtrąciłem się, ryzykując utratę stopnia, a może tylko awansu.

– J-jobl – Generał wyprostował się i gruchnął plecami w oparcie fotela. – To są ci, którzy mieli dostęp i już nie mają!?

Sukonin drgnął, jakby chciał wzruszyć ramionami, ale byłby to gest bardzo nie regulaminowy. Postanowiłem włączyć się do rozmowy:

– Można, towarzyszu generale? – Spojrzał na mnie. Nic nie powiedział nic, więc nie zabronił. – Ci ludzie zachowali znajomości. Mogą skaptować innych, mających dostęp do kodów. Infekować ich, kaperować, zmuszać, szantażować. Oni wiedzą, w kogo można, w kogo należy uderzyć. Może dopiero tworzą grupę nacisku, grupę uderzeniową. Dopuszczam nawet, że nie każdy z tej grupy wie wszystko.

Przypuszczalnie Fn'thal, albo coś innego, zna plan, nie musi się dzielić wszystkim ze wszystkimi. Po prostu w odpowiedniej chwili powie, co mają zrobić i kiedy. A oni chętnie i energicznie wezmą się do organizowania... do realizacji zadania, nieważne jakiego. Jeśli ktoś się wyłamie, jeśli taki degenerat się znajdzie – zabiją go w sekundę. Zresztą... – Coś mi przyszło do głowy i od razu się tym podzieliłem, nie było czasu na czajenie się z myślami i pomysłami – ...może to jest tak, że mówią adeptowi: „Masz rzadką i śmiertelną chorobę, kolego.

Bez nas pożyjesz jeszcze osiem-dwanaście lat. Z nami będziesz nieśmiertelny!”.

– Kapitanie – odezwał się po chwili namysłu generał – szanuję pana i chylę czoło wobec zasług, ale jak się pan odezwie... –



Westchnął i machnął ręką. Zauważył, że chce coś powiedzieć, i szybko dodał: – Nie mam pretensji do posłańca. Ale co robić?

Kostia poruszył w końcu ramionami, jakby ścierpniętymi.

– W świetle zebranych danych... Stawierogowa włamała się do korespondencji kilku z podejrzanych osób. Nie ulega wątpliwości, że w najbliższych godzinach dojdzie do spotkania. Do Pitra przyjechała była prezydent Ukrainy.

– Milady? Też?

-Tak.

-I?

– Zbierają się w posiadłości naszego milionera, Kartybajewa. Siedem osób wymieniło się SMS-ami, wynika z nich, że będzie tam więcej VIP-ów niż ta piętnastka. I Milena Gordych.

Zapadła cisza. Burczało w głośnikach. I pewnie w mózgach. W moim tak.

– Ja... – zaczął generał i urwał.

Znowu otworzył usta i zamknął. Nie wydobył się z nich już żaden dźwięk. Patrzył na nas bezradnie.

– Towarzyszu generale...

– Siadajcie wreszcie – przerwał Jarcew.

Usiedliśmy. Usiłowałem przechwycić spojrzenie Sukonina, ale uparcie unikał mego wzroku.

– Nie mamy szans na legalną akcję. – Kostia odruchowo szarpnął kanty spodni. – To są osoby bardzo wysoko postawione, z rozległymi kontaktami. Rozpęta się piekło. Zanim dotrzemy do odpowiednich poziomów prokuratury, sprawa rozniesie się, podejrzani rozprysną się na wszystkie strony jak zaskoczone światłem karaluchy – wyrzucił z siebie z nienawiścią. – Nie mamy

pewności, że przekonamy w końcu kogoś, pewnie dopiero prokuratora generalnego, do wydania nakazu aresztowania i przeszukania. Tymczasem oni będą już na Kajmanach, w Gruzji, Szwajcarii, Albani, cholera wie gdzie jeszcze, na wszelki wypadek zniszczą dane medyczne, wszystkie dowody, pozmienią telefony, metody kontaktów... Wszystko. Teraz mamy ich na celowniku tylko dlatego, że nie przewidzieli takiego postępu w dochodzeniu. Może z zadufania, lekkomyślności, głupoty, ale to się zmieni, gdy wyczują niebezpieczeństwo. Już wiemy, jak reagują, gdy się ich przyprze do muru. Mordują bez litości, skala też ich nie obchodzi, zabijają, kogo chcą i ilu chcą, a – to jest moje zdanie – to wszystko, czego doświadczyliśmy, było działaniem nie jakiegoś sztabu, tylko poszczególnych, wysoko w hierarchii postawionych guimonów. Może być zupełnie inaczej, gdy się przeorganizują. Już wiemy, że mogą mieć w swoich szeregach speców różnego rodzaju. Nawet wojskowych, analityków, może nawet pracowników MSW...

– Potrafisz pocieszyć, Kostia – powiedział bezbarwnym głosem generał Jarcew.

Wcale nie chciał dowcipkować, ale nie zamierzał też histeryzować. – Czyli zostaje nam...

Nie dokończył.

Dokończył Konstantin Sukonin:

– Niesankcjonowana akcja. Samowolka. I to jak najszybciej, teraz.

– Wchodzimy na pełnej kurwie, oczy dookoła głowy – wtrąciłem się. Spojrzeli pytająco. – Taki mem krążył po polskim necie.

– My, mocno czy nie, nieważne, poruszyliśmy ich gniazdo. Nalot na klinikę Terchiwadzego wzbudził ich niepokój. Zbiorą się, naradzą, coś wymyślą i rozpierzchną się.

– Nie mogę na to pozwolić.

– Towarzyszu generale, pan nie może nam pozwolić. Ale niech pan nie zabrania.

Nie jesteśmy dziećmi.

Jarcew popatrzył na Sukonina, dziwnie i strasznie.

– Nie mów mi, czego mi nie wolno, Kostia – powiedział wolno.

– Towarzyszu generale, poza działaniami... No, działaniami, musi być ktoś, kto poprowadzi sprawę legalnymi sposobami, sprawdzonymi, zabezpieczonymi kanałami. Takie są, ale to wymaga czasu, a my go nie mamy. Czy pan sobie wyobraża, że kapitan Sukonin czy Stochard będzie w stanie dotrzeć do szczytów naszych władz, żeby przedstawić dowody i hipotezy? Tym musi zająć się pan, a my zajmiemy się tym, czym możemy. Może się uda skoordynować działania, może zdobędziemy nowe mocne dowody na to, że ktoś szykuje nam atomowe piekło i jak zamierza do tego doprowadzić.

Jarcewowi zadygotała głowa, chyba zacisnął z całej siły zęby.

Milczeliśmy wszyscy.

– Kos... – zachrypiał Jarcew. Odchrząknął. – Kapitanie Sukonin. Zabraniam... – Wpatrywał się w zięcia. – Gównno. – Wstał i obszedł biurko. Poderwali się obaj z krzeseł. Jarcew uścisnął nam dłonie i pchnął obu w kierunku drzwi. – Podasz mi adres i godzinę X. Do zobaczenia.

Na korytarzu Sukonin trącił mnie łokciem. I puścił oko.

Po co? Czy ja głupi jestem? W swoim gabinecie włączył radio i rozsiadł się w swoim fotelu. Zajął niewygodne krzesło pod ścianą.

– Do posiadłości wejdziemy sami, to jasne. Ale po pewnym czasie, jak znam życie, w okolicy pojawi się trochę samochodów z pełną obsadą. A o pewnej godzinie pod jakimś pretekstem wkroczą do posiadłości...

Znowu puścił do mnie oko.

Nie wiedział tylko, że o godzinie X nie będzie już żadnej posiadłości...

## ROZDZIAŁ 16

Jest druga – zupełnie niepotrzebnie poinformował nas Sukonin.

Siedzieliśmy we czterech w melinie Fn'thala. W laboratorium leżały cztery pustawe torby. Broń, kamizelki, granaty, środki opatrunkowe. Te ostatnie najmniej potrzebne. Spotkania z guimonami nie kończą się zadrapaniami.

Wejdziemy tam o czwartej. Jest jasno i będzie jasno, ale jak informuje centrum meteorologiczne, od wody nadciągają poranne mgły. Posiadłość leży nad rzeką Okkervil, o trzeciej przepłyną po niej dwie łodzie. Spróbujemy nasilić mgłę środkami chemicznymi. Za kwadrans czwarta na północnym krańcu obiektu wybuchnie kilka petard. My za dziesięć czwarta wchodzimy przez bramę. Moglibyśmy spektakularnie wynurzyć się na przystani, aleja bym tego odcinka strzegł najpilniej. Z tego samego powodu, bo nie kręcimy filmu o Bondzie, nie spadniemy na nich z nieba na paraglądach.

Zakładam, że brama może być najsłabiej strzeżonym miejscem. Tylko głupek pchałby się przez bramę.

Gariadze pokiwał głową, że może tak, a może i nie.

– Jakies założenia są nam potrzebne – ciągnął Sukonin. – Takie więc mamy. – Postukał palcem w leżący na stole plan. – Tu garaże, a tu hangar łodzi. Sala koncertowa. Sala sportowa i wreszcie sam pałacyk. O tej porze wszyscy raczej będą w pałacyku.

– Nie wiemy, jaki tryb życia prowadzą guimony – odezwał się Orszaków, wykorzystując pauzę. – Raczej nocny, nie? – Popatrzył na mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Logiczne, ale nie wiem – przyznałem się.

– Koncert i tak odpada – odezwał się Gariadze. – Nie wierzę też, że któryś z tych wieprzy pakuje po nocy na siłowni.

– Basen jest w piwnicy pałacu – poinformował Sukonin. – Co do reszty posiadłości: parter – sala konferencyjna, gabinety, osiem. Biblioteka. Pierwsza i druga kondygnacja – apartamenty. Trzecia – pokoje dla gości niższej rangi. Czwarta – apartamenty. W jednym pewnie mieszka Gordych. Ona jest naszym celem. I Fn'thal, czyli batuszka Andriej.

– Likwidujemy, kogo się da? – zapytał Orszaków.

Sukonin odłożył flamaster, którym wskazywał obiekty w posiadłości.

– Cel podstawowy to zdobycie niezbitych dowodów na istnienie grupy, zamierzającej dotrzeć do silosów rakietowych Rosji i wywołanie przez atak na inne kraje wojny na skalę globalną. Musimy sami, na miejscu, określić, jakie to są dowody. Jeńcy, niegroźni jeńcy, bardzo mile widziani, ale przy pierwszym podejrzeniu, że człowiek przeistacza się w guimona – likwidacja na wszelki możliwy sposób. Wszyscy wiemy, do czego są zdolne guimony. Byłbym szczęśliwy, gdyby udało nam się rozwalić Fn'thala, aresztować Milady, skuć kilku z jej przydupasów i zabezpieczyć coś, co nazwałbym archiwum. Adresy, telefony, dyski... – Przeciągnął się, strzelił palcami. – Wiem, że to robota dla plutonu.

– Nazwijmy się więc plutonem – zażartował Gariadze.

– Zezwalam. Nawet kompanią.

– Tam pewnie będzie paru ochroniarzy.

– Tak. Na pewno. I raczej będą to zwyczajni ludzie – zgodził się Sukonin.

Orszaków podniósł głowę znad planu posiadłości i popatrzył na Sukonina.

– Zależy od ich reakcji – powiedział Kostia. – Rzuca broń – droga wolna, spierdalać. Jeśli nie – postępujemy jak z wrogiem. – Skubnął płatek ucha. – Słuchajcie, najważniejsze, żebyśmy cało wyszli z łupem: jeńcami i danymi. Reszta mnie mało obchodzi, kto się brata z guimonami, przechodzi na drugą stronę, tam sobie radzi sam.

– A jeśli nasze VIP-y nie będą chciały się poddać?

– zapytałem.

Ja wiedziałem, co będę z nimi robił, ale chciałem rozjaśnić w głowach pozostałym.

– Wedle uznania i sytuacji – szybko rzucił Sukonin.

– Pamiętajcie, że skuty guimon wcale nie jest wyeliminowanym przeciwnikiem! – poinformowałem.

Orszaków i Gariadze pokiwali głowami.

– O siódmej, jeśli nie wyjdziemy, do posiadłości pod jakimś pretekstem zastukają nasi szeregowi koledzy – powiedział Kostia.

– Jeśli nie będziemy na chodzie, zginą – rzuciłem.

– Takaja iyzńl – Lekceważąco machnął ręką Gariadze.

– A jeśli będziemy, to po co?

– Żeby spakować łupy i jeńców. – Uśmiechnął się Orszaków.

Zdecydowanie bardziej go lubiłem niż Gariadzego. Ale teraz moje sympatie się nie liczyły.

– Dobra. Pół godziny na potrzeby własne.

Każdy wziął swoją torbę. Poszedłem do kuchni, wyłożyłem na blat szafki broń i pas z magazynkami. Nie było co robić, wszystko już sprawdziłem dwukrotnie.

Łączność działała. Napilem się wody. W gardle paliła zgaga, poszedłem do laboratorium, poszperałem w apteczce. Oznaczenia mało mi mówiły.

– Kostia? – zapytałem, stając w progu. – Coś na zgagę znajdziesz?

– Soda? Jest w kuchni, w szafce.

– Zwariowałeś? W melinie narków proponujesz mi ich sodę?

Uśmiechnął się szeroko, zrozumiałem, że zrobił mnie w capa.

Sięgnął do kieszeni, wyjął blister z wygniecionymi dwoma gniazdami i podał mi.

– Jak się przepalę, to też mnie pali. Nie lubię tego.

Rozgryzłem coś jak gealcid, świństwo. Przestało palić.

– Hej? Chodźcie tu! – usłyszeliśmy głos Gariadzego.

Ruszyliśmy do pokoju Fn'thala. Stał obok stołu, wskazał nam odsuniętą od ściany szafę. Obeszliśmy ją, dołączył Orszaków.

Na tylnej płycie ktoś z wielką maestrią wykonał portret Cthulhu. Ogromny łeb z opadającymi mackami. Coś jak Gorgona, ale Gorgona mnie nie przerażała... Portret był wydrapany czymś bardzo ostrym. Szponami. Precyzyjnymi ruchami. W rysy, niektóre, wpuszczono jakiś barwnik, granatowy. Może zwykły atrament? Oczy były purpurowe z białymi plamkami.

– Wpieczatlajetf\*

Kostia prychnął lekceważąco i wyszedł z pokoju. Gariadze wyjął komórkę i zrobił zdjęcie. Głupek jednak...

Zmieniłem skarpety i buty. Umyłem ręce. Co by tu jeszcze...?



– Trzecia. Chłopaki? Będziemy się zbierali – usłyszeliśmy wołanie Sukonina.

Nie zważając się, wszyscy ruszyli do pokoju. Na stole ciągle leżał plan posiadłości.

Usiedliśmy. Jak to Rosjanie przed podróżą.

Chętnie bym tak posiedział jeszcze kilka godzin. Dotknąłem kieszeni. Zaszleścił papier.

– Nu szto? Paszli?

No to poszliśmy. Wpadłem jeszcze do WC, podarłem swój list i spuściłem wodę.

Niech się martwią, co zrobić z Polakiem niby-milicjantem. Niby-normalnym, który wraz z trójką samobójców zaatakował Bogu ducha winnego milionera.

\* Wpieczatlajet (ros.) – Robi wrażenie!

W razie klapy.

W razie klapy gówno mnie to będzie obchodziło.

Wyszliśmy z mieszkania i wsiedliśmy do wozu Sukonina. Prowadził Orszaków.

Najmłodszy, również stopniem.

Za dwadzieścia trzy czwarta zatrzymaliśmy się w przecznicy, pięćdziesiąt metrów od bramy posiadłości „Okker-villa”. Włożyliśmy granatowe lekkie kamizelki, granatowe kurtki z wielkimi odblaskowymi literami MBJJ, Sukonin zamknął samochód. Chyba ze strachu zapaliłem papierosa. Rzucę to.

Potem.

Doszliśmy do bramy. Ciemna i solidna. Furta. Nie do sforsowania barkiem.

Gariadze splótł dłonie, Orszaków wybił się i migiem przeleciał nad krawędzią furtki. Mieliśmy czekać dwie minuty. Po pierwszej cicho szcęknął zamek.

Wpadliśmy do środka. Byłem ostatni, przymknąłem furtę. Pod murem leżał jakiś facet w szarej bluzie.

Między budynkami a murem szpaler krzewów. Kusił i odstraszał, ale bardziej kusił. Pomknęliśmy pod murem w stronę widniejącego w rzadkiej mgłę pałacu.

Posuwający się na czele Sukonin nagle wystrzelił. Ze szpaleru wyłonił się ochroniarz w takiej samej szarej bluzie jak kolega przy furtce. Tyle że miał na piersi czerwony wykwit. Runął na trawę. Wystrzału niemal nie było słychać.

Niemal.

Seria, wystrzelona z czegoś bez tłumika, przeorała krzewy za mną. Zwaliłem się na darń, wyjrzałem spod krzaków. W naszą stronę pędzili dwaj „szarzy”, przygięci i czujni. Wystrzeliłem trzy razy, zapunktowałem jednego. Drugiego zdmuchnął chyba Gariadze. Zaskoczenie i ciszę diabli wzięli. Na razie nikt więcej nie strzelał.

Pognaliśmy w kierunku pałacyku. W biegu Gariadze i Orszaków wyszarpnęli z kieszeni jakieś rakiety, wystrzelili w niebo nad zachodnio-północnym skrajem posiadłości. Po dwa razy. Domyśliłem się, że spotęgują mgłę. Słusznie. Dla nas każdy wyłaniający się ze smogu jest wrogiem, a wróg musi chwilę kalkulować, co robić – strzelać czy salutować. A my tymczasem...

Przypomniałem sobie emotikon <cwaniak>, żółtą mordkę, zacierającą łapki. To ja, to my!

Przemykaliśmy wzdłuż garażu. Sukonin wybrał szlak nie między murem a krzewami, tylko nieco bardziej w głąb, między zaroślami a garażem. Może i słusznie.

Po kilku krokach zobaczyłem, że z za krawędzi dachu wychyla się czyjaś ręka.

Rzuciłem się w prawo, żeby zyskać perspektywę. Zanim włomotałem się w zielen, udało mi się namierzyć czyjaś głębę. Drugi pocisk rozwalił brodę uśmiechniętego bodygarda. Na szczęście i on, i jego granat upadli na dach. Byle się nie sturlał...

Wygrzebałem się z krzaków, popędziłem za raźnie cwałującą trójką. Nad nami i z tyłu huknęło soczyście, po chwili z nieba sypnęło na nas strzępami dachu, drewnem i gruzem, gorącą lepką papą. Biegący na czele Sukonin padł na ziemię, pozostali podobnie. Teraz pociski z kilku luf fastrygowały krzewy i mur, strzelający nadal niewiele widzieli albo niewiele myśleli, bo kule wciąż szły o wiele za wysoko, Panu Bogu w okno. Miałem nadzieję, że Pan Bóg ma wiele okien. I mniejszą, malutką nadzieję, że lubi swoje okna, co się przełoży na karę dla strzelców. Orszaków uniósł trochę lufę i wolno przekosił przedpole po swojej lewej ręce. Gariadze odczekał chwilę i wykonał tę samą robotę. Serie ucichły, rozległy się krzyki, jeden naprawdę przerażający. Ktoś zobaczył Kostu...

Coś zważyło się na mnie i wpiło się w lewą łopatkę. Omal nie krzyknąłem z zaskoczenia, potem przerażenia. Już widziałem guimona chwytającego mnie za szyję. Szarpnąłem się mocno, przewaliłem na bok i wystrzeliłem trzy razy. Ogromny rottweiler, jakaś kurewska mieszanka na wysokich dogowatych nogach, charknął krwią i puścił kurtkę, zważył się na bok. Kopiając w trawę

piętami, zacząłem odczołgiwać się od zawzięcie pełznącego za mną zwierza. Nad głową rozpruło się niebo. Orszaków wpakował w potwora kilkanaście pocisków, rozrywając mu blady brzuch... Krwawe trzewia wylały się na zewnątrz, pies, nie wydając dźwięku i znieruchomiał.

– Może być więcej – syknął porucznik.

Aga.

Gdzieś zadźwięczał zwykły szkolny dzwonek. I rozległ się złowieszczy zgrzyt, jakby otwierały się wrota piekła.

Albo hangaru z tankietkami. Kostia cofnął się, a ja napiąłem mięśnie w oczekiwaniu czegoś bardzo nieprzyjemnego. Ale jemu chodziło tylko o osłonę. Zgrupowaliśmy się pod murem garażu. Sukonin wyszarpnął dwa granaty, rzucił mi jeden.

– Skocz do tyłu i ciśnij z tamtej strony.

Wykonałem polecenie. Zanim dotarłem do rogu trzydziestometrowego budynku, huknęło potężnie. Raz. Potem drugi. Odczekałem chwilę i cisnąłem granatem, tak żeby odsiecz od bramy dostała za swoje. Gdy wracałem, huknęło jeszcze raz. Zabrzęczały szyby i zagrzechotały odłamki.

Przypomniałem sobie, że między garażem a hangarem stała ogromna kompozycja w kolorze miedzi, Leda z łabędziem. A raczej Leda pod łabędziem w pozycji kolankowo-łokciowej. Cztery metry Ledy, dwa i pół łabędzia. Marzenie złomiarza.

Zwłaszcza teraz, po ataku granatami.

Mitia i Nodar, obchodźcie pałac od zachodu, my z Kamilem od wschodniego skrzydła. Jeśli się da i będziecie pierwsi, oczyśćcie hol i czekajcie na nas.

Wpadł w ciągle gęstą mgłę. Popędziłem za nim. Po kilkunastu krokach nagle uskoczył w prawo, niepotrzebnie się spietrałem, to była tylko kępa dwumetrowych agaw. Z lewej wyłoniły się kontury budynku. Biegliśmy obaj identycznie – jedno oko na ścianę i okna w niej, drugie przed siebie. Jakim cudem udało się nam nie zwalić do płytkiej sadzawki, której nie było na planie, nie wiem. Sukonin nie chciał chlupotem zdradzać naszej pozycji – pobiegł wzdłuż jej krawędzi w prawo, niemal pod mur. Cholera, niedobrze, chłopaki mocno nas wyprzedzą i będą musieli sami sobie radzić w budynku.

Ale już po sekundzie przestałem się martwić o „chłopaków”. Z okna prysnęła w naszym kierunku seria, poszła z prawej, więc odruchowo rzuciłem się w lewo.

Szczupakiem w sadzawkę. Już w locie usiłowałem się okręcić, posłałem kilka pocisków w stronę pałacu. Na pewno niecelnych, ale miały przestraszyć strzelca, nie liczyłem na trafienie go. Z wody przymierzyłem się lepiej i posłałem kilka kulek w otwarte puste okno. Zmieniłem magazynek, przesunąłem się ku brzegowi zbiornika, spod ręki prysnął mi spory czerwony pieprzony plamiasty japoński karp. Kostia obiegił już sadzawkę.

– Wyłaż! Cholerni Polacy, kąpią się przy byle okazji! – Błysnął białymi zębami i przeżegnał budynek dwiema długimi seriami. – Idiom!

Pierwszy dopadł budynku, wskazał mi palcem niebo. Zrozumiałem, że mam pilnować, żeby ktoś nie wylał nam na łeb nocnika. Idąc, ocierałem się ramieniem o mur, zostawiając mokry pas na beżowym tynku. Kostia wyjrzał za róg. Cofnął się, zmienił magazynek, wychylił na parę sekund głowę i posłał przeciągłą

serię ze swojej grazy, wywalił cały magazynek, aż pomyślałem, że zacięła mu się broń, ale nie. Po prostu miał taką potrzebę.

– Ciągłe się pojawiają – mruknął do mnie, zmieniając kolejny magazynek. – Mnożą się, jebańcy, czy co...

Wyjrzał, przywołał mnie ruchem dłoni. Już się spałem, by pobiec za nim, gdy cofnął się gwałtownie.

– Do wody! – syknął i pognał w kierunku sadzawki.

Chyba dobre cztery metry od brzegu zaczął się wybijać w powietrze.

Zrozumiałem, że szybkość zanurzenia ma jego zdaniem kapitalne znaczenie.

Rzuciłem się szczupakiem do wody. Brzuchem przeorałem dno. Nad głowami zafurkotało. Seria brzęknięć. Poszły kolejne szyby w pałacu.

– Idzie na nas chyba dwudziestka, połowa z granatnikami. Co robimy?

Wyjrzałem ponad bazaltową krawędzią sadzawki.

– Piwnica?

Rzucił okiem w tamtym kierunku.

– Idź! – Oparł lufę o krawędź basenu.

Sadzawką miała głębokość pół metra. Ostatnie osiem metrów pokonałem bez bólu. Za mną pędził Sukonin. Pilnowałem rogu. Jeszcze nie doszli. Kostia na dobiegu wycelował w okno i posłał kilka pocisków. Ustąpiło niechętnie. Z rozbiegu, nie dbając o lądowisko, rzucił się nogami w otwór, wysadzając sobą resztki szyb i ramę. Wskoczyłem za nim.

Magazyn ręczników! Od sufitu do podłogi dziesiątki, setki, a może i tysiąc ręczników. Małe, duże, średnie kostki, frota, len,

mikrofaza, coś jeszcze. Kostia już nasłuchiwał głosów na korytarzu, położył rękę na klamce i zerknął na mnie.

Zszedłem z linii strzału i pokazałem trzy palce, dwa. Jeden.

Otworzył drzwi. Pusto. Galeria. Kolumienki, balaski, marmury i charakterystyczne echo.

Basen.

Cisza.

Przeraźliwa.

Wyjrzałem na korytarz. Pusto z obu stron. Wszedłem pierwszy. Było mroczno, cicho, wilgotno. Dziwne, że mimo strzelaniny, eksplozji, krzyków, dzwonienia, nie pojawił się nikt z „cywilnych” mieszkańców pałacu. Jakby całkowicie ufali ochroniarzom.

Pokonaliśmy galerię w kompletnej ciszy, mlaskały tylko podeszwy naszych butów. Co jakiś czas kilka kropeł skapnęło z rękawa albo nogawki. Zeszliśmy po schodach na poziom basenu i przesuwaliśmy się brzegiem ku szerokim drzwiom, wypełnionymi taflami luster. Niepokojąco cicho było w holu, który mieli zdobyć Orszaków i Gariadze. Dopiero tu dowiedziałem się, jakie nosili imiona, Mitia i Nodar.

Za cicho. Zrobiłem jeszcze dwa czy trzy kroki, gdy nagle w tafli wody zobaczyłem ciemne odbicie czegoś ponad nami. Sukonin działał szybciej: zdążył wystrzelić kilka razy. Właśnie unosiłem broń, gdy zwałił się na mnie jakiś twardy facet i runął wraz ze mną do wody. Usiłowałem wsunąć między nas lufę gracza, ale wyczuł to, bo żelaznym chwytem opasał moje przedramię, sparalizował je. Drugą ręką, trzymając mnie za kark, zanurzył z głową w wodzie. Udało mi się przedtem zaczerpnąć powietrza, ale

nie wątpiłem, że on więcej, i że nie palił, i trenował takie podwodne numery. Młóciłem rękami i nogami z całej siły, we wszystkich kierunkach. Raz, żeby przekonać go, że już mnie ma na widelcu, dwa – żeby wzburzyć wodę i nie dać mu obserwować, co robię.

Sięgnąłem lewą ręką do kieszeni kurtki.

Wyszarpnąłem otrzymane od Osipa srebrne sprężynowe szydło i wbiłem mu w krocze. Zesztywniał, zacisnął palce na moim karku, wywrócił mnie do góry nogami, najprawdopodobniej zamierzał wbić mnie w dno i poczekać, aż grzecznie pozbędę się powietrza z płuc. Wbiłem mu szydło jeszcze pięć, siedem, może osiem razy.

Zobaczyłem jego twarz: szeroko otwarte oczy, otwarte usta, jakby chciał mnie ugryźć. Uwolniłem prawą rękę z osłabłego uchwytu, uderzyłem go nasadą dłoni w brodę, odczułem, a może i usłyszałem, jak zadzwonił zębami. Lewą rękę też już miałem wolną, dźgnąłem szydłem jeszcze kilka razy. Nikłe strumyczki czerwieni niemal natychmiast zaczęły wić się dookoła wolno obracającego w wodzie ciała, z niezdarnie i nieskutecznie młóącymi wodę rękami.

Odbiłem się od niego nogami i wynurzyłem. Nie wiedziałem, jak się skończyła potyczka Sukonina, ale w tej chwili obaj pozbyli się broni palnej i zamierzali tłuc się pięściami. W dupie tam! Przeciwnik Kosti podskakiwał w miejscu o pół metra od mojej głowy. Wybiłem się z wody, chwyciłem go za kostkę i dźgnąłem szydłem w udo, a potem, podciągnąwszy się, wyżej, chyba po prostu w odbyt. Ryknął przeraźliwie. Kostia zrobił taneczny krok, wzbił się w powietrze i strzelił go piętą w twarz.



Uderzenie było tak mocne, że wyrwało mi go z ręki, poleciał na plecy, a ja, leżąc brzuchem na krawędzi basenu, charczałem, splotałem, rzeziłem.

– Dobra, wstawaj. Po wszystkim weźmiesz sobie dzień wolnego. Teraz praca.

Wyczołgałem się z wody. Kostia już odnalazł mojego Szpaka, potem swój peem.

Wskazał drzwi.

– Nie podoba mi się ta cisza – szepnął. – Czekaają na nas?

– Może poszukamy innych drzwi na piętro?

– Nie. Tam jest Gariadze i Orszaków.

Pokręciłem głową.

– Wierzysz w to, że gdyby tam byli, siedzieliby cichutko na kanapie?

– Kamil, ja po prostu tak nie robię. Idę do holu.

Popatrzył na mnie.

– Szkoda, że się tak moczysz czy trzeba, czy nie. Zapaliłbym.

Ruszył wkoło basenu, żeby wyjść do holu.

Ja dwa kroki za nim.

Przeszliśmy razem kolejne trzy kroki.

Drzwi eksplodowały tysiącem migotliwych srebrzystych odłamków.

W progu stał Fn'thal.

Otiec Andriej.

Batiuszka Andriej.

Propagator wody i wodnego świata, miłośnik mokrych ceremonii, łamania karku wrogom, topienia ich.

To nie on stał w progu. W wydłużonej jak u Aliena Gigera czasce nie było nic z człowieka, ale ja widziałem w niej jego cwane oczka, jego bulwiasty nos, spoconą górną wargę i rozchwiane żółte zęby. W pajęczych kończynach, zakończonych szponami długości osetyńskiego kindżału, widziałem pulchne miękkie spocone łapki, którymi głaskał po główkach dzieci i ich rodziców.

Fn'thal był nagi. Całe ciało pokrywały czarne łuski z żółtymi plamami. Od kolan w dół był karminowy, może całe ciało miało być takie, ale nie przemieniło się jeszcze, albo przeciwnie, nie miało być takie, już się częściowo przemieniło, a dolne kończyny jeszcze były czerwone. Ogromne jądra majtały się na boki, przyrodzenie, cienkie i długie jak zaskroniec, podrygiwało, jakby wzbierało do wytrysku.

W tę okolicę posłałem pierwszych kilka kul. Z sześciu co najmniej cztery trafiły.

Ale, mimo że srebrne i wypełnione koloidem, nie zadziałały, jak chciałem. A chciałem, żeby ryknął rozpaczliwie, żeby napęczniał, żeby spuchły mu wszystkie żyły, a potem zaczęły eksplodować po kolei, przyprawiając o cierpienie, przy którym Tantal, Syzyf, Chrystus i Herakles w koszuli Dejaniry razem wzięci dziękowaliby bogom, że skazani są tylko na swoje męki.

Zacharczał, niezbyt boleśnie, ale jednak. Zrobił dwa kroki, rozejrzał się, niezdecydowany, w którą stronę pójść. A był dokładnie w połowie basenu, tyle samo w prawo i w lewo. Sukonin dopadł w końcu swojego peema, wypuścił wszystko, co miał w magazynku. Sporą część zasobu ulokował w cielsku Fn'thala. Ten zadygotał i nagle ruszył... przed siebie. Zanim zwałił się do

basenu, wpakowałem weń cztery pociski z nowego magazynku. Woda plusnęła na boki. Na powierzchni ukazały się bąble nad taflą wody uniosła się jakaś żółtawa mgiełka, rozplynęła się po tafli wody, do której za skarby już bym nie wszedł. Kostia zamachał rękami, rozbiegliśmy się na boki, ja w lewo, on w prawo, Sukonin wyciągnął z obejmy na pasie nowy magazynek.

Czekaliśmy.

Przez długą minutę nic się nie działo.

Oczekiwałem spektakularnego wysoku Fn'thala, ryku, fontanny wody.

Zamiast tego z toni wolno wynurzyły się dwie łapy i dość niemrawo uchwyciły krawędzi basenu.

Zajęliśmy się ostrzeliwaniem ich. Kostia dość szybko odstrzelił lewą, moje pociski mocno pokiereszowały bliższą mnie prawą. Ręce zniknęły w wodzie, pozostawiając po sobie tłustą plamę. Gdy wynurzył się łeb Fn'thala, zmasakrowaliśmy go zespolonym ogniem z obu luf. Nie było to trudne. Ani ruchliwość celu, ani odległość nie przeszkadzała nam w pakowaniu w bezwłosy czerep pocisków, jak na strzelnicy dla początkujących. Kilka sekund... Nie do wiary!

Fn'thal został zdekapitowany.

Za łatwo poszło?

Wymieniliśmy spojrzenia.

Z wody wolno wypłynął cały korpus. Plecami do góry. Między łopatkami dwa szeregi wyrostków, jakby wzbierały tam jakieś gotowe do wzrostu kolce. Nie wytrzymałem i opróżniłem w nie magazynek. Ciało podrygiwało, uderzane dużym kalibrem. Nie zdradzało oznak życia.

Mamy go – wychrypiał Sukonin. – Do holu!

Pobiegliśmy każdy w swoją stronę. Co chwila oglądałem się, oczekując jakiegoś podstępu ze strony rozstrzelanego potwora. To samo, jak zauważyłem, robił Kostia.

Drzwi przestały istnieć. Miażdżąc odłamki luster i listwy, przebiegliśmy po schodach, wpadliśmy do wysokiej sali, z której prowadziły dwa ciągi schodów.

Sukonin przeciął pomieszczenie i podbiegł do drzwi. Począł na mnie, szarpnęliśmy oba skrzydła i wpadliśmy do holu. Przez drzwi wejściowe właśnie wchodziło trzech ochroniarzy. Tylko jeden zdołał unieść trochę rękę, nim upadł na marmurową podłogę.

Sukonin ryknął coś i pobiegł w ich kierunku. W kierunku drzwi.

Po prawej leżały dwa ciała. W odróżnieniu od zabitych mieli na sobie granatowe kurtki z luminescencyjnymi literami MBff. Mitia Orszaków miał szyję, rozszarpaną od karku do grdyki, Nodar Gariadze nie miał widocznych ran, ale nienaturalnie skręconą głowę. Jakimś cudem Fn'thal zaskoczył ich, może przestraszył, może skoczył na nich ze ściany, albo, trafiony nawet kilkoma pociskami, mimo wszystko zmiażdżył ich.

Zadygotałem. Chciało mi się wyć, chciało mi się strzelać. Mordować i wyrzynać.

Ale nie było kogo. Cofnąłem się, potem, nie odwracając wzroku od martwych kolegów, podszedłem do drzwi z wybitymi szybami. Chciałem złapać trochę świeżego powietrza, zapalić. Zamiast tego odskoczyłem pod ścianę i wrzasnąłem do Kostii:

– Padnij!

Zareagował prawidłowo. Runął na usypaną szkłem, zalaną krwią podłogę.

I rozpętało się piekło.

O ile udało mi się dojrzeć coś we mgle, na budynek szło od piętnastu do dwudziestu ludzi. Żaden nie miał w ręku noża ani pałki. Ci słabiej uzbrojeni mieli AK-47, inni mierzyli w dom z czegoś, co przydałoby się Armii Czerwonej w kilku punktach kraju i świata.

Setki pocisków przeszło ocalałe okna i te już rozbite, przeciwległa ściana prysnęła tynkiem i farbą, stiuki, kinkiety, zwierciadła. Ofiarą masakry, z której nic nie ocalało, padły też stojące we wnękach posągi.

Korzystając z tego, że atakujący byli niżej i większość pocisków szła za wysoko, przebiegliśmy z powrotem cały hol, wpadliśmy do sali ze schodami, przywarli do ściany za drzwiami.

– Ilu jest tych skurwysynów? – krzyknął Sukonin.

– Ze dwudziestu – odkrzyknąłem.

Pokręcił z rozpaczą głową.

– Mam tylko jeden magazynek. A ty?

– Ja dwa.

– Gównno... Odchodzimy!

– Może do góry? – zaproponowałem.

Nie wyobrażałem sobie, że jesteśmy tak blisko jądra dowodzenia plugastwa Cthulhu, że mamy ich na wylocie lufy, że...

– Wychodzimy, tak jak weszliśmy! – wrzasnął Sukonin, niemal zagłuszany ciągłym ogniem maszynowym. – Nikt stąd nie zwieje, sprowadzimy posiłki. Kamil!!!

Skinąłem głową.

Pochyleni, pognaliśmy do pomieszczenia z basenem. W wodzie nadal kołysał się rozstrzelany Fn'thal. Przynajmniej tyle dobrego...

Obiegliśmy basen, przysunęliśmy do okna stół i wygramolili się na zewnątrz.

Tu kanonada była niemal niesłyszalna. Może strzelający weszli już do budynku?

Mgła, cholera wie, sztuczna czy naturalna, ciągle trzymała się podłoża. Popędziliśmy w kierunku garaży, dopadliśmy muru, Kostia przywarł plecami do ściany. Wyszarpnął swój magazynek i przeliczył naboje. Uznał, że lepiej mieć pełny. Ja miałem przedostatni pełny. I srebrne szydło.

– Co robimy? – zapytałem.

Miałem nadzieję, że obejdziemy garaże i wrócimy do akcji. Kostia pokręcił głową.

– Kamil... Nie możemy zmarnować ich życia. Musimy ich pomścić, ale nie zabijając ośmiu czy dziesięciu wynajętych gnojzków. Rozumiesz mnie?

– No to idźmy po wsparcie. Kurwa, idźmy po wsparcie!

Skinął głową i ruszył pierwszy. Pokonaliśmy całą długość ślepego muru. Ja pilnowałem pleców, Kostia prowadził. Pierwszy dotarł do narożnika budynku, przykucnął, wyjrzał i szybko cofnął głowę. Po pobladłej twarzy, gdy się do mnie odwrócił, zrozumiałem, że jest kapota.

Kostia rzucił się do tyłu, zaczepił obcasem o kępę trawy, zwałił na plecy, przekoziółkował i poderwał na równe nogi.

– Za mną i bez dyskusji! – syknął.

Przebiegliśmy kilkanaście metrów, dopadliśmy rozwalonego przez Sukonina psa, omal nie wpadłem na Kostię i nie przewróciłem go. Przykucnął przy psie, rzucił na mnie szalone spojrzenie.

– Kładź się! Job twaju... Kładź się i udawaj trupa!

Otworzyłem usta jak tępawę pacholę. Sukonin warknął coś obraźliwego, okręcił się na pięcie jak solista zespołu pieśni i tańca Bieriozka, podciął mi nogi, powalił i huknął pięścią pod żebro. Jęknąłem. W duchu. I zwałem na plecy.

Nic nie rozumiałem.

Kostia szamotał się z psem. Co on? Wykopię dla nas ziemiankę i na straży upozuję rottweilera?

– Tuda nie nada! – usłyszałem od narożnika budynku. – Idiom między stienoj i garażom!\*

Rozrzuciłem nogi i ręce, w prawej dłoni trzymałem pistolet. Przewentylowałem płuca, żeby nie oddychać. Ślepe martwe spojrzenie spod półprzymkniętych powiek skierowałem w niebo. Żeby tylko jakiś komar nie siadł mi na powiece... Nagle zważył się na mnie jakiś ciężar.

– To ja – usłyszałem. – Nie ruszaj się!

Poza ciężarem Sukonina zważył się na mnie smród. Nie miałem jednak czasu na rozważania fetorystyczne, głosy nagonki były tuż-tuż.

\* Tuda nie nada! Idiom między stienoj i garażom! (ros.) – Tam nie trzeba! Idziemy między murem a garażem!

Odetchnąłem mocno, usłyszałem i poczułem, że Kostia robi to samo.

Znieruchomieliśmy.

– Zdies’! – wrzasnął ktoś.

Usłyszałem szelest ubrań, trawy rozgarnianej w pośpiechu czubkami butów.

Naprawdę zamarliśmy w śmiertelnym bezruchu.

Na skraju pola widzenia pojawiły się jakieś sylwetki.

– Etich uże naszymy zajebali. Nie chuj glazniu taraszczit’! – warknął ktoś. – Kiszki kłasno wyparoli! Biegom w dom! Tam jeszcze astalis’!\*

Wataha przebiegła przed nami, któryś kopnął Sukonina w bok, słyszałem trzask pękającego żebra. Inny splunął na nas, chyba nie trafił za pierwszym razem, bo wrócił i poprawił, coś ohydneho trafiło mnie w skroń.

Wytrzymam.

Skoro Kostia wytrzymał pęknięcie żebra!

Chwilę potem byliśmy już sami. Albo wydawało nam się, że jesteśmy sami.

Dobłą minutę leżeliśmy nieruchomo, potem Kostia poderwał się, jęknąwszy przez zęby. Gdy zwinąłem się i ukląłem, wodził już lufą od prawej do lewej. Zobaczyłem przed nim wnętrzności psa, śliskie krwawe ślady na jego brzuchu. Zrozumiałem, że wyszarpnął psu trzewia i obłożył się nimi.

Stąd smród.

I stąd przekonanie watahy, że nie żyjemy.

Geniusz.

Etich uże naszymy zajebali. Nie chuj glazniu taraszczit’! Kiszki kłasno wyparoli!

Biegom w dom! Tam jeszcze astalis’! (ros.) – Tych już nasi zajebali. Po chuj gały wytrzeszczacie. Flaki pięknie wyprali!



Biegiem do domu! Tam jeszcze jacyś zostali!

Odwróciłem się i niemal bezgłośnie zwymiotowałem. Czym?

– Rzygał będziesz potem. Spadamy. Poderwaliśmy się i pobiegli w kierunku bramy. Pod murem nie było już tego ochroniarza, którego ogłuszył Orszaków. Sukonin ostrożnie zajrzał do stróżówki, zanim do niej wszedł.

– Nie ma kluczy – syknął z wnętrza.

– Dawaj, przeskoczmy – powiedziałem. Wsadziłem pistolet do kabury i otrzepałem dłonie, gotów podsadzić Sukonina. – Ty pierwszy, podasz mi rękę: Zgodził się, o dziwo.

Ale nie udało nam się zrealizować takiego prostego przecież planu.

Nadia Stawierogowa obudziła się o czwartej trzydzieści. Sufit nad nią rozpływał się, kołysał. Śmierdziało gorzkim dymem. Najpierw przestraszyła się, że płonie mieszkanie, a ona leży na podłodze. Przypomniała sobie, że to nie dom, a sala szpitalna. Podciągnęła się na łokciach wyżej, opadła na poduszki, zdyszana.

– Boże, co ja mam w głowie? – powiedziała na głos.

W głowie miała watę, siano, żwir i błoto. Chwilę dyszała ciężko. Rozejrzała się nieco przytomniej. Dostrzegła wenflon na swoim przedramieniu. Wodząc spojrzeniem po wężyku, dotarła do butelki. Przeczytała wypisaną czarnym flamastrem nazwę silnego opioidu.

– Ach, wy suki! – jęknęła.

Odetchnęła głęboko kilka razy i wyciągnęła igłę z wenflonu. Odczekała chwilę, usiadła.

Pokój zakołysał gwałtownie. Chwyciła się krawędzi łóżka i usiadła.

Napiła się wody z kubeczka stojącego na stoliku obok.

Kilka minut gimnastykowała się, podnosząc i opuszczając ręce, podciągając kolana do brody i prostując z powrotem. W końcu uznała, że może zaryzykować opuszczenie nóg.

Było lepiej. Siedziała dość stabilnie.

Notebook leżał na fotelu, dość daleko od łóżka. Trzy metry.

Lekko oszołomiona zsunęła się z łóżka, stanęła niepewnie. Bała się, że upadnie albo zemdleje. Po chwili osunęła się na klęczki i na kolanach dotarła do kompa.

Usiadła na podłodze, oparła się o ścianę. Poczowała się całkiem dobrze, pewnie, nawet radośnie. Rozważała ucieczkę ze szpitala, ale uznała, że rozgniewany Sukonin może jej bardzo zaszkodzić. Zalogowała się do milicyjnej sieci, a następnie, po wielostopniowej weryfikacji, w kręgu MIPO-6. Zamierzała zająć się klientami Terchiwadzego, których tak dobrze strzegły profesjonalne zabezpieczenia.

Wymyśliła, że nie będzie forsowała zasieków, tylko poszuka podobnych albo takich samych, dotrze do realizatorów i tym sposobem spróbuje zdobyć kody dostępu.

Nie zdążyła zrealizować sprytnego planu.

Przelotnie zahaczyła o kronikę wydarzeń.

Całą minutę wpatrywała się w ekran, na którym widniały nazwiska ofiar przestępstw kryminalnych, adresy i z rzadka dopiski „domniemany sprawca ujęty”.

Przy nazwisku Stawierogow nie było takiego dopisku.

Rozszlochała się, notebook zsunął się na podłogę, głośno stuknął plastikową obudową o kafle.

Kwadrans później wstała, dość pewnie, dotarła, przesuając rękami po ścianie, do umywalki i dokładnie umyła twarz. Potem uznała, że potrzebuje kąpieli. Weszła pod prysznic i kwadrans polewała się na przemian gorącą i zimną wodą. Wyszła z łazienki niemal całkowicie odtruta.

Podniosła kompa i usiadła na łóżku. Teraz spokojnie, metodycznie, dokładnie sprawdziła wszystko, co było w raportach o śmierci dziadka.

Zadzwoiła do Sukonina. Nie odebrał. Nie zgłosiła się poczta głosowa.

Zadzwoiła do Kamila Stocharda. „Abonent poza zasięgiem”. Orszaków? Nie odpowiedział. Kto tam jeszcze? Popatrzyła na zegarek. Piąta dwadzieścia. Rzuciła się do komputera. Wyszukała internetowe kamery w pobliżu kliniki Terchiwadzego.

Nie było. No to...

Nad posiadłością „Okker-villa” snuła się mgła. Dziwne, pomyślała. Dookoła powietrze już czyste.

Znalazła inną kamerę, Instytutu Geodezji. Ruchomą. Wdarła się do serwera instytutu bez trudu. Już po chwili kamera przesunęła się o osiem stopni i wycelowała obiektyw dokładnie na pałacyk.

Gwizdnęła. W budynku niemal wszystkie szyby były wybite. W jednym z okien szyba rozprysła się na jej oczach.

Ach, wy sukinkoty! – jęknęła.

Sprawdziła w bazie MSW. Nie było wyjazdu w ten rejon. Nie było akcji. Nie było alarmu.

Przeskoczyła na kamerę w podwórku komendy MSW. W gabinecie generała Jarcewa paliło się światło.

Zastanawiała się chwilę. Przygryzła wargi aż do krwi.

Chwyła leżącą na szafce komórkę i wystukała odpowiedni ciąg cyfr.

Dziadek nie żyje – powiedziała do słuchawki. – Nie! – przerwała zaskoczonemu rozmówcy. – Posiadłość „Okker-villa” Kartybajewa. Na pewno znasz tego skurwysyna, to twój świat. Tam są jego zabójcy. Jest tam też Sukonin z Polakiem i może ktoś jeszcze, ale niezbyt wielu, bo to samowolna akcja. Musisz im pomóc... Tak, legawym! I pomścić dziadka. Jeśli powiesz „nie”, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę!

Rozłączyła się. Cisnęła komórkę na łóżko, wróciła do podglądu z kamery instytutu.

Kiepsko było widać. Czasem z rzadkiej, ale skutecznie pokrywającej teren mgły wyłaniała się na mgnienie oka ludzka postać. Kilka razy coś błysnęło. Latarka?

Zapalniczka? W jednym z okien rozbłysło światło i natychmiast zgasło. Pasma mgły jakby rozproszyły się, zobaczyła kilkanaście sylwetek w szarych kurtkach.

To nie byli milicjanci...

Za murem rozległ się ryk silnika. Odruchowo odskoczyliśmy od furtki. To był dobry odruch. Skrzydła bramy strzeliły na boki, to prawe przywaliłoby w nas, gdybyśmy nie usunęli się z jego zasięgu. Ponury hilux wdarł się na posesję, za nim wtoczyło się z rykiem silnika sześć innych wozów. Żadnej łady czy opla kadeta. Z hiluksa wyskoczył mały nerwusik i wycelował w nas kałacha. Z drugiej strony wysunął się, stanął na stopniu i popatrzył na nas ponad dachem Niebieski Kruk.

– Ilu was jest? – spytał, przekrzykując porykiwania silników swojej armii.

Z wozów wysypali się ludzie. Kochane bandziory z kałachami w łapach. O mało nie rzuciłem się uściskać ich. Powstrzymały mnie spokój i opanowanie Kostii.

– Tylko my dwaj. – Machnął lufą w moją stronę. Ciekawe, czy zabezpieczył broń.

O czym ja myślę? – Ochrona nosi szare kurtki.

Kruk zniknął w samochodzie, jego mały bodygard wskoczył do środka, my z Kostią, stojąc na stopniach, wczepiliśmy się w reling.

– Do pałacu! – zawołał Sukonin, pochyliwszy się do otwartego okna.

Wysunął broń do przodu. Ruszyliśmy. Przed nami pędziła najeżona lufami honda. Na podjeździe do garażu dwaj mołojcy otworzyli z niej ogień. Pełne zaskoczenie. Dwóch zwało się na beton, trzech rzuciło się do wnętrza. Jeden wóz z tych za nami pognał w tę stronę. Pozostali pędzili dalej przed siebie. Minęliśmy pokiereszowaną Ledę. Łabędź nie miał skrzydła, ale dziób nadal zadzierał w orgazmie ku niebu. Z okien pałacu sypnęło długą serią. Mały z hiluksa wysunął kałacha i odpowiedział niecelnym ogniem, zaraz poprawił, okno ucichło. Zerknąłem do tyłu.

Samochody z załogą Kruka sprawnie podzieliły się: dwa pognały w stronę hangaru z łodziami, zasypując pociskami drzwi i małe okna budynku. Dwa inne po-mknęły drogą między salą koncertową a pałacykiem, trzy pozostałe ruszyły w objazd z drugiej strony, pierwszy nie wyhamował i zwałił się do sadzawki. Załoga posypała się na zewnątrz. Nasza toyota już zatrzymała się przed wejściem głównym. Coś mignęło w oknie, strzeliłem tam

dwa razy, wskazując cel tym, co mieli pełne magazynki. Skorzystali ochoczo z podpowiedzi, zasypali parter szkwałem ołowiu.

Kruk zatrzymał wóz, zeskoczyliśmy ze stopni i pognaliśmy do drzwi. Kruk kopnął je, mały ochroniarz pierwszy wpadł i posłał do środka serię.

– Można! – wrzasnął.

Byliśmy już w holu. Pokieroszowany i pusty. Poza dwoma, nie – trzema ciałami.

Trzecie leżało przy drzwiach na przeciwległej ścianie.

– Co robimy? – zapytał Kruk, nie patrząc w naszą stronę.

– Za drzwiami są schody na górę – powiedział Sukonin. – Na wprost – basen. Nas interesuje góra, tam po win...

– Nie, Kostia, ich tam nie ma – przerwałem mu. – Przez cały czas nikt się nie pojawił. Muszą być gdzie indziej!

– Sala koncertowa?

– Albo ta sportowa? Chyba raczej sportowa...

Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się bardziej prawdopodobne, że siedzą w siłowni albo w saunie. Kafelki, prysznice, wentylacja... Jakoś mi to bardziej pasowało do guimonów niż scena i grzeczne szeregi miękkich, kuszących, by je poszarpać, foteli.

Sukonin otworzył usta, odwrócił się do Kruka.

– Jak masz na imię?

Krótki, tak krótki, że niemal niezauważalny uśmiech przemknął przez twarz Niebieskiego Kruka.

– Sawielij. Tylko nie nazywaj mnie Siowa!

– Dobra, Sawielij, pošlij kilku ludzi na górę. Jeśli spotkają tam Milady z Ukrainy albo innych notabli, VIP-ów i innych, czcigodnych ludzi – niech walą na głowę, wiążą i pilnują. Inni mnie nie obchodzą, ale bez niepotrzebnej krwi. Reszta idzie z nami do sali sportowej. Po drodze niech trzech-czterech wdepnie do sali koncertowej. To ten najbliższy budynek.

Kruk, Sawielij, wydał dyspozycje, pięciu ludzi śmignęło schodami na górę.

Wyszliśmy na zewnątrz. Chemia przestała działać, mgła rozwiewała się, odsłaniając coraz więcej szczegółów. Wszystkie budynki nosiły ślady strzelaniny, zryte trawniki, podeptane klomby, o skrzydle łabędzia nie wspominając. Od hangaru szła spora grupa, może osiemnastu ludzi z rękami na karku. Eskortowało ich sześciu krukowców. Gdzieś huknął pojedynczy wystrzał, odpowiedziała mu długa seria. Jeńcy przygarbili się lekko. Jeden z eskorty poczęstował marudera kopniakiem w tyłek.

– Idziemy.

Ruszyliśmy za Sukoninem. Po drodze Sawielij wysłał kilku ludzi do rotundy sali koncertowej. Mały ochroniarz wysłuchał raportu przez telefon.

– Na basenie poddało się czternastu – powiedział. – Oprócz nich w wodzie moczy się jakieś parujące coś, nie można tam wytrzymać. Na górze nie ma nikogo, jeden zabity ochroniarz przy oknie. Zabity wcześniej.

Kruk pokiwał głową, zaabsorbowany jakimiś myślami.

– Kto zabił Stawierogowa? – spytał cicho Sukonina.

– Najprawdopodobniej taki jeden, co się teraz moczy i cuchnie. Ale to jest bardziej skomplikowane. – Sukonin popatrzył na mnie.

Jakbym ja wiedział więcej.

– Tak. To jest bardziej skomplikowane – potwierdziłem.

Sięgnąłem do kieszeni. Fajki były mokre, cisnąłem kapiącą wodą paczkę w trawę, rozejrzałem się. Jedne z mołojców Kruka uniósł palec w geście „Czekaj!”, wyjął pall maile i poczęstował mnie. Zaciągnąłem się łapczywie. Gównu, nie rzucę!

Sala sportowa mieściła pełnowymiarowy kort, ściany były stałe, murowane, dach kopulasty, może nadmuchiwany. Brak okien. Szerokie drzwi, raczej mała brama, umożliwiały wprowadzenie sprzętu – walców, drabin, może kosiarki? Centralnie umieszczone drzwi z podjazdem z czarnego marmuru były pewnie przeznaczone dla bogatych purchli. Kruk uniósł dłoń z rozcapierzonymi palcami i machnął nią w stronę drzwi, piątka ludzi rzuciła się do forsowania. Były zamknięte. Jeden z nich wyjął z kieszeni płaski ładunek, przykleił do drzwi, przywarł do muru, dając znaki innym.

Szybko rozpierzchliśmy się na boki. Huknęło mocno, drzwi zapadły się, szturmowcy rzucili się do wnętrza. Pobiegliśmy za nimi. Było zastanawiająco cicho.

Zaraz za drzwiami znaleźliśmy się w wyłożonym białym marmurem korytarzu.

Buty popiskiwały na gładkiej posadzce. Siłownia, prysznic, pokój medyczny w lewo, squash, tenis – w prawo. Ruszyłem w prawo, za mną Sukonin i Sawielij. Było cicho.

Bezgłośna klimatyzacja spisywała się znakomicie, było rześko i odpowiednio wilgotno, ale w będącym w ciągłym ruchu powietrzu snuła się jakaś obca nutka, jak cienki drucik w szklance mleka. I jeszcze jakieś vibracje, już nie w powietrzu, tylko w czymś, co



nazywa się duszą. Zauważyłem, że zwalniam. Zwalniam i nikt mnie nie wyprzedza!

Duże przesuwane drzwi. Bez klamek, rygli, suwadeł. No nie, mieliby się mocować z materia? Przycisk. Zawiesiłem rękę na jego poziomie, ustawiłem się twarzą do wejścia, popatrzyłem na resztę.

Kupa luda.

Wszyscy zdenerwowani, zwarci, skoncentrowani, zdeterminowani. I jakby wystraszeni.

To ten drucik w mleku.

Wdusiłem przycisk. Drzwi bezszelestnie skoczyły w bok.

Śluza. Uświadomiłem sobie, że ucieszyło mnie to. Jeszcze kilka sekund zwłoki.

Wszedłem, poszli za mną, ale wszyscy nie mogli się zmieścić. Na korzyść wroga.

Podzielenie sił.

Ale tutaj siły, liczebność, nie są najlepszym argumentem.

A co?

Poczułem znaną mi już, realną albo wyimaginowaną, wibrację pierścienia na palcu, kikucie palca. Podniosłem rękę, jakbym chciał wcisnąć kolejny przycisk, ale tak naprawdę przyjrzałem się dłoni. Nic nie było widać, ale gdy zbliżyłem ją do dużego przycisku, wielkości połowy piłki tenisowej, usłyszałem cichy dygot. To pierścień uderzał w przycisk.

Może też dłoń drżała...

Opuściłem rękę i sięgnąłem do kieszeni. Sprężynowiec Osipa posłusznie ułożył się w dłoni, przekręciłem go tak, że ostrze-szydło schowało się w rękawie, trzonek wsunąłem między palce, w miejsce tych brakujących. Teraz zdecydowanie przycisnąłem

czerwoną półkulę i przekroczyłem próg, gdy tylko stało się to możliwe.

Od razu usunąłem się w bok, broń spenetrowała wnętrze. Niepotrzebnie.

Cały kort został poryty, dosłownie – ryty, wykonane jakimiś szpikulcami, zniweczyły ciężką pracę kortowych. Od ściany do ściany, na podłożu z mączki ceglanej, widniały dziwaczne zawijasy, niewątpliwie mające jakiś niezrozumiały dla nas sens. I bardziej zrozumiałe przeznaczenie: na środku kortu, chyba dokładnie na nieistniejącej linii, w centrum tego szczególnego ogromnego sztychu, siedziała Milena Gordych. Była prezydent Ukrainy, strącana z różnych piedestałów, foteli i – niemal – tronów. Sądzona, osadzona. Uwolniona. Oskarżana, uwielbiana i znienawidzona.

Miała na głowie swój osławiony „kołacz”, którym przekonywała, że jest zwyczajną Ukrainką, że ludowe, tradycyjne, niemodne uczesanie świadczy o jej czystej, przaśnej, empatycznej duszy. Włożyła na siebie purpurową ni to togę, ni to coś bufiastego z nogawkami szarawarów. Strój szczelnie okrywał całą Milady.

Wystawała tylko głowa. Na szyi, spod tkanin wystawały koniuszki czarnych łusek. I – chyba – cienkie wici...

Siedziała na czymś, co, przykryte kapą z lamy, brokatu czy złotogłowiu, symulowało tron. Patrzyła na nas obojętnie. Lodowato, od niechcienia. Spokojnie.

Dokoła niej, niczym płatki karminowego gniazdko, rozłożyła się grupa ludzi.

Dosłownie – rozłożyła. Leżeli, stopami niemal stykając się z lamą tronu, głowami na zewnątrz. Trzymali się za ręce. Przykryci

granatowymi prześcieradłami z białymi runami. Na piersi – duże „C”.

Usłyszałem, jak za mną wchodzi do sali i zamierają pozostali członkowie naszej grupy. Miałem nadzieję, że inni, spenetrowawszy sanitarną część kompleksu, wejdą przez drugie drzwi i otworzą ogień.

Bo w naszej grupie nikt nie unosił broni. Ja też nie.

Czułem bezwład chyba wszystkich członków ciała oprócz nóg. Ręce zwisały bezwładnie wzdłuż tułowia, głowa z trudem utrzymywała pion. Ale tylko w jednym kierunku. Mogłem patrzeć na Milady. Tylko.

– Och, moi wspaniali rycerze cnoty! – usłyszeliśmy.

Wydawało mi się, że kobieta nie otwiera ust, jej głos, sykliwy, rozbrzmiewał głośno i wyraźnie w mojej głowie. Niby nie było w nim dźwięcznych spółgłosek, ale niezrozumiałym sposobem dźwięcznie rozbrzmiewały w głowie.

– Rosjanie, Polak, milicja, policja, bandziory... Wszyscy na mnie... – Potoczyła wzrokiem po naszych sylwetkach.

Miała błękitne oczy, widziałem na zdjęciach. Teraz ten błękit zasnuwała gęsta mleczna mgła.

– Namordowali się, nazabijali, nameńczyli... I co? – Znowu wolno, gadzim ruchem, przejechała spojrzeniem po obecnych. – Kto ma broń, niech ją rzuci. – Rozległa się seria stuknięć. – Tak trzeba – „powiedziała” z naciskiem.

Poczułem, że i mój gracz wymyka się z palców i z głuchym pacnięciem uderza w podłogę kortu.

– Oo... Tak, dobrze. Dooobrze... Tak trzeba.

Zrozumiałem, że to jakiś rodzaj hipnozy, że gada, gadzina, żeby nas trzymać w szachu. Ale nie mogłem jej powstrzymać. Może gdybym mógł krzyczeć, śmiać się, ryczeć, może wtedy pozostali otrząsnęliby się z oszołomienia i odrętwienia. Ale ani ja, ani nikt inny, a wiedziałem, że też czują to, co ja, nikt z nas nie był w stanie otrząsnąć się z obezwładniającego uroku.

– Powinnam, zanim umrzecie, powiedzieć wam, że jestem zdumiona, że sprawiliście mi kłopot. Ale nic z tego. Lubię śmierć, gdybym nie musiała zabić tych kilku osób, to zabiłabym innych kilkanaście. Albo kilkadziesiąt. A tak? Mogłam się zabawić, przy okazji podstawiając wam nogę. – Zachichotała, wciąż nieruchoma, z rozchylonymi i nieporuszającymi się wargami. – I nuda prysła!

Otworzyły się drzwi na drugim końcu kortu, wpadli ludzie Sawielija, weszli i znieruchomieli, tak jak my trzy minuty temu. Nie strzelali. Sami, bez wezwania, rzucili broń. Może, zresztą, usłyszeli rozkaz, którego my nie słyszeliśmy. Może Milady mówiła do każdego z nas co innego?

– Teraz, jak w klasycznym filmie sensacyjnym, mamy wielką scenę finałową.

Czarny charakter wykpiwa ofiarnych rycerzy Dobra i za chwilę z nieba zwali się kompania wsparcia, która zakończy jego niegodziwy żywot. Nie, nic takiego nie nastąpi. Takiego filmu jeszcze nie nakręcono. Tu zwycięży Czarny Charakter.

Ja. Niewolnica, raba, Wielkich Przedwiecznych, Kapłana Przedwiecznych, Brata Przedwiecznych, Al-Khadhulu! – Jej głos zmienił się w wycie.

Dobrze, pomyślałem. Niech się nakręca, niech zaczyna swoje wyjebony, niech gada, przepowiada, wieszczy, niech pierdoli bez

sensu! Niech się zajmie czym innym niż trzymaniem postronków.

– Set-Hulhu! – ryknęła tak głośno, że echo odezwało się bólem w czaszce.

Przesunęła lekko głowę, patrzyła chyba na mnie. Oblał mnie zimny pot – czyta w myślach? – Ty, Kamilu, najbardziej zalałeś mi za skórę. Ale nie na tyle, żebym dla ciebie wymyślała jakiś szczególny rodzaj śmierci. Wszyscy umrzecie tak samo.

Solidarnie. Razem. Towarzysze broni – braterstwo w mogile.

Wyciągnęła szyję, jakby chciała dojrzeć tych, stojących w drugim rzędzie.

Milczała chwilę.

Nie patrzyła na mnie, chyba odzyskałem częściowo władzę nad mięśniami szyi.

Udało mi się przekręcić nieco w lewo. Dlatego zobaczyłem, jak spod drzwi rusza jeden z ludzi Sawielija, trupim krokiem przemierza kilka metrów, lawiruje między członkami swojej grupy —A potem podchodzi do Niebieskiego Kruka i dźga go nożem w brzuch. Wszystko to robi jak automat, robot, zniewolony, obojętny, opętany niewolnik. Sawielij drgnął, zachwiał się w przód i w tył, opadł na kolana, a potem na bok. Zabójca upuścił nóż i stał nieruchomo, nie zwracając uwagi na ofiarę, twarzą do Milady.

– Ot, tak kończy ten, który mnie mocno zawiódł.

Znowu poruszyła głowę. Pomyślałem, że ma wąskie pole widzenia, że jej gałki oczne nie poruszają się, więc musi przekręcać całą głowę, żeby przenieść spojrzenie na innego z nas.

A tak ukarzę ciebie – powiedziała. Nie wiedziałem, kogo to dotyczy.

Irina Matwiejewna Jarcewa popijała herbatkę jaśminową w kuchni. Obudził ją jakiś hałas za oknem, może sen. Nie wiedziała, ale czuła, że nie zaśnie szybko, napar miał ją uspokoić, obniżyć tętno i ciśnienie, uśpić. Wypiła połowę kubeczka.

Nagle jaśminowy napar przestał jej smakować, przestała wierzyć w jego dobroczynne działanie. Wylała resztę do zlewu. Umyła kubek.

Wsunęła palce we włosy i przeczesła je.

Wyszła na balkon i obojętnie przewaliła się przez poręcz.

Jej bezwładnego lotu i upadku na chodnik przed budynkiem nie zauważył nikt z sąsiadów na sześciu kondygnacjach.

Kostia drgnął. Przechylił się na bok, jakby ugięło się pod nim jedno kolano.

– Sssuka... – wycharczał.

– Tak, ta suka już nie żyje – usłyszałem głos Milady. – Pięknie roztrzaskała się o beton. Z mózgu została jedynie rozprysnięta szara plama. Ale nie myśl, że to koniec-c-s...

Generał Jarcew odłożył na bok rysik, którym kreślił na tablicie gwiazdki i łączył prostymi krechami. Wziął do ręki pióro, napisał na kartce z bloku „Hecmb uMeio”\*.

Podpisał się.

Wyjął z szuflady przedpotopowego makarowa, odbezpieczył, przyłożył wylot lufy do prawej krawędzi mostka i wystrzelił.

– A teraz i piesek się skończył – zachichotała Milady.

Patrzyłem zrozpaczony na Sukonina. Nie wiedziałem, co ma na myśli potwór z centrum kortu, ale działo się coś strasznego, na co nie miałem wpływu.

– Zostałeś bez korzeni – powiedziała Milady. – A teraz zostaniesz bez gałęzi, bez swoich milutkich odrostów...

Sukonin zachwiał się i pokonując bezwład, zrobił mały krok przed siebie.

Zacząłem zмагаć się ze swoim paralizem, usiłowałem przejąć kontrolę nad nogami, rękami, czymkolwiek.

Udało mi się poruszyć głową. Zobaczyłem, że leżące w kręgu dokoła wysłanki Cthulhu postacie ruszają się. Wszyscy prężyli ciała, wyginali się w łuk, opierając się niemal tylko na piętach i czubkach głów. W jakiś sposób uczestniczyli w rytuale, może wspomagali swoją boginkę. Może czerpała z nich moc, energię, może

\* Mecmb UMew – tu pewnego rodzaju gra słów. Dosłownie „mam honor”, zazwyczaj używane jako pożegnanie, np. w korespondencji „Kłaniam się”, „Żegnam”.

wspierali ją swoim życiowym potencjałem. Na pewno byli jej potrzebni. Może uda mi się dotrzeć do najbliższego, kopnąć go, przerwać pierścień?

Noga... Noga! NO-GA!

Poczułem, że lewa ręka drży. W ogóle ją poczułem! Poruszyłem nią. Wysunęła się trochę. Spuściłem, na tyle, na ile mogłem, wzrok.

Trzonek sprężynowca idealnie wpasował się w lukę między palcami. I udawał palce!

Tak to widziałem.

Nie było noża, szydła, trzonka. Były palce.

I pierścień eksterminatora!

Odkleiłem prawą stopę od podłoża. Przesunąłem ją jeszcze dalej i zwałem na nią ciężar ciała.

Pociągnąłem lewą stopę, postawiłem przed prawą, przerzuciłem ciężar ciała.

Ruszyłem prawą, przerzuciłem ciężar ciała...

Szedłem! Jak w koszmarnym śnie.

Musiałem wydawać nogom kolejne dyspozycje, sterować nimi w myślach jak joystickami. Ale szedłem!

Wiedziałem, że nie mogę myśleć o niczym innym, bo upadnę i nie podniosę się.

Więc o niczym innym nie myślałem.

Szedłem.

Dwa kroki. Trzy. Cztery.

Dotarłem do głowy najbliższego leżącego.

Siny mężczyzna z blizną na brodzie. Nabrzmiała, purpurową, niemal pękającą.

Jeszcze jeden krok, drugi.

Szurnięcie, kopnięcie. Prawą stopą. Mocno, Kamil, mocno z całej...

Udało się!!!

Kopniak rozerwał splecione palce rąk.

Lewa! Prawa! Lewa!

Milady drgnęła, poruszyła się jej głowa.

– Langhair mars fyrnhume! – ryknęła.

Uświadomiłem sobie, że mój marsz ją irytuje. Denerwuje. Przeraża?

Uśmiechnąłem się krzywo. Mogłem mówić!



– Gadaj sobie po swojemu, zmijowemu – powiedziałem. Może tylko chciałem powiedzieć, słyszałem swoje słowa tylko w głowie. Ale Milady też je słyszała, a były przecież do niej kierowane. – Pierdu-śmierdu, mój Przedwieczny. – Poczuję się lepiej, poczułem się mocniejszy od swoich słów. – Sranie w banie w cthulustanie. My się ciebie nie boimy, zimy... – zaplątałem się. – Kurwo ruda! – wrzasnąłem w rozpacz. Brakowało mi słów, brakowało mi celnych słów, które by ją złamały, załamały, zabiły. – Pierdolona suko! Mamy cię! Już nie wyjdiesz!..

Byłem już o dwa kroki od niej.

Nie poruszała się.

To musiało coś znaczyć. Musiała być w jakiś sposób unieruchomiona. Może tym kręgiem, może...

Wytrzeszczyła na mnie mlecze gały, po raz pierwszy poruszyła wargami, rozchyliła je, bluznęła sina posoka, jakby zwymiotowała ze złości. To dobrze, Kamilu, to bar-r-rdzo dobrze. To znaczy, że jest słaba, że nie jest tak mocna, jak myślała.

Jeszcze krok.

Czekałem na jej ruch, jakiś. Jakikolwiek.

Byłem czujny.

Już nie rozkazywałem swoim nogom. Same sprawnie, wolno, ale same, niosły mnie w jej kierunku. Jeszcze krok, szedłem tak, jakbym chciał ją ominąć. Poruszyła jeszcze raz głową, usiłowała wycelować we mnie swoje ślepe spojrzenie.

Spojrzenie?

Lewa ręka. Wyżej. Do przodu.

Teraz!

Sprężynowiec Osipa Stiepanowicza Niczypurienki obrócił się w mojej dłoni, wystrzeliło srebrzyste, nie srebrne – srebrzyste lśniące ostrze, wyglądało, jakby wydłużyło się... Nieważne.

Pochyliłem się i wbiłem je w lewe oko Milady.

Drgnęła. Szarpnęła się. Wyprostowała.

Ciągle jakby nie miała rąk. Ani nóg.

Szarpnęła głową w tył. Ale tam było oparcie, uderzyła w nie z całej siły, trzasnęło drewno. Wbiłem szydło jeszcze głębiej, potem w drugie oko.

Odzyskałem władzę w drugiej ręce, w nogach, głowie.

Wrzasnąłem z całej siły. Naparłem na szydło.

Zwaliła się na nas cisza.

Jak po ogromnej eksplozji. Jak bym ogłuchł od podmuchu.

Wyszarpnąłem kolec i cofnąłem się.

Krąg z ciał wił się i skręcał. Gównu mnie to obchodziło.

Odwróciłem się, popatrzyłem na pozostałych. Kostia Sukonin klęczał i wymiotował.

Kilku innych też.

Większość bezmyślnie gapiała się na coś za moim plecami.

Ja nie.

Podszedłem do Sukonina. Zaczął się podnosić, otarł usta.

– Generał nie żyje – wychrypiał. – I Irina Matwiejewna...

Była... jak matka...

Kamil...

Chciałem go objąć, ale poruszył się Niebieski Kruk. Skoczyłem do niego.

Odwróciłem ostrożnie. Zamrugnął powiekami. Krwisty bąbel wykwitł mu na ustach.

Otarłem go.

– Jak tam? – szepnął.

– Koniec. Zabiliśmy gada. Już dobrze.

– Komu dobrze, temu chuj w dupę... – Uśmiechnął się krzywo.

– Przez całe życie srałem na sprawiedliwość, a teraz umieram dla niej. Co za kurewstwo...

Wyprężył się i opadł na kort.

Ostrożnie ułożyłem jego głowę, wstałem.

Grupa Niebieskiego Kruka, Sawielija, poruszyła się. Z drugiego szeregu wypadł ten, który wbił nóż w brzuch szefa.

– Bratwa, ja że nie chatieł! Szto ja mog sdiełat’?\*

– Chuj s taboj, Żorik! – powiedział ktoś.

Dopiero teraz zauważyłem, że podnieśli upuszczoną na komendę broń.

Nagle wszyscy unieśli lufy i niemal jednocześnie wystrzelili do nieszczęsnego zabójcy.

Usunąłem się na bok.

Nie patrzyłem na Milady. Zerknąłem tylko na najbliższe leżące pod granatowym całunem ciało.

\* Bratwa, ja że nie chatieł! Szto ja mog sdiełat’? (ros.) – Chłopaki, przecież nie chciałem. Co ja mogłem zrobić?

Martwe ciało.

– Kamil? – odezwał się Sukonin.

Pokazał mi na coś, na kolana?

Popatrzyłem w dół.

Na moją lewą dłoń. W dłoni trzymałem szydło.

Wspomnienie po szydle.

Trzonek, rękojeść była w porządku.

Zamiast ostrza-szydła wystawało z niej coś, co Dali nazwałby „uciekającym szpicem” – metal nadtopił się, zaczął spływać, ale zaraz zastygł w malowniczym haku...

I to nie było srebro.

Sukonin przełknął ślinę.

– Gaspada! – powiedział głośno. Na pewno po raz pierwszy serio tak elegancko odezwał się do kryminalistów. – Spierdalamy stąd. Proszę tylko przed wyjściem przynieść z garażu trochę benzyny i spalić w pizdu to jebane miejsce. Sawielija – do samochodu.

Wykonali polecenie bez szemrania. Sądziłem, że w tym momencie mógłby im nakazać zgłoszenie się do aresztu i wykonaliby to bez chwili wahania.

Ale kto by chciał tak odwdzińczyć się za to, co zrobili?

Wyszedłem z sali.

Zmusiłem się do nieoglądania się za siebie.

Nie chciałem widzieć, wiedzieć. Nie chciałem pamiętać.

Chciałem... zapomnieć.

## EPILOG

Moim zdaniem to był... była najwyższy kapłan Cthulhu – powiedziałem. Jerzy wysłuchał mojej długiej i szczegółowej opowieści z zadziwiająco nikłym zainteresowaniem. Znałem go na tyle, że wiedziałem – muszą istnieć poważne powody, bardzo bardzo poważne powody matowego spojrzenia i nieruchomych dłoni. Lekarz powiedział, że od wczorajszego wieczoru odstawiono łagodne narkotyki i pacjent może być na głodzie.

Ale powinien sobie z tym poradzić, dodał.

W trakcie opowiadania spojrzenie Jerzego kilka razy uciekało „w głąb”, zapadał się, jakby tracił kontakt z rzeczywistością albo koncentrował się na czym innym.

Dopiero gdy powiedziałem, że ludzie Niebieskiego Kruka wynieśli jego ciało i na polecenie Sukonina podpalili salę gimnastyczną z Milady i jej martwymi apostołami, odezwał się.

– Raczej ofia...rami – wyrzucił z siebie beznamiętnym głosem. Na dodatek nie mógł albo nie chciał wymawiać naraz więcej niż kilka sylab. – Potrzebo...wała takich... Jako amplifi... katory...

Wszedł Kostia Sukonin.

– Cześć, panowie – powiedział. Też nie wyglądał na zdrowego i tryskającego chęcią życia. – Jak się czujesz, Jerzy?

– Kijowo – przyznał Jerzy. – Wszystkie kości... mnie łamią. I inne elemen...ty.

Wymienić po... kolei?

– Wystarczy ten ogólny opis.

Nikt się nie uśmiechnął. Nawet ja, choć czułem się lepiej od nich. Najlepiej.

– Właśnie skończyłem opowieść o akcji – powiedziałem. – Sawielij, pożar i kropka.

Ani strażacy, ani nasi ludzie nie znaleźli tam żadnych szczątków. Ludzkich, nieludzkich... Zero.

– Wiesz... Widzieliśmy, na dobrą sprawę, tylko głowy. I ręce tych jej popleczników, cholera wie, co się kryło pod tymi całunami.

– Tak, cholera wie. Łuski, łuski widzieliśmy...

Tak, łuski widzieliśmy.

– Bardzo mi przykro... z powodu śmierci generała i pani Iriny.

Jerzy wyciągnął wolno dłoń w kierunku Kosti, ten nie zdołał już zachować kamiennej twarzy i nieruchomych powiek. Zacisnął zęby i mocno uścisnął dłoń Jerzego.

– Wala jest na silnych lekach, kuzynka zabrała dziewczynki do siebie, a ja muszę się zmobilizować i jakoś im to wszystko wytłumaczyć. Ale czy to da się wytłumaczyć?

Za oknem burknął leniwym basem jakiś holownik na Newie.

– Możesz chodzić? – zapytał po chwili milczenia Kostia.

– Mogę – odpowiedział Jerzy. – A dokąd mam iść?

– Nie denerwuj się, niedaleko. Tylko piętro niżej. Do Nadii.

Gdy Jerzy, krzywiąc się, zsuwał z łóżka i wsuwał stopy w crocksy, Sukonin spojrzał na mnie porozumiewawczo. Zrozumiałem, że chce po prostu zmusić Jerzego do wysiłku, bo rehabilitantom się nie udaje.

Zjechaliśmy piętro niżej. W automacie kupiłem trzy kawy, dla Nadii herbatę, ustawiłem wszystko na tacy i poszliśmy z wizytą.

Siedziała na podłodze pod ścianą i – jakżeby inaczej! – tłuła w klawiaturę laptopa. Na nasz widok znieruchomiła i odłożyła komp, wstała. Była zapuchnięta od płaczu, ale to nie dziwiło. Natomiast jej spojrzenie... Brakowało w nim smutku, rozpacz, nie zmieściły się wobec ogromu przepełniającej ją nienawiści,

pragnienia zemsty. I obietnicy zemsty. Natężenie złych emocji mogło ją skrzywić, złamać jej życie, wypalić duszę. Obiecałem sobie, że wyrwiemy ją z tego koszmarnego stanu.

– Herbatka? – zaproponował Sukonin.

– Dziękuję. Tak.

Usiedliśmy z Jerzym w fotelach przy stoliku, Sukonin wziął sobie krzesło spod wieszaka, Nadia podniosła komp, położyła na łóżku i usiadła obok. Miałem wrażenie, że zamiast rozmowy z nami wolałaby dialog z komputerem.

Sukonin siorbnął kawy.

– Taak... – powiedział w zamyśleniu.

Milczał chwilę.

– Cztery godziny składałem raport nowemu... – zająknął się – ...pełniącemu obowiązki komendanta. Mam wrażenie, że nie wie, jak się zachować. Uwierzy – to nie przyjmie tej funkcji. Nie uwierzy – coś musi zrobić z nami. – Siorbnął znowu. – Taaak...

Jerzy się nie odzywał. Ja milczałem. Nadia z ukosa gapiła się w swój ekran.

Nagle drgnęła, rzuciła spłoszone spojrzenie na Jerzego, na mnie.

– Słuchajcie... – powiedziała cichutko. – Uroczy news z Luizjany...

Zesztywnieliśmy wszyscy.

– Ubiegłej nocy w Nowym Orleanie zostało zamordowanych osiemnaście osób, wszystkie w ten sam sposób – nożem. Trzy razy po sześć osób. Każda grupa w innym domu, w innej dzielnicy. – Popatrzyła na ekran, przeczytała coś. – Policjanci twierdzą, że

takiej jatki nigdy dotąd nie widzieli, nawet na filmach szkoleniowych.

Wolno odwróciłem się do Jerzego.

– Trzy razy po sześć osób – powtórzyła Nadia i dodała: – Każdej z nich morderca wyciął na piersi dużą literę „C”.

Wrocław, 2011



# Spis treści

STRONA TYTUŁOWA.. 1

ROZDZIAŁ 1. 4

ROZDZIAŁ 2. 13

ROZDZIAŁ 3. 22

ROZDZIAŁ 4. 27

ROZDZIAŁ 5. 37

ROZDZIAŁ 6. 46

ROZDZIAŁ 7. 55

ROZDZIAŁ 8. 68

ROZDZIAŁ 9. 76

ROZDZIAŁ 10. 80

ROZDZIAŁ 11. 96

ROZDZIAŁ 12. 103

ROZDZIAŁ 13. 113

ROZDZIAŁ 14. 126

ROZDZIAŁ 15. 135

ROZDZIAŁ 16. 140

EPILOG.. 158

## Table of Contents

STRONA TYTUŁOWA.. 1

ROZDZIAŁ 1. 4

ROZDZIAŁ 2. 13

ROZDZIAŁ 3. 22

ROZDZIAŁ 4. 27

ROZDZIAŁ 5. 37

ROZDZIAŁ 6. 46

ROZDZIAŁ 7. 55

ROZDZIAŁ 8. 68

ROZDZIAŁ 9. 76

ROZDZIAŁ 10. 80

ROZDZIAŁ 11. 96

ROZDZIAŁ 12. 103

ROZDZIAŁ 13. 113

ROZDZIAŁ 14. 126

ROZDZIAŁ 15. 135

ROZDZIAŁ 16. 140

EPILOG.. 158